Jan Hartman:
Bronię Izraela ▸14

Martyna Wojciechowska:
Szerpowie pukali się w czoło ▸32

WYSOKIE OBCASY

Tracey Emin
Jedno życie, wszystkie traumy kobiet

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL, WOJCIECH TRZCIONKA

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Zbiórka Łatwoganga
Czy młodzi są jacyś inni ▸4

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER EAST NEWS

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o. nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 19

Bartosz T. Wieliński: Rosja już zebrała siły ▸2-3

Cieśnina Ormuz Ile naprawdę nas kosztuje blokada ▸18

140 lat Coca-Coli Napój imperium ▸27

Praca na „Batorym” Golę brzytwą podczas sztormu ▸43

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 9-14 maja 2026 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 12,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 107.11206, 1 Nakład 71 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Agnieszka Kublik

Jeszcze czas być mądrym przed szkodą

Na pierwszy rzut oka nie jest źle: w sondażach od miesięcy prowadzi KO. Ugrupowanie premiera Donalda Tuska ma teraz 10 punktów procentowych przewagi nad ugrupowaniem Jarosława Kaczyńskiego. Paradoksalnie, PiS stracił impet po wygranych wyborach prezydenckich.

A próby porozpychania się po prawej stronie kandydatem Czarnkiem – który udaje, że jest na prawo od Brauna – to był błąd.

Tym ruchem Kaczyński zraża wyborców i ewentualnych przyszłych koalicjantów. Bo jak to? Już teraz sam Kaczyński wybrał premiera koalicyjnego gabinetu bez pytania potencjalnych koalicjantów? Już okazuje im lekceważenie?

Tuska może cieszyć, że CBOS odnotował w kwietniu poprawę nastrojów i to w kilku wymiarach. Lepsze niż wcześniej były oceny i prognozy dotyczące sytuacji ogólnej w kraju, własnych warunków materialnych, a nawet sytuacji politycznej i gospodarczej. Poprawiły się i oceny poziomu życia własnej rodziny. Widać lepsze nastroje konsumenckie.

Donald Tusk już teraz powinien zrobić to, co Peter Magyar

Lewica w sondażach zyskuje, ale to wciąż za mało, by demokraci ugrali drugą kadencję. PL2050 i PSL są pod wyborczym progiem i to głęboko. Ale czy PL2050 w ogóle przeżyje do wyborów?

Obóz demokratyczny (KO, PL2050, PSL, Lewica) przegrywa z obozem narodowców (PiS i obie Konfederacje), gdy demokraci idą do wyborów osobno. Przegrywają i wtedy, kiedy powstaje dwupartyjny blok wyborczy KO – Lewica.

Widać demobilizację wyborców, głównie lewicowych. To znaczące, bo wiosną 2023 r. wyborcy lewicy w 100 procentach popierali jedną listę. Widać zawiedli się na Koalicji 15 Października.

Kaczyński ma zatem z kim wygrać, Tusk – przegrać.

Peter Magyar przemawiając w niedzielny wieczór, kiedy po 16 latach odsunął Victora Orbana od władzy, dziękował tak wielu ludziom. W tym i wolontariuszom, którzy pracowali z jego partią TISZA dwa lata, czyli od początku jej powstania.

Do polskich wyborów parlamentarnych zostało tylko półtora roku. Dlaczego KO już nie szuka pomocy wolontariuszy? Mamy w Polsce armię nie tylko chętnych, ale i kompetentnych ludzi.

Szkolił ich Lex Paulson, amerykański demokrata, wykładowca retoryki i myśli politycznej w Instytucie Nauk Politycznych w Paryżu. Pracował przy zwycięskich kampaniach Baracka Obamy i Emanuela Macrona. Wolontariusze byli w nich nie mniej ważni, niż dobre przemówienia.

A u nas politycy wciąż tej współpracy nie doceniają.

Warto szybko wyciągać wnioski z własnych porażek i cudzych zwycięstw. ●

Andrzej rysuje

Cytat tygodnia

Dyscyplina uległa erozji. Dowódcy trzymają wszystko w tajemnicy, żeby ludzie stawili się na kolejną rundę

IZRAELSCY ŻOŁNIERZE O FALI RABUNKÓW DOKONYWANYCH W LIBANIE

• **Więcej**
▶ **Wyborcza.pl/swiat**

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Liczba tygodnia

7,8

PROC.

• **wynosi luka płacowa w Polsce – i goni 12-proc. unijną średnią, bo jeszcze w 2020 r. Polki zarabiały średnio 4,5 proc. mniej niż Polacy.** Dlatego rząd szykuje ustawę o jawności wynagrodzeń, która da pracownikom dostęp do informacji o tym, co wpływa na pensje czy zasadach podwyżek. Kary za unikanie obowiązku nie będą fikcyjne – do 60 tys. zł. Przepisy obejmą również pracowników tymczasowych.

• **Więcej ▶ Wyborcza.biz**

Zbyt wiele

Władimir Putin

Wielinski

„Zbyt wiele rzeczy się dzieje, coś przyjdzie: miłość lub wojna”. Czytam wiersz Zuzanny Ginczanki, który napisała w maju 1939 r., gdy minister Józef Beck z sejmowej trybuny oświadczył, że Polska nie odda Niemcom ani guzika. Utwór niby beztroski, ale pełen napięcia w oczekiwaniu na to, co nieuchronne. Bardzo pasuje do dzisiejszych czasów. Bo coś wkrótce nadejdzie.

Rozmawiałem z kilkoma dyplomatami i ekspertami. Przyznają, że w końcu Putin przetestuje spójność i jedność Paktu Północnoatlantyckiego. I że zrobi to prędzej, niż później. Być może w ciągu najbliższych miesięcy, a może tygodni. Gdzie wtedy będziemy?

Czas gra na niekorzyść Rosji. W Ukrainie sytuacja Rosjan zmieniła się diametralnie. W Donbasie i na Zaporożu już nie podbijają tego kraju metr po metrze, płacąc tysiącami żołnierzy za każdy zajęty przysiółek. Jeszcze w grudniu 2025 r. snuto scenariusz, że po zajęciu Pokrowska – walki o to miasteczko w Donbasie trwały przez cały rok – Rosjanie otworzą sobie drogę pod Kramatorsk i Słowiańsk, najważniejsze kontrolowane przez Ukrainę miasta Donbasu. Minęło niespełna pół roku i Rosjanie muszą Pokrowska bronić.

W innych miejscach frontu, zamiast mozolnie przeć do przodu, oddają terytorium. Straty, jakie zadają im Ukraińcy, zaczynają przewyższać rosyjskie możliwości rekrutacji nowych żołnierzy. Utrwalana przez europejskich defetystów teza, że Rosja jest olbrzymia i może nieskończenie długo wysyłać świeże wojsko na mięsne szturmy przeciwko „ukraińskim pozycjom”, jest właśnie obalana.

Tygrys przyparty do ściany

Tak jak teza o nienaruszalności rosyjskiej głębi strategicznej. Dwa lata temu Ukraińcy musieli prosić Waszyngton, Paryż czy Londyn o zgodę na użycie zachodnich pocisków manewrujących przeciwko celom położonym w Rosji. Zachód zasadniczo odmawiał, bojąc się, że to sprowokuje rosyjski odwet. Prezydent USA Joe Biden zgodził się dostarczyć pociski ATACMS o zasięgu 350 km dopiero jesienią 2024 r., gdy Putin na front ściągnął żołnierzy z Północnej Korei. Dziś Ukraińcy mają własną broń własnego zasięgu. Drony i pociski manewrujące od miesięcy niszczą rosyjskie rafinerie i fabryki zbrojeniowe. Rosyjska obrona przeciwlotnicza, przetrzebiona na froncie, nie jest w stanie bronić rozsianych po wielkim kraju strategicznych obiektów. I to nawet tych oddalonych od ukraińskich granic o tysiąc kilometrów. Zwłaszcza, że roje dronów i pocisków wysyłanych na rosyjskie miasta liczą dziesiątki maszyn.

Efekty są druzgocące. Po atakach na rafinerie i terminale naftowe nad Bałtykiem i Morzem Czarnym możliwości eksportu rosyjskiej ropy przy użyciu tankowców z tzw. „floty cieni” zostały poważnie ograniczone. Ukraińcy żartują, że jeśli chodzi o egzekwowanie nałożonych na Rosję sankcji, są najbardziej skuteczni. A rosyjska gospodarka zaczyna się zacierać. Wojenni blogerzy, którzy pięć lat wieścili rychłe zwycięstwo – nie nad Ukraińcami,

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Rosja powie: sprawdzam

rzeczy się dzieje, coś przyjdzie

przetestuje spójność i jedność Paktu Północnoatlantyckiego. I że zrobi to prędzej niż później.

a nad NATO – dziś ponuro piszą o klęsce i porównują sytuację w Rosji do czasów sprzed wybuchu rewolucji lutowej.

A Putina czeka kolejne upokorzenie. Po raz pierwszy na Placu Czerwonym, na defiladzie z okazji Dnia Zwycięstwa nie pojawią się czołgi, transportery opancerzone czy artyleria. Z powodu sytuacji na froncie i zużycia sprzętu Rosjanie nie mogą sobie na to pozwolić. Nie wiadomo, co podczas defilady się wydarzy. Moskwa jest atakowana nieustannie ukraińskimi dronami, choć na razie bez spektakularnych efektów (nie licząc uderzenia w luksusowy wieżowiec, gdzie apartamenty mają przedstawiciele rosyjskiej elity). Do miasta, kosztem innych obiektów w kraju, ściągnięto potężne siły do zwalczania zagrożeń z powietrza. Ale czy poradziłyby sobie ze zmasowanym atakiem 9 maja? Sieć obiegły już filmy z prowadzonej po cichu próby generalnej defilady. Gdy ogłoszono kolejny alarm z powodu nadlatujących dronów, rzucili się do ucieczki. Gdyby tak skończyły się sobotnie uroczystości Putin straci twarz.

Już teraz rosyjski przywódca przypomina przypartego do ściany tygrysa. Mimo, że jest w trudnej sytuacji, bez wyjścia, pozostaje groźny i gotów do desperackich ruchów.

Czas gra na niekorzyść Rosji nie tylko z powodu wojennych niepowodzeń i coraz bardziej widocznej entropii państwa. Irańska wojna, w którą idiotycznie wpakował się Donald Trump, skompromitowała Stany Zjednoczone. Trwa impas, amerykańska potęga wojskowa nie jest w stanie zmusić Iranu do zakończenia blokady Cieśniny Ormuz, przez którą biegnie strategiczny morski szlak łączący Zatokę Perską z Oceanem Indyjskim. Zanim USA rozpoczęły wraz z Izraelem bombardowania Iranu i polowanie na jego przywódców, cieśnina pozostawała otwarta dla żeglugi. Rosja korzysta na tym, że temat zakończenia wojny w Ukrainie przestał być priorytetem amerykańskiego prezydenta. I że w związku zablokowaniem cieśniny i drastycznym wzrostem cen paliw Trump poluzował nałożone na Rosję sankcje. Gdyby nie ukraińskie naloty na rafinerie i porty wojenna kasa Putina dziś gwałtownie napełniałaby się pieniędzmi.

Jak w Berlinie Zachodnim

Amerykanie, walcząc z irańskimi dronami, wystrzelali się z pocisków przeciwlotniczych. Wsparcie dla obrońców Ukrainy znacznie zmalało, priorytetem jest obrona nieba nad krajami Zatoki Perskiej. Rosja wykorzystuje sytuację prowadząc bombardowania ukraińskich miast. Tylko w kwietniu rosyjskie drony zabiły ponad 200 osób. Poza tym wiadomo też, że dostawy uzbrojenia dla sojuszników z NATO znacznie się opóźnią

Jest jasne, że Trump w końcu dogada się z Iranem. Przedłużanie konfliktu oraz blokady cieśniny nie są mu na rękę, bo ceny paliw uderzają w gospodarkę jego kraju. Sondaże Trumpa są coraz gorsze, w listopadzie będą częściowe wybory do Kongresu. Za jakikolwiek sukces prezydent USA będzie w stanie zapłacić Iranowi wysoką cenę. Gdy to się stanie, sytuacja Putina jeszcze się pogorszy.

Rosyjska strategia rozładowywania kryzysów polega na ich eskalacji. Na doprowadzeniu sporu na kolejny poziom, do sytuacji, gdy otwarta konfrontacja wydaje się nieunikniona, gdy trzeba powiedzieć „sprawdzam" i liczyć się z koniecznością użycia siły. Rosjanie zakładają, że ich zachodnim adwersarzom zabraknie odwagi i pod presją niespotykanej do tej pory eskalacji pierwsi rzucą karty. Z taką strategią – zadaniem dyplomatów, z którymi rozmawiałem – możemy mieć w najbliższym czasie do czynienia w naszym bezpośrednim sąsiedztwie.

FOT. REUTERS/ALEXANDER ERMOCHENKO

• W okupowanej stolicy Donbasu rosyjscy kadeci ćwiczą przed sobotnią paradą z okazji Dnia Zwycięstwa. Ta główna, w Moskwie, po raz pierwszy od 1945 roku odbędzie się bez ciężkiego sprzętu i lotnictwa bojowego, a kolumny piesze zostaną znacznie zredukowane. Oficjalnie – bo wszystkie siły na front „operacji specjalnej", nieoficjalnie – ze strachu. Bo dopiero co ukraińskie drony uderzyły w Mosfilm Tower, luksusowy wieżowiec dla elit kilka kilometrów od Kremla.

Gdy w 2004 r. państwa bałtyckie weszły do NATO, rosyjski atak wydawał się niedorzecznością, majakiem z epoki, która bezpowrotnie minęła. Plany obronne dla flanki wschodniej spisano dopiero na przełomie 2009 i 2010 r., już po wojowniczym wystąpieniu Putina na monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa i ataku Rosji na Gruzję. NATO miało bronić Polski dziewięcioma dywizjami. Zakładano jednak, że kraje bałtyckie szybko wpadną w rosyjskie ręce i trzeba będzie je wyzwalać.

Po aneksji Krymu w 2014 r. NATO zdecydowało się wzmocnić rejon międzynarodowym kontyngentem, który w razie wojny byłby spisany na straty. Kraje Bałtyckie to stosunkowo wąski pas ziemi wciśnięty między zachodnią Rosję, obwód królewiecki i Białoruś, łącznik z sojusznikami, Przesmyk Suwalski ma ledwie 72 km szerokości. W podobny sposób działał zimnowojenny garnizon Berlina Zachodniego: wiadomo było, że trzy brygady: amerykańska, brytyjska i francuska nie będą w stanie obronić miasta przed sowiecką ofensywą. Ale w czasie pokoju chroniły otoczoną murem i zasiekami metropolię. Zaznaczały teren.

Dekadę później, gdy Ukraińcy wyzwolili Buczę, Irpień i inne podkijowskie miasta stało się jasne, jak wygląda rosyjska okupacja. Plany obrony w 2022 r. znowu zmieniono. NATO ma bronić krajów bałtyckich już od pierwszej minuty. Wsparcia dla Bałtów udzielą nowi członkowie Sojuszu z sąsiedztwa Finowie i Szwedzi.

Jednak Rosja najwyraźniej dąży do tego, by sprawdzić co to oznacza.

Hakerzy zamiast żołnierzy

Kraje bałtyckie intensywnie się zbroją i budują na granicy z Rosją i Białorusią zasieki oraz pola minowe. Estonia tworzy sieć fortyfikacji, estońskie wyrzutnie pocisków Himars są w stanie w razie potrzeby razić cele daleko na rosyjskim terytorium. Na Litwie rozbudowuje się niemiecka brygada pancerna, na Łotwie brygada kanadyjska. Zbroi się Polska, zbroją się Niemcy i Francja, która ostatnio zadeklarowała rozszerzenie nuklearnego parasola na sojuszników w środkowej Europie. Te procesy potrwają jednak jeszcze miesiącami.

Rosja, niezależnie od strat w Ukrainie, utrzymuje spore siły na swojej zachodniej granicy. Obecnie je wzmacnia, buduje nowe bazy, ściąga sprzęt. Dotyczy to nie tylko pogranicza z Finlandią czy Estonią, ale i terytorium zwasalizowanej Białorusi, której Rosjanie użyli już w 2022 r. do ataku na Ukrainę. Dlatego sens ich poczynań jest jasny, zwłaszcza, że w Białorusi powstaje też magazyn ładunków jądrowych i stanowiska nowych pocisków ziemia-ziemia średniego zasięgu typu Oresznik. Putin do tego coraz głośniej Bałtom grozi, oskarżając ich o współpracę z Ukraińcami w atakach na rosyjskie terminale naftowe położone w pobliżu Sankt Petersburga. Moskwa zawsze jest w stanie znaleźć pretekst do ataku. A właściwie go wytworzyć

Eksperci nie są zgodni co do tego, czy Rosjanie będą w stanie zgromadzić wystarczające siły, by ruszyć na pełnoskalową wojnę. Dotychczasowe – i tak alarmistyczne – przewidywania zachodnich wywiadów o wybuchu konfliktu w najbliższych latach zakładają przecież wstrzymanie ognia w Ukrainie, co pozwoli przerzucić żołnierzy na nowe pozycje. Ale czy Rosja, chcąc przetestować spójność NATO, faktycznie musi sięgnąć po dziesiątki tysięcy żołnierzy? A jeśli brakujące siły zastąpią tysiące dronów, rozesłani po Europie sabotażyści i dywersanci oraz hakerzy?

Prof. Carlo Masala, wykładowca Uniwersytetu Bundeswehry w Monachium w książce „Jeśli Rosja wygra" kreśli scenariusz, w którym Moskwa robi to w ramach ograniczonej operacji wojskowej. Nie planuje defilady zwycięstwa w Tallinnie, tylko zajmuje przygraniczną Narwę, zamieszkaną w większości przez rosyjskojęzyczną ludność i bałtycką wyspę Hiuma. A potem grozi NATO, że w razie ataku użyje do obrony broni jądrowej.

Zamiast regularnego wojska Rosjanie mogą wysłać „zielone ludziki". Niedawno pod granicę z Estonią wysłali zresztą ludzi w mundurach bez oznaczeń. Rosyjskojęzyczni bojówkarze, po części rekrutowani na miejscu, mogą powołać na skraju Estonii kolejną republikę ludową, którą Moskwa natychmiast uzna i przyłączy do federacji.

Dla kogo artykuł 5?

Celem nie muszą być zresztą Narwa i Hiuma. Rosjanie mogą uderzyć w Łatgalię, rosyjskojęzyczny w 50 proc. region na wschodniej Łotwie. Albo z Białorusi zaatakować Litwę i zająć korytarz do obwodu królewieckiego, odcinając lądowe połączenie krajów bałtyckich z Polską. Albo wylądować na szwedzkiej Gotlandii. Każdy z tych scenariuszy łączy to, że rosyjska agresja byłaby ograniczona terytorialnie i niosłaby ze sobą nuklearne ultimatum. Prof. Masala, z którym rozmawiałem, pyta, czy w takiej sytuacji, dla jednego estońskiego miasta, wyspy, pasa pól i lasów państwa NATO zaryzykowałyby wojnę jądrową? Czy art. 5. Traktatu Waszyngtońskiego, który traktuje atak na jedno z państw NATO jak napaść na cały sojusz, zostałby uruchomiony?

W tym kontekście na myśl przychodzi mi inna czytanka z maja 1939 r. Marcel Déat, francuski faszyzujący dziennikarz na łamach dziennika „L'Oeuvre" opublikował manifest pt. „Dlaczego musimy umierać za Gdańsk?", argumentując, że Francja powinna trzymać się z dala od polsko-niemieckich sporów. Rok i miesiąc później niemieckie wojska stały pod Paryżem.

Pytam rozmówców, czy nasi sojusznicy rozumieją zagrożenie. Słyszę, że ci na wschodniej flance jak najbardziej. Bałtowie, Finowie, Szwedzi artykuł piąty traktują jak najbardziej poważnie. Ale im dalej na zachód tym gorzej. Co zrobią Francuzi, co zrobią Hiszpanie? A kluczowe pytanie brzmi: co zrobią USA? To kolejny element układanki, który tworzy dogodną sytuację dla Rosji. Donaldowi Trumpowi ewidentnie nie po drodze z NATO. Sojuszu nie może opuścić bez zgody Kongresu, więc nieustannie podkopuje spójność paktu i czyni go słabszym. Takie efekty przynosi przeprowadzony przez Pentagon podział jego członków na lepszych i gorszych czy zapowiedzi wycofania wojsk bądź zawieszenia członkostwa niektórych państw. W podzielonej organizacji zapisana w art. 5. zasada „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" nie będzie już obowiązywać. Trump – być może celowo – doprowadzi do tego, że Sojusz obumrze. Kraje bałtyckie nigdy go nie interesowały, jedną z pierwszych decyzji jego administracji było obcięcie wysyłanej im pomocy wojskowej.

W najgorszym scenariuszu, jeśli Rosja doprowadzi do eskalacji, by sprawdzić NATO, możemy zostać w małej bałtycko-nordyckiej grupie sami. I to z bardzo nieciekawą sytuacją wewnętrzną, z Rosjanami szerzącymi propagandę za pomocą platform społecznościowych i usłużnymi skrajnie prawicowymi politykami. Rosyjskie macki, poprzez sponsoring ze strony giełdy kryptowalut zondacrypto, dotarły aż do Pałacu Prezydenckiego. Gdyby było trzeba ruszać na odsiecz krajom bałtyckim, decyzję w tej sprawie będzie musiał podjąć prezydent, o niejasnej przeszłości i niejasnych powiązaniach. Którego obecny szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego wroga – tak jak zresztą większość polityków PiS – widzi nie na wschodzie, a na zachodzie.

Zbyt wiele rzeczy się dzieje. Coś przyjdzie... ● **Bartosz T. Wieliński**

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

WAŻNY TEMAT

Bo wszyscy Polacy to jedna rodzina

Powstańcy i pozytywiści. Akcja Łatwoganga idealnie pasuje do narodowych puzzli

Arkadiusz Gruszczyński

1 RP

Zbiórka pieniędzy zorganizowana przez Łatwoganga na chwilę poprawiła nam humor: Polacy przez jeden weekend poczuli się „fajnym narodem". To raz.

Dwa – ćwierć miliarda złotych, które zebrał youtuber, to równowartość 0,1 procentu rocznego budżetu państwa polskiego przeznaczanego na zdrowie. A więc powtarzanie, że „zbiórki uratują szpitale", jest bełkotliwym populizmem.

A po trzecie i najważniejsze – musimy się zmierzyć z pytaniem, dlaczego młody chłopak w ciągu kilku dni zebrał 250 milionów złotych, a od blisko trzech lat rząd nie potrafi naprawić służby zdrowia.

Łatwogang to pseudonim Patryka Garkowskiego, 23-letniego influencera z Radomia - lub nie z Radomia i nie Garkowskiego, gdyż w medialnym obiegu krąży również nazwisko Hancke, a on sam powiedział jednemu z dziennikarzy w trakcie zbiórki: - Jest mega dużo fejków. Dużo mediów pisze, że mam na imię Patryk i jestem z Radomia, a mam na imię Piotrek i jestem z Warszawy. Popularność zdobył dzięki „wyzwaniom", nazywanych również „challenge'ami". Łatwogang obiecał chociażby, że przejdzie 100 tysięcy kroków, zaśpiewa ze światowej sławy wokalistą pop Edem Sheeranem czy pojedzie rowerem z Polski do Afryki. Wszystkie zadania wykonał. Ale od challenge'ów do zebrania ćwierć miliarda złotych dla dzieci chorujących na raka droga wydaje się daleka.

Dla porządku przypomnijmy: Łatwogang 17 kwietnia rozpoczął 9-dniowy stream, podczas którego chciał puszczać non stop piosenkę „Ciągle tutaj jestem (diss na raka)" nagraną przez rapera Bedoes 2115 i Maję Mecan, dziewczynkę chorującą na nowotwór. Cel: 250 tysięcy od widzów. Skończyło się na 250 milionach, rekordzie świata w zbiórkach prowadzonych na żywo na YouTubie, zaangażowaniu celebrytów, transmisji finału w największych stacjach telewizyjnych oraz wielkiej mobilizacji świata biznesu, medycyny i setek tysięcy Polaków.

Jak doszło do tego, że chłopakowi, który z kawalerki na Gocławiu transmitował wideo z sobą w roli głównej, zaufało podzielone i rzucające się sobie do gardła przy każdej możliwej okazji społeczeństwo?

– Łatwogang nie musiał zdobywać zaufania, ponieważ w momencie startu zbiórki miał na TikToku 2,3 miliona obserwujących – mówi mi Jakub Wątor, dziennikarz zajmujący się zawodowo światem polskiego internetu. Wyjaśnia, że influencer to nie to samo, co celebryta – jest kimś na wzór „kumpla z podwórka", z którym lubisz wieczorem porozmawiać przy piwku na ławce przed blokiem. Z tą różnicą, że dzisiaj „kolega z blokowiska" mówi do ciebie z telefonu.

– Ludzie lubią spędzać z nim czas i oglądać popołudniami relacje na żywo, ponieważ nie znajdują w tradycyjnych mediach oferty dla siebie. Musisz pamiętać, że młodzi właśnie w ten sposób dzielą świat: na kumpli z internetu i mainstream, czyli telewizje, portale, radio i gazety. My wychodziliśmy z kumplami przed blok, a dzisiejsi młodzi odpalają YouTube'a i słuchają gościa w ich wieku – tłumaczy Wątor.

Ciekawi mnie, kto zostaje influencerem, dlaczego ktoś decyduje się na taką pracę i dlaczego mój 7-letni krewny na pytanie, kim chciałby zostać w przyszłości, bez zastanowienia odpowiada, że „panem z YouTube'a"?

– Na pewno wiele osób marzy o sławie i pieniądzach. Inni zostawali influencerami dekadę temu przez przypadek: ktoś się zasiedział przed komputerem, komentował gry, ludzie odkrywali, że koleś ma charyzmę, i kariera sama się nakręcała. Kolejne osoby odkrywają, że dobrze im wychodzi montowanie filmików, co przynosi realny dochód z YouTube'a – odpowiada Wątor. – Na TikToku jest masa młodych, którzy po prostu gadają do kamery. Mają pięciu widzów, ale się nie poddają i po miesiącu mają 50. A po roku tysiąc. No i chodzi również o chęć wybicia się, pokazania swoich talentów i samego siebie.

Dodaje, że w młodym pokoleniu kluczowe jest podejście do pracy: skoro można robić to, na co ma się ochotę, nie chodzić do korporacji na ósmą rano, a do sukcesu są potrzebne telefon, dobry pomysł i cierpliwość, to każdy chce złapać Pana Boga za nogi.

Świat internetu, a więc przede wszystkim streamu, czyli relacji wideo nadawanych na żywo, ma tę przewagę nad telewizją czy tradycyjnymi portalami, że odbiorcy mogą tu i teraz decydować o tym, co zrobi ich ulubieniec. Ma opowiedzieć o swoim dniu – proszę bardzo. Ma obejrzeć z nimi fragment serialu i wspólnie się pośmiać – robi się. A może makijaż lub taniec z kotkiem – czemu nie?!

A z mniej banalnych spraw – ma zapytać lidera narodowców Krzysztofa Bosaka w Sejmie, dlaczego jest za

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Piotr Łatwogang Garkowski zbiera pieniądze na Fundacje Canser Fighters. Właśnie padł kolejny rekord. Warszawa, 26 kwietnia br.
FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Lepsi, niż się nam wydaje

• Równowartość
0,1 proc.
• **rocznego budżetu Polski** przeznaczanego na zdrowie zebrał Łatwogang

2,3 mln
• **obserwujących** miał Łatwogang na TikToku przed rozpoczęciem słynnej zbiórki

16 proc.
• **Polaków** ufa sobie nawzajem

25 proc.
• **Polaków** pozytywnie ocenia służbę zdrowia

• Ponad
20 tys.
• **zrzutek** związanych ze zdrowiem jest co roku organizowanych w Polsce

wolnością słowa? Jedziemy na Wiejską! Wątor opowiada, że internauci są bezwzględni: jeśli ktoś ich okłamie, naciągnie, zburzy budowane miesiącami i latami zaufanie, „sprzeda się" – to trafi do internetowego niebytu.

– Odbiorcy zżyli się z influencerami, zaczęli tworzyć swoje zasady, kody kulturowe, zwyczaje, a za tym wszystkim zaczęły pojawiać się pieniądze i freak fighty, czyli walki przed żywą publicznością. Ten świat rozrósł się do ogromnych rozmiarów, więc biznes nie mógł ich lekceważyć – dodaje Wątor.

Pieniądze są kluczowe dla zrozumienia tego świata: za udział w walce influencer może zarobić od kilku do kilkuset tysięcy złotych, a wpływy z wyświetleń na YouTubie, kontrakty reklamowe, które zobowiązują znane postacie z „sociali" do wychwalania produktów, usług, wycieczek czy konkretnych ludzi, idą w dziesiątki tysięcy złotych.

I choć znaczna część komentarzy pod tekstami – nie tylko o patocelebrytach i freak fighterach, ale w ogóle o TikToku, Instagramie, YouTubie, ich mechanizmach, trendach oraz gwiazdach – jest utrzymana w tonie „o tempora, o mores", w sumie nic w tym niezwykłego. W końcu sam Leszek Balcerowicz, ojciec transformacji ustrojowej od niewydolnego socjalizmu i centralnego zarządzania do wolnego rynku, od roku 1989 i początku wolnej Polski namawiał Polaków do wzięcia sprawy w swoje ręce. Obecny rynek reklamowy i powiązania wielkiego biznesu z szokującymi dla części opinii publicznej walkami w klatkach są po prostu kolejnym etapem późnego kapitalizmu. Czyli systemu, który spieniężyły wszystko, nawet miły filmik na Instagramie.

Tym bardziej ciekawi mnie, jak głęboka jest przepaść między dwoma światami, o których opowiada Wątor: dziadków, pionierów (lub ofiary) wolnego rynku i indywidualnej przedsiębiorczości, rodziców z pokolenia rozkwitu korporacji i późnej globalizacji – oraz ich dzieci i wnuki, w istocie samozatrudnionych w branży cyfrowej reklamy i rozrywki.

•

– Starsze pokolenie nie rozumie dzieciaków, które spędzają po kilka godzin na TikToku, a młodsi czują, że „traktujecie ich protekcjonalnie" – zauważa od razu.

W trakcie zbiórki Łatwogang nie wiedział, kim jest Monika Olejnik, gospodyni politycznych talk-show w TVN 24, jedna z największych gwiazd telewizji lat 90. i dwutysięcznych, a młodzi widzowie poprosili o wyproszenie Martyny Wojciechowskiej, słynnej od trzech dekad dziennikarki, prezenterki, celebrytki, podróżniczki i społeczniczki, która z niczym im się nie kojarzyła. I z miejsca posypały się komentarze, że „małolat nie wiedział, kim jest gwiazda dziennikarstwa telewizyjnego".

Tylko co w tym oburzającego czy niezwykłego? Młodzi nie kojarzą gwiazd tradycyjnej telewizji, tak jak moje pokolenie nie wiedziało, kim była słynna PRL-owska prezenterka Irena Dziedzic czy Zenon Laskowik, kultowy komik i satyryk. Znaczy: wiedzieliśmy mniej więcej, że to ktoś znany ze świata dorosłych, bo nasi rodzice wspominali ciepło te postaci, ale przyparci do muru nie potrafilibyśmy powiedzieć dlaczego.

Natomiast wyjaśnienie Wątora nieco mnie zaskakuje, bo przeczy tezie, że nastolatki nie mają pojęcia o świecie tradycyjnych mediów. – Młodzi fani Łatwoganga nie chcieli upolitycznić zbiórki, więc zareagowali tak, a nie inaczej na Monikę Olejnik, choć nie jest polityczką, tylko dziennikarką przepytującą posłów – słyszę.

Przy czym upolitycznienie łączy im się z pouczaniem i mentorstwem.

Wątor: – A gdy z Łatwogangiem połączył się biznesmen rajdowiec Rafał Sonik i zaczął gadać coś o przedsiębiorczości i przełamaniu muru między starszymi a młodymi, to widzowie kazali mu spadać, bo zaczął ich pouczać. Łatwogang świetnie sterował tymi emocjami. Powiedział do Sonika: „Panie Rafale, potrzebujemy zmiany, dzięki za 100 tysięcy, wszystkiego dobrego i nara" – opowiada Wątor.

Ale przecież te dwa światy się ze sobą przenikają: influencerzy tańczą w „Tańcu z gwiazdami", występują na okładkach czasopism, wchodzą do telewizji.

– Młodzi nie przerzucą się nagle na „Wyborczą" czy Polsat, ponieważ wam nie ufają – wzrusza ramionami mój rozmówca. – Ale widać ruch z drugiej strony: mainstreamowe media spokorniały, nie są aż tak protekcjonalne wobec influencerów. Zwróć uwagę, że w czasie zbiórki do Łatwoganga przyjechało mnóstwo rozpoznawalnych aktorów, którzy zrobili więcej dla zbliżenia obu światów niż relacja na żywo w TVP Info. Artyści pokazali się z innej strony: byli wyluzowani, autentyczni, przebili szklany ekran.

Ruch odbywa się w obie strony: internetowi „kumple z podwórka" w końcu przekraczają próg starych mediów, ponieważ w nich wciąż jest sporo pieniędzy, a zdjęcie na okładce poczytnego magazynu oznacza nadal prestiż. A wraz z nim nowe kontrakty reklamowe.

Koniec końców wygląda na to, że świat YouTube'a, TikToka i Instagrama, gdzie młodzi komunikują się między sobą, wymieniają poglądami, ale przede wszystkim są odbiorcami rozrywki, wpisuje się w długą tradycję konfliktów pokoleniowych.

Stare media nie mówią językiem młodych, więc ci zakładają własne – można nieco naiwnie zauważyć. Dokładnie to samo wydarzyło się w 1956 r., kiedy młodzież wykupywała cały nakład tygodnika „Po Prostu", gdzie można było znaleźć teksty pisane językiem dalekim od komunistycznej nowomowy. Pokolenie 1986 miało swój trzeci obieg, czyli galerie sztuki, nielegalne czasopisma i koncerty – w tym słynny punkowo-metalowo-nowofalowy Jarocin – które wymykały się podziałowi na komunistów i opozycję demokratyczną. A lata 90. przyniosły kontrkulturę – pokoleniowy sprzeciw wobec polityki, starych mediów i konwencji. To wtedy Robert Tekieli prowadził pismo „Brulion", a więc pyskaty, nonkonformistyczny magazyn, z którego wyrosły takie postacie jak publicysta Cezary Michalski, poeta i piosenkarz Marcin Świetlicki czy pisarka i feministka Manuela Gretkowska. I to w tamtych czasach Paktofonika i Kaliber44 opowiadały o życiu na blokowisku i marzeniach młodych chłopaków.

Wszystkie te bunty kończyły się podobnie: ludzie dorastali, wchodzili do konserwatywnych w ich mniemaniu jeszcze przed momentem struktur, nieraz udawało się zmieniać skostniałe media czy instytucje, ale na koniec dnia okazywało się, że dawni buntownicy spotkali się na swojej drodze młodych kontestatorów. I tak świat się powolutku kręci.

•

Pytanie brzmi więc, co my – przedstawiciele starych mediów – możemy wyciągnąć z lekcji Łatwoganga. A ujmując to samo pytanie nieco szerzej: Co nam mówią influencerzy i ich odbiorcy?

Najłatwiej krytykować. „Dzisiejsza młodzież jest leniwa, całe dni siedzi w komórce, nie rozmawia z rodzicami, nie chce chodzić do pracy", słyszę tu i ówdzie.

Pod tymi opiniami kryje się nie tylko postawa kwitowana przez młodych: „OK boomer" i „kto pytał, millenialsie?", czyli przekonanie, że „myśmy byli bardziej ogarnięci, zaangażowani, ciekawi świata, pracowici", przekonanie mające dać 40-, 50- i 60-latkom ukojenie w świecie, który coraz mniej przypomina ten z własnej młodości i dojrzałości – i w którym wkrótce przestaną się liczyć. Kryje się również autentyczna troska o przyszłość najmłodszego pokolenia, które wcześniej czy później będzie musiało pójść do pracy i się usamodzielnić. A także lęk, że dzieci nie będą chciały i umiały wyfrunąć z gniazda. Starsi mówią przecież głośno o tym, co przypominają psycholodzy: że napędzane algorytmami treści w internecie są banalne, ogłupiające, dezinformujące, uzależniające, powierzchowne.

I mają rację, choć zapominają, czym jest tradycyjna telewizja, w której od rana do wieczora lecą policyjne paradokumenty, telenowele, taneczne show, żenujące i rubaszne kabaretony lub polityczna szczujnia – nierzadko nie tylko po prawicowej stronie doraźna, unikająca szerszego kontekstu i niuansu.

W opisie młodego pokolenia, które naprawdę nie czyta naszych tekstów, gardzi telewizjami informacyjnymi, a papierowe wydania gazet kojarzy z memów, brakuje rzetelnego i uczciwego podejścia.

Skoro trzeba to wyjaśniać, to posłuchajcie, proszę: część młodych ludzi ogląda pasjami profile polityczne tworzone przez ich rówieśników, takie jak „Orientuj się", inni dzięki temu zapisują się do młodzieżówek partyjnych, a blisko 30 procent z nich angażuje się w wolontariat. Jasne: cała masa nastolatków i studentów przegląda TikToka i rolki na Instagramie, które relacjonują robienie makijażu, ranking kebabów, memiczne sytuacje ze sceny politycznej, ale – powtórzmy to porównanie – czym są gale polskiego kabaretu transmitowane w telewizji albo ciągnące się jak śmierdząca rzeczka telenowele? I czy my wszyscy oglądamy wyłącznie ambitne dramaty Pawła Pawlikowskiego, czytamy jedynie wywiady z Wiesławem Myśliwskim?

Jeśli więc stawiam pytanie o to, co ważnego mówią nam młodzi, to odpowiedź jest niezwykle banalna. Nastolatki chcą mieć swoje miejsce, w których ktoś traktuje ich poważnie, gdzie się bawią i rozmawiają ze znajomymi. Skoro politycy po 1989 roku likwidowali jeden po drugim dom kultury, zamykali małe szkoły i wiejskie biblioteki, a kolejne rządy nie przeprowadziły realnej reformy instytucji kultury, które budowałyby ofertę dla nastolatków, to młodzi, kiedy tylko otworzyła się przed nimi taka możliwość, uciekli do swoich internetowych bunkrów.

•

W sprawie kolejnej lekcji ze zbiórki Łatwoganga zgłaszam się do nauczyciela. Nie byle jakiego, bo do Nauczyciela Roku, a przy okazji psychologa i kulturoznawcy z Uniwersytetu SWPS, autora bestsellerowej serii „Szkoła bohaterek i bohaterów". Przemka Staronia pytam o mechanizmy psychologii społecznej, które wiążą się ze zbiórką.

Mój rozmówca przywołuje koncepcję BANI, czyli modelu próbującego opisać złożoną współczesność. Kolejne litery w tym akronimie oznaczają: brittle – kruchy, anxious – niespokojny, *nonlinear* – nieliniowy, *incomprehensible* – niezrozumiały. – Współczesny świat jest kruchy, ponieważ nieustannie wywraca się ustalony porządek. Ponad miliard osób mierzy się z zaburzeniami psychicznymi, pośród których na pierwszym miejscu są zaburzenia lękowe. Mechanizmy globalizacji sprawiają, że jedno wydarzenie z końca świata wpływa na moje życie w Gdańsku, a wiele spraw staje się coraz bardziej niezrozumiałych i niepojętych – mówi psycholog. – W tym kontekście zbiórka jest wyłomem i dowodem na to, że rzeczywistość może działać według innych reguł, takich, w których wychodzę z poczucia obezwładniającej bezradności. I na dodatek zyskuję poczucie, że mogę mieć realny wpływ na otaczający mnie świat.

Jeszcze na innym poziomie, ciągnie Staroń, ludzie na co dzień odczuwają frustrację, ponieważ ich podstawowe potrzeby nie są zaspokajane. – Mam przede wszystkim na myśli potrzebę afiliacji, czyli przynależności do grupy, co rzecz jasna wypływa z epidemii samotności. Udział w popularnej zbiórce dał nam więc poczucie przynależności do czegoś większego, czegoś na kształt wspólnoty – tłumaczy badacz i wychowawca w jednym.

Epidemia samotności rzecz jasna nie jest niczym nowym, ale warto przypomnieć, że z niedawnych badań zespołu Katedry Psychiatrii Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu wynika, że samotność odczuwa prawie 70 procent osób dorosłych w Polsce. Kontakty społeczne są mocno ograniczone, sąsiedzi nieznani, życie po-

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

między pracą a snem wypełniają samotne treningi lub przeglądanie serwisów społecznościowych, których algorytmy służą budowaniu dystansu między ludźmi oraz polaryzacji. Aż tu nagle wszyscy jednego dnia rozmawiają o tym samym, odpalają w ciągu dnia po kilka razy YouTube'a i wpłacają pieniądze. I czują się wspólnotą.

●

– Tę zbiórkę możemy opisać także w ramach mechanizmu zwanego „społecznym dowodem słuszności". Skoro widzę, że mnóstwo osób postuje o zbiórce i deklaruje, że wpłaca, to rośnie prawdopodobieństwo, że również ja to zrobię – dodaje Staroń.

– Niemniej mam poczucie, że poszczególne próby opisu i wyjaśnienia fenomenu tej zbiórki są nieadekwatne, jeśli się je rozpatruje pojedynczo, ponieważ jej sukces i skala są efektem synergii. Społeczna potrzeba przynależności, bezpieczeństwa, akceptacji, miłości w czasach epidemii samotności spotkały się w akcji Łatwoganga. Ona pokazała, że w przebodźcowującym, drenującym nasze układy nerwowe lękotwórczym świecie potrzeba przebywania w stadzie, wspólnocie, która realnie, razem, robi dobro, to najlepsze antidotum, choć nie panaceum, na to, z czym wszyscy się mierzymy – kwituje Przemek Staroń.

Ta wspólnota była niecodzienna: w jednej akcji wzięli udział dziennikarze z odległych politycznie o galaktykę, często wrogich kanałów, tak różni, jak dziś związany z Kanałem Zero Tomasz Kammel oraz powszechnie identyfikowana z neoliberalnym mainstreamem Monika Olejnik; skłóceni od dekad muzycy, jak słynni raperzy Tede i Peja, którzy nie rozmawiali ze sobą od 17 lat; wyborcy prawicy i lewicy; mieszkańcy wielkich miast i malutkich wsi na zachodzie kraju; starzy i młodzi. Można zaryzykować stwierdzenie, że niemal każdego w Polsce jakoś ta zbiórka dotknęła i chyba nie było osoby, która przeszłaby obok niej obojętnie.

Nurtuje mnie jednak, czy incydentalny charakter wspólnoty miał jakiś większy sens. Mówiąc inaczej: czy chwilowe zjednoczenie ponad podziałami i kilkudniowy karnawał cokolwiek tu zmienią? Tu, czyli w kraju, w którym tylko 16 procent ludzi ufa sobie nawzajem, a połowa Polaków nie wierzy politykom, a więc osobom tworzącym prawo i realne ramy gospodarcze i społeczne. Czy nie skończy się jak dwie dekady temu z „Pokoleniem JP2", kiedy to po śmierci papieża Polaka jednali się młodzi anarchiści, wszechpolacy i kibole zwaśnionych klubów, wspólnie ze zniczami na ulice wychodzili wzorowi uczniowie, studentki i dresiarze – a publicyści i socjolodzy rozpisywali się o pokoleniowym fenomenie, który na trwałe odmieni skłócone społeczeństwo?

– Akcja Łatwoganga przypomina mi stworzoną przez Patrycję Krzymińską ostatnią puszkę Pawła Adamowicza, do której ludzie po śmierci prezydenta Gdańska wpłacili 16 milionów. Albo spontaniczną pomoc osobom uchodźczym z Ukrainy, które przyjechały do Polski w marcu 2022 roku – dorzuca świeższe przykłady Staroń. – Te „romantyczne zrywy" są polską specjalnością, więc zbiórka nie powinna nas zaskakiwać. Niestety, następujący później pozytywizm codzienności jest już dużo trudniejszy do realizacji.

Przy czym te wydarzenia łączyło coś głębszego, nieuchwytnego, a jednocześnie doskonale znanego od czasu romantycznego narodowego mesjanizmu.

– Nasze społeczeństwo doświadcza co jakiś czas tragedii, po której nie następuje konstruktywnie przeżyta żałoba. Tak było z katastrofą smoleńską, szybko wykorzystaną politycznie przez prawicę. Ten sam mechanizm obserwowaliśmy w trakcie i po pandemii. Została wyparta ze świadomości, a przecież zmarło wtedy, według oficjalnych tylko danych, niemal 120 tysięcy Polek i Polaków. Z Polski zniknęło całe miasto! – zauważa Staroń. – Nie jesteśmy ani w systemie edukacji, ani na poziomie dyskursu kształtowanego czy to przez rząd, czy to przez media uczeni radzenia sobie z emocjami, ze smutkiem i żałobą. Nie jesteśmy uczeni konstruktywnego przepracowania doświadczeń traumogennych. Ani tych o charakterze indywidualnym, ani tych o charakterze społecznym.

– A przy zbiórce Łatwoganga było inaczej. Połączyło nas, owszem, nieszczęście dzieci, ale sama zbiórka była pozytywna z założenia, nie wynikiem traumy – zauważam. I dowiaduję się, że tak, ale trochę nie. – W kilka dni po tragicznej śmierci posła Łukasza Litewki, który słynął z pomocy charytatywnej, Polacy wpłacili 250 mln na zbiórkę dla chorych dzieci. Zadziała się rzecz bez precedensu, niemniej ta akcja była trampoliną dla naszych emocji po śmierci znanego, tak fenomenalnie działającego dobrego człowieka – uważa Staroń. Innymi słowy, śmierć w wypadku posła Nowej Lewicy mogła być czynnikiem, który tej zbiórce pozwolił w ostatnich dniach tak intensywnie urosnąć.

A Staroń podsuwa kolejny kontekst. – Żyjemy w chronicznym poczuciu wyuczonej bezradności. To doświadczenie dewastuje naszą psychikę. Reguły świata wykraczają poza naszą wyobraźnię: prezydent USA – kraju uznawanego za przywódcę Zachodu i nasz gwarant bezpieczeństwa – zachowuje się irracjonalnie, wręcz irracjonalnie do kwadratu. Miejsca, które wydawały się oazą spokoju – na przykład Dubaj – przestają nimi być.

Antidotum na poczucie bezradności jest poczucie sprawczości. – I teraz, proszę, nagle możemy – siedząc na kanapie w domu czy jadąc autobusem – naprawdę komuś pomóc, wpłacając pieniądze na zbiórkę, której realny wzrost obserwujemy w czasie rzeczywistym, co opisuje wspomniany mechanizm społecznego dowodu słuszności.

Na co przewrotnie zwracam od razu uwagę, że tak wspólnotowa zbiórka Łatwoganga jest równocześnie opowieścią o radykalnym indywidualizmie.

Gdzieś w okolicy 1980 roku, prezydentury Ronalda Reagana i Margaret Thatcher w świecie zachodnim zatriumfowała ideologia tak zwanej szkoły chicagowskiej ekonomisty Miltona Friedmana, która przekonywała, że duże systemy polityczne i społeczne, regulacje, rozbudowane instytucje publiczne i obywatelskie oraz zabezpieczenia socjalne ograniczają wolność jednostki, a tylko ciężka, indywidualna praca niesie ze sobą sukces. Od tamtego czasu obserwujemy erozję związków zawodowych, które obsługiwały znaczną część życia pracowników, zapewniając im naukę, wczasy, a także dostarczając argumenty i opowieści w wydawanych z własnych pieniędzy gazetach. Wiele usług publicznych zostało sprywatyzowanych – służba zdrowia, edukacja, transport to przykłady pierwsze z brzegu – co w konsekwencji osłabiło zaufanie ludzi do państwa.

Tym ciekawsze, że wiele osób, które wpłacały pieniądze na zbiórkę Łatwoganga, opartą przecież na solidaryzmie i pomocy ludziom mającym gorzej niż my, narzekało na „daniny", czyli system podatkowy, i próbowało udowodnić, że publiczny system zdrowia należy zlikwidować.

– Liberalizm – zwany także indywidualizmem – przyniósł nam prawa jednostek, ale jednocześnie nie zauważyliśmy, jak staje się on hiperindywidualizmem i tracimy życie w tym, co najważniejsze: życie we wspólnotach. Antropologia, psychologia, socjologia, a nawet neuronauka coraz głośniej nam przypominają, że naturalnym sposobem funkcjonowania człowieka jest tryb wspólnotowy. Powracanie do wspólnot jest tym, co jest dla nas kluczowe, na równi z powracaniem do natury – odpowiada na moje przemyślenia Staroń.

Dlatego nauczyciel naukowiec koniec końców ma poczucie, że ta tymczasowa wspólnota zbudowana wokół zbiórki przyniesie pozytywne plony. – Pozwolę sobie sparafrazować Alberta Schweitzera, lekarza, który za założenie szpitala dla osób cierpiących na trąd otrzymał pokojowego Nobla: zbiórki nie zmieniają systemu, nie taka ich rola. One zmieniają ludzi, którzy stają się gotowi, by zmieniać system. Jako nauczyciel wielokrotnie widziałem przemiany młodych ludzi biorących udział w akcjach społecznych, dzięki którym czuli, że stają się częścią czegoś większego, prawdziwego, mocarnego – i poszli w ramach swojego poletka posuwać ten świat codziennie o milimetry do przodu – kończy Przemek Staroń.

> Jakub Wątor: Influencer to nie to samo, co celebryta. Jest kimś na wzór kumpla z podwórka. My wychodziliśmy z kumplami przed blok, a dzisiejsi młodzi odpalają YouTube'a i słuchają gościa w ich wieku

●

Jest jeszcze jeden wymiar zbiórki, którego nie możemy przemilczeć: polityka. Na poziomie wartości i kontekstów historycznych akcja Łatwoganga idealnie pasuje do polskich puzzli: lepiej urządzać powstania czy pracować organicznie w warunkach, które dał nam los, i z roku na rok poprawiać funkcjonowanie państwa? Rację mają ci, którzy pielęgnują powstanie warszawskie, czy zwolennicy powojennych reform? Spór jest nierozstrzygalny, bo jedna i druga strona ma rację: bez bohaterstwa powstańców świadomość pozytywistów nie byłaby pełna, bez pozytywistów powstańcy nie mieliby o co się bić i za co ginąć.

Co ma do tego Łatwogang? Ano to, że zorganizował kilkudniowy zryw, nowoczesne powstanie, zbudował wspólnotę wokół pięknego i szlachetnego celu. Tak, poczuliśmy się naprawdę dobrze jako naród polityczny. Ale że 250 milionów to kropelka w morzu potrzeb, dzisiejsi powstańcy powinni rozpocząć pozytywistyczną dyskusję choćby o podniesieniu do 10 procent PKB nakładów na zdrowie z budżetu państwa. Obecnie wydajemy 5,8 proc.

Tak docieramy do kolejnego poziomu analizy zbiórki Łatwoganga, czyli polityki. A konkretnie tego, że ta akcja może się przełożyć – choć nikt jeszcze nie podejmuje się spekulacji jak – na rząd Donalda Tuska.

Według badań CBOS tylko 25 procent z nas pozytywnie ocenia służbę zdrowia. Na operację kolana czeka się rok, tyle samo na wymianę biodra, na operację kręgosłupa cudem można dostać się po dwóch latach oczekiwania. Kolejki do specjalistów są równie długie, stomatologia jest praktycznie skomercjalizowana niczym w USA, na prześwietlenie czeka się tygodniami. Bezpłatne usługi medyczne, które działają bez zarzutu, można wymienić na palcach jednej ręki – to leczenie zaćmy i onkologia.

Politycy koalicji rządzącej zdają sobie sprawę z pogłębiającej się zapaści w opiece zdrowia i w nieoficjalnych rozmowach przyznają, że mogą przez to przegrać przyszłoroczne wybory parlamentarne.

Dalej: zdarzało się, że goście Łatwoganga krytykowali system podatkowy i przekonywali między słowami, że tylko dzięki samoorganizacji Polacy będą mogli za prywatne pieniądze utrzymywać szpitale. Po sukcesie zbiórki pojawiły się głosy: „Nie warto podnosić podatków dla najlepiej zarabiających, ponieważ na koniec dnia ludzie zbiorą w internecie milion złotych na operację".

Takie myślenie zbliża nas niebezpiecznie do programu Konfederacji, która chciałaby sprywatyzować wszystko oprócz wojska, choć przykład amerykańskiej interwencji w Iraku pokazuje, że nawet armia może oddać część obowiązków prywatnym firmom. Tylko publiczna służba zdrowia finansowana ze składek osób fizycznych oraz firm zapewni wszystkim ludziom dostęp do specjalistów i drogich operacji. Tu nie zaszkodzi przypomnieć, że wycięcie wyrostka robaczkowego na wolnym rynku kosztuje około 7 tysięcy złotych, cesarskie cięcie – nawet 21 tysięcy, a pełna kuracja leczenia raka – mniej więcej pół miliona.

●

Krytycy akcji Łatwoganga wymieniają całą litanię zarzutów: tak naprawdę zbiórka była zlotem wyborców Konfederacji, dla których państwo i podatki oznaczają zło wcielone. Zrzutka dała okazję celebrytom, którzy chcieli poprawić swój wizerunek. Wśród ciekawszych argumentów znalazłem ten o milionach złotych od szemranych firm czy biznesów ludzi kojarzonych z alt-rightem i manosferą. Warto jednak przypomnieć, że dokładnie to samo dzieje się przy okazji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy: coroczna zbiórka może być doskonałym argumentem za zamknięciem Narodowego Funduszu Zdrowia, z Owsiakiem fotografują się celebryci ocieplający swój wizerunek, a na konto WOŚP wpłacają firmy obracające kryptowalutami. Niesławna Zondacrypto wpłaciła w zeszłym roku pół miliona złotych na WOŚP.

Krajobraz dopełniają zbiórki, które są normą, a nie wyjątkiem w 20. gospodarce świata, jaką jest obecnie Polska. Na Siepomaga, Zrzutce i Pomagam.pl, czyli trzech najpopularniejszych portalach organizujących zbiórki, w ciągu roku powstaje ponad 20 tysięcy zrzutek związanych ze zdrowiem. Łatwogang i jego poprzednik Jerzy Owsiak, który od początku lat 90. co roku organizuje Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy zbierającą pieniądze na szpitalny sprzęt, różnią się od nich tym, że skupili się na istotnym problemie, który albo dotyka, albo dotknął, albo dotknie każdego z nas.

Społecznego i systemowego jednocześnie: niedofinansowanych szpitali, fatalnie zarządzanych przychodni i ministrów, którzy nie mają odwagi przeciąć licznych patologii, by bez księgowych sztuczek, zadłużania i ukrytych cięć wydobyć większą kasę na zdrowie. Nie chodzi o najnowocześniejsze specjalistyczne terapie czy operacje za granicą i nierefundowane, niszowe lub eksperymentalne, a przez to zaporowo drogie leki, bo każdy trzeźwo myślący obywatel zdaje sobie sprawę z tego, że one zawsze będą problemem dla państwa. Chodzi o to, że pod przykrywką dobrych intencji i okrągłych zdań obecnego i poprzedniego rządu buzuje społeczne niezadowolenie na zgniłe podstawy systemu.

Te wszystkie konteksty – miłości Polaków do zrywów, potrzeby ogrzania się w blasku wspólnotowego ogniska, zapaści w opiece zdrowia i chrześcijańskiej pomocy bliźniemu, którego spotkała niesprawiedliwość – dały nam polski paradoks: wśród narzekania wszystkich na wszystko dookoła 23-letni chłopak zebrał 250 milionów złotych dla dzieci. ●

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Trudny gang

Zbiórka Łatwoganga pokazała, że Polacy to gang dość trudny do rozgryzienia. Ale kilka rzeczy o nas ujawniła, więc spróbujmy je zebrać w całość.

Marcin Matczak

Po tej zbiórce jest jasne, że Polacy to społeczeństwo z deficytem instytucji i nadmiarem serca. Nadmiar cieszy, ale deficyt martwi, zwłaszcza lewicę. Jak w przypadku WOŚP, tak i tu podniosły się głosy, że zbiórki charytatywne wyręczają państwo oraz dają fałszywe dobre samopoczucie. W efekcie, zamiast naprawiać instytucjonalnie, Polacy zbierają się raz do roku i hojnie sypią kasą na zbożny cel.

Ciekawa jest ta podejrzliwość lewicy wobec spontanicznego dobra, w szczególności takiego, które nie przechodzi przez system. Nie jest wszak oczywiste, że samo dolanie wody do dziurawego wiadra państwowej ochrony zdrowia rozwiąże nasze problemy. Nie jest też prawdą, kontynuując metaforę wody, że takie zbiórki to kropla w oceanie wydatków NFZ. Ten płaci za wszystko, a zbiórki są celowe – i dlatego wydatki WOŚP na sprzęt czy Cancer Fighters na leczenie onkologiczne robią różnicę. I są często bardziej efektywne niż wydatki państwowe. Poza tym, czy gdyby ta zbiórka się nie odbyła, nastąpiłby polityczny nacisk na państwo, żeby wydatki zwiększyło?

Co kto widzi w zbiórce Łatwoganga

Jest w tej krytyce jakaś niechęć do sprawczości oddolnej – jakby realna poprawa życia ludzi była mniej wartościowa, gdy nie przechodzi przez instytucje państwowe. Można to analizować przez Foucaulta: lewicowa krytyka charytatywności to lojalność wobec konkretnych form władzy-wiedzy (specjaliści, urzędnicy, planowanie) i podejrzliwość wobec decyzji podejmowanych przez „nieuprawnionych".

Reakcje na zbiórkę Łatwoganga pokazały też, jak bardzo polską przywarą jest wykorzystywanie dobra do robienia zła, na przykład upokarzania innych. Tu z kolei prym wiedzie prawica, która sukces tej zbiórki wykorzystała, żeby dokopać Owsiakowi, i zamiast cieszyć się z dobra, cieszyła się z czyjegoś domniemanego upokorzenia. Tym samym sukces znowu stał się amunicją w walce plemiennej.

Zupełnie wbrew intencji organizatorów zbiórki, część Polaków z przestrzeni jedności od razu weszła w przestrzeń wojny kulturowej. WOŚP nie jest w niej organizacją charytatywną – jest znakiem systemu: oznacza fajnopolaków, TVN i całą zgniłą moralnie III Rzeczpospolitą. Atak na WOŚP to element walki o dominację symboliczną. Rzeczywisty obiekt (zdrowie dzieci) znika, zostają dwa znaki walczące w przestrzeni mediów.

Gdy jedni widzą w zbiórce Łatwoganga dowód na porażkę państwa, a drudzy zwycięstwo nad WOŚP, my spróbujmy zobaczyć coś innego. Na przykład jednocześnie zmianę pokoleniową i technologiczną. Ciekawa różnica między WOŚP a Łatwogangiem to różnica wykorzystywanych mediów: odejście do lamusa telewizji i gwałtowne wejście streamingu na charytatywną scenę.

Telewizja to medium bierne i jednokierunkowe – ono do ciebie mówi, ty do niego nie. Streaming jest medium interaktywnym i partycypacyjnym – jest dialogiem, nie monologiem. Ta różnica powoduje, że uczestnicy zbiórek inaczej ich doświadczają.

Dawanie na WOŚP było pierwotnie i co do zasady anonimowe. Zwłaszcza przed erą internetu po prostu wrzucałeś pieniądze do puszki i odchodziłeś. Dawanie pieniędzy na streamie jest z definicji publiczne: twoja donacja pojawia się na ekranie, jest odczytywana, a sam streamer na nią reaguje. Tu dobro jest widoczne.

Co z tą obywatelskością

Czy to degradacja dobroczynności w kierunku narcyzmu, czy może forma dobroczynności typowa dla kultury, która zna tylko jeden dowód na istnienie – to, że cię widzą? Architektura techniczna zbiórki Łatwoganga jest podobna do architektury wspólnej gry komputerowej – lajki, rankingi, reakcje na żywo. W efekcie to zbiórka trochę jak radosne, zbiorowe selfie.

Na tym selfie młodzi ludzie mówią starszym: „my także umiemy coś zrobić, i to nawet lepiej niż wy". WOŚP należy do pokolenia ich rodziców – do ery telewizji, rytuału niedzielnego obiadu i rosołu, w czasie których w tle słychać „Siema!". To charytatywność rock'n'rolla. Zbiórka Łatwoganga jest posttelewizyjna i postinstytucjonalna, dzieje się w kanciapie gamera, w rytmie hip-hopu. 280 mln zł jest tu dowodem nie tylko hojności, ale sprawczości młodego pokolenia.

I ich potrzeby wspólnoty. Ale jaka to jest wspólnota? Tocqueville widział w stowarzyszeniach obywatelskich antidotum na tyranię większości i samotność społeczną. To, co zrobił Łatwogang, jest w tym sensie głęboko obywatelskie – robione bez państwa, bez instytucji, oddolnie i skutecznie. Ale Tocqueville zapytałby też, co się dzieje z obywatelskością, gdy stowarzyszenie jest jednorazowe, nie instytucjonalne, nie ma stałych struktur i procedur?

Zygmunt Bauman nazywał takie wspólnoty „szatniowymi": tworzą się na czas spektaklu i rozpadają po jego zakończeniu. Wszyscy zostawiają płaszcze, razem oglądają show, a potem razem wychodzą. Takie wspólnoty „potrzebują widowiska, które odwołuje się do podobnych zainteresowań drzemiących w skądinąd różnych jednostkach". Dają radość z przynależności bez zobowiązań i bez konfliktu.

Infrastruktura solidarności

Zbiórka trwała kilka dni. Co zostało po niej? Czy ktoś, kto dał 50 złotych, jest teraz innym człowiekiem, który inaczej myśli o zdrowiu publicznym? Istnieje ryzyko, że to tylko flash mob obywatelskości – z definicji intensywny i ulotny. Łatwogang to ryzyko poczuł. Dlatego zaproponował rytuał: uznanie 26 kwietnia za Dzień Walki z Rakiem, by tej ulotności zapobiec.

Ta zbiórka jest kolejnym dowodem na to, że polskie społeczeństwo potrafi wytworzyć sprawną, hojną infrastrukturę solidarności, która nie potrzebuje ani państwa, ani trwałości. To jest jednocześnie osiągnięcie i objaw kryzysu.

Osiągnięcie, bo ta infrastruktura działa: dzieci będą leczone lepiej. Ale solidarność jest u nas zazwyczaj jednorazowym spektaklem, a nie instytucjonalną zmianą stosunków społecznych. To solidarność intensywna, satysfakcjonująca, ale ulotna.

Może jednak to jedyna forma wspólnoty, na jaką możemy sobie pozwolić? Nie zobowiązuje, nie zmienia dogłębnie, ale dzięki niej czujemy się razem, co jest dziś towarem najcenniejszym. I innej reformy niż zryw serc u nas nie będzie. ●

Rozpasanie w kuwecie

Wydawać by się mogło, że do drastycznych określeń należy „kuweta", ale – nic podobnego: poseł Kowalski przeprasza za powiedzenie słowa „stół".

Michał Rusinek

Dramatyczny gest odejścia posła Janusza Kowalskiego z szeregów Prawa i Sprawiedliwości wstrząsnął nami głęboko. Nie okłamujmy się: skończyła się pewna epoka. Obawiamy się jednak, że rozpoczęła się nowa, ale mniejsza o to.

●

Na odchodne powiedział: „Ufam, że naprawdę zrewiduje pan te wszystkie nocne rozmowy o stołki. Ile pan tam mówił o wszystkich kuwetach? Zajęliście teraz te wszystkie kuwety. Paulina Hennig-Kloska tak się rozpasała w tej swojej kuwecie! Trzyma się tego, przepraszam bardzo, stołu, żeby tylko i wyłącznie nie być odwołana. Obiecuje wam różne, przepraszam bardzo, rzeczy. Tusk oczywiście wie, że zostało mu kilkanaście miesięcy i zostanie rozliczony za tę niekompetencję. Tylko Polski szkoda [...]. 868 dni pychy, buty i takiej niemieckiej arogancji. Dość tego! Nie chcemy Tuska, nie chcemy Hennig-Kloski! Chcemy normalności, zdrowego rozsądku, chcemy, żeby Polską rządzili Polacy!".

W tym łabędzim śpiewie (pisowskiego jeszcze) posła Kowalskiego znajdujemy wszystkie cechy charakterystyczne jego stylu oratorskiego. Mamy więc sugestię, że Donald Tusk rządzi Polską pod dyktat Niemiec oraz że ani on, ani jego rząd to nie są Polacy. Mamy powodowane zapewne wzmożeniem patriotycznym trudności z wymową niemieckiego członu nazwiska pani ministry, o której uparcie mówi on Henning, a nie Hennig. Mamy morderczą precyzję, z jaką poseł Kowalski liczy dni rządów koalicji, przypominającą więźnia, który zaznacza każdy dzień kreską na ścianie swojej celi. Mamy niebywały rozmach metaforyczny (kuweta, stół, rozpasanie). I wreszcie mamy normalność oraz zdrowy rozsądek, którego krynicą mieni się poseł Kowalski.

●

Skupmy się na kuwecie. Pojawiła się ona w naszym dyskursie politycznym w 2020 roku, kiedy to poseł Joachim Brudziński najpierw nazwał Donalda Tuska „wredkiem" (być może parafrazując Zgredka z Harry'ego Pottera), który „funkcjonuje w przestrzeni publicznej starając się szarpać Jarosława Kaczyńskiego za nogawkę", a potem dodał: „Panie Tusk, jedyne, co pan może zrobić, to poprosić Jarosława Kaczyńskiego, by pozwolił panu wymienić kuwetę dla kota". W czasie kampanii wyborczej w 2023 roku motywem kuwety posługiwał się m.in. Szymon Hołownia, ale nie w kontekście kotki Kaczyńskiego, tylko „tłustych kotów" (czyli ludzi obsadzonych przez PiS w spółkach skarbu państwa), którym wieszczył prędkie „pakowanie kuwet". „Spółki skarbu państwa to nie polityczne łupy, a państwo, to nie kuweta na polityczne interesy" – mówiła w w 2025 roku Aleksandra Leo, wówczas posłanka Polski 2050.

Wszystkie te użycia metafory kuwety cechuje jedno: brak świadomości, jak się używa kuwet. Po pierwsze, nie wymienia się ich, tylko żwirek w nich wysypany; po drugie, w czasie przeprowadzki to nie koty pakują kuwety, ale ich właściciele i po trzecie, kuwety nie służą do gromadzenia łupów, lecz pozbywania się czego innego. Być może Brudziński, Hołownia i Leo są po prostu właścicielami psów.

Tak czy owak, możemy odnieść wrażenie, że metafora kuwety zastąpiła metaforę koryta. Zużytą, kojarzącą się z jedzeniem, a nawet żarciem, podobnie jak kuweta dehumanizującą osoby, wobec których jest używana, ale zmuszająca nas do traktowania ich jako trzody chlewnej, a nie domowego pupila. Jeśli zmiana metafory ma na celu zmianę postrzegania przez nas polityków, zaproponowalibyśmy po prostu wymianę koryta na miseczkę na karmę, dzięki czemu unikniemy skojarzeń toaletowych, charakterystycznych dla dzieci na wczesnym etapie rozwoju (zob. S. Freud, „Trzy rozprawy z teorii seksualnej", wyd. 1905).

●

Janusz Kowalski jest niezrównanym użytkownikiem metaforycznej kuwety. Przypomnijmy, że kuwetę tę widzi ogromną, bo mieści się w niej dorosła kobieta, w dodatku rozpasana, czyli – etymologicznie rzecz biorąc – taka, która zdjęła pasek. Ta wizja jakoś by się jeszcze broniła w kontekście, powiedzmy, łazienkowym, ale już pomysł pojawienia się tam także stołu powoduje, że mamy poczucie oglądania jakiegoś surrealistycznego filmu lub absurdalnego snu. Paulina Hennig-Kloska trzyma się rzeczonego stołu i obiecuje różne rzeczy, żeby nie zostać odwołana. Jeśli stół stoi obok kuwety – należy to potępić: felinolodzy i koci behawioryści odradzają takie ułożenie. Jeśli stoi w kuwecie – oznacza to, że musi być ona jeszcze większa niż do tej pory myśleliśmy.

Tajemniczo brzmią natomiast w wypowiedzi posła Kowalskiego wtręty „przepraszam bardzo". Zwykle stosujemy je wówczas, gdy zamierzamy posłużyć się jakimś drastycznym lub niepasującym do powagi sytuacji czy miejsca określeniem. Wydawać by się mogło, że do takich określeń należy „kuweta", ale – nic podobnego: poseł Kowalski z góry przeprasza za powiedzenie słowa „stół" oraz słowa „rzeczy". Akurat te słowa nie wydają się nam szczególnie nieparlamentarne. Nawet jeśli założymy, że „stół" znalazł się tam przypadkowo, bo niesiony emocjami poseł Kowalski pomylił go ze „stołkiem", którego trzymają się ci, którzy nie chcą stracić jakiejś pozycji, to „stołek" też nie jest nieparlamentarny. Być może była to jednak czynność pomyłkowa i pan poseł zamierzał powiedzieć podobne słowo, które określa zawartość użytej przez kota kuwety, ale to już pozostanie jego tajemnicą.

Życzymy panu posłowi szczęścia na nowej drodze politycznego życia i liczymy na to, że pozostanie mistrzem szalonych metafor. Może nie dla dobra Polski, której nam tym bardziej szkoda, ale na pewno dla dobra polszczyzny. Tej rozpasanej. ●

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

KRAJ

Za mundurem **koty** sznurem

Tarcza Wschód w Puszczy Białowieskiej **zatrzymuje nie ten gatunek, co trzeba.**

Anna Wyrwik
Zdjęcie **Jakub Włodek / Agencja Wyborcza.pl**

Podlasie to cisza. Gdy wychodzisz wieczorem przed dom, opierasz ręce o płot i palisz papierosa, nie słyszysz nic, tylko tę głuchą ciszę. Bez autobusów i tramwajów, karetek na sygnale, śmieciarzy przerzucający butelki z kontenerów, bez śpiewów kibiców i imprezowiczów, bez szumów, turkotu kółek, klaksonów. Palisz, a nad tobą jest niebo z gwiazdami albo i nie, tak czy siak bezkresne.

I tylko czasem słyszysz przejeżdżający gdzieś w oddali patrol wojskowy.

•

Straż Graniczna przywiozła nas pod sam mur.

– Puszcza Białowieska jest perełką przyrodniczą – mówi podpułkownik Katarzyna Zdanowicz, rzeczniczka prasowa Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej.

Strażnicy opowiadają o respekcie do lasu i zwierzętach, które czasem podchodzą pod mur, głównie lisy, kuny i koty, żubry rzadko.

Gdy pytam, czy puszcza bardziej im w pracy pomaga czy przeszkadza, podpułkownik Mirosław Jakimiuk, komendant placówki SG w Białowieży, podkreśla, że działanie w dziewiczym lesie jest trudne.

– Migranci wiedzą, że najlepiej schować się w puszczy, bo jest to trudno dostępny teren – mówi Zdanowicz.

– Wystarczy położyć się za pniakiem i jest się nie do zauważenia – dodaje Jakimiuk. – Bez psa często nie jesteśmy w stanie ich znaleźć.

Idę drogą wzdłuż granicy. Po jednej stronie jest concertina i dalej puszcza. Po drugiej stronie jest mur, za nim pas ziemi, sistema i dalej puszcza. Idę tą drogą niczym w tunelu, jak w tych wielkich akwariach, gdzie ludzie chodzą pod szybami, za którymi pływają ryby, albo jak na safari w jeepie, z którego przewodnik pokazuje biegnącą za szybą, wzdłuż drogi gazelę. Wygląda to trochę tak, jakby ktoś wziął mapę i na kawałku zielonego terenu przykleił białą, szeroką taśmę.

•

Sistema, czyli sowiecki system zabezpieczeń inżynieryjnych i elektronicznych, którego podstawą jest zapora techniczna, czyli kilka ogrodzeń z drutu kolczastego i pas ziemi zaoranej, została zbudowana w latach 1980-81 wzdłuż granicy Polski z ZSRR. W miejscu, w którym się znajduję, widzę po prostu siatkę z drutu kolczastego wysoką na 2,5 m.

Mur, tudzież zaporę, jak to nazywa Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji – w przestrzeni publicznej naprzemiennie stosuje się określenia: zapora, mur, bariera – po polskiej stronie budowano w pierwszej połowie 2022 roku. Zaporomurobariera jest wykonana ze stali, ma długość 187 km (w tym 53 km w Puszczy Białowieskiej), jest wysoka na blisko 5 m, umieszczona na betonowej podmurówce, a na szczycie ma zamontowaną concertinę, czyli drut żyletkowy.

Równolegle do niej biegnie concertina. W miejscach podmokłych, gdzie budowa zapory nie była możliwa, granicę zabezpiecza tylko ona. W kolejnych etapach budowy całej infrastruktury od strony kraju concertina została zabezpieczona siatką. Wzdłuż zapory na słupach zamontowano kamery, doinstalowuje się je na bieżąco, podobnie jak wiele innych zabezpieczeń.

I to wszystko tnie przez puszczę.

„Puszcza Białowieska charakteryzuje się niezwykłym bogactwem fauny ssaków. Stwierdzono tu występowanie 60 gatunków tych zwierząt, co stanowi około 75 proc. wszystkich gatunków ssaków występujących w Polsce, w skali europejskiej jest to zespół o unikalnym składzie" – czytamy w raporcie wydanym przez Instytut Ochrony Środowiska – Państwowy Instytut Badawczy „Ekspertyza. Oddziaływanie zapory na granicy polsko-białoruskiej na Obiekt Światowego Dziedzictwa »Białowieża Forest«".

Wśród autorów są m.in. naukowcy z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży: prof. dr hab. Rafał Kowalczyk, dr hab. Michał Żmihorski, prof. IBS PAN i dr hab. Katarzyna Nowak, która w latach 2023-25 prowadziła projekt badawczy „Wpływ militaryzacji granicy na Puszczę Białowieską". Wszyscy wymieniają błędy popełnione przy budowie muru, a największym – jak mówi prof. Kowalczyk, który od ponad 30 lat prowadzi badania w Białowieży – jest sama jego budowa, ponieważ izolacja i fragmentacja środowiska to jedno z głównych zagrożeń dla dzikiej przyrody.

Wymieniają też błędy wciąż popełniane. Zgodnie jednak mówią, że obecnie z powodu ograniczeń dostępu do informacji i samej zapory wiedzy mają niewiele, a efekty budowy muru poznamy dopiero za kilkanaście albo i kilkadziesiąt lat. Ale są pewni jednego – wszystko to można było zrobić lepiej, często taniej, z mniejszą szkodą dla przyrody, a większą korzyścią dla obronności.

Co dotąd wiemy? Idziemy o to spytać do siedziby IBS mieszczącej się obok bramy do Parku Pałacowego Białowieskiego Parku Narodowego.

•

Opowieść o tym, jaką mur czyni krzywdę zwierzętom, zacznijmy od tego, że straciły kawał przestrzeni, w której żyły. Teren położony między białoruską sistemą a polskim murem – czasem oddalonymi od siebie o 10 m, ale czasem nawet o 2 km – to obszar o łącznej powierzchni 37 km kw. Ludzie przy samym pasie granicznym nigdy specjalnie nie ingerowali w przyrodę, więc od dawna było to dla zwierząt atrakcyjne miejsce.

Dlatego też po wybudowaniu muru niektóre z nich zostały w nim uwięzione – dosłownie między murem a sistemą. Cześć żubrów udało się przeprowadzić na polską stronę, lecz nie wszystkie. Naukowcy pokazują mi zdjęcie żubra za prętami zapory z sierpnia 2025. Prawdopodobnie wciąż tam jest, między murem a sistemą.

Uwięzione żubry miały pecha, bo większość z nich niemal od początku budowy prowizorycznych zasieków, a następnie muru zaczęła się trzymać na dystans.

– Niektóre gatunki zwierząt zmniejszyły aktywność w pobliżu granicy. Im dalej od granicy, tym ich obecność jest większa – mówi prof. Kowalczyk, którego gabinet zapełniają książki o zwierzętach, zdjęcia i grafiki żubrów.

Zachowanie zwierząt jest spowodowane nie tylko samą zaporą, ale też obecnością służb, a więc ludzi, któ-

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

rzy wydzielają obce zapachy, płoszą zwierzęta hałasem i światłem.

Ale sam spadek aktywności to pół biedy. Żubry, jelenie i wilki – bo o nie głównie chodzi – kręciły się tu, kręcą się gdzie indziej. Problem w tym, że – jak czytamy w ekspertyzie – mur i concertina powodują „izolację populacji i blokowanie wędrówek dużych zwierząt", co z kolei powoduje „ograniczanie liczebności, przepływu genów i zmienności genetycznej populacji rzadkich gatunków, co zagraża trwałości ich istnienia".

Kłopoty z chowem wsobnym będą miały przede wszystkim wilki i rysie, które – w przeciwieństwie do żubrów – umiały przekraczać sistemę i przed budową muru swobodnie przemieszczały się między Polską i Białorusią. W przypadku rysi, których i tak jest bardzo mało – po polskiej stronie zaledwie kilkanaście – odcięcie od białoruskich pobratymców stawia w ogóle pod znakiem zapytania ich przetrwanie.

●

Zatrzymajmy się na chwilę na samej concertinie.

– To brutalny element zapory, który wielokrotnie okazał się śmiertelnym zagrożeniem dla zwierząt – mówi dr Nowak, gdy jedziemy jeepem na łąkę oglądać żubry, a potem pod mur na granicy.

Jak brutalny, w styczniu 2024 roku opisywał białostocki reporter „Wyborczej" Maciej Chołodowski w artykule „Concertina zabija. Wstrząsający obraz cierpienia zwierząt na wschodnich granicach Polski". Pisał o sarnach, łosiach, jeleniach, wilkach czy żurawiu, które zaplątały się w drut żyletkowy. Niektóre uratowali aktywiści, strażnicy graniczni czy miejscowe służby gminne. Niektóre zwierzęta były już martwe, gdy je znaleziono.

Według „Raportu Concertina zabija 2023-24" przygotowanego przez Fundację „Niech Żyją!" we współpracy z Siecią Obywatelską „Watchdog Polska", Fundacją „Lex Nova", Stowarzyszeniem „Dzika Inicjatywa", Fundacją „Albatros" i Stowarzyszeniem „Nasz Bóbr", concertina „stanowi śmiertelnie niebezpieczną przeszkodę dla zwierząt, które nie znają granic między państwami". Gdy zwierzęta na nią wpadną, „nie mogą samodzielnie wydostać się ze śmiertelnej pułapki". Spanikowane szarpią się i wtedy „drut coraz głębiej wbija się w ciało, a żyletki tną wnętrzności. Śmierć jest długa i bolesna, a na pomoc zwierzęciu najczęściej nie ma żadnych szans".

Jak pisał Chołodowski, ze względu na rozbieżności między instytucjami co do danych trudno określić, ile zwierząt zginęło lub zostało rannych w concertinie. Raport to potwierdza, wojsko i pogranicznicy często nie informują takich zdarzeniach, a do zwierząt „przeważnie nie jest wzywany weterynarz, który mógłby skrócić cierpienia". „Sytuacja, w której pracownicy gminy i lekarz weterynarii uczestniczyli w pomocy zwierzętom zaplątanym w drut ostrzowy na granicy, to ewenement. Żadna z pozostałych gmin nie podała informacji o podobnym zdarzeniu" – czytamy w raporcie.

Prof. Kowalczyk potwierdza, że IBS PAN też nie ma takich danych. – W Puszczy Białowieskiej byliśmy wzywani do dwóch zwierząt, w Puszczy Knyszyńskiej było to 7-8 łosi, na Bugu kilka zwierząt... Takich przypadków było co najmniej kilkanaście, ale nie mamy szczegółowych danych, ponieważ nie mamy możliwości monitorowania granicy.

Mur i concertina wymuszają na zwierzętach zmianę „kierunków i zasięgów przemieszczania się". Nie mogą przekroczyć bariery, a czasem też dróg pobudowanych w puszczy na potrzeby wywrotek, ciężkiego sprzętu budowlanego i wojskowych ciężarówek, więc przemieszczają się wzdłuż nich. Takie regularne nadkładanie drogi oznacza większe wydatki energetyczne na pozyskiwanie pokarmu. Po ludzku – zwierzę musi się bardziej namęczyć, żeby się najeść, a posiłek starcza na krócej. Co z czasem wpływa na ogólną kondycję, a więc wcześniej czy później odbije się na potencjale rozrodczym.

Przejdźmy do zapory. W podmurówce na wysokości gruntu w odstępie kilku metrów znajdują się niewielkie – 10 cm średnicy – otwory, co ułatwia przekraczanie go drobnym ssakom, płazom i gadom. Średniej wielkości zwierzęta, jak kuny czy lisy, przeciskają się między szczebelkami zapory. Dla dużych zwierząt miały być bramy – i są. Dziewięć z 24 bram miało służyć zwierzętom.

„Nie mamy danych odnośnie do lokalizacji tych przejść, a według naszej wiedzy wszystkie są obecnie zamknięte, nie zapewniają zatem ekologicznej łączności populacjom dużych zwierząt" – czytamy w ekspertyzie.

– Słyszałem, że służby nie otwierały tych bram, bo żadne zwierzęta tam nie czekały – mówi prof. Kowalczyk.

Nie dowierzam. – Znaczy: oni myśleli, że żubr ustawia się w kolejce do przejścia? Albo przyjdzie o określonej godzinie, żeby zastać patrol?

◀ Łoś na nieczynnej lini kolejki w Białowieży. Niedaleko jest zapora na granicy polsko-białoruskiej, która podzieliła przyrodę w Puszczy Białowieskiej i dla dużych ssaków np. łosi i żubrów jest śmiertelnym zagrożeniem

– To pokazuje, jak oderwane od rzeczywistości jest pojmowanie przez nich przyrody – wzrusza ramionami profesor.

●

Ale żeby nie było – są zwierzęta, które zapora przyciąga, bo ich aktywność w okolicach muru, dróg i posterunków wzrosła. To lisy, jenoty, kuny i koty domowe.

Dr Nowak tłumaczy, że lisy i jenoty to drapieżniki o szerokich niszach pokarmowych, co oznacza, że chętnie jedzą to, co ludzie im dadzą albo co wyrzucą. Śmieci i odpady po patrolach i przy posterunkach to dla nich gotowy szwedzki stół. A bywa, że żołnierze dokarmiają zwierzaki.

Mundurowi z jednego z posterunków powiedzieli mi, że lisów się boją, co innego koty, które regularnie karmią. Widziałam, jak chodzą po ich obiekcie, czyli małym drewnianym domku z blaszanym kominem i piecem kozą przypominającym leśną bimbrownię.

Ale co złego w tym, że lis, kot czy jenot pożywi się przy człowieku? Ano to, że koty polują. A wcześniej nie występowały w takiej liczbie w sercu puszczy. Jeśli się do niej zapuszczały, to na obrzeżach, podczas wypraw z wiejskich domostw. Z kolei lisy czy jenoty przebywające w pobliżu ludzi – czy to w mieście, czy w puszczy – zwiększają zagrożenie epidemiologiczne. – Są częstymi nosicielami chorób zakaźnych i inwazyjnych, które mogą być niebezpieczne dla ludzi – tłumaczy dr Nowak. Chodzi m.in. o wściekliznę, świerzb czy bąblowicę.

A skoro przy żołnierzach jesteśmy – dokarmianie i śmiecenie to tylko część problemu z nimi. – Wojskowi nie mają świadomości, gdzie są i jak unikatowy jest to obszar – mówi prof. Kowalczyk – Palą ogniska w puszczy, wycinają drzewa, kaleczą je, przybijając tabliczki. No i to jeżdżenie z nadmierną prędkością...

Dowodem na skalę problemu są nowe znaki z ograniczeniem prędkości w wielu przygranicznych wioskach. Od miejscowych słyszy się o wielu wypadkach – na drogach, w lasach, na łąkach. – Wojsko zabiło już pięć żubrów – wylicza prof. Kowalczyk. – Jednego we wsi z ograniczeniem prędkości do 30 km/h. Zabudowa tam jest luźna. Jak szybko trzeba jechać, by nie zauważyć tak dużego zwierzęcia w pobliżu drogi?

Profesor, który od lat bada też borsuki, mówi, że kiedyś na trasie Hajnówka – Białowieża ginęły jeden-dwa rocznie. Kilka dni temu znalazł aż trzy zabite jednej nocy, a rocznie ginie ich od sześciu do ośmiu.

Jak się dowiaduję, Komenda Powiatowa Policji w Hajnówce nie gromadzi osobnych danych dotyczących „zdarzeń drogowych z udziałem pojazdów wojskowych".

Natomiast ppłk Dariusz Rozkosz, rzecznik prasowy komendanta głównego Żandarmerii Wojskowej, informuje mnie, że „na podstawie ewidencji prowadzonej przez ŻW w okresie od 1 sierpnia 2021 r. do dnia dzisiejszego na terenie powiatu hajnowskiego odnotowano następujące zdarzenia w ruchu drogowym z udziałem żołnierzy: wypadki drogowe – 3, kolizje drogowe – 74. Na terenie całego województwa podlaskiego były to 22 wypadki (15 z udziałem wojskowych pojazdów mechanicznych) i 204 kolizje (192 z udziałem wojskowych pojazdów mechanicznych)".

Od drugiej połowy 2024 r. pracownicy Białowieskiego Parku Narodowego prowadzą szkolenia dla żołnierzy, głównie tych z innych rejonów Polski. – Tematyka obejmuje formy ochrony przyrody w Puszczy Białowieskiej, uświadomienie o randze puszczy oraz zapoznanie z obowiązującymi przepisami prawa ochrony przyrody, polskimi i międzynarodowymi – mówi Anna Gierasimiuk, starsza specjalistka ds. udostępniania Parku. – Na szkoleniach pracownicy zwracają żołnierzom uwagę na konieczność poszanowania wartości przyrodniczych parku i całej puszczy oraz konieczność minimalizacji negatywnego wpływu na środowisko.

Pytam, co się kryje za tymi formułkami – odfajkowany ogólnikowy wykład czy przełożenie abstrakcyjnych dla młodego chłopaka „wartości przyrodniczych" i „minimalizacji negatywnego wpływu" na konkret: rozpalone ognisko wpływa tak na to zwierzę, a tak na tamto, a pachnący śmieć robi im to i to.

Dowiaduję się, że żołnierze dostają od naukowców wskazówki, jak poruszać się pojazdami po lesie, jak zachowywać się podczas spotkania z dużymi ssakami jak żubr, dlaczego nie można uszkadzać drzew i krzewów, pozyskiwać drewna, wyrzucać owoców i warzyw w puszczy oraz co robić, gdy napotkają ranne zwierzę. A także dlaczego nie powinni palić ognisk. Po ostatnim – 25 kwietnia – pożarze, który pochłonął 6 ha lasu, pod postem Adama Wajraka na Facebooku kolejne osoby wklejały zdjęcia popielisk po żołnierzach.

Ogień to kolejny poważny problem, jaki zawitał do puszczy wraz z wojną hybrydową. Co innego garstka szwendających się po lesie lokalsów, którzy raz na jakiś czas rozpalą ognisko, co innego regularnie przemierzające puszczę dziesiątki i setki mundurowych.

Pytanie brzmi, czy akurat ten element szkolenia żołnierze wezmą sobie do serca. Gdy zimą na jednym z posterunków spytałam chłopaków o buchające żarem kozy, usłyszałam: – A pani wytrzymałaby tyle godzin przy –20?

9 z 24 bram w zaporze na granicy miało służyć zwierzętom. Prof. Kowalczyk: Słyszałem, że służby nie otwierały tych bram, ponieważ żadne zwierzęta tam nie czekały

BPN uzgodnił z dowództwem, że szkolenia mają przechodzić wszyscy żołnierze, którzy pełnią służbę na tym obszarze. Przyrodnicy liczą, że ubędzie historii o joggingu w rezerwacie ścisłym i podchodzeniu do żubrów, by zrobić sobie z nimi selfie.

O szkolenia i o to, czy i jak w ogóle żołnierze są przygotowywani do służby w puszczy, spytałam też Ministerstwo Obrony Narodowej, ale nie dostałam odpowiedzi.

●

Jednak żadne szkolenia, świadomość ani dobra wola wojskowych nie rozwiążą kolejnego problemu. Żołnierze nic nie poradzą na to, że na butach i oponach ciężarówek transportują inwazyjne gatunki roślin, które do puszczy zostały zawleczone wraz z materiałami budowlanymi potrzebnymi do tworzenia infrastruktury granicznej.

Według autorów ekspertyzy do tej pory inwentaryzacja wykazała obecność ponad 10 potencjalnie inwazyjnych gatunków roślin. Wśród nich: uczep amerykański, nawłoć kanadyjska, niecierpek drobnokwiatowy, przymiotno kanadyjskie oraz gatunki z rodzaju wrzosowca. Stwarzają zagrożenie dla rodzimych gatunków, które mogą wyprzeć, zajmując przestrzeń i tworząc zwarte, dominujące płaty. Mogą się też z nimi krzyżować i zmieniać ich genetykę.

– Większość była już wcześniej notowana w Puszczy Białowieskiej na obrzeżach lub wzdłuż dróg. Nowością natomiast jest liczba gatunków obcych oraz ich obfitość wzdłuż granicy – tłumaczy dr Nowak. – Wśród roślin, które mogą bezpośrednio pochodzić od żołnierzy, znajduje się pomidor zwyczajny. Może pochodzić z żywności, odchodów, niewykluczone też, że rosnące przy niektórych posterunkach rośliny pomidora mogły zostać tam posadzone celowo.

Inwazyjne gatunki mogą docierać do puszczy w materiałach budowlanych. – Eksperci UNESCO spytali nas, czy kruszywo, które leży w wielu miejscach, przygotowane do utwardzania drogi, jest certyfikowane. Uśmiechnęliśmy się z politowaniem – mówi dr Żmihorski.

Spytałam o to Lasy Państwowe. – Zgodnie z prawem w Polsce nie ma obowiązkowych testów na obecność konkretnych nasion roślin inwazyjnych w kruszywach drogowych – odpowiada Ewelina Szklarzewska, rzeczniczka prasowa Regionalnej Dyrekcji LP w Białymstoku. – Gatunki obce zauważane są przez służbę terenową. Z obserwacji wynika, że ustępują one w krótkim czasie. Na ogół w puszczy są niekorzystne dla nich warunki, duże ocienienie.

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Co innego uważają naukowcy i eksperci. Z przeprowadzonej przez nich inwentaryzacji wynika, że rośliny inwazyjne znajdują się obecnie głównie w pobliżu concertiny i zapory. „Częstsze występowanie tych roślin w pasie dodatkowych barier może mieć związek z wyłączeniem tej strefy spod presji dużych ssaków roślinożernych. Oznacza to jednocześnie, że stosowanie tych dodatkowych zabezpieczeń sprzyja rozwojowi i ekspansji gatunków inwazyjnych. Natomiast obecność tych gatunków w strefie leśnej wskazuje, że proces ich ekspansji zaczął się już rozszerzać poza obszar pasa granicznego na teren ekosystemu leśnego" – czytamy w ekspertyzie.

W 1979 r. Puszcza Białowieska – a konkretnie około 5 tys. ha terenu BPN-u – została wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. W 1992 r. wpis rozszerzono o białoruską część puszczy, tworząc jeden obiekt transgraniczny. W 2014 r. światowe dziedzictwo rozszerzono na całą polską część Puszczy.

Pracownicy IBS podkreślają, że państwo zbudowało mur, ignorując własne prawo, bo regulacje dotyczące ochrony przyrody nakładają na inwestora obowiązek wykonania oceny oddziaływania na środowisko – a mówimy o zaporze, która dotyczy nie tylko Obiektu Światowego Dziedzictwa UNESCO, ale też kilku obszarów Natura 2000.

Naukowcy informowali o zagrożeniach i proponowali rozwiązania. Spotykali się z pełnomocnikiem ds. budowy zapory z MSWiA i wysłali mu swoje wytyczne. Spotkali się z firmą Budimex, czyli głównym wykonawcą. Opublikowali stanowisko Rady Naukowej Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży w sprawie kryzysu na granicy z Białorusią oraz budowy płotu granicznego. 31 stycznia 2022 roku został opublikowany list środowiska naukowego do Komisji Europejskiej w sprawie budowy muru na granicy polsko-białoruskiej. Nie słuchano ich ani wtedy, ani później.

Sytuacja ma też związek z faktem, że współpraca transgraniczna między Polską i Białorusią nie istnieje. Taką współpracę na rzecz przyrody praktykuje się w świecie, często nawet mimo konfliktów politycznych. W nieopublikowanym jeszcze artykule „Supporting wildlife movement amid the rise of border infrastructure" („Wspieranie przemieszczania się dzikiej fauny w obliczu rozwoju infrastruktury granicznej"), którego główną autorką jest dr Nowak, czytamy o tzw. parkach pokoju, korytarzach pokoju czy przejściach granicznych dla dzikich zwierząt np. na granicy amerykańsko-meksykańskiej. Tam w murze są otwory dla mniejszych zwierząt, jak rysie, kojoty czy lisy, a sezonowo otwierane są bramy dla większych, jak niedźwiedzie czy pekari.

Na granicy polsko-białoruskiej współpraca transgraniczna na poziomie naukowym działała, ale po ataku Rosji na Ukrainę została zawieszona. „W 2025 roku stan Puszczy Białowieskiej został oceniony jako »krytyczny«, głównie ze względu na infrastrukturę graniczną i zaprzestanie współpracy transgranicznej między Polską a Białorusią" – piszą autorzy artykułu na podstawie raportów Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody (IUCN) i UNESCO.

– UNESCO i IUCN zapowiedziały, że mogą mediować w sprawie zwierząt migracyjnych lub tych uwięzionych w pasie między murem a sistemą – mówi dr Nowak. – Takie rozmowy jeszcze się jednak nie rozpoczęły.

– Tu potrzebna jest przede wszystkim wola polityczna – kwitują naukowcy.

Już w lipcu 2022 roku, kilka miesięcy po wybuchu kryzysu migracyjnego – czy raczej rozpoczęciu wojny hybrydowej przez Białorusinów i Rosjan – naukowcy przeprowadzili badania opinii publicznej na temat interakcji ludzi z przyrodą od czasu wprowadzenia stanu wyjątkowego. Odnotowali wyraźną zmianę: ludzie rzadziej chodzili do puszczy, niektórzy wybierali inne miejsca niż dotąd, niektórzy zrezygnowali z chodzenia do lasu. – Zapytaliśmy, jakie czynniki zniechęcają ich do wizyt w lesie – mówi dr Nowak. – Wymieniali m. in. duży ruch i wielkie pojazdy na leśnych drogach. Obecność uchodźców wymieniano rzadko.

Badanie przeprowadzono na próbie 100 osób z Białowieży i okolicznych wsi, więc skala, czyli reprezentatywność badanych, może się wydawać niewielka, ale to pozory, zważywszy, jak mała to populacja i jak zwarty obszar zamieszkuje. W gminie Białowieża żyje ok. 2 tys. osób. Gmina zajmuje 203 km kw., z czego prawie 88 proc. to Puszcza Białowieska. A wyniki dają do myślenia.

Większość respondentów – 82 proc. – czuła, że liczba konsultacji przy planowaniu zaostrzonych środków bezpieczeństwa na granicy była niewystarczająca. 71 proc. uznało koszty środowiskowe budowy muru za nadmiernie wysokie. Jednocześnie 90 proc. mówi, że kontakt z puszczą i w ogóle z przyrodą korzystnie wpływa na ich zdrowie i samopoczucie.

Którego nie poprawia im fakt, że – jak opowiadają i lokalsi, i naukowcy – wielu mieszkańców do dziś ma traumę związaną z całokształtem. Chodzi i o strach przed uchodźcami, i o uchodźców, przed mundurowymi i o mundurowych, przed możliwą inwazją czy aktami sabotażu, przed rozpędzonymi ciężarówkami i pijanymi żołnierzami, słowem: przed odpływem turystów, a od rządu nie przyszła żadna psychologiczna pomoc. Ani poprzedniego, pisowskiego, ani obecnego, demokratycznego i liberalnego. Jeśli ktoś z rządzących tu przyjeżdża, to na szybką konferencję prasową, zdjęcie na tle muru i spotkanie ze służbami granicznymi. Z mieszkańcami nikt nie rozmawia.

A co do puszczy, to prof. Kowalczyk – który bywa w niej codziennie jako naukowiec i fotograf – ma podobne odczucia. Kiedyś kojarzyła mu się z pięknem i unikatowością, dziś także z cierpieniem i śmiercią. – Trafiałem na obozy uchodźców, buty, ubrania, miałem świadomość, że mogę znaleźć kogoś martwego.

Skoro już tu jestem, to przeprowadzam własne badanie na próbie kilkuosobowej, za to pogłębione, w formie cenionej przez socjologów, czyli wywiadów. Co mówią mieszkańcy, którzy mieszkają w Białowieży oraz okolicy z dziada pradziada?

– Nie będę ukrywał, że ile razy bym jeździł z Hajnówki do Białowieży, lubię popatrzeć na ten las, bo to jest relaksujące, on o każdej porze roku wygląda inaczej – mówi młody, wysoki chłopak z blond brodą, który pracuje w Białowieży, mieszka w Hajnówce, studiuje w Białymstoku. Natomiast co do wojskowych, to nie ma wrażenia, żeby ich obecność – poza pierwszym strachem, no ale potem człowiek się przyzwyczaił – jakoś odcisnęła się na otoczeniu. – Jeśli chodzi o przyrodę, nie powiedziałbym, że dużo się zmieniło – mówi. – Nie będę ukrywał, że sporo śmieci było w lasach po uchodźcach. Ubrania, telefony, przeszkadzało mi to, ale już tego nie ma.

We wsi Budy blondynka w puchowej kurtce stoi przed domem. – Ja się urodziłam w puszczy i kocham puszczę. Stoi tu, jak stała jej mama i babcia, z którą razem po puszczy chodziła, gdy jej tata gajowy o puszczę dbał i gdy tylko kornik się pojawił, od razu wycinał. – Teraz jest bałagan. Wajrak mówi, żeby puszczę zapuszczać, bo od tego jest słowo „puszcza". To ja się pytam, czy jak on brodę zapuszcza, to też jej nie czesze? Nas nie stać, by tyle drewna leżało. Niemcy to każde drzewo wycinają.

Po kilku rozmowach już wiem, że pytanie o wpływ wojska i kryzysu migracyjnego na przyrodę tylko czasem prowadzi do wojska i przyrody. Niekiedy ktoś, kto mieszka przy samym murze, powie, że się mur nie podoba, że zieleni nie widać i że czuje się jak w więzieniu. Za to wszyscy mówią o – przez ogólnopolską opinię publiczną i media dawno zapomnianym – korniku.

1 RP

Skuteczna zapora przed migracją – ludzi i zwierząt

Granica polsko-rosyjska
Zapora z drutu ostrzowego (concertiny): Na niemal całym 200200-kilometrowym odcinku lądowym ustawione są trzy szeregi zasieków o wysokości 2,5 metra i szerokości 3 metrów

Granica polsko-białoruska
Stały mur ma wysokość 5,5 metra (5 metrów stalowych przęseł plus 0,5 metra zwojów z drutu kolczastego, tzw. concertiny)

Tarcza Wschód

Kierunki przemieszczania się zwierząt względem barier zainstalowanych wzdłuż zapory granicznej

DANE W PROC.

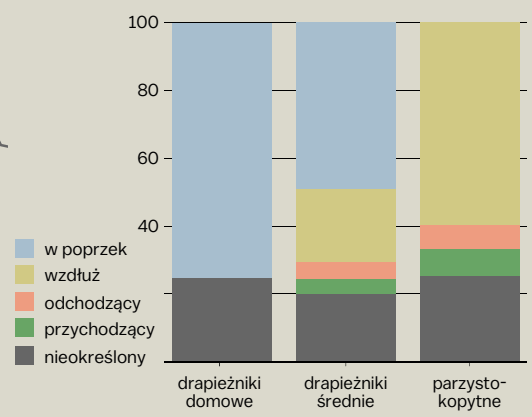

Oczekiwany wskaźnik zagęszczenia wybranych zwierząt w zależności od odległości od granicy państwa, przed i po budowie zapory

DANE W LICZBIE OSOBNIKÓW NA KM²

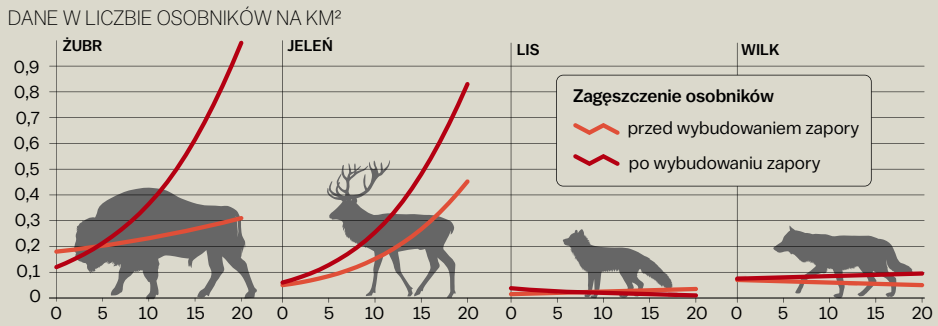

Obecność roślin o potencjale inwazyjnym w strefach pasa granicznego

W 48 SEKTORACH O DŁUGOŚCI 100 M (ŁĄCZNIE 4,8 KM)

	Skraj lasu	Droga/las	Droga/bariera	Między barierami
Klon jawor	8	1	0	5
Uczep amerykański	16	9	0	17
Przymiotno kanadyjskie	26	30	9	30
Chwastnica jednostronna	0	1	0	2
Chwastnica sp.	0	1	0	0
Przymiotno	6	3	4	10
Żółtlica owłosiona	0	2	0	0
Łubin trwały	1	0	0	0
Jabłoń domowa	0	0	0	1
Szczawik	0	0	0	1
Dziki bez koralowy	0	1	0	1
Żarnowiec miotlasty	5	0	0	2
Włośnica sina	8	11	3	13
Nawłoć kanadyjska	18	16	5	21
RAZEM	**88**	**75**	**21**	**103**

ŹRÓDŁO: EKSPERTYZA ODDZIAŁYWANIE ZAPORY GRANICZNEJ NA GRANICY POLSKO-BIAŁORUSKIEJ NA OBIEKT ŚWIATOWEGO DZIEDZICTWA „BIAŁOWIEŻA FOREST", INFORGAFIKA: PAWEŁ LUBOWICZ, WAWRZYNIEC ŚWIĘCICKI

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

– Kiedyś były cięcia i cięcia, a teraz jest zero. Wszystko powinno być z umiarem, a my popadamy z jednej skrajności w drugą. Mieszkamy w puszczy, a nie mamy drewna. Może chociaż dla mieszkańców powinno być – mówi leśniczy, który wsiada do auta przy głównej ulicy w Białowieży. Ma wesoły uśmiech pod białym wąsem i też mówi o śmieciach po uchodźcach. Wojskowi? Szum się zrobił po paru kolizjach z żubrem i słusznie, ale z drugiej strony każdemu się może zdarzyć, że wyskoczy, bo to zwinne zwierzę i trudno szybko zareagować. A mur? No mur to budowali na żywioł.

Mówi też, że gdy był mały, zwierząt mniej było i rzadko się tu pojawiały, a teraz bywa, że łosie zachodzą, żubry zachodzą, pod dom podchodzą. I to w centrum wsi.

I oczywiście mówi o korniku. Według mieszkańców wojsko kiedyś zniknie, każda wojna się kończy, a jak nie zniknie, to się nauczy. A z kornikiem puszcza sobie sama nie poradzi.

●

– Białowieża jest podzielona. Podzieliła się przy wycince – mówi jedna z mieszkanek.

W 2017 r. w puszczy rozpoczęła się intensywna wycinka. Ministerstwo środowiska na czele z Janem Szyszką, profesorem leśnictwa, niesławnym promotorem wycinek lasów, polowań i „czynienia ziemi sobie poddaną", argumentowało to troską o drzewostan, czyli właśnie kornikiem. Ekolodzy alarmowali, że wycinka ma charakter komercyjny, a zwalczanie kornika to mydlenie oczu.

– Po pierwsze, wycinką nie da się powstrzymać kornika. Po drugie, las od tysięcy lat radzi sobie z nim w sposób naturalny – kornik się namnaża, zabija część świerków, po czym zmniejsza liczebność, bo taka jest naturalna dynamika gradacji, że gdy zmniejsza się liczba świerków, uruchamiają się mechanizmy zwiększające śmiertelność korników. Pomagają w tym drapieżniki, które zabijają korniki – tłumaczy dr Żmihorski. – Po trzecie, wycinka ingeruje w dynamikę lasu i powstają duże, otwarte przestrzenie, siedlisko tracą ptaki, chrząszcze, grzyby, płoszone są gatunki wrażliwe, pojawiają sie gatunki inwazyjne, rośnie zagrożenie pożarowe i spowalnia się regeneracja lasu.

Głośne protesty ekologów i zaniepokojonej opinii publicznej doprowadziły do tego, że w lipcu 2017 r. UNESCO wezwało Polskę do natychmiastowego wstrzymania wycinki. Rząd ciął dalej, przerwał wyrąb dopiero, gdy jesienią 2017 r. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej zagroził Polsce karą finansową w wysokości co najmniej 100 tys. euro dziennie. Sęk w tym, że wstrzymanie niemal przemysłowej wycinki drzew w Puszczy przy okazji zakończyło wieloletnią tradycję korzystania z puszczańskiego drewna przez mieszkańców.

Prof. Kowalczyk przyznaje, że jako naukowiec czuje większą nieufność ze strony lokalnej społeczności. Większą – bo nieufność była zawsze, nie tylko wskutek podejrzeń, że „jajogłowi" przyrodnicy i „nawłocz", jak mówi się tu na nietutejszych osadników, chcą coś miejscowym odebrać, zakazać. Również z powodu zwykłej niechęci do przyjezdnych. Mimo że profesor mieszka tu od ponad 30 lat, wciąż nie jest traktowany jak prawdziwy Białowieżanin.

– Fajnie, że ludzie tu przyjeżdżają, ale nie rozumieją naszej kultury – mówi jedna z mieszkanek. – Chcą być bardziej białowiescy niż my.

I wracamy do kornika, bo mąż pani, wysoki mężczyzna w grubym swetrze, narzeka, że przywożą drewno 100 km stąd, a tu drzew tyle leży i gnije, bo nie chcą wycinki. – Kiedyś leśnicy pilnowali. Gdy znaleźli kornikowe drzewo, wpisywali do akt i cięli. A dziś są ci pozarządowi zieloni, co dostają pieniądze.

Mężczyzna dużo podróżuje i gdy jeździ po Polsce, to widzi, jak są drogi i ścieżki rowerowe robione, i nikt nie protestuje. Tylko tu protestują. We Francji też był i tam na zielonych terenach widział piękne kawiarenki, muzyka grała, tu Édith Piaf, a tam Garou. – Można pogodzić jedno z drugim – mówi, gdy pytam go, czy chciałby budować kawiarnie w puszczy.

A tak poza tym to i pan, i pani, i wszyscy indagowani podkreślają, że cała Białowieża ma do zwierzyny szacunek. Z czułością i dumą opowiadają, jak żubry pod dom podchodzą, a bociany i żurawie latają po niebie. Co do lasu, to cała Białowieża też totalnej wycinki nie chce, tylko żeby las był trochę parkiem, a trochę gospodarczy, nie że w całości park. – Warszawa chce przyjechać na weekend majowy i zamieszkać w chacie z piecem kaflowym, a tu nie ma skąd do pieca drewna wziąć – słyszę.

– Mamy tu coś wyjątkowego, czego nie ma nikt, czyli unikatowy las naturalny z cechami pierwotności. I chcemy to zamienić na coś, co mają wszyscy, czyli las gospodarczy. Nigdy tego nie zrozumiem – wzdycha prof. Kowalczyk. – Niemcy czy Holendrzy zazdroszczą nam tego lasu, bo swoje wycięli lub przekształcili w plantacje surowca drzewnego.

Mieszkańcy na to, że cudzoziemcy przyjeżdżają i patrzą z przerażeniem. – Niemcy najbardziej zwracają uwagę, bo to naród, jaki jest, taki jest, ale porządek lubi.

●

Socjologiczną wędrówkę po Białowieży kontynuujemy Tropinką, ulicą znaną ze starych chat. Z naprzeciwka idą dwaj mężczyźni, jeden w dresie, czapce, z brodą, drugi o czarnych włosach, czarnym spojrzeniu i z kaszlem po fajkach.

– Puszcza została zdegradowana i zniszczona przez pseudoekologów. Drewno jest sprowadzane spoza puszczy, a to wszystko się marnuje i tyle pieniędzy poszło w cholerę.

– Tu wszystko gnije.

– Puszcza się w ogóle nie odnawia.

– A ludzie nie mają czym w piecach palić.

– U nas jest tak, że najpierw niszczymy wszystko do zera, a później ochraniamy bez rozumu. Nie można wszystkiego chronić tylko po to, by chronić. A tu myśliwi swoje, ekolodzy swoje, leśnicy swoje. Warszawa to najlepiej, jakby w ogóle żadnych decyzji nie podejmowała. A kiedyś to, kurde, inaczej było, bo ludzie bydło trzymali, krowy chodziły po puszczy, pastuch tych krów pilnował i było grzybów w cholerę, wszystkiego w cholerę, a teraz nic nie ma i tam, gdzie były pastwiska, zarosło.

A wojsko?

– Nie jest żołnierzom tłumaczone nic, dostają rozkaz i tyle. Zresztą o co tyle krzyku? Ja sam palę ogniska w lesie. Jak idę do lasu za rogami i walę 20 km, to palę, trzeba się ogrzać i coś na ciepło wciągnąć. Od dziecka zbieram. Kiedyś się dało wyżyć, a teraz…

– Kiedyś do 40 sztuk w sezonie można było znaleźć.

– A wiesz, jak się ta piła nazywa? – Pokazuje mi na odchodne małą piłę elektryczną. – Leśna, bo w lesie nie słychać.

●

Prócz kornika po Białowieży niesie się wiele przyrodniczych mitów. A to, że jest za dużo żubrów, a to, że za mało jeleni, a to, że za dużo wilków. Albo że puszcza wcale nie jest naturalna, bo ktoś tam kiedyś z dziadkiem drzewo sadził. No i że zwierzęta łamią sobie nogi na leżących w lesie drzewach i z puszczy uciekają. – Bzdura – komentują naukowcy z lekkim zażenowaniem, że to trzeba tłumaczyć ludziom żyjącym od pokoleń w sąsiedztwie natury. Zwierzęta sobie z leżącymi gałęziami i pniami radzą, bo gdyby takie żubry sobie nie radziły, toby do lasu po zimie nie wracały.

Choć jest pewien gatunek drapieżnika, który mógłby sobie na zwalonych drzewach połamać nogi, dosłownie i w przenośni.

– Inicjatorem koncepcji Zielonej Tarczy Wschód, by spojrzeć na przyrodę jak na infrastrukturę krytyczną, która wspiera obronność kraju, jest w pewnym sensie Władimir Putin – żartuje dr Żmihorski.

Zielona Tarcza Wschód to koncepcja naukowców, wśród których jest właśnie Żmihorski. Jej celem jest „wsparcie obronności państwa przez dopełnienie przyrodą Tarczy Wschód, czyli Narodowego Programu Odstraszania i Obrony". Jak czytamy na rządowej stronie, to „zaplanowany na lata 2024-28 projekt wzmocnienia odporności Polski na ataki i wojnę hybrydową. Powstał on w reakcji na rosyjską agresję na Ukrainę i korzysta z doświadczeń tej wojny, ale jest projektem pokojowym: ma odstraszyć potencjalnych agresorów, chronić żołnierzy i ludność cywilną, wspólnie z sojusznikami pokazać gotowość do obrony naszych granic".

Zielona Tarcza Wschód obejmuje obecnie obszar granicy polsko-białoruskiej, ale – podkreślają naukowcy – to koncepcja uniwersalna.

– Z przyrodniczej perspektywy Tarcza wygląda koszmarnie. Bunkry, zapory, rowy przeciwczołgowe i pogłębione rowy melioracyjne – taka infrastruktura oznacza zniszczenie wszystkiego, co tutaj cenne i co Polska chroniła dziesiątki, a nawet setki lat, czyli naturalnych ekosystemów leśnych z Puszczą Białowieską na czele, torfowisk, stanowisk rzadkich gatunków roślin i zwierząt, ale też dziedzictwa historycznego i kulturowego regionu, architektury i krajobrazów. Wystarczy sięgnąć do historii wojskowości, by zobaczyć, jak można wykorzystać przyrodę do obrony – wylicza dr Żmihorski.

Białowieżanin na zielonych terenach we Francji widział kawiarenki, muzyka grała, tu Édith Piaf, a tam Garou. – Można pogodzić jedno z drugim – mówi, gdy pytam go, czy chciałby budować kawiarnie w puszczy

Jeździmy po Puszczy. Badacz pokazuje po kolei, co można zrobić, albo bardziej czego nie robić, by przez odbudowę i ochronę przyrody wzmocnić bezpieczeństwo kraju.

Po pierwsze – odtwarzanie mokradeł.

– Bagiennego lasu nie da się wysadzić w powietrze, nie da się go przesunąć, przeskoczyć ani obejść. Tymczasem mamy w Polsce setki tysięcy kilometrów rowów melioracyjnych. To jest szaleństwo – mówi, gdy stoimy nad takim rowem, a wokół sucha ziemia.

Lasy Państwowe twierdzą, że w tych okolicach od kilkudziesięciu lat „nie ingerują w rowy, więc naturalne procesy zarastania i zamulania znacznie ograniczyły ich pierwotny wpływ na środowisko". A jednak rowy w Puszczy są i gdy my tam jesteśmy, spotykamy dwójkę ludzi, którzy sprawdzają przepływ.

– Rowy melioracyjne odwadniają las, nie zarosły, bo są szerokie, głębokie, często z przyległym obwałowaniem, kto ma wątpliwości, zachęcam do wizyty w puszczy. Leśnicy też pogłębiają niektóre rowy – mówi dr Żmihorski.

Dopytuję o to Lasy Państwowe, a także o mężczyzn, którzy w puszczy sprawdzają przepływy. Nie dostaję już odpowiedzi.

Rozwiązanie, jak wiele rozwiązań Zielonej Tarczy, jest proste i bezkosztowe. Wystarczy w rów wrzucić kawałek drzewa i już woda zaczyna się piętrzyć. Tymczasem rowy ciągną się i ciągną wzdłuż dróg po całej puszczy. To stare rowy wzdłuż dróg obecnie wykorzystywanych przez wojsko, ale czy wciąż potrzebne?

Właśnie, drogi. Przeszkoda dla zwierząt jest ułatwieniem dla najeźdźcy. Te szerokie i proste jak strzelił, zbudowane dla służb i budowlańców, są niczym czołgostrady. Tymczasem przez bagna, powalone drzewa, plątaninę gałęzi czołg się nie przedrze. Znaczy: przedrze, ale z mozołem, metr po metrze. Dron? Nie przypadkiem Ukraińcy pierwsi, a w ich ślad Rosjanie zaczęli stosować siatki, niekiedy rozciągające się kilometrami nad okopami i frontowymi miejscowościami. Puszczański las to naturalna siatka level expert hard.

– Ta droga biegnie centralnie do granicy, więc jeżeli Łukaszenka z Putinem chcieliby do nas wjechać, nadaje się idealnie – zauważa Żmihorski, gdy stoimy na drodze utwardzonej i wyrównanej tak solidnie, że spokojnie dotarłabym nią do samej granicy nisko zawieszoną osobówką. Małe autka miejsce zmieściłyby się dwa obok siebie. Jeden czołg na pewno.

Przy okazji przyrodnik pokazuje mi byłe drogi, które już zarosły. I kapitalnie sprawdzają się jako naturalny system zapór również dzięki kornikowi. – Kornik robi kapitalną robotę, bo gdy dobija osłabione przez spadek poziomu wód gruntowych świerki, one tworzą zwałowiska, przez które trudno przejść, a co dopiero przejechać. Martwe drzewa w puszczy są ważne nie tylko dla bioróżnorodności, ale i dla naszego bezpieczeństwa.

Nawet wojskowi przyznają, że dróg w puszczy jest za dużo. Nie tylko dlatego, że ułatwiają wjazd do kraju, ale i też dlatego, że angażują wielu żołnierzy. Każda droga wymaga posterunków i patroli, które będą jej pilnować.

Pierwszym elementem Zielonej Tarczy Wschód jest więc odtwarzanie mokradeł.

Drugim – zmiany w zarządzaniu lasami. Wpisujące się w to, co od lat mówią naukowcy, a mianowicie, że ludzie w większości mają, często przyswojony jeszcze w szkole, obraz lasu gospodarczego. To las zielony i bez martwych drzew, elegancko poukładany w pion i poziom. Las naturalny jest inny. Jest dziki. Nic nie idzie tu po prostej, kluczy się między nieregularnie rosnącymi i zwalonymi drzewami, przedziera przez podszyt, czyli krzewy i niższą roślinność, nogi grzęzną w gęstym runie, niebo zasłaniają plątanina konarów.

Taki las to bariera nie do przejścia. Tyle że człowiekowi z wizją lasu gospodarczego dziki las naturalny w głowie się nie mieści, co słyszymy, rozmawiając z ludźmi w Białowieży.

Nieregularny, czyli zaniedbany, ze zwalonymi drzewami, czyli chory.

Trzeci element Tarczy Wschód to renaturyzacja rzek. Którą przyrodnicy i hydrolodzy i tak postulują od lat. Chodzi o to, by zamiast je prostować i osuszać, pozwolić im się rozlewać po dolinach, meandrować, by były w nich bagna i trzcinowiska. – Wtedy taka dolina jest świetną zaporą, no nie? Tego chyba nawet nie trzeba tłumaczyć – mówi Żmihorski.

Odbiór koncepcji Zielonej Tarczy w MON jest bardzo pozytywny. Powstała nawet specjalna grupa do jej wdrażania. Ale na konkretne pytania – o to, jakie jest oficjalne stanowisko w sprawie Zielonej Tarczy Wschód, czy istnieje plan wdrażania kolejnych działań z nią związanych i na jakim etapie są te prace – resort również mi nie odpowiedział.

A co na to mieszkańcy?

– Co?! – śmieje się pan w kufajce i czapce uszatce palący ognisko na łące w jednej z okolicznych wsi. – A jaką puszcza ma stanowić obronę jak teraz wszystko laserowo i atomowo? Trzeba myśleć!

Z naszych amatorskich badań poczynionych na ulicach Białowieży i w okolicznych wioskach wynika, że ludzie nie wierzą, że przyroda może zatrzymać obcą armię.

– Nie jestem pewien, czy to zda egzamin. – Kręci głową leśniczy.

– Czy ja wiem, czy przyroda jest w stanie zapobiec atakom? – zastanawia się chłopak, który studiuje w Białymstoku. – Nie powiedziałbym… Bagna są przydatne, ale architektura wygrywa, stalowy mur ma większą skuteczność.

Ludzie wierzą w stal, beton i infrastrukturę wojskową. Kto był w wojsku, ten mówi, że cywile nie powinni się mieszać do obrony granic, bo był w wojsku i wie. Czasem po głębszym zastanowieniu ktoś przyzna, że przyroda może pomóc, ale i tak wszyscy od razu wzdrygają się na myśl o tym, że to się wiąże z zapuszczeniem puszczy. Bo puszcza, jak nie poradzi sobie sama ze sobą, tak nie poradzi sobie z obroną.

Pytam doktora Żmihorskiego, jak chce przekonać ludzi do tego wszystkiego.

– Jeżeli ktoś ma wątpliwości, proponuję pojechać do Buczy i zapytać, czy to dobrze, że Rosjanie tam weszli. Do Buczy weszli, ale dalej się zatrzymali, bo dalej były bagna i rzeki, i na Kijów już nie poszli. ●

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

NIE MA DYPLOMU, SĄ KOSZTY

Są dowody go obciążające
– słyszę od osób, które znają akta Hołowni.

Dominika Wielowieyska

Prokuratorzy prowadzący śledztwo w sprawie Collegium Humanum przygotowują od lutego wniosek o uchylenie immunitetu Szymona Hołowni, a także Michała Koboski i jeszcze innych polityków.

Hołownia nerwowo zareagował, gdy tę informację zamieścił Onet. „Nie mogę już patrzeć, jak moi byli koledzy z Onetu i Newsweeka od miesięcy męczą się z próbami umoczenia mnie w Collegium Humanum, więc postanowiłem pomóc, rozpisując całą rzecz na dialog, żeby było łatwiej" – napisał na platformie X.

Renata Kim z „Newsweeka", która ujawniła proceder handlu dyplomami w Collegium Humanum, odpowiedziała: „Choćby Hołownia jeszcze sto razy oskarżył wszystkich, co rzekomo chcą go umoczyć w aferę Collegium Humanum, dowody nie znikną".

W wymiarze politycznym to chyba najpoważniejsza – po sprawie prezydenta Wrocławia Jacka Sutryka, oskarżonego o kupno dyplomu MBA – odsłona skandalu z prywatną uczelnią wydającą taśmowo politykom, samorządowcom, sportowcom i innym postaciom publicznym w ekspresowym tempie rozmaite dyplomy, także te ułatwiające kariery menedżerskie w spółkach skarbu państwa.

Na podstawie moich nieoficjalnych informacji, ale także tego, co napisał Hołownia na X, możemy odtworzyć hipotetyczny scenariusz, który prokuratura uważa za obciążający.

Hołownia był studentem CH. Złożył stosowne podanie, podpisał ślubowanie, przesłał indeks, aby jego oceny z zaliczeń na poprzedniej uczelni zostały wpisane do systemu Sokrates, który zawiera informacje o rozliczaniu sesji egzaminacyjnych. Tyle że Hołownia nie studiował, ale, wedle prokuratury, liczył na dyplom – akurat nie MBA – na podstawie zaliczeń sprzed lat ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, dzisiejszego cenionego Uniwersytetu SWSP. Miał to załatwić były rektor Paweł Cz., który wpisywał politykowi oceny. Z rektorem wszystkie te kwestie miał uzgodnić Kobosko – współtwórca Polski 2050 i współautor początkowego sukcesu młodej partii, do niedawna najbliższy współpracownik Hołowni, dziś europoseł. To on wynegocjował bezpłatne studia.

Jednak ostatecznie obaj politycy wycofali się z tego pomysłu. Czy skoro dyplom nie został wydany, to faktycznie Hołownia ma problem?

●

Rozmawiałam z osobami, które albo znają akta, albo mają wiedzę co do praktyk w Collegium Humanum i innych uczelniach.

Rzecz polega na tym, że nie można jeden do jednego przepisać wszystkich ocen i uznać to za zaliczenia. Najprawdopodobniej prokurator jest bliski stawiania zarzutów przygotowania do fałszowania dokumentów i zlecenia fałszowania dokumentów lub poświadczenia nieprawdy w dokumentach. – Stan wiedzy prokuratorów na temat Hołowni jest od dawna jest taki sam. I od dawna jest jasne, że są dowody go obciążające – słyszę.

Prokuratorzy wysłali Centralne Biuro Antykorupcyjne do urzędu w podwarszawskim Otwocku, gdzie Hołownia od lat mieszka, aby sprawdzić jego podpisy pod dokumentami. Biegli potwierdzili, że są prawdziwe. – Są i inne dowody, nie tylko chodzi o te podpisy, które biegli badali – podkreślają moi rozmówcy. Jakie? Może zapis rozmów w komunikatorach? Hołownia sugeruje, że był podsłuchiwany przez służby PiS.

Z wpisu na X samego eksmarszałka Sejmu wynika, że obciążają go wyjaśnienia składane przez byłego rektora Pawła Cz. Hołownia przedstawia sprawę w formie dialogu ze swoimi oskarżycielami:

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

„To rektor ma problem, że realizował umowę, której nie było, i kręcił kwity, bo chciał mieć haki na Hołownię, nie Hołownia. Hołownia z rektorem nie umówił się na lewy dyplom, nie spotkał go, nie zapłacił, na zajęciach nie był, ale rektor przepisywał mu oceny z SWPS, szykował dyplom i wszystkim się chwalił. A jeśli złodziej skopiuje twoją kartę w spożywczym i zrobi nią zakupy, to winny jesteś ty, bo podpisałeś umowę na kartę, a nie złodziej, bo on tylko sobie ukradł? Mówią: bo na pewno byłeś umówiony ze złodziejem. – A skąd to wiesz? – Nie wiem, ale tak musiało być. Bo inaczej nie będzie można przyczepić się do tego gnojka, który zaprzysiągł Nawrockiego. Przecież nie będziemy ruszać swoich, którzy zapłacili, dyplomy dostali i na nich zarobili".

Motyw politycznej zemsty – w domyśle, antypisowskich „ultrasów" przekonanych, że wybory prezydenckie zostały sfałszowane, ale też ludzi Koalicji Obywatelskiej oraz rozłamowców z Polski 205 – Hołownia rozwija w dalszej części, nazwanej „kalendarium". „Pierwszy wybuch w mediach »afery«: Hołownia w CH: Chwilę przed głosowaniem wotum zaufania dla rządu Donalda Tuska. Drugi: chwilę przed decyzją o tym, czy będzie kandydował na prezydenta. Trzeci (CBA wpada po podpisy do urzędu w Otwocku): chwilę przed złożeniem rezygnacji z Marszałka i realizacji umowy koalicyjnej. Czwarty: W dniu głosowania nad wotum dla ministry klimatu i utrzymaniem koalicji".

We wtorek wicemarszałek nieznacznie zmienił wersję w rozmowie z dziennikarzami. – To PiS-owska prokuratura i PiS-owski prokurator – mówię tu o jednym z najbliższych współpracowników pana Zbigniewa Ziobro – prokurator Tadla, który do niedawna nadzorował prokuraturę w Katowicach. Ta prokuratura tę sprawę kręci, to oni fabrykowali te rzeczy, mamy z jednej strony prokuraturę PiS-owską, która prokuruje tego typu historie i te rzeczy kręci z bandytą, który tysiące ludzi oszukał jako rektor, a z drugiej strony są ci, którzy te przecieki najchętniej podłapują: to zwolennicy Donalda Tuska i Platformy Obywatelskiej – przekonuje dziś wiceprzewodniczący PL2050.

I ustawia temat w ulubiony, sprawdzony sposób, który dał mu niegdyś popularność zwłaszcza wśród młodych wyborców, czyli dystansując się od „duopolu": „To pokazuje mechanizm tej polaryzacji, w której jesteśmy. W tym przypadku polaryzacja polega na tym, że PiS-owcy coś generują, ale platformersi, jak im to pasuje – mówię o platformerskich mediach – natychmiast to biorą i kręcą z tego bicz na nielubianego polityka".

●

Śledztwo w sprawie CH prowadzi śląski wydział prokuratury krajowej wspomagany przez rzeszowskie CBA, kieruje nim od samego początku, a więc od 2022 roku, prokurator Piotr Żak.

Ostatnio w śląskiej prokuraturze sporo się zadziało. Tomasza Tadlę jako naczelnika tego wydziału zastąpił Marek Wełna. Tadla rządził na Śląsku od ośmiu lat. A Katowice były postrzeganie jako jednostka, do której Ziobro wysyłał trudne, szczególne sprawy. Stąd właśnie oskarżenia Hołowni. Sęk w tym, że w śledztwie Collegium Humanum zarzuty ma kilkadziesiąt osób, w tym politycy PiS, a także popierany przez Koalicję Obywatelską prezydent Wrocławia Jacek Sutryk (jest już akt oskarżenia). Można więc rzec, że prokurator rozdaje zarzuty pluralistycznie i ponadpartyjnie.

Konstrukcja Hołowni brzmi tak: mamy do czynienia ze swoistym sojuszem „PiS-owskiej prokuratury" z „platformerskimi mediami", co stanowi przykład polaryzacji, a może też próby utrącenia polityka próbującego rozbić ćwierćwiekowy „duopol" i wpuścić świeżą krew i świeże tematy do polityki. Tyle że to karkołomna teza. Polaryzacja to zarysowanie ostrych podziałów, a nie współpraca.

Niechętni Tuskowi komentatorzy idą do pewnego stopnia śladem Hołowni i głoszą, że Tusk chce twórcę PL2050 zniszczyć, bo ta partia mu się buntuje, a w ogóle chce się zemścić za to, że Hołownia w terminie doprowadził do zaprzysiężenia prezydenta Karola Nawrockiego.

To, że Tusk nie przepada i za liderką Polski 2050 i ministrą funduszy i polityki regionalnej w jednym, Katarzyną Pełczyńską- Nałęcz, i za Hołownią, to fakt. Uważa ich za nielojalnych partnerów, którzy atakują własny rząd. Oni z kolei uważają, że Tusk zachowuje się jak hegemon, jest zamknięty na dialog i ich postulaty. Ale czy Tusk wydaje polecenia „PiS-owskiej prokuraturze", a ta grzecznie je wykonuje? Zresztą w tej chwili to raczej Pełczyńska-Nałęcz stanowi problem dla Koalicji 15 Października, a nie Hołownia, który nie jest ani liderem partii, ani marszałkiem Sejmu. Dalsza polityczna marginalizacja wicemarszałka nie jest nikomu potrzebna, bo stracił przywództwo i jego partia się rozpadła.

●

A przede wszystkim – prokuratorzy już jakiś czas temu mogli wysłać wniosek o uchylenie immunitetu. Jednak paradoksalnie, wstrzymuje ich podejrzliwość zbliżona do tej, którą prezentuje obiekt ich śledztwa. W kierownictwie prokuratury panuje olbrzymia nieufność: czy aby PiS specjalnie przez swoich ludzi nie szyje butów Hołowni, po to, by podzielić koalicję i po to, by rząd stracił większość?

Gdy Wełna zastąpił Tadlę, to zamiast wysłać dokumenty w sprawie immunitetu do przełożonych, sam siadł do wniosków i zaczął je wnikliwie analizować. Gdy już Wełna uzna, że wniosek lub wnioski trzeba wysłać do Warszawy, siądzie do nich centrala Prokuratury Krajowej na czele z jej szefem Dariuszem Korneluk. Papiery przejrzy zastępczyni prokuratora generalnego do spraw przestępczości zorganizowanej i korupcji Beata Marczak – która pełni tę funkcję od 2017 roku – a następnie przeczyta je sam minister sprawiedliwości i prokurator generalny Waldemar Żurek. Niektórzy komentatorzy zauważają, że Marczak została namaszczona za rządów PiS, więc nie wiadomo, czy jest godna zaufania. Jednak moi rozmówcy znający relacje w prokuraturze zaprzeczają: – To nie jest typ ziobrysty, jak inny zastępca prokuratora generalnego, Michał Ostrowski, który organizuje frondy wobec Korneluka. Ona robi swoje i oceni to obiektywnie – słyszę.

Z moich informacji wynika, że w Prokuraturze Krajowej panuje duża niechęć wobec wniosków w sprawie odebrania immunitetu Hołowni i Kobosce, bo to olbrzymi problem polityczny: Hołownia już kreuje się na ofiarę spisku. – To, że wnioski zostaną przesłane do nas, do Warszawy, wcale nie oznacza, że prokurator generalny ot tak, bez zastanowienia, wyśle je do marszałka Sejmu. Może być tak, że zostaną odesłane z powrotem do prokuratury. Nie ma żadnej decyzji – słyszę od jednego z moich rozmówców.

Żurek i Korneluk są między młotem a kowadłem. Cokolwiek zrobią, narażą się na zarzuty. Jeśli wniosek o uchylenie immunitetu Hołowni znajdzie się w Sejmie, narracja o zemście Tuska powróci. Jeśli go zablokują, to opozycja orzeknie, że chronią kolegę z koalicji wbrew opinii prokuratora prowadzącego śledztwo, co do którego pracy nie były formułowane żadne zastrzeżenia, wręcz przeciwnie. I wyjdzie na to, że szefowie prokuratury zamiatają sprawę pod dywan. Dlatego niewykluczone, że sprawa Hołowni znajdzie się w pakiecie nie tylko ze sprawą Michała Koboski, ale także Michała Kołodziejczaka z Koalicji Obywatelskiej – za PiS lidera atakującej Zjednoczoną Prawicę chłopskiej Agrounii i byłego wiceministra rolnictwa w rządzie Tuska – oraz Krzysztofa Bosaka, lidera Ruchu Narodowego i współlidera Konfederacji. Radio Eska informowało, że pojawią się też wnioski o uchylenie immunitetu tych polityków w kontekście afery CH.

I będzie znów ponadpartyjnie. ●

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W SPRZEDAŻY, RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU

- Czy to Shakespeare napisał te wszystkie arcydzieła? Rozmowa z najsłynniejszym szekspirologiem świata Stephenem Greenblattem
- To miała być optymistyczna rozmowa o sukcesie. Agata Romaniuk opowiada Tomaszowi Kwaśniewskiemu o tym, jak to się stało, że utrzymuje się z pisania książek
- Tragiczna i bezwzględna.Zapowiedziała w książce własną śmierć i słowa dotrzymała. Pół roku po publikacji przedawkowała tabletki nasenne. Portret Tove Ditlevsen

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl** Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

ŚWIAT

Koniec złudzeń

Żydzi na Zachodzie żyć nie mogą

To nie Żydzi, lecz Arabowie byli i są największymi krzywdzicielami Palestyńczyków.

Jan Hartman

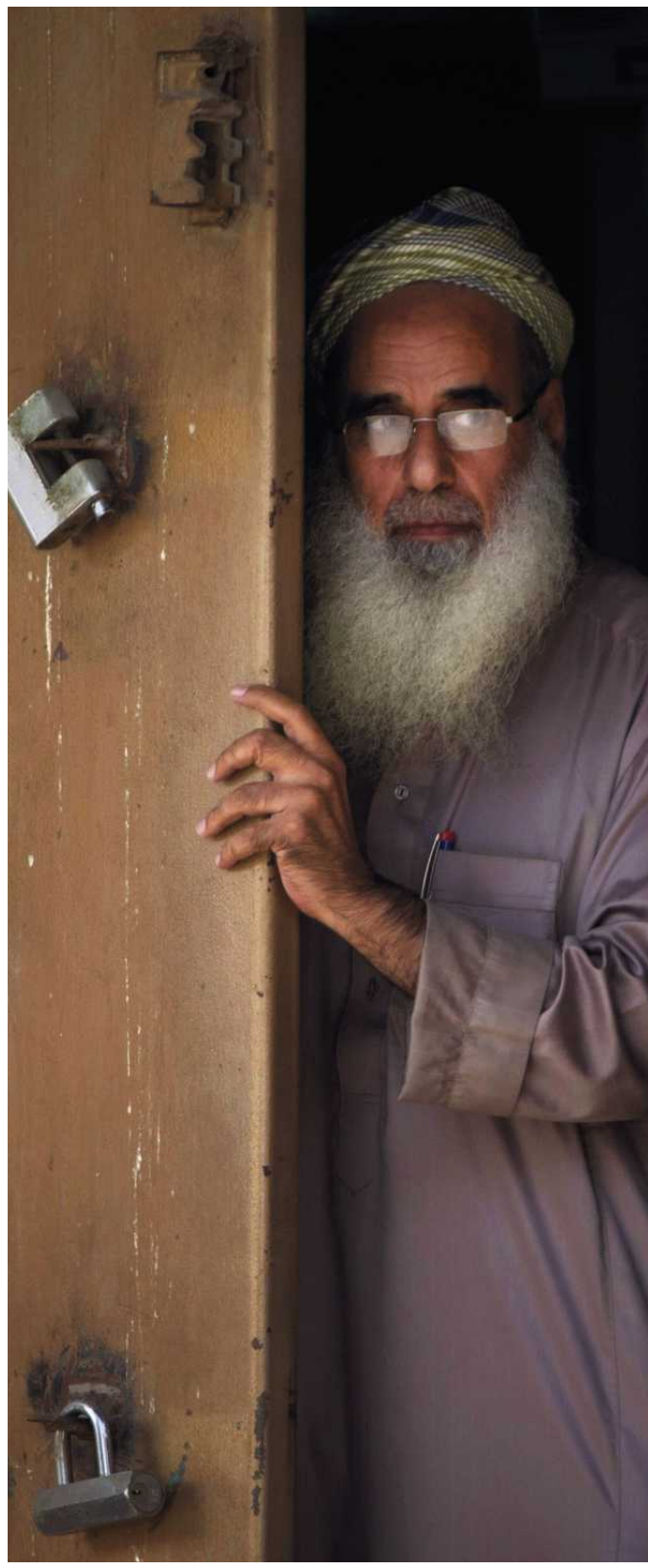

W „Tygodniku Powszechnym" 17 lat temu ukazał się mój artykuł, który zatytułowałem „Zrozumieć antysemitę". Pisząc go, wykrzesałem maksimum empatii i zrozumienia dla tych, którzy, ulegając być może wpływom pewnych przesądów, mimo wszystko nie chcieliby być antysemitami. Sądziłem więc, że nie należy się od nich odwracać, a za to spokojnie z nimi rozmawiać, przyznając im prawo do swoich emocji.

Tekst bardzo się spodobał, choć redakcja wolała zmienić tytuł na „Chciałbym być sobą". Przyznano mi nagrodę Grand Press, antysemici zaś pisali do mnie listy pełne sympatii i wdzięczności. Czułem się nieco dziwnie. Coś było nie tak.

Naprawdę chciałem zrozumieć antysemitę, a także dać mu od siebie odrobinę zrozumienia. Nie na darmo język polski rozumienie i zrozumienie tak podobnie nazywa; jest tu jakieś moralne połączenie.

Gotów byłem, dla zgody, uwierzyć, że faktycznie antysemityzm jest zjawiskiem marginalnym i stopniowo zanikającym, a mierzenie Polaków miarą wojny, powojnia i roku 1968 jest anachronizmem i niesprawiedliwością. Stare antysemickie klisze w rodzaju: „Żydzi są przewrażliwieni na punkcie antysemityzmu", uważałem za niegroźne nieporozumienie i rzecz marginalną. Podobnie jak legendę o Żydach, którzy domagają się specjalnego traktowania z powodu Holokaustu.

Niech sobie pogadają. Niech mają, mówiłem do siebie. Przecież nie wszystko trzeba prostować, nie o wszystko trzeba się wykłócać.

Jednocześnie wydawało mi się, że nienawistna propaganda stworzona w okolicach KGB w latach 60. i przejęta potem przez systemy propagandowe reżimów muzułmańskich oraz sponsorowane przez nie organizacje terrorystyczne to zbiór najpodlejszych nonsensów, które oddziaływać mogą jedynie na antysemicki margines zagnieżdżony w ultralewicowych i ultraprawicowych organizacjach na Zachodzie.

Znam to od dziecka i nauczyłem się wzruszać ramionami, jak gdyby haniebne klisze same się kompromitowały, budząc wstręt u ludzi choć trochę wykształconych i mających nieco przyzwoitości.
Uśmiechałem się z przekąsem, słysząc na Zachodzie, że „Izrael to państwo kolonialne założone przemocą na odwiecznych palestyńskich ziemiach przez białych europejskich Żydów pod pretekstem Holokaustu, państwo, którego ideologią jest żydowski faszyzm, zwany dla niepoznaki syjonizmem, a celem usunięcie prawowitych mieszkańców i zajęcie w drodze napaści i podboju jak największego terytorium należącego do ludu palestyńskiego".

Trochę bardziej się denerwowałem, gdy na studenckich imprezach w Amsterdamie czy w Paryżu słuchałem mantry o Żydach, którzy w jakiejś chorej zemście za Holokaust „robią to samo" Palestyńczykom, co im niegdyś robili Niemcy. Ale cóż, nie takie wszak rzeczy słyszysz w izraelskich kawiarniach, gdy obok ciebie palestyńscy studenci gwarzą sobie z zagranicznym stypendystami, albo na palestyńskiej wycieczce, na którą można się udać spod Bramy Damasceńskiej w Jerozolimie. Kiedyś mieszkałem w Izraelu przez pół roku, to się naoglądałem i nasłuchałem.

Nasłuchałem się też muezinów, bo mój pokoik na uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie wychodził na meczet. Bo trzeba wiedzieć, że Izrael, ta twierdza syjonistycznych najeźdźców i okupantów, to kraj meczetów, falafeli i języka arabskiego, bo miliony muzułmanów – dziś bodajże pół na pół definiujących się jako Arabowie bądź Palestyńczycy – są tam u siebie, ciesząc się prawami obywatelskimi i politycznymi, o jakich reszta muzułmańskich mieszkańców Bliskiego Wschodu może tylko pomarzyć. Dysonans poznawczy? A, to już nie moja wina.

Przez długie lata moja cierpliwość była wielka, a przy tym nieco narcystyczna. Z łagodnym uśmiechem mówiłem do siebie: Jak to dobrze, że palestyńscy adwokaci, lekarze, profesorowie czy posłowie mogą sobie publicznie wygadywać, jakim to potwornym reżimem jest państwo Izrael, które pozwala im wygadywać, jakim to potwornym reżimem jest państwo Izrael, które pozwala... i tak dalej. W sumie było to nawet w swej absurdalności zabawne, tym bardziej że potakiwali im na wszelkie sposoby wspierający „sprawę palestyńską" izraelscy lewicowi idealiści, na przykład ci z kibuców pod granicą z Gazą, później okrutnie wymordowani przez swoich „serdecznych przyjaciół" i „gości".

●

I tylko niech w waszych głowach nie zalęgnie się myśl, jakobym wierzył w jakąś palestyńską sielankę w Izraelu i nie miał pojęcia o doznawanych przez Palestyńczyków krzywdach. Nie, nie i jeszcze raz nie.

Izrael ma bardzo wiele na sumieniu, gdy chodzi o traktowanie Palestyńczyków. Zwłaszcza na terenach zdobytych na Jordanii i Egipcie, czyli na Zachodnim Brzegu i w Gazie, jakkolwiek daleko mu do tej wrogości, jaką okazują im kraje arabskie i Arabowie, którym wszak nie mogło się spodobać, że pół wieku temu na masową skalę zaczęli się odżegnywać od narodowości arabskiej. A jednak setki tysięcy ludzi doznawały i wciąż doznają różnych form dyskryminacji ze strony Izraela i Izraelczyków, a tragedia, jaką było zawładnięcie Gazą przez krwawych dżihadystów z Hamasu, znęcających się bez litości nad terroryzowaną przez siebie ludnością, w dużej mierze zawiniona jest przez Izrael.

Do dawnych win trzeba zresztą doliczyć te nowe, związane z wojną w Gazie, podczas której dochodzi do bombardowań, zabójstw i wyburzeń, których nie da się uzasadnić strategią i taktyką wojny sprawiedliwej. Nie mamy jeszcze wiarygodnej wiedzy na ten temat, lecz większość niezależnych ekspertów twierdzi, że w Gazie miały miejsce zbrodnie wojenne. Oby winni im wojsko-

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Palestyńczyk zamyka sklep z powodu starć między izraelskimi wojskami a palestyńskimi demonstrantami w mieście Al-Ram na Zachodnim Brzegu (22.10. 2015)

FOT. MAJDI MOHAMMED/AP /EAST NEWS

wi zostali ukarani. Choć stopniowa destrukcja praworządności w Izraelu oraz udział skrajnej prawicy w rządzie dają powody, by obawiać się tego, czy procesy będą w pełni uczciwe.

To samo dotyczy licznych skarg na tortury, które składają palestyńscy więźniowie. A do tego jeszcze trzeba dodać panoszenie się prawicowych ekstremistów na Zachodnim Brzegu, urządzających „zajazdy" na palestyńskich sąsiadów, na co izraelskie organy ścigania patrzą przez palce. Miejmy nadzieję, że tegoroczne wybory doprowadzą do prawdziwej zmiany i naprawienia zepsutego izraelskiego państwa prawa.

Jednakże to nie Żydzi, lecz Arabowie zawsze byli i pozostają największymi krzywdzicielami Palestyńczyków, nie mówiąc już o tym, żeby mogli im robić nadzieje na przekazanie jakichkolwiek kontrolowanych przez siebie terenów pod ich własne państwo. Takie oferty padały wyłącznie – i wielokrotnie – ze strony Zachodu oraz Izraela i w kilku przypadkach, wbrew sowieckiej i arabskiej propagandzie, były naprawdę hojne i uczciwe.

A były odrzucane wyłącznie z tego powodu, że celem fundamentalistycznych reżimów na Bliskim Wschodzie, nie mówiąc już o palestyńskich organizacjach terrorystycznych, było nie stworzenie państwa palestyńskiego obok państwa żydowskiego, lecz całkowite wyeliminowanie tego drugiego.

O to właśnie chodzi w radośnie rozbrzmiewającym na ulicach Warszawy i Berlina haśle: „From the river to the sea, Palestine will be free". To używane od wielu dekad zawołanie terrorystów jest niczym innym jak wezwaniem do eksterminacji i wie to każdy, kto choć odrobinę orientuje się w tych sprawach.

Izrael to kraj meczetów, falafeli i języka arabskiego, bo miliony Arabów bądź Palestyńczyków są tam u siebie, ciesząc się prawami obywatelskimi i politycznymi, o jakich reszta muzułmańskich mieszkańców Bliskiego Wschodu może tylko pomarzyć

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jan Hartman

• profesor filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego (Wydział Nauk o Zdrowiu) i publicysta. Urodził się w 1967 roku we Wrocławiu, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Autor ponad 20 książek. Ostatnio wydał „Etykę życia publicznego", „Zmierzch filozofii" oraz autobiograficzną „Spowiedź antychrysta".

Mimo wszystko do niedawna większość Izraelczyków wierzyła w rozwiązanie dwupaństwowe, popierając palestyńskie dążenia niepodległościowe. I jeśli te dążenia nie zostały zrealizowane, to nie z winy Izraela, lecz z winy sponsorowanych przez Arabów i Irańczyków organizacji terrorystycznych. To one torpedują proces budowy państwa palestyńskiego, a naród palestyński jest zakładnikiem bliskowschodnich dyktatur, które cynicznie posługują się nim w swojej walce z Izraelem, unikając bezpośredniej konfrontacji.

•

Antysemitów udających przyjaciół Palestyńczyków tak naprawdę nic a nic Palestyńczycy nie obchodzą. Nie obchodzi ich upodlenie Palestyńczyków w Libanie, Syrii i w Jordanii, gdzie zresztą stanowią większość obywateli. Palestyńczycy interesują antysemitów wyłącznie jako ofiary faktycznych bądź domniemanych krzywd ze strony Izraela, bo stwarzają doskonały pretekst dla „bezpiecznego" wyrażania wrogości wobec „syjonistów", połączonego z pełnymi oburzenia zapewnieniami, że nie ma to nic wspólnego z antysemityzmem.

Albowiem antysemityzm – dawniej wypisywany na sztandarach – stał się po II wojnie światowej wstydliwy i niegodny postępowego przedstawiciela klasy średniej. Trzeba więc go manifestować w tak załgany i zakamuflowany sposób, żeby dało się samemu uwierzyć, że się go w sobie nie ma.

Dziś tych idealistów wierzących, że Palestyńczycy, Arabowie i Persowie kiedyś zgodzą się na istnienie dwóch państw: żydowskiego i palestyńskiego, została garstka. Na Bliskim Wschodzie nikt oprócz Żydów nie dawał Palestyńczykom nadziei i nikt oprócz nich realnie nie popierał wolnej Palestyny. Jeszcze do niedawna chciała tego większość Żydów – w Izraelu i w diasporze.

Pamiątką po tym idealizmie, zresztą zmieszanym z jakąś głupią kalkulacją obliczoną na osłabienie Organizacji Wyzwolenia Palestyny, jest Gaza w krwawym uścisku Hamasu. W roku 2005 doszło bowiem do niebywale ekscentrycznej akcji pod znakiem „dajmy Palestyńczykom całkowitą wolność w Gazie", a polegającej na tym, że izraelskie wojsko siłą wysiedlało Żydów ze Strefy Gazy, burząc ich domostwa i synagogi. Była to jakaś absurdalna czystka etniczna *à rebours*, jakiej świat nie widział. A że był to teren wyrwany przez Izrael spod kontroli egipskiej, Izrael poczuwał się do tego, by rozpiąć nad nim parasol ochronny. I tak zaczął się jakiś obłędny taniec z mordercami.

Z pomocą Izraela Hamas – wówczas jeszcze znacznie spokojniejszy – objął władzę w Gazie, z roku na rok coraz wyraźniej ukazując prawdziwe oblicze. Zaczął się hamasowski terror – mordowanie nieposłusznych Palestyńczyków i regularne krwawe zamachy w Izraelu, który przez lata ledwie na nie reagował. A równolegle cały Zachód, czyli Europa, USA i Izrael, dosłownie zasypywały Gazę pomocą materialną. Te pieniądze przejmował coraz bardziej radykalny i coraz hojniej sponsorowany przez Arabów Hamas, budując sieć tuneli i zbrojąc się na wojnę z Izraelem. Ostatecznie ruszył na nią 7 października 2023 roku.

W Gazie wychowano całe nowe pokolenie ludzi, którzy od przedszkola byli uczeni, że zabicie żydowskiej kobiety i żydowskiego dziecka jest chwalebnym aktem męczeństwa, za które idzie się do nieba. Patologiczna nienawiść do Żydów stała się spoiwem społeczeństwa Gazy i podstawą jego więzi z krwawym reżimem, który nim rządził. I rządzi nadal.

•

Ja też już nie wierzę w rozwiązanie dwupaństwowe, czyli w wolną Palestynę. Tak jak nie wierzę w dobrą wolę antysemitów, by stopniowo wyzwolić się z uprzedzeń. Wszystko się we mnie zmieniło w ciągu ostatnich dwóch lat, gdy spłynąłem na margines życia wraz z brunatną falą nienawiści, która przelała się przez Zachód i przez Polskę po straszliwym pogromie z 7 października 2023 r. Pogromie, w którym terroryści z Hamasu wraz z tłumem cywilów w zapamiętałym szale mordowali żydowskie dzieci, kobiety i mężczyzn, spełniając to, co przed dekady obiecywano w okrzykach dobywających się z tysięcy gardeł Gazańczyków demonstrujących ekstatyczny entuzjazm, ilekroć któremuś z terrorystów udało się przedrzeć do Izraela i zamordować jakiegoś Żyda. Zawsze mnie zdumiewało, że te wciąż powtarzające się obrazki zbiorowej ekstazy z powodu mordów na niewinnych ludziach nie wzbudzały na Zachodzie żadnych emocji. Skoro tak, to i ja wzruszałem ramionami. A bo miałbym być gorszy?

A przecież wiedziałem, jaki jest powód tej zdumiewającej obojętności. Żyjąc w środowisku głęboko niechęt-

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

nym Żydom, sam nasiąkasz taką niechęcią, a przynajmniej na nią obojętniejesz. Niestety, bardzo wielu polskich Żydów, będących wszak Polakami, odznacza się taką ambiwalencją. A wielu spośród nich okazało się dziś po prostu antysemitami.

Po 7 października maski opadły, a z ludzkich dusz powyłaziły głęboko skrywane sprzeczności, kompleksy i przesądy. Przed oczami polskich Żydów przeszedł zdumiewający korowód złamanych oportunistów, zaprzańców i zdrajców, z przerażeniem w oczach bełkoczących wszystkie hamasowskie mantry. Nic już nie będzie pośród polskich Żydów takie samo. Żyjemy jak małżeństwo po zdradzie.

To, że 7 października stał się paliwem nienawiści do Żydów i wizerunkową podporą dla terrorystów, przebrało czarę goryczy – nie tylko w mojej duszy. Zrozumiałem, zrozumieliśmy, czym naprawdę jest antysemicka nienawiść kipiąca w słowach, które w tysięcznych powtórzeniach słyszymy od polityków i działaczy lewicy, od dziennikarzy i zwykłych ludzi. Wyciągnięta ręka została więc cofnięta, a rozumienie nie łączy się już u mnie ze zrozumieniem. Koniec złudzeń. Żydzi na Zachodzie żyć nie mogą, chyba że z całą gorliwością przyłączą się do rytuału wieczystego potępienia Izraela i bić się będą w piersi z powodu niekończących się zbrodni swoich ziomków.

Również w Polsce można być Żydem tylko warunkowo. Trzeba potakiwać rozmaitym bałamuctwom na temat stosunków polsko-żydowskich, oburzać się na „oskarżanie Polaków o antysemityzm" i zasadniczo „nie obnosić się" ze swoim żydostwem. Mile widziane są sentymenty, jakaś opieka nad cmentarzami czy organizowanie koncertów muzyki klezmerskiej, byleby chodziło o martwych Żydów i byleby można było powiedzieć, że współczesna Polska dba o pamięć o „mniejszości żydowskiej".

Bo polski Żyd, choć praktycznie zawsze jest Polakiem i niczym się od innych Polaków nie różni, traktowany jest jako „przedstawiciel mniejszości narodowej". To nie pomyłka ani żadne nieporozumienie. To autentyczne przekonanie, że jak ktoś jest Żydem, to przecież nie może być jednocześnie Polakiem. Kaszuba, Ślązak, protestant z Wisły – owszem, ale Żyd?

Nie, ja już tak nie chcę. Furda tam tysiące nazistowskich wyzwisk pod moim adresem w internecie. Nie dbam o to. Ale nie będę się prosił o akceptację ani dawał się poklepywać po plecach, jaki to ze mnie porządny Żyd, co to o Polakach źle nie mówi i broni ich przed oszczercami. Dość już mamy w Polsce karierowiczów na prawo i lewo wydających wszystkim chętnym moralnym parweniuszom glejty poświadczające, że nie są antysemitami (a jedynie prawymi „antysyjonistami").

Ich hasłem po 7 października stał rzucany Żydom w twarz bierno-agresywny truizm, że „nie każda krytyka Izraela jest antysemityzmem". A ktoś twierdzi inaczej? Akurat tak się składa, że polscy Żydzi są niemalże jak jeden mąż i jedna żona krytyczni wobec Izraela i poczynań armii izraelskiej w Gazie.

Ale to bez znaczenia. Choćbyś sto razy powiedział, że Izrael popełnia w Gazie zbrodnie, lecz mimo to sprzeciwił się ortodoksji propagandy Hamasu, a więc odrzucił któryś z punktów litanii: okupanci, ludobójcy, czystki etniczne, terror, głodzenie ludności, to i tak natychmiast zostaniesz przez lewicę medialną i polityczną potępiony jako bezkrytyczny poplecznik Netanjahu „broniący ludobójstwa w Gazie" oraz zaciekły „syjonista". Polski Żyd został wezwany do tego, aby głośno potępić Izrael i przyłączyć się do „propalestyńskich" inicjatyw, czyli marszów, bojkotów, apeli i rezolucji. Dokładnie tak samo jak w roku 1968, gdy żydowska bierność i niepotępianie Izraela oznaczały „syjonizm" i zdradę, za którą dostawało się „dokument podróży".

Nie wiem, ilu Żydów wówczas poszło na kolaborację. Dziś takich jest wielu. Widok byłych kolegów wijących się przed kamerami, wydusających z siebie rytualne zaklęcia z hamasowskiej listy oszczerstw, budzi we mnie głębokie zażenowanie i odrazę. To samo dotyczy również osób niebędących Żydami, lecz przez lata angażujących się w sprawy kultury żydowskiej – ich podpisy pod listami i rezolucjami krzyczącymi agresywnym przemilczaniem winy Hamasu za śmierć dziesiątek tysięcy Gazańczyków sprawiły, że coś we mnie pękło i umarło.

Nikomu już nie zaufam. Obraz tysięcznych tłumów idących z flagami palestyńskimi, opętańczo drących się na Izrael i domagających się zaprzestania działań wojennych wyłącznie od niego, jak gdyby Hamas był w tej wojnie niewinny, nie otaczał się ludnością cywilną jak tarczą, nie blokował ewakuacji i nie mógł zakończyć wojny w jednej chwili, był dla mnie szokiem. A takie pochody miały miejsce również w Polsce, gdzie zresztą tylko raz odbyła się demonstracja solidarności z porwanymi Izraelczykami – mała i niemalże bez udziału Polaków niebędących Żydami.

Tak, ci ludzie na ulicach wykrzykujący hasła miłe dla ucha terrorystów i udzielający im w niedwuznaczny sposób poparcia każdego dnia czekali na paliwo dla swego „wcale nie antysemickiego" gniewu. A paliwem tym były wieści o zabitych cywilach, wieści podchwytywane chciwie, by tylko móc napawać się nienawiścią do Izraela i katarktycznym poczuciem, że „to nie ma nic wspólnego z antysemityzmem". Wstrząsająca moralna ohyda – udawać gniew moralny i domagać się sprawiedliwości, osłaniając milczeniem winowajców co najmniej połowy dziejącej się tragedii.

Ulicy zaś towarzyszyła medialna kampania propagandowa. Wielkie redakcje wręcz wydelegowały spechejterów do nagłaśniania propagandy Hamasu i gromkiego przemilczania jego zbrodni (oczywiście z wyjątkiem jednorazowego incydentu z 2023 roku). To zapamiętanie w nienawiści doszło do jakiegoś obłędnego apogeum, gdy ogłoszono, że nie istnieje coś takiego jak „konflikt izraelsko-palestyński". Bo przecież nie można nazwać trwającej dekady zbrodniczej agresji najeźdźców wymierzonej w niewinną, pokojową ludność takim neutralnym słowem jak „konflikt"!

W chwili, gdy pierwszy raz usłyszałem tę mowę nienawiści w pewnej ważnej liberalnej rozgłośni, również po raz pierwszy w życiu pomyślałem o opuszczeniu kraju.

•

Restytucja propagandy sprzed 60 lat to już samo w sobie coś spektakularnego. Jednakże chyba nie to mnie i w ogóle nas, Polaków będących Żydami, boli najbardziej. Wiedzcie, że przeżyliśmy prawdziwy szok, widząc, jak masowa jest obojętność na najdzikszy antysemityzm, który znalazł dla siebie wyjątkowo szerokie ujście właśnie wtedy, gdy terroryści osiągnęli największy sukces w dziejach.

Wspomniałem już o swoim niegodnie obojętnym stosunku do faktu, że kolejne bomby podkładane przez palestyńskich terrorystów nikogo nie wzruszały. Tym razem było inaczej. Tym razem ogarnęło mnie przerażenie, gniew, a w końcu gorzka rezygnacja. Dziki pogrom, w którym zaszlachtowano ponad tysiąc niewinnych ludzi, w tym setki dzieci, nie wzbudził prawie żadnych emocji. W Polsce na pewno nie w jednym choćby procencie takich jak 11 września roku 2001. Nawet śmierć Polaków z rąk terrorystów nikogo w Polsce nie obeszła. Niech zgadnę. Nie wiem, ale na pewno nie dlatego, że byli Żydami i obywatelami Izraela. To byłaby wstrętna insynuacja.

Jednak zaszło coś jeszcze gorszego niż obojętność. Oto 7 października stał się kamieniem węgielnym dla haniebnej retoryki budującej wizerunek Hamasu jako niezłomnej i właściwie niezwyciężonej, dzięki swemu hartowi ducha i powszechnemu poparciu, organizacji zbrojnej walczącej o wolność Palestyny. Bo, owszem, „bojownicy Hamasu" imają się czasami metod terrorystycznych, lecz zasadniczo walczą w imieniu narodu palestyńskiego o słuszną sprawę. Trzeba więc potępić eksces 7 października, lecz po wysłowieniu tego potępienia można już ująć w nawias feralny dzień i swobodnie przejść do oceny Hamasu jako legitymizowanych obrońców Gazy walczących ze zbrodniczą inwazją Izraela. Słowem, Hamas może i przesadził, dopuścił się zbrodni, lecz walczy za Palestynę i racja jest po jego stronie.

Tak oto powstała najbardziej przewrotna figura retoryczna w nowszych dziejach nienawiści do Żydów polegająca na potępieniu „jednego dnia z życia Hamasu" i wywiązaniu się tym sposobem z obowiązku potępienia terroryzmu, by następnie przejść już do porządku dziennego polegającego na bezkrytycznym i skwapliwym powtarzaniu każdego oszczerstwa, które Hamas i jego poplecznicy podsuną. A głównym kryterium prawdziwości oszczerstw, którymi tysiące działaczy i dziennikarzy każdego dnia karmiły opinię publiczną Zachodu, było to, że zohydzają Izrael i Żydów, potwierdzając wszystkim wiadomy fakt, że Żydzi są źli, a ich państwo jest zbrodnicze.

Tak! Nikt nie mówi tego wprost, lecz cały „mainstreamowy" dyskurs liberalnych mediów jest w oczywisty sposób prohamasowski, bo służy celom Hamasu i delegitymizuje cel strategiczny Izraela, jakim jest zniszczenie tej potwornej terrorystycznej organizacji. O, nie, jej status jest zupełnie inny niż Państwa Islamskiego vel ISIS czy Al Kaidy – bo tamci mordowali niewinnych muzułmanów i chrześcijan, ci zaś – Żydów.

Nie tylko z całą skwapliwością powtarzało się i nadal powtarza jeden do jednego wszystko, każdą podłą niedorzeczność, jaką wyprodukują propaganda Hamasu i akredytowani przy Hamasie „dziennikarze" i „działacze", lecz przede wszystkim cała moc oburzenia i potępienia kierowana jest wyłącznie przeciwko Izraelowi i wyłącznie od Izraela żąda się ustąpienia.

Nie wiem, co trzeba mieć w głowie, żeby wspieranie celów Hamasu, z wycofaniem się Izraela z Gazy na czele, a więc i pozostawieniem Hamasu w spokoju, nazywać działaniem „propalestyńskim". Życzenie Palestyńczykom, aby Izrael pozostawił ich na pastwę Hamasu, jest chyba najgorszym, czego w ogóle można im życzyć.

To czysty obłęd. Nienawiść ogłupia do tego stopnia, że „propalestyńscy" działacze i komentatorzy dosłownie „zapomnieli" choćby udawać minimum bezstronności i obiektywizmu w swych ocenach moralnych i z tego tytułu pro forma wezwać Hamas do poddania się i zwolnienia zakładników, a więc do uczynienia czegoś, co natychmiast zakończyłoby wojnę, a co jednocześnie jest jego oczywistym moralnym obowiązkiem. Nie! Do kapitulacji wzywany jest wyłącznie Izrael.

Podobne wyłączenie funkcji intelektualnych i moralnych ma miejsce w związku z masowym udawaniem, że nie zna się różnicy znaczeniowej między „dokonać ludobójstwa" a „zabić wielu ludzi". Każdy „propalestyński" hejter, nawet jeśli wypiera ze świadomości diaboliczną strategię Hamasu dekującego się w szpitalach i biorącego ludzi na zakładników, to przecież wie, że w Gazie nie ma obozów zagłady, egzekucji ani innych przejawów ludobójstwa. Są ofiary cywilne, których można było uniknąć, są ekscesy i zbrodnie wojenne, lecz nie ma niczego, co choćby przypominałoby realizację ludobójczych haseł Hamasu skierowanych przeciwko Żydom.

•

Długo jeszcze nie będziemy wiedzieć, jak dokładnie przebiegała wojna w Gazie i kto jakie popełnił zbrodnie. Niezależne świadectwa i wiarygodne, poddane krytycznej analizie, przydatne dla sądów dane dopiero są zbierane. Jednak antysemici wszystko już wiedzą: Żydzi bestialsko wymordowali ponad 70 tysięcy Palestyńczyków, w większości kobiet i dzieci.

Nie wiem, co trzeba zrobić ze swoją inteligencją i moralnością, aby oślepnąć kompletnie na powszechnie znane kryteria oceny sposobu prowadzenia wojny przez biorącą w niej udział armię. To wielka sztuka, sztuka zidiocenia z nienawiści. Dla porządku więc przypomnę, że liczba zabitych sama w sobie nie pozwala na żadne oceny. Trzeba poznać wiele danych, na czele z tą, jaka jest proporcja ofiar uzbrojonych i cywilnych, jakie podjęto środki ochrony ludności cywilnej, jak wyglądał przebieg działań zbrojnych w porównaniu z innymi konfliktami o podobnym charakterze – w tym przypadku: wojna miejska z przeciwnikiem kryjącym się pośród cywilów – a przede wszystkim: czy istniały alternatywne i mniej krwawe scenariusze realizacji celu strategicznego wojny.

Jednakże takich pytań „wcale-nie-antysemici" i prawi „antysyjoniści" w ogóle nie stawiają. Wolą udawać głupich, byleby tylko utrzymać wysoki poziom moralnego pobudzenia maskującego antysemicką nienawiść. To jest naprawdę szokujące: żadne liberalne medium w Polsce nie zadało sobie pytania, co właściwie Izrael miał zrobić po 7 października. Wiadomo, miał podkulić ogon i czem prędzej ogłosić uznanie państwa palestyńskiego!

Wojna w Gazie ma teraz przerwę. Ale Hamas liże rany i się nie podda, więc wojna powróci. Jednakże prędzej czy później Gaza zostanie uwolniona od Hamasu, choć od normalności w zburzonej aglomeracji, a już zwłaszcza normalności samorządnej i demokratycznej, dzielą nas lata. Na razie jest tragedia, ruina i nienawiść.

Właśnie – niedawny hit antysemickiej propagandy to wyniki badań nad nienawiścią do Palestyńczyków z Gazy pośród Żydów z Izraela. To jednak musi być straszny naród, ci Żydzi, bo aż 80 procent żydowskich Izraelczyków odnosi się z wrogością do gazańskich Palestyńczyków. Wiadomo! W Gazie tylko 79 procent ludności nienawidzi Żydów, a gdyby na miejscu Izraelczyków byli polscy katolicy, to, daję słowo, byłoby to 78 procent i ani procentu więcej! ●

1 RP

Zrozumiałem, czym naprawdę jest antysemicka nienawiść, kipiąca w słowach, jakie w tysięcznych powtórzeniach słyszymy od polityków i działaczy lewicy, od dziennikarzy i zwykłych ludzi

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

WOLNO NAM, WOLNO I PUTINOWI

Czy ta wojna jest legalna? Na świecie to pytanie omawiają eksperci od prawa międzynarodowego i wojennego, dziennikarze, politycy i zwykli ludzie. Na całym świecie, ale nie w Izraelu.

Michael Sfard

W Izraelu nie ma już prawdziwych redakcji. Gazety, portale, telewizje przejęła grupa wojowników, którzy uwielbiają wszystko, co pachnie mundurem Israel Defence Forces lub amerykańskim. Odurzają się zapachem prochu strzelniczego i wykazują niemal erotyczny entuzjazm wobec działań sił powietrznych.

Nic dziwnego, że podczas setek godzin transmisji, paneli, debat i analiz wojny z Iranem, żaden spośród dziennikarzy, komentatorów i ekspertów – niemal samych mężczyzn – nie zadał prostego pytania: Czy ta wojna jest legalna?

Na świecie to pytanie często zadawane. Omawiają je czołowi eksperci od prawa wojennego i międzynarodowego, ponieważ globalna opinia publiczna chce i musi wiedzieć, co prawo mówi o użyciu tak ogromnej siły i setkach, jeśli nie tysiącach, ofiar śmiertelnych.

Na całym świecie, ale nie w Izraelu. U nas, jak się okazuje, podstawowe pytanie o tę wojnę nie interesuje producentów wiadomości.

A może interesuje i właśnie dlatego wolą go unikać. Bo niepokojąca odpowiedź brzmi: wśród czołowych międzynarodowych specjalistów panuje rzadki konsensus – że wojna z Iranem jest nielegalna.

Istnieją zasady określające, kiedy wolno rozpocząć wojnę, a napisano je krwią. Dużą ilością krwi. Prawa regulujące użycie siły ukształtowały się wskutek tysięcy lat okrucieństw wynikających z niezliczonych konfliktów, a zwłaszcza po dwóch wojnach światowych, które spustoszyły wszystkie kontynenty i pochłonęły dziesiątki milionów ludzi.

Karta ONZ, opracowana w czerwcu 1945 roku, zawierała rewolucyjny, jak na swoje czasy, zakaz użycia siły w stosunkach międzynarodowych. Społeczność międzynarodowa pod przywództwem państw zwycięskiej koalicji pozostawiła dwa wyjątki:

* zastosowanie siły sprawiedliwej w przypadkach zatwierdzonych przez Radę Bezpieczeństwa ONZ, która zatem wyraża – biorąc poprawkę na zaistniałe, a wynikające z gry interesów mocarstw, wypaczenia czy niesprawiedliwości – szeroki konsensus narodów świata;

* oraz użycie siły spełniające definicję samoobrony.

Wśród prawników do dziś toczy się zażarta debata, czy samoobrona dotyczy wyłącznie odpowiedzi na atak na państwo atakowane, czy też obejmuje „antycypacyjne samoobrony", czyli uderzenie mające zapobiec czyjejś nadchodzącej agresji militarnej.

Moim zdaniem w erze nuklearnej trudno zaakceptować, że trzeba czekać na atak, zanim zacznie się bronić – bo gdy już atak nastąpi, nie będzie czego ani czym się bronić.

Z drugiej strony, rozszerzenie definicji obrony o wojnę prewencyjną stwarza wielkie zagrożenie. Każdy agresor będzie twierdził, że on tylko zapobiega atakowi na siebie – i wrócimy do świata, w którym w praktyce nie ma ograniczeń na użycie siły.

Dlatego, aby atak prewencyjny kwalifikował się jako samoobrona, musi opierać się na mocnych dowodach potwierdzających zdolność i zamiar ataku drugiej strony – oraz na braku alternatyw mogących mu zapobiec.

Izrael i USA rozpoczęły wojnę bez uzyskania zgody Rady Bezpieczeństwa ONZ lub znaczącej koalicji państw. Taka koalicja nie uczyniłaby ich wojny legalną, ale przynajmniej zwiększyłaby jej legitymację polityczną.

A czy można postrzegać tę wojnę jako akt samoobrony Izraela?

Iran chce zniszczyć Izrael. Jego przywódcy deklarują to od lat. Organizują lub wspierają grupy terrorystyczne w regionie i na całym świecie. Osiągnęli postępy w budowie broni jądrowej. Ale czy to, czego Iran chce, wystarczy, by zgodnie z prawem rozpocząć z nim wojnę?

FOT. SAJJAD SAFARI/AP /EASTNEWS

• **Wojna Izraela i USA z Iranem. Ratownik udziela pomocy chłopcu, który został ranny w wyniku ataku rakietowego na blok mieszkalny w Teheranie 28 marca br. fot. Sajjad Safari/AP**

Pytanie dotyczy nie tylko jego woli, ale również tego, co zamierzał i co był zdolny osiągnąć w najbliższym czasie.

Przypomnijmy, że zaledwie osiem miesięcy temu prezydent Donald Trump chwalił się, że irański program nuklearny został „zniszczony". Premier Benjamin Netanjahu powiedział, że osiągnięto historyczne zwycięstwo, które „przetrwa pokolenia", a egzystencjalne zagrożenie dla Izraela zostało usunięte. Jednocześnie Iran niedawno był gotów zawrzeć porozumienie: rezygnuje z rozwoju broni jądrowej, zachowując prawo do wzbogacania uranu w ograniczonym stopniu.

To sugeruje, że w przeddzień wojny nie było bezpośredniego zagrożenia ze strony Iranu. Co więcej, każda próba przedstawienia tej wojny jako defensywnej kompromituje się w obliczu retoryki agresorów, którzy nie ukrywają, że ich celem była zmiana reżimu w Iranie.

W związku z tym ta wojna nie może być uznana za defensywną według żadnej uznanej definicji.

Od kilku lat świat dąży do powrotu do wielowiekowej darwinowskiej rzeczywistości politycznej i militarnej sprzed dwóch wojen światowych, która doprowadziła do największych okrucieństw ludzkości i do której ludzkość przysięgła nigdy nie wrócić.

Fakt, że w Islamskiej Republice Iranu rządzi zły reżim, opresyjna fundamentalistyczna dyktatura, której upadku powinien pragnąć każdy humanista, jest nieistotny. Prowadzenie wojny, która nie spełnia definicji samoobrony i nie została zatwierdzona przez Radę Bezpieczeństwa ONZ, jest równoznaczne z uznaniem, że nie ma żadnych zasad.

Wszystko będzie dozwolone – bo każdy, autokrata, dyktator czy tyran fundamentalista też, może powiedzieć, że kieruje się swoimi zasadami i oceną. Jeśli Trump i Netanjahu mogą zaatakować inny kraj, to Putin też ma prawo – przecież ma swoje argumenty – podobnie jak irańscy przywódcy. I tak oficjalnie zastąpiliśmy rządy prawa rządami broni.

Z funkcjonowaniem instytucji międzynarodowych od lat jest poważny problem. Ich osiągnięcia w radzeniu sobie z okrutnymi reżimami takimi jak irański, które uciskają obywateli, tworzą komórki terrorystyczne i pielęgnują obsesję na punkcie zniszczenia kraju, z którym nawet nie dzielą granicy, są znikome. Cynizm polityki międzynarodowej, stawianie interesów ponad wartości oraz system weta, który paraliżuje Radę Bezpieczeństwa ONZ i uniemożliwia jej utrzymanie pokoju i bezpieczeństwa na świecie, wskazują na potrzebę głębokiej reformy instytucji mających nas chronić.

Jednak Trump i Netanjahu nie próbują naprawiać wad porządku światowego, by chronić wartości, które miał promować. Otwarcie dążą do całkowitego rozbicia prawa międzynarodowego.

Przedstawiają nam świat diametralnie różny od tego, jaki wyobrażali sobie twórcy Karty ONZ i jakiego chcą ci, którzy opowiadają się za reformą ONZ: mroczny i brutalny świat przypominający epickie serie fantasy, coś na kształt stechnicyzowanego średniowiecza, w którym siła militarna i okrucieństwo są legalnymi, ba, podstawowymi narzędziami do osiągania celów w stosunkach międzynarodowych.

Przykład tuż sprzed ataku na Iran: gdy Trump powrócił do Białego Domu na drugą kadencję, wspólnie z Netanjahu przekształcił pomysł wyrzucenia dwóch milionów mieszkańców ze Strefy Gazy, czyli czystki etnicznej, a więc zbrodni przeciwko ludzkości – niegdyś szeptany tylko na najbardziej rasistowskim i mesjańskim marginesie izraelskiej polityki – w oficjalny plan. Na tyle poważny, że zaczęto przygotowywać operacyjne szczegóły realizacji.

Oprócz wrogości wobec prawa międzynarodowego Trumpa i Netanjahu łączy jeszcze jedno. Obie firmy – bo tym w istocie są – z determinacją rozkręcają procesy, które odbierają demokratyczne cechy rządom swoich krajów. Osłabiają lub rozbijają instytucjonalnych strażników, mianują niekompetentnych lojalistów na wrażliwe stanowiska, przeprowadzają nieustanne ataki na środowisko akademickie, media, kulturę i wymiar sprawiedliwości, uprawomocniają korupcję oraz wyzwalają przemoc polityczną. Dużo korupcji i dużo przemocy.

Przez dwa stulecia w Stanach Zjednoczonych i przez dekady w Izraelu skrupulatne wysiłki zbudowały systemy administracyjne i kultury rządzenia, które mimo wad, wypaczeń, naturalnych ludzkich ambicji i słabości, opierają się na podziale władz, na społeczeństwie obywatelskim kontrolującym rządy, na niezależnym i profesjonalnym sądownictwie oraz na gwarancjach wolności głosu dla opozycji.

Dziś te wszystkie instytucje, spisane w kodeksach lub oparte na umowie społecznej zasady, stały się celem politycznego i prawnego ostrzału Trumpa i Netanjahu. Ci dwaj jednocześnie podważają prawo międzynarodowe, atakują ideę konstytucjonalizmu i demontują liberalną demokrację. Co w sumie nie powinno dziwić: skoro liberalna demokracja i powojenny porządek międzynarodowy oparty na zasadach były ze sobą powiązane, to i zamiana demokracji w wydmuszkę i erozja prawa międzynarodowego idą w parze.

Benjamin Netanjahu stoi u siebie w kraju przed sądem pod wieloma zarzutami korupcji, jest poszukiwany przez Międzynarodowy Trybunał Karny za zbrodnie wojenne i przeciwko ludzkości w Gazie, ale nic z tego go nie powstrzymuje. Przeciwnie, raczej skłania do kolejnych kroków. Ucieka do przodu, przesuwając kolejne granice.

Od trzech dekad odmawia wolności i samostanowienia milionom Palestyńczyków oraz kieruje Izrael ku autorytaryzmowi, motywowany nie lepszą czy gorszą ideologią, lecz by zapewnić sobie przetrwanie polityczne. To samo czyni teraz, gdy przedstawia wojnę z Iranem jako kampanię na rzecz wolności narodu irańskiego i praw człowieka.

Po hebrajsku nazywa się to hipokryzją. W jidysz nazywa się to „chutzpah". ●

Michael Sfard

• urodzony w 1972 r., prawnik, specjalizuje się w prawach człowieka i prawie wojennym. Wnuk Zygmunta Baumana. Był sanitariuszem w armii izraelskiej, a powołany jako rezerwista odmówił służby na Terytoriach Okupowanych i siedział w więzieniu. Autor książki „Okupacja od środka: Podróż do korzeni konstytucyjnego zamachu stanu".

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

FOT. FRANCOIS NEL/GETTY IMAGES

• Wojna z Iranem i blokada Cieśniny Ormuz nie wpływają na dopływ dóbr wszelkich do Dubaju. Zjednoczone Emiraty Arabskie od 1 maja nie należą już do kartelu eksporterów ropy OPEC, więc same decydują ile ropy wydobywać i jak to wpłynie na cenę baryłki. Mogą też omijać blokadę Zatoki Perskiej, gdyż mają rurociągi do portu Fudżajra nad Zatoką Omańską

CZY W DUBAJU ZABRAKNIE IPHONE'ÓW

1 dolar na kontenerze. Kapitan żeglugi wielkiej o skali problemu z blokadą Cieśniny Ormuz.

Z **KUBĄ SZYMAŃSKIM***
ROZMAWIA **ROBERT STEFANICKI**

24 kwietnia sekretarz generalny IMO – Międzynarodowej Organizacji Morskiej – Arsenio Dominguez zaapelował do państw członkowskich o wsparcie wysiłków dla rozwiązania problemu w cieśninie Ormuz, gdzie 20 tysięcy marynarzy jest uwięzionych na około 1600 statkach. Dominguez ostrzegł, że zapasy – w tym woda, żywność i paliwo – zaczną się kończyć. Rzeczywiście jest tak źle?

– Nie jest tak źle. Członkowie mojej organizacji, InterManager, nie mają żadnych problemów z dostawami wody ani jedzenia. Shiphandlerzy, czyli firmy zajmujące się aprowizacją statków, mają teraz bardzo mały ruch w biznesie i chętnie obsługują tych, którzy są tam zatrzymani. Nie powiedziałbym, że „uwięzieni".

Uściślając, z tych 1600 statków część nigdy nie opuszcza Zatoki Perskiej, bo tylko tam pływają, tak jak my mamy statki, które nigdy nie ruszą się z Zatoki Gdańskiej. Ale rzeczywiście jest 20 tysięcy marynarzy, których nie powinno tam być, bo normalnie ich statki po załatwieniu swojego biznesu, czyli załadowaniu lub wyładowaniu towaru, opuściłyby Zatokę Perską.

Dlaczego w takim razie IMO bije na alarm?

– Czy bije na alarm? Próbuje naciskać, bo to nie jest normalna sytuacja. My, marynarze, nie jesteśmy stworzeni, żeby siedzieć na statkach stojących w porcie czy na kotwicy. Statki są do tego, żeby pływały, a marynarze od tego, żeby na tych statkach pracowali. Arsenio mówi o tym jako szef organizacji międzynarodowej, która ma dbać o dobro marynarzy, armatorów, zarządców statków.

Nie wiadomo, kiedy blokada cieśniny się skończy. Czy InterManager bierze udział w rozmowach o ewakuacji tych załóg?

– Nie ma potrzeby ewakuacji, marynarze mogą wylecieć i przylecieć, samoloty kursują. I nie jest tak, że nic nie robią podczas postoju. Oni utrzymują statki.

Mieliśmy na początku tego konfliktu sytuację, że marynarze, którzy byli w domu, nie wiedząc, co się będzie działo dalej w Zatoce Perskiej, nie chcieli lecieć, żeby zmienić kolegów. Ale sytuacja już jest pod kontrolą. Wiemy, że statkom, które tam są, nic złego się nie dzieje, więc marynarze też nie mają większych pretensji i lecą zgodnie z planem na wymianę załóg.

Czy zablokowanie tych statków powoduje niedobory w innych częściach świata?

– Tak. W Zatoce Perskiej utknęło 1200 statków, czyli 1 procent wszystkich, więc to nie jest wiel-

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Jak dużo zarobić na małym kryzysie

1

• **dolar**
najwyżej tyle na kontenerze kosztują producentów utrudnienia w Cieśninie Ormuz

1

• **proc.**
wszystkich statków transportowych pływających na świecie utknęło w Cieśninie Ormuz

800

• **z 12 tys.**
tankowców pływających na świecie utknęło w Cieśninie Ormuz

60

• **z tyloma masowcami Polska jest jednym z największych zarządców tego typu statków w Unii Europejskiej**

17

• **statków handlowych zostało uszkodzonych w Cieśninie Ormuz od marca, czyli od ataku USA i Izraela na Iran**

ki problem, ale też nie jest to normalna sytuacja, szczególnie że mówimy głównie o tankowcach.

Tankowców w sumie jest 12 tys., ale tylko połowa wozi paliwo po całym świecie, reszta jeździ wyłącznie pomiędzy konkretnymi portami, po tzw. mostach, np. między Szczecinem a Świnoujściem.

I jeżeli z tych 6 tys. tankowców 800 utknęło w Zatoce Perskiej, to jest problem. W innych miejscach, gdzie odbywa się produkcja naftowa, zaczyna brakować tych statków. Trzeba by je przerzucić z daleka, a przemieszczenie na przykład z Zatoki Omańskiej do Zatoki Meksykańskiej zajmuje pięć tygodni.

Mimo wszystko nie sądzę, żebyśmy mieli większe problemy. Najlepiej spojrzeć na frachty, czyli ile trzeba zapłacić za przewóz ładunku. Gdy statków brakuje, cena rośnie. Teraz ceny frachtu się już uspokoiły. Sytuacja jest jednak dynamiczna, nie tylko z powodu wojny z Iranem. Np. pod koniec kwietnia Zjednoczone Emiraty Arabskie wystąpiły z OPEC.

Emiraty będą produkować więcej ropy, co potencjalnie zwiększa zapotrzebowanie na tankowce.
– Otóż to. Do tej pory w ramach OPEC wolno im było wydobyć 3,5 mln baryłek, a mają możliwości na 5 mln. Ale spójrzmy na to w odpowiednim kontekście, bo pewnie mało kto wie, co to jest ta baryłka.

Otóż tankowiec, który nazywamy VLCC, od Very Large Crude Carrier, zabiera 2 mln baryłek. Czyli Emiraty zapełniają półtora statku, a będą mogły zapełnić dwa.

Dziennie. Rocznie wychodzi 700 tankowców.
– A miejsca w porcie mają na 25 statków. Tak więc oni magazynują to, co mają, w zbiornikach. Statek podchodzi i ładuje się w ciągu 24 godzin.

Teraz się to zatkało.
– W Zatoce Perskiej, ale Emiraty mają też porty poza Zatoką. Tak jak i Arabia Saudyjska, która chce zwiększyć przepływy swoich rurociągów na stronę Morza Czerwonego, żeby tam załadowywać statki.

Laikowi te 1600 czy, jak pan woli, 1200 statków zablokowanych w Zatoce, to wydaje się strasznie dużo. Dla porównania: Polska ma takich statków 80, z czego jedynie 14 pływa pod polską banderą. Maersk, jedna z największych firm, ma ich ponad 700.
– Pomieszał pan różne rodzaje statków. Polska nie ma tankowców. Mamy masowce, które wożą węgiel, fosfaty i inne rzeczy. Masowców na świecie jest około 12 tys. Polska ma ich ponad 60 i jest jednym z największych zarządców masowców w Unii Europejskiej. A biorąc pod uwagę, że należą do jednego armatora, Polskiej Żeglugi Morskiej, mamy jednego z największych armatorów masowcowych na świecie.

Z kolei Maersk zajmuje się kontenerowcami. One też utknęły w Zatoce Perskiej, w liczbie około 250. Akurat Maersk jest raczej małą firmą, bo ma tylko 346 własnych statków. Resztę pożycza. To tak, jakby powiedzieć, że Uber jest duży, a przecież to franczyza, nie ma swoich samochodów. Armatorzy dają swoje statki Maerskowi, żeby nimi zarządzał. Maersk ma świetny marketing i w Polsce rzeczywiście jest znana ich biała siedmioramienna gwiazdeczka na niebieskim tle.

Ale największa na świecie jest japońska MOL, czyli Mitsui O.S.K. Lines. Mają około tysiąc statków, czyli są trzy razy więksi od Maerska. To kontenery z zielonym aligatorkiem. Ich statki są pomalowane na różowo i mają napisane na burcie ONE.

Na kotwicowiskach przed wejściem do cieśniny Ormuz od strony zatoki Omańskiej stoi ponad 150 jednostek. Te mogą zawrócić. Opłaca im się tak czekać?
– Gdyby się nie opłacało, toby nie czekały. Część jest pusta, część pewnie załadowana długopisami, papierem toaletowym, iPhone'ami i innymi produktami, zwykle z Chin, na które czekają kraje Zatoki Perskiej. Blokada dostaw to dla tych państw problem. Normalnie samolotami wozi się co najwyżej kwiaty z Holandii. 90 procent wszystkich ładunków na świecie jest transportowane drogą morską.

Ile kosztuje postój statku i kto za to płaci?
– Płaci pan i ja, bo w finalnym rozliczeniu zawsze zapłaci końcowy klient. A międzyczasie płaci czarterujący, czyli ten, kto wynajął statek. Koszt zależy od wielkości i jakości tego statku. Mówimy o kilku, kilkunastu, może 25 tys. dolarów za dzień. To robi wrażenie, ale proszę pomyśleć, że na statku jest 24 tys. kontenerów, czyli wychodzi 1 dolar za dzień na kontener. To jest nic, prawda?

Ruch w cieśninie zamarł, bo statki boją się, że zostaną ostrzelane. Od początku marca 17 statków handlowych zostało uszkodzonych. Jeden holownik zatopiony, bo wpłynął na minę morską. 7 jednostek zostało porzuconych przez załogi ze względu na pożary lub ryzyko zatonięcia.
– To nie jest tak, że kapitan sam podejmuje decyzję o przepłynięciu cieśniny Ormuz. Statek jest jak fabryka, która ma zarząd i radę nadzorczą. Kapitan dostaje polecenia. Oczywiście jego decyzja jest zawsze ostateczna. Może powiedzieć: „Ja tam nie jadę". Ale nie będzie nigdy takiej sytuacji, że dostanie polecenie „Nie jedź", a on pojedzie.

Kapitanowie tych 17 statków dostali informacje, że wszystko jest w porządku, mogą jechać. Więc pojechali – i nie z własnej winy stali się ofiarą konfliktu politycznego. Teraz nikt już nie chce podjąć tak ryzykownej decyzji – ani ci na statku, ani ci na lądzie. Czekają, aż się wszystkie strony dogadają, że jest już bezpiecznie.

Dwa statki zostały zajęte przez siły irańskie i uprowadzone do portu Bandar Abbas. Kto negocjuje ich uwolnienie?
– Armatorzy. Od kuchni wygląda to w ten sposób, że każdy armator należy do P&I Clubu [od *protection and indemnity insurance*] zrzeszającego organizacje ubezpieczeń wzajemnych. Jest ich 13. Jeśli jednemu statkowi coś się przydarzy, to wszyscy się zrzucimy na wypłatę odszkodowania. I klub ma swoich negocjatorów, których wysyła, bo jest zainteresowany, żeby ten statek został zwolniony jak najszybciej.

Oczywiście armator również i czarterujący, czyli osoba, która jest właścicielem ładunku na tym statku, bo niejednokrotnie wartość ładunku jest większa niż wartość statku. Zwłaszcza jeżeli to produkty, które łatwo się psują.

Jak na sześć tygodni intensywnej wojny, na dziwny rozejm i na zagęszczenie ruchu morskiego w tym rejonie, straty materialne nie wydają się duże. Proszę wytłumaczyć, jak to się dzieje, że uderzone pociskiem statki nie toną, nie wybuchają. Część, większość nawet, wiezie łatwopalne ładunki.
– Zacznę od tego, że shipping jest bezpieczny i dla środowiska, i dla ludzi jako miejsce pracy. Liczba statków, które toną, utrzymuje się na tym samym poziomie od wielu lat, a przecież ogólna liczba statków wzrasta. Statek jest trudno zatopić. Ludzie często boją się gazowców. Ja jestem z gazowców, więc wiem o nich trochę więcej niż o innych statkach i znam tylko jeden przypadek, gdzie udało się zatopić gazowiec, we Włoszech.

Kuba Szymański

• rocznik 1966, kapitan żeglugi wielkiej, sekretarz generalny międzynarodowego stowarzyszenia armatorów InterManager, rzeczoznawca sądowy w wypadkach morskich, przewodniczący organizacji charytatywnej wspierającej zdrowie marynarzy Seafarers Hospital Society, uczestnik regat żeglarskich. Od 26 lat mieszka na brytyjskiej wyspie Man.

Podawano, że zatonął, ale podobno dalej dryfuje. Chodzi o rosyjski „Arctic Metagaz", zaatakowany na początku marca prawdopodobnie przez ukraińskie drony nawodne wystrzelone z wybrzeża Libii.
– Gazowce i tankowce są tak zbudowane, że mają wiele przedziałów i zalanie jednego z przedziałów nie powoduje zatonięcia całej jednostki. Eksplozja może spowodować wyrwanie 3-4 zbiorników, ale dalej jest 30-40 innych, które go utrzymają na wodzie. Ponadto gaz jest trzymany w dodatkowych zbiornikach, które otoczone są jeszcze innymi – nazywamy je *void space* – a do tego dookoła są jeszcze zbiorniki balastowe.

Najgorszy jest pożar siłowni, bo wtedy serce statku przestaje bić. Jak nie mamy siłowni, to nie mamy pomp, nie mamy elektryczności. Wtedy holowniki do niego muszą podejść i go odholować. Mieliśmy niedawno taki wypadek, kiedy kontenerowiec u wybrzeży Wielkiej Brytanii zderzył się z tankowcem na kotwicy. Spaliły się obie jednostki, ludzie zostali ewakuowani, ale paliwo przetrwało i zostało odpompowane ze statku.

Odnotujmy jeszcze straty ludzkie w konflikcie z Iranem. Potwierdzono śmierć co najmniej 12 marynarzy, a kilku uznaje się za zaginionych.
– Te 12 osób to ofiary, o których na pewno wiemy, ale wiadomo, że ci zaginieni już się nie odnajdą. Albo utonęli, albo spłonęli w pożarze. Straszliwie mi ich żal. Ci ludzie pojechali do pracy, nie na wojnę. To jest absolutna makabra. My po to wyjeżdżamy z domu, żeby tego domu wrócić z pieniędzmi, zapewnić rodzinie fajne, spokojne życie. Nie było żadnych ostrzeżeń. Nikt nam nie dał szansy, żebyśmy tam naszych statków nie wysyłali, żebyśmy mogli je szybko ewakuować. Znaleźliśmy się w złym miejscu w złym czasie.

Czy w kontrakcie z marynarzem widnieją zapisy na taką okoliczność, jak mamy w cieśninie Ormuz?
– Tak. Nikt z nas nie jest żołnierzem, nie piszemy się na wyjazd do stref wojennych. P&I Cluby dogadują się z ITF, Międzynarodową Federacją Transportowców zrzeszającą związki zawodowe marynarzy, co do tego, które rejony uznać już za strefę wojenną. Każdy marynarz ma prawo odmówić wyjazdu w taki teren. Ale ci, którzy się na to zdecydują, dostają większe pieniądze.

Czy marynarze operujący na takich niebezpiecznych wodach dostają jakieś specjalne wytyczne, szkolenia dotyczące bezpieczeństwa?

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

– Tak, tylko uczymy nie przed, a już w trakcie, niestety, bo sytuacja jest dynamiczna. Na statkach odbywają się alarmy ćwiczebne. Mamy pewne procedury, jeśli chodzi o wojnę, o strzelanie, o drony. Był problem z piratami i do tego się przygotowywaliśmy. Ale statki handlowe nie są budowane na wojnę. Najważniejsza rzecz to uniknąć ryzyka. Nie pakować się w miejsca, gdzie strzelają. A jak już się coś wydarzy, minimalizować konsekwencje.

Do kogo należy cieśnina Ormuz?
– Nie należy do nikogo. Nie jest tak, że cieśniny duńskie należą do Danii, cieśnina Malaka do Singapuru. Nawet Bosfor nie należy do Turcji, chociaż oba brzegi są tureckie. Świat się dogadał, że wszyscy mamy prawo z tego korzystać, statki mają prawo wolnego przepływu, nie będziemy zamykać.

Jednak formalnie są to wody terytorialne Omanu i Iranu. To chyba daje tym krajom jakieś uprawnienia wobec przepływających tamtędy statków, np. do inspekcji? Zastanawiam się, czy w tym sensie Iran ma większe prawo do tej cieśniny niż Stany Zjednoczone.
– Nie kojarzę takich ustaleń. Mogę posłużyć się tylko analogią: Kanał Angielski, zwany również La Manche, ma podobną strukturę i ani Anglicy, ani Francuzi nie aresztują ani nawet nie zatrzymują do kontroli żadnych statków. Więc jako marynarz nie spodziewałbym się zatrzymań ze strony żadnego z państw nadbrzeżnych.

Oczywiście można się zastanawiać czy Stany Zjednoczone w ogóle powinny być w cieśninie Ormuz, bo gdzie Rzym, gdzie Krym, ale Iran też nie powinien blokować. I jeśli uznamy, że USA są światowym policjantem, to dlatego tam są.

Kiedy podczas wojny w Gazie jemeńscy Huti zagrozili żegludze na Morzu Czerwonym, statki zaczęły je omijać i płynąć dookoła Afryki zamiast przez Kanał Sueski. Patrząc na mapę, cieśniny Ormuz nie da się ominąć, bo jest to jedyna morska droga z Kataru, Bahrajnu, Kuwejtu. To szokujące, że jedno państwo albo nawet jedna grupa zbrojna, może zagrozić bezpieczeństwu energetycznemu i żywnościowemu – bo z ropy produkowane są nawozy – całego świata, dzięki temu, że ma kontrolę nad wąskim pasem wody, po którym przewozi się 20 procent eksportowanej ropy i gazu.
– I ja myślę, że to jest dzwonek alarmowy dla wszystkich, żebyśmy zweryfikowali swoje poglądy na świat. Czuliśmy się bezpiecznie. Całe moje dorosłe życie, człowieka urodzonego 20 lat po II wojnie światowej, odbyło się w komfortowych warunkach, w okresie rozkwitu, rozwoju. Dopiero ostatnie 4 lata zaburzyły ten porządek. Myśleliśmy, że jeśli rosyjscy oligarchowie będą inwestowali na Zachodzie, to nie będą mieli interesu, żeby ten Zachód atakować, prawda? Okazało się, że to nieprawda. Wali się nasz porządek i próbujemy znaleźć inny.

Chiny zachowują się naprawdę odpowiedzialnie, bardzo powściągliwie. Osobiście jestem zadowolony, że nie dolewają oliwy do ognia, nie zaostrzają konfliktu, tylko pilnują swoich interesów. I na tym zyskują. Wraz z Rosją, Brazylią, Indiami tworzą oddzielny blok. Odchodzenie od płacenia za paliwo dolarami to jest wynik, którego Trump się nie spodziewał. Będzie to miało dalekosiężne skutki, ale gdzie z tym wszystkim wylądujemy, nie mam pojęcia.

Czy obecność międzynarodowej straży morskiej poprawia bezpieczeństwo żeglugi? Od 2023 roku trwa taka operacja na Morzu Czerwonym. W Zatoce Perskiej Trumpowi nie udało się nikogo namówić na podobne przedsięwzięcie.
– W tym konflikcie nie pomaga, bo tu się państwa tłuką między sobą. Natomiast bardzo się pomaga, jeśli mamy do czynienia z małymi grupami, z piratami na przykład.

Kiedy Iran zablokował cieśninę Ormuz, w odpowiedzi Stany Zjednoczone nałożyły blokadę na statki kursujące do z irańskich portów, bo wcześniej Iran z powodzeniem omijał amerykańskie sankcje i eksportował ropę przy pomocy tzw. floty cienia. Jak ją zdefiniować?
– To jest flota statków, którym udaje się pływać poza przepisami. To statki wynajęte najczęściej przez jakąś organizację, która dogaduje się z drugą organizacją, odbiorcą towaru, więc nie muszą spełniać wymogów międzynarodowych, dopóki pływają tylko po ograniczonym akwenie.

Załóżmy, że Indie dogadają się z Iranem. Jeśli te statki będą pływały tylko po irańskich i indyjskich wodach, to mogą sobie robić, co chcą. Ale jak wypływają dalej, to każde państwo, do którego zawija taki statek, ma obowiązek sprawdzenia, czy on spełnia wymogi.

Dla nas najważniejsze jest, żeby był ubezpieczony, bo jeśli narobi bigosu, np. zatonie i wyleje dużo oleju, to ktoś musi to wyczyścić. Zależy nam też na tym, żeby ludzie pływający na tych statkach byli odpowiednio przeszkoleni, opłaceni i pracowali w środowisku bezpiecznym dla nich i dla wszystkich dookoła.

Czyli statkowi nieubezpieczonemu nie wolno pływać po wozach międzynarodowych.
– A czy panu samochodem nieubezpieczonym wolno jeździć po ulicy? Jak pan ma własne pole, to może tam jeździć. Wody międzynarodowe należą do wszystkich ludzi i podjęliśmy decyzję, że musimy być ubezpieczeni.

Skąd się biorą statki używane w tych flotach cienia?
– Państwa Zachodu sprzedają swoje statki ludziom, którzy je w ten sposób wykorzystują. One pochodzą od armatorów amerykańskich, norweskich, brytyjskich, holenderskich, może nawet i polskich.

Statek ma 20 lat, można go oddać na złom, za co dostalibyśmy w tej chwili pewnie 100 dol. za tonę, czyli jak statek waży 7 tys. ton, to dostaniemy 700 tys. dol. Albo możemy go sprzedać za parę milionów komuś, kto chce go dalej używać.

A kto pływa na tych statkach?
– Marynarze, którzy często nie wiedzieli, że mustrują się do floty cienia.

My jesteśmy jak aktorzy, każdy ma agenta. Te agencje dogadują się z armatorami, którzy mówią: „Potrzebuję załogę na trzy statki, załatwcie mi kapitanów, chiefów i tak dalej". Agencje mają obowiązek sprawdzenia i armatora, i marynarzy.

Ale co się dzieje z marynarzami, którzy nie mogą się zatrudnić przez agencję, bo nie mówią dobrze po angielsku, bo mają choroby i nie dostaną świadectwa zdrowia? Albo mają 60 czy więcej lat i już ich armator nie chce, mówi: „Ty, chłopie, się już się napracowałeś, idź na emeryturę". A jego jeszcze ciągnie. Więc myśli, że zrobi złoty strzał i zatrudnia się bezpośrednio u armatora. Często flota cieni płaci bardzo dobre pieniądze, przynajmniej w teorii. Ale jak ktoś dużo płaci, to coś musi śmierdzieć.

Filipiny są globalnie największym dostawcą marynarzy, ale mało Filipińczyków pracuje we flotach cienia. Dlaczego? Bo Filipińczyk nie może wyjechać sam na kontrakt, musi to załatwić przez agencję.

Polak nikogo nie musi pytać. Polak wręcz nie lubi agencji, bo Polakowi się zawsze wydaje, że agencja zedrze z niego skórę.

Czy praca na takich statkach nie grozi utratą certyfikatu uprawniającego do wykonywania zawodu?
– Nie grozi. Śmiem twierdzić, że większość marynarzy zatrudnionych we flocie cienia nie ma pojęcia, że pływa we flocie cienia. Pracują jak na każdym innym statku. Może jest to ich naiwność, a może nie są w stanie rozpoznać, co jest grane. Jeśli mają dobrze płacone i warunki pracy są dobre, to dlaczego mieliby mieć wątpliwości. Można poszukać analogii do różnych firm-przekrętów w Polsce zatrudniających setki Bogu ducha winnych ludzi, którzy codziennie wykonywali swoją pracę, a dowiedzieli się, że brali udział w przestępstwie, dopiero wtedy, gdy za ich właścicielami wysłano listy gończe.

Dlaczego niektóre bandery są preferowane przez operatorów floty cienia? Np. rosyjskie statki lubią pływać pod flagą Gwinei.
– Bo to są bandery, które prawie niczego nie wymagają. Wystarczy zapłacić. No i mamy takie flagi, jak np. Mongolia, która też jest dość łatwa. Proszę się nie śmiać, bo bandera Austrii jest całkiem mocna, Luksemburgu też. Te państwa nie mają dostępu do morza, ale nie przeszkadza im to mieć floty.

Nie powiedziałbym, że marynarze są „uwięzieni" w Cieśninie Ormuz. Nie mają większych pretensji, woda i jedzenie na statki dociera, mogą wylecieć i przylecieć, samoloty kursują

Unia Europejska próbuje walczyć z flotami cienia. W lutym 2026 roku wprowadziła nowy pakiet sankcji uderzający w 633 jednostki wymienione z nazwy. Zakazano im wstępu do europejskich portów i korzystania z usług morskich, jak ubezpieczenia, serwis, holowanie. W ostatnim pakiecie sankcji z 23 kwietnia po raz pierwszy na liście znalazł się terminal spoza Rosji i Iranu – Karimun Oil Terminal w Indonezji, oskarżony o bycie hubem dla floty cienia. Wprowadzono obowiązek dołączania do kontraktów sprzedaży starych tankowców klauzul, że nie wolno ich przekazać Rosji. Firmy z Unii dostały całkowity zakaz serwisowania rosyjskich gazowców LNG. To zadziała?
– Wydaje mi się, że tak. Ale wcześniej czy później znajdą obejścia, Życie pokazuje, że jak stworzy się jakiś przepis, to ludzie błyskawicznie kombinują, w jaki sposób go obejść.

Flota cienia używała tego terminala w Indonezji, ale nie zapominajmy, że przecież brytyjskie, niemieckie i polskie firmy bardzo długo brały gaz i ropę z Rosji. Zachodziliśmy w głowę, jak to jest możliwe, że diamenty z Rosji są cały czas obrabiane w Belgii. Dopiero w styczniu 2025 roku firmy brytyjskie powiedziały, że nie będą obsługiwały rosyjskich pieniędzy uwikłanych w paliwo.

Większość Polaków jeżdżących po świecie używa Revoluta, a dyrektor tego banku jest synem dyrektora Gazpromu. Przez Ukrainę przechodzi ruski gaz na Węgry, prawda?

1 marca Belgia zatrzymała w swojej strefie ekonomicznej 180-metrowy tankowiec „Ethera" płynący z Maroka do Rosji. Zarzut postawiono taki, że „Ethera" płynęła pod fałszywą banderą Gwinei. Co to znaczy?
– Domyślam się, że pewnie była powieszona gwinejska flaga, ale tak naprawdę statek nie był tam zarejestrowany.

Belgia uznała, że ma prawo zatrzymać ten statek, bo rejestracja w Gwinei jest często nielegalna lub podwójna, tzn. statek wciąż figuruje w rejestrze rosyjskim. Unia Europejska traktuje takie jednostki jako statki bezpaństwowe. Jeden z ekspertów belgijskich powiedział, że statek bez bandery niemal automatycznie łamie ogólne zasady bezpieczeństwa, ochrony środowiska itd., więc Belgia może zastosować wobec niego swoje przepisy krajowe.
– No i super. Jest takie powiedzenie, jak chcesz uderzyć psa, to kij znajdziesz. Belgowie stanęli na wysokości zadania. Chciało im się. Tylko proszę zwrócić uwagę, ile tych statków wcześniej przeszło przez kanał La Manche. Anglicy i Francuzi mogli je zatrzymać, ale nie znaleźli powodu. Wygodniej jest przymknąć oko. Nie wchodzi do naszego portu, to odwróćmy wzrok, niech sobie przejedzie, dlaczego mamy być szeryfami.

Były przypadki niszczenia infrastruktury podmorskiej przez statki związane z Rosją. Jak tutaj wygląda odpowiedzialność? Czy taką jednostkę można zaaresztować na wodach międzynarodowych?
– Zgodnie z UNCLOS, czyli Konwencją Narodów Zjednoczonych o Prawie Morza, na pełnym morzu obowiązuje zasada wyłącznej jurysdykcji państwa bandery. Czyli tylko kraj, pod którego flagą płynie statek, ma prawo go zatrzymać i ukarać. UNCLOS pozwala na dokonanie inspekcji statku na wodach międzynarodowych, ale tylko w ściśle określonych przypadkach: piractwo, handel niewolnikami, nieautoryzowane nadawanie radiowe, brak bandery. Uszkodzenie kabla to za mało, żeby móc wejść na pokład. Chyba że takie zdarzenie nastąpiło na wodach danego kraju, a następnie sprawca uciekł na wody międzynarodowe, wtedy straż przybrzeżna tego kraju może kontynuować pościg.

Prawo przewiduje wyjątek: jeśli zniszczenie kabla zostanie uznane za akt terroryzmu lub sabotażu w ramach konfliktu hybrydowego, państwa mogą próbować interweniować, powołując się na prawo do samoobrony, ale to interpretacja kontrowersyjna prawnie.

Definicja terroryzmu jest rozciągliwa.
– Tak naprawdę wszystko jest kwestą odpowiedniej determinacji. W większości przypadków czeka się, aż statek wpłynie do dowolnego portu. Ścigany rosyjski statek raczej wpłynie do rosyjskiego portu, gdzie nic mu nie grozi. Ale jakby udało się go zatrzymać, to można dokonać aresztu statku na poczet przyszłych odszkodowań. Tylko wcześniej trzeba wyjaśnić, czy zrobił to specjalnie, czy przez przypadek. Bo zniszczenie kabla może się zdarzyć niechcący: rzucę kotwicę w rejonie, gdzie mi wolno, po czym mnie zdryfuje i tą kotwicą coś tam urwę.

Ja bardziej się zastanawiam, jak kapitana namówić, żeby dokonał takiego przestępstwa. Strasznie śliska sprawa. Pewnie dostał dużą kasę.

Statki floty cienia wyłączają transpondery, czyli systemy śledzenia. To jest nielegalne, ale jaka właściwie kara za to grozi?
– Nie ma kary, bo te transpondery są trochę „cienkie". Mnie się też zdarzało, że transponder przestawał działać sam z siebie. Tak więc trudno udowodnić złe intencje. Druga rzecz, że łatwo jest zrobić spoofing, byle haker to potrafi. Wtedy sygnał z mojego transpondera pojawia się w zupełnie innym miejscu na świecie. Mam pretensje do IMO, że spieszyliśmy się i wprowadziliśmy bubel.

My mieliśmy taką procedurę, która została później zawieszona, że w rejonach pirackich wyłączaliśmy transpondery po to, żeby piraci nas nie widzieli. Potem doszliśmy do wniosku, że lepiej jednak mieć to włączone, żeby wojsko nas widziało. Statki, które nie mają transpondera włączonego, były uznawane za pirackie. W tej chwili nikt już się tym nie bawi. A statek i tak widać, na radarze, na satelicie. Jak jestem kapitanem floty cienia i wyłączę transponder, to tak jakbym krzyczał: „Hej, jestem złodziejem, proszę się mną zainteresować". Krótko mówiąc, na morzu nie można się schować. To nie jest tak, jak myśli trzyletnie dziecko, że zamknie oczy i go nie widać. ●

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

CHINY OGLĄDAJĄ USA W LUSTERKU WSTECZNYM

Stały się ekscytującym, ciekawym miejscem do życia dla naukowców, inżynierów, biznesmenów. Nie są supermocarstwem już tylko w wyobraźni ludzi Zachodu.

Z **JENNIFER LIND***, SPECJALISTKĄ M.IN. OD POLITYKI PAŃSTW AZJATYCKICH ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

Chiński policjant pełni wartę na deptaku Nanjing Road w Szanghaju podczas obchodów Święta Pracy 1 maja br.

FOT. ALEX PLAVEVSKI/PAP/EPA

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

MATEUSZ MAZZINI: Czym jest inteligentny autorytaryzm?
JENNIFER LIND: – Nową ewolucją ustroju, który jeszcze do niedawna w literaturze poświęconej stosunkom międzynarodowym nazywano autorytaryzmem rozwojowym.

Od dawna wiemy, że kraje niedemokratyczne, w tym otwarcie autorytarne, mimo braku wolności politycznych mogą wytworzyć znaczący wzrost gospodarczy. Początkowo dominowało jednak przekonanie, że cud gospodarczy w autorytaryzmie możliwy jest wyłącznie na bardzo niskim poziomie rozwoju. Krótko mówiąc – jeśli te państwa były bardzo biedne, a rząd zaczynał je industrializować, centralizując przy tym zarządzanie gospodarką i mobilizując zasoby publiczne do inwestycji, na przykład w obronność czy aparat przymusu, to podstawowe wskaźniki makroekonomiczne rosły. Konsensus zakładał jednak, że ten model się wyczerpuje, kiedy takie państwo przechodzi z niskiego na średni poziom rozwoju gospodarczego.

Dlaczego?
– Bo konwencjonalna ekonomia zakłada, że na takim etapie ewolucji do utrzymania wysokiego tempa wzrostu potrzebne są innowacje w gospodarce. A o nie bardzo trudno w systemach autorytarnych, gdyż z definicji brakuje w nich wolności gospodarczych, politycznych oraz indywidualnych. Do wytworzenia i wprowadzenia innowacji potrzebne są utalentowane jednostki, którym państwo musi stworzyć warunki do pracy – w tym do edukacji, wymiany doświadczeń, wolnej konkurencji, możliwości podejmowania ryzyka. Wszystko to elementy, o które w autorytaryzmie bardzo trudno.

Z tego powodu ekonomiści byli przekonani, że jeśli jakieś państwo autorytarne szybko rozwija się gospodarczo, z czasem wytworzy odpowiednio dużo dóbr, usług i kapitału, żeby powstała w nim silna klasa średnia. Wtedy naturalnym etapem staje się dążenia do poszerzenia praw politycznych, a z czasem – odśrodkowa liberalizacja systemu. Na koniec dostajemy wolne wybory, zmianę ustroju na demokrację i otwarcie na świat.

A potem na przełomie lat 80. i 90. pojawiły się tak zwane azjatyckie tygrysy – przede wszystkim Tajwan, Korea Południowa i Singapur – i w teorii zaczęły pojawiać się dziury. Okazało się bowiem, że systemy autorytarne też były w stanie wytwarzać innowacje. Szok był tym większy, że światowa gospodarka znajdowała się w szczególnym dziejowym momencie. To były początki triumfu globalizacji, maksymalnej liberalizacji w handlu międzynarodowym oraz eksplozji tak zwanej ekonomii informacji. Wzrost gospodarczy coraz bardziej zależał od wysoko wykwalifikowanej siły roboczej, kapitału ludzkiego, dostępu do danych i nowych technologii.

Teoria modernizacji, czyli ten klasyczny konsensus z lat 60., sugerowała, że w tym momencie azjatyckie autokracje całkowicie się zablokują – tymczasem one pędziły do przodu szybciej niż większość liberalnych demokracji.

A przecież dopiero co Związek Radziecki dostarczył doskonałej ilustracji tej tezy – w pierwszych dekadach istnienia wytwarzał spory wzrost, ale przy użyciu podstawowych, archaicznych narzędzi. Im więcej trzeba było innowacji, tym bardziej ten radziecki wzrost hamował, aż wreszcie ZSRR się rozpadło. Więc wszyscy spodziewali się, że tylko kraje demokratyczne będą w stanie rywalizować w tej nowoczesnej rzeczywistości.

Lecz wkrótce wszyscy się uspokoili, szok związany z azjatyckimi tygrysami opadł, bo z czasem Korea Południowa i Tajwan zaczęły się liberalizować. Eksperci i publicyści odetchnęli: teoria działa, do komponentu ekonomicznego doszedł polityczny.

Tylko ten Singapur...
– ...który zaczął zastanawiać naukowców, bo dalej notował olbrzymi wzrost gospodarczy, a ustrój nie liberalizował się, rotacja u władzy nie następowała. Ale uznano, że to wyjątek warunkowany specyficznym położeniem geograficznym i trajektorią historyczną. Położenie na przecięciu szlaków handlowych, dziedzictwo brytyjskiego kolonializmu – jak na Azję to unikatowa mieszanka. Nikt nie sądził, że ten model można odtworzyć gdzieś indziej.

Tymczasem odtworzyły go Chiny. I doskonaliły, aż stworzyły ustrój totalitarny, który pod bardzo wieloma względami prześcignął Zachód, nawet USA, w innowacjach i technologii.
– W dyskusji o Chinach za datę graniczną często uznaje się rok 2001, kiedy Pekin dołączył do Światowej Organizacji Handlu. Moim zdaniem to zbyt krótki horyzont, bo Chiny zaczęły wdrażać elementy autorytaryzmu rozwojowego już w latach 70.

Deng Xiaoping rozpoczął rządy od bardzo prostego założenia: jego kraj był wtedy jednym z najuboższych na świecie, więc chciał wydźwignąć ludzi z biedy. O inspiracje nie było trudno, bo sąsiedzi wszędzie naokoło się bogacili, na początku wcale nie będąc demokracjami. Deng zrozumiał, że autorytaryzm rozwojowy wymaga nakładów na edukację, opiekę zdrowotną, ale też na profesjonalizację służby cywilnej.

Te trzy rzeczy: zdrowsza i lepiej wykształcona populacja żyjąca w lepiej zarządzanym państwie miały przynieść wzrost gospodarczy – i rzeczywiście tak się stało. Zamiast zastanawiać się, kto jest bardziej czerwony w przekonaniach, urzędników selekcjonowano na podstawie zdolności.

Elementy merytokracji wystarczyły, żeby Chiny zrobiły pierwszy krok na drabinie rozwojowej, bo rzeczywiście sporo osób wtedy wyszło z najbrutalniejszej biedy. Ale żeby skoczyć wyżej, potrzeba innowacji – z tym zgadzała się i teoria modernizacji, i azjatyckie tygrysy. Wtedy Chiny, przynajmniej częściowo, zaczęły wdrażać narzędzia przyciągające zachodnie inwestycje. Zbudowano relatywnie przewidywalny system sądownictwa i obiecano partnerom z zagranicy, że ich prawa własności intelektualnej będą respektowane – choć to akurat okazało się wyłącznie teorią. Pekin szedł wiernie po ścieżce wytyczonej przez inne kraje azjatyckie.

Ja już w tym momencie mam wątpliwości co do tej analizy, bo nie mówi ona wiele o czynniku ludzkim. Zawsze fascynowało mnie, jakim cudem zamknięty, opresyjny system zatrzymał lub ściągnął z powrotem tak wiele talentów. Siergiej Guriew i Daniel Teisman w książce „Spin dyktatorzy" dowodzili, że jeśli autorytaryzm się nie liberalizuje, exodus talentu jest nieunikniony. Tak było w Iranie po 1979 roku. A w Chinach nie.
– Żeby nie lukrować rzeczywistości, musimy przypomnieć, że z Chin nastąpił nie tak mały odpływ kapitału ludzkiego. Niemniej zgoda, to chyba najważniejsze pytanie o źródła chińskiego sukcesu, ale nie wiem, czy można na nie odpowiedzieć z zachodniej perspektywy.

Nam się zawsze wydaje, że w takich krajach jak Chiny nikt nigdy nie chciałby mieszkać dobrowolnie. Londyn, Paryż, Warszawa – jasne, ale nie państwo totalitarne. Lecz kolejne chińskie rządy robiły całkiem sporo, żeby młodych utalentowanych zatrzymać albo namówić do powrotu. Niektóre polityki publiczne, jak słynny Program 1000 Talentów, były olbrzymimi, centralnie sterowanymi inicjatywami związanymi właśnie z następnym skokiem rozwojowym.

I z czasem Chiny stały się ekscytującym, ciekawym miejscem do życia dla naukowców, inżynierów, biznesmenów. Ludziom na Zachodzie często nadal wydaje się, że powrót z USA czy Wielkiej Brytanii do Chin oznaczana zamianę pięknego, zadbanego, przemyślanego miasta na biedę i szarzyznę na wzór sowieckiej monotonii. To już całkowita nieprawda. Chiny są po prostu dla wielu ludzi atrakcyjne zawodowo. Tempo życia jest ogromne, Chińczycy są wciąż nienasyceni, głodni nowości, a do tego dochodzi specyficzny patriotyzm gospodarczy. Kiedy w ubiegłym roku na rynek trafił DeepSeek, chiński model sztucznej inteligencji osiągający zbliżone parametry do zachodnich, a sporo tańszy w produkcji, w Chinach zapanowała euforia, bo nagle „cały Zachód ściągał ich aplikację". Kiedy wokół siebie panuje taki narodowy entuzjazm, w dodatku przekładający się na realne sukcesy, to łatwiej się samemu nakręcić, przekonać, że fajnie tu być i dokładać swoją cegiełkę.

Tyle innowacja tłumaczy ten sukces tylko częściowo. W książce „Autocracy 2.0. How China's rise reinvented tyranny" wskazuje pani, że chińskie władze dobrze dopasowały swoje instytucje do modelu, w którym wzrost uzupełniają represje.
– Nasze zachodnie analizy patrzyły nie na te elementy autorytaryzmów, na które powinny. Koncentrowaliśmy się na naturze instytucji politycznych najwyższego szczebla, a konkretnie na wyborach. Jeśli dany kraj nie miał parlamentu wyłanianego w wyborach powszechnych, od razu dostawał łatkę państwa autorytarnego – a więc takiego, które nie będzie miało wzrostu gospodarczego. Ale może jednak nie chodzi o to, czy głosujesz sobie na posła, tylko o konkretne rozwiązania prawno-organizacyjne wprowadzane przez konkretne reżimy?

W Chinach polityka nadal jest ważniejsza od gospodarki. Xî Jinping kilka lat temu przykręcił śrubę wszystkim swoim gigantom technologicznym, oberwał nawet założyciel Alibaby Jack Ma.
– W modelu inteligentnego autorytaryzmu przywódcy próbują utrzymać równowagę pomiędzy kontrolą a wolnością niezbędną do innowacji. Co nie zmienia jednak faktu, że wciąż to są systemy autorytarne – a więc rządzone przez jednego człowieka, przywódcę. Autokraci nie przepadają za innymi osobami z dużą charyzmą, a do takich należą najczęściej szefowie spółek technologicznych.

Rzeczywiście, kiedy pięć lat temu Xî Jinping wyciągnął kij, większość moich kolegów pukała się w głowę: on uderza w swój najbardziej dochodowy sektor. Ale dla Xi najważniejsza na tym etapie jest kontrola, a nie wzrost. Wzrost już osiągnął.

Poza tym to jest bardzo zręczny przykład, bo pokazuje hipokryzję Zachodu. Wytykamy partii komunistycznej atak na prywatne spółki, a nie zastanawiamy się nad jego przyczyną. A była nią obawa przed zamianą ról w relacji władzy. Te spółki stały się tak bogate, wielkie i przede wszystkim tak bardzo zróżnicowane w swoich usługach, że zaczęły wchodzić na terytorium prerogatyw aparatu państwowego. Wtedy, w okolicach 2019 roku, chiński sektor technologiczny, w tym Alibaba, bardzo agresywnie rozwijał się na rynkach finansowych, zwłaszcza w pożyczkach, obiegu pieniądza – a to są silnie regulowane obszary. Xî Jinping uznał, że istnieje ryzyko, iż to firmy zaczną sterować państwem, a nie na odwrót. I niech mi pan uczciwie powie – czy czasem pięć lat później my, na Zachodzie, nie zmagamy się z tymi samymi problemami? Przecież nie ma w tej chwili ważniejszego wyzwania dla demokracji niż regulacje sektora technologicznego. Nadal nie wiemy, w jaki sposób i w jakim stopniu powinniśmy kontrolować obszar gospodarki, który zgromadził tak wiele kapitału i wpływu politycznego. Nie wiadomo nawet, czy to się w ogóle da jeszcze uregulować.

***Jennifer Lind**

• amerykańska badaczka zajmująca się stosunkami międzynarodowymi, polityką zagraniczną USA i polityką krajów azjatyckich. Wykłada na Dartmouth College, jest związana z Instytutem Japonistyki Uniwersytetu Harvarda oraz Chatham House. Autorka książek „Sorry States: Apologies in International Politics" i „Autocracy 2.0. How China's rise reinvented tyranny".

Rzecz jasna w historii Xî i Jacka Ma chodziło o to, żeby przedsiębiorcę pokazać społeczeństwu jako posłusznego człowieka, który mimo takiej potęgi i majątku słucha swojego przywódcy. Ale to tylko połowa opowieści. Drugą jest przekonanie, że system autorytarny utrzyma się, tylko jeśli władza polityczna skupiona w administracji państwowej zachowa kontrolę nad sektorem prywatnym. Xî pokazał liderom technologicznym miejsce w szeregu.

Czy aby administracja Trumpa nie przejmuje tego modelu? Jest teoria, że obecna ekipa w Waszyngtonie dąży do zwiększenia roli państwa w gospodarce, bo w warunkach całkowicie wolnorynkowych USA już mogą konkurować z Chinami.
– Nie tak szybko. I w Chinach, i w USA wpływ na decyzje polityczne mają dzisiaj dość wyjątkowe, bardzo dziwne relacje między konkretnymi jednostkami. Jeśli pan wie, o co chodzi w stosunkach Trumpa z Elonem Muskiem, to chętnie posłucham, bo dla mnie to wiedza tajemna. Co oczywiście nie zmienia faktu, że natura wyzwania jest taka sama. W obu krajach mamy sektor, który rozwija się szybciej niż cokolwiek w historii i który zagraża monopolom państwowym, więc oba kraje muszą się jak najszybciej do tego ustosunkować.

Przy czym to, co słychać zewsząd w Waszyngtonie, to zdziwienie odnośnie zdolności i wytrzymałości Chin. Uczestniczyłem kilka miesięcy temu zamkniętym spotkaniu z dyplomatami, na którym omawiana była polityka administracji Trumpa – i ciągle przebijało się stwierdzenie, że „to są inne Chiny niż w pierwszej kadencji". Kiedy nastąpiła ta ewolucja?
– Pisałam moją książkę przez kilka lat, Chiny obserwuję dużo dłużej – i takich ludzi jak ja dojście Pekinu do statusu supermocarstwa nie dziwi, wydaje się nieuniknionym finałem. Ich postęp był nie tylko imponujący, ale systematyczny, utrzymywany rok po roku. Pekin skakał do przodu we wszystkich wskaźnikach rozwoju, w efekcie dzisiaj Xî Jinping zarządza jedną z najbardziej innowacyjnych gospodarek na świecie – a to przecież miała być ta jedna rzecz, która Chińczykom nie ma prawa się udać. Skoro pokonali tę przeszkodę, spełnili wszystkie kryteria.

Przecież od razu widać, że dziś mamy do czynienia z graczem z najwyższej ligi. Po pierwsze, Chiny mają ogromną populację, a to jest podstawowy warunek siły. Może wydawać się niedzisiejszy – Nigeria też ma i co z tego? – ale przy przemyślanej reszcie systemu duża populacja pozwala ci na szybką industrializację z dużym efektem zwrotnymi. Im bardziej się rozwijasz, tym więcej ludzi się bogaci, więc kreujesz potężny rynek wewnętrzny i przynajmniej na początku nie jesteś zależny od eksportu. Poza tym masz spory rynek pracy i możesz myśleć o potędze militarnej. Po drugie, ich gospodarka urosła ogromnie przez ostatnie lata – są już drugą lub nawet pierwszą gospodarką świata, zależy, jakich mierników użyjemy. Sporą część tego wzrostu i wytworzonych zasobów wykorzystały do zwiększenia siły militarnej – do tego stopnia, że układ sił w Azji już zmienił się całkowicie względem ostatnich dwóch dekad. Jeszcze parę lat temu brakującym supermocarstwowym elementem były technologie, ale to już przestał być problem.

A więc Chiny spełniają już wszystkie te kryteria, co Stany Zjednoczone. Chiny nie są supermocarstwem tylko w wyobraźni wielu ludzi Zachodu – bo pomimo naprawdę imponujących innowacji, DeepSeeka czy oryginalnego sektora samochodów elektrycznych wciąż wie-

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

le osób albo patrzy wyłącznie na kryteria instytucjonalne i polityczne, albo wypiera rzeczywistość i nie widzi chińskich osiągnięć, wciąż powtarzając dawno nieaktualne mantry o niższej jakości, naśladownictwie, niemożliwych do nadgonienia latach opóźnień względem Doliny Krzemowej i tak dalej. Przez takie zadufane myślenie mnóstwo państw zachodnich przespało chińską rewolucję ostatnich 15 lat, nawet jeśli działa się ona częściowo w ich krajach, na ich rynkach.

Czy ten model można wyeksportować? Nawet jeśli Chiny same z siebie go nie promują ani nie narzucają słabszym partnerom, to wzbudza spore zainteresowanie w różnych częściach świata. Choćby Zjednoczone Emiraty Arabskie w kilku obszarach zachowują się tak samo, jak Pekin. Uda im się skopiować ten sukces?
– Bez dwóch zdań Emiraty próbują powtórzyć chińskie doświadczenie rozwojowe. Używają tych samych politycznych i ekonomicznych narzędzi, też inwestują olbrzymie pieniądze w badania i rozwój, kumulują kapitał ludzki wysokiej jakości, sprowadzają inwestycje, dzięki czemu już są ważnym graczem w rewolucji technologicznej. Jeśli pan przeanalizuje rankingi zaawansowania w zakresie sztucznej inteligencji, to malutkie państwo Zatoki Perskiej będzie w pierwszej piątce na świecie. Tam powstaje olbrzymi, centralnie sterowany ekosystem dla sztucznej inteligencji, więc to nie jest tylko kwestia jakiejś jednej solidnie dokapitalizowanej firmy. W ZEA powstają przedsiębiorstwa z udziałem państwa, które, zupełnie jak chińskie podmioty, wdrażają AI szeroko, we wszystkich dziedzinach gospodarki, nie tylko prowadzą wyścig o najlepszy model. Transport, inteligentne rolnictwo, zarządzanie zasobami naturalnymi, architektura – wszędzie tam w Emiratach dobrze działa już lokalna sztuczna inteligencja.

Podobnie, choć na inną skalę, działają też rządy Wietnamu, gdzie podstawą jest po prostu bardzo silny, energiczny, głodny sukcesów sektor prywatny, czy Arabii Saudyjskiej.

Oczywiście otwarte pozostaje pytanie, w jakich proporcjach uda im się powtórzyć sukces Chin. Saudowie radzą sobie najsłabiej, bo u nich dominuje starodawny, dość toporny model odgórnego zarządzania państwowymi spółkami. Wylewanie kubłów pieniędzy nie zawsze doprowadzi do wytworzenia innowacji. Nie każdy autorytaryzm przynosi sukces gospodarczy, bo nie każdy system autorytarny jest inteligentnie budowany. Arabia Saudyjska nie inwestuje w edukację ani do niej nie zachęca, nie pokazuje płynących z niej korzyści i możliwości – w wielu miejscach zamiast merytokracji trwa zarządzanie państwem przez personalne koneksje. Począwszy od samego ministra edukacji, którym mianowano jednego z książąt.

A same Chiny? Wiemy, że mają olbrzymie wewnętrzne problemy strukturalne. Kryzys demograficzny, wysokie bezrobocie wśród młodych, bańka na rynku nieruchomości. Jaki jest próg bólu Chińczyków, którym pensje już nie rosną tak szybko, za to życie drożeje?
– Od tych problemów rzeczywiście nie ma ucieczki i kiedyś odbiją się na sile i zdrowiu chińskiej gospodarki. Dodałabym jeszcze bardzo wysokie zadłużenie na szczeblu samorządowym – bardzo ważne, bo w Chinach wiele inwestycji finansuje się właśnie na szczeblu lokalnym, budżety niektórych prowincji są większe niż budżety całych suwerennych państw. Jeśli tam nastąpi załamanie, to innowacje bardzo mocno wyhamują.

Z drugiej strony nie można ignorować tego, co myślą i czują sami Chińczycy. W przeciwieństwie do większości społeczeństw Zachodu, w Chinach dominuje wielki optymizm chociażby względem sztucznej inteligencji i rewolucji technologicznej. A nie zawsze tak było – w latach 90., kiedy rząd restrukturyzował wielkie, przerośnięte spółki państwowe, pojawiło się wielkie bezrobocie i w ślad za nim społeczny pesymizm. Lecz koniec końców wyszli z tego, mało tego, dzieciom i wnukom tamtej generacji żyje się nieporównywalnie lepiej – więc państwo zyskało na wiarygodności w oczach obywateli. Stąd ten dzisiejszy optymizm mimo świadomości, że zmiany technologiczne niosą wiele ryzyk.

Na to nakłada się pytanie, co my tak naprawdę chcemy mierzyć i obserwować? Dla wielu ekonomistów znaczenie ma tylko PKB per capita, więc patrzą, czy Chiny staną się krajem wysokich zarobków i jak długo Xi utrzyma wzrost. Ja zajmuję się bezpieczeństwem i strategią, więc mnie interesuje bardziej geopolityka. I powiem panu szczerze, pod względem konkurencyjności w geopolityce i zdolności wywierania wpływu na świat – to już jest po wszystkim. Nie ma żadnej rywalizacji, Chiny oglądają USA w lusterku wstecznym.

> X Jinping uznał, że zaraz to wielkie, bogate i wchodzące w kolejne dziedziny życia firmy technologiczne zaczną sterować państwem, a nie na odwrót. I niech mi pan uczciwie powie – czy czasem pięć lat później my na Zachodzie nie zmagamy się z tymi samymi problemami?

Wielkim pytaniem poprzedniej dekady była kwestia zdolności wojskowych i modernizacji chińskiej armii. Czy Chiny będą w stanie konkurować z Ameryką, która ma przecież najbardziej zaawansowany kompleks przemysłowo-wojskowy na świecie? Już wiemy, że tak. I to się nie zmieni, Chiny będą superpotęgą bez względu na to, czy Xi i samorządowcy lepiej lub gorzej poradzą sobie z kryzysem długu publicznego.

W rozmowie z naukowcami z London School of Economics powiedziała pani, że Chiny stanowią odstępstwo od normy, bo stworzyły dobre, korzystne dla ludzi polityki publiczne bez demokratycznych wyborów na szczeblu państwowym. Co to znaczy „dobre, korzystne polityki"? Już nawet zostawiając na boku prześladowania i wynarodowianie Tybetańczyków czy Ujgurów – rozmawiamy o kraju orwellowskim, który decyduje, kto i jak ma rodzić, co należy, a czego nie należy studiować i monitoruje każdy krok obywatela.
– Zachód ma obsesję na punkcie wolnych wyborów jako miernika rozwoju państw. Są wybory – jest demokracja. Jak jest demokracja, będzie wzrost przez innowację, koniec dyskusji. I to było dość głupie podejście, bo daliśmy się nabrać wielu autokratom, którzy udawali, tworzyli fałszywy pluralizm, nie wytwarzali wzrostu, ale długo pozostawali członkami demokratycznego klubu, dość ekskluzywnego i prestiżowego. Czy w Rosji to ma jakieś znaczenie, że wybory do Dumy są powszechne? Deputowani mają wpływu na rzeczywistość polityczną w kraju? A jednocześnie okazuje się, że można, jak w wielu azjatyckich autokracjach, mieć półotwarte wybory na niższym szczeblu, oczywiście z partiami i kandydatami dopuszczonymi przez państwo, niemniej różnorodnymi światopoglądowo, a instytucje państwowe całkowicie zabetonować – i wbrew tradycyjnemu ujęciu to niesamowicie zwiększa wydajność i żywotność reżimu autorytarnego.

Azjatyckie autokracje zawsze miały jeden podstawowy problem, czyli transfer informacji z prowincji do centrum. Ponieważ to były reżimy scentralizowane, często silnie zideologizowane, a jednocześnie administrujące wielkimi obszarami i populacjami, kluczowe dla zarządzania państwem było, żeby rząd wiedział, co się dzieje w terenie. A często nie wiedział, bo na średnim szczeblu byli lojaliści, a nie technokraci.

Chiny pokazały, że można inaczej. Tam w samorządach dopuszczono rywalizację, nie ma też ślepego wynagradzania za dobre wiadomości, nawet jeśli fakty im przeczą. Ta rywalizacja jest oczywiście nadzorowana, niemniej do systemu w ten sposób trafili lepiej wykształceni, ambitni ludzie. Sam Xi Jinping w ten sposób zrobił karierę, skacząc po kolejnych szczeblach od prowincji do centrum. Jeśli tworzy się taki kontrolowany ekosystem rywalizacji, w nagrodę dostaje się świetny przegląd kadr. Gołym okiem widać, kto jest młody, ambitny i kto ma pomysły, jednocześnie mając pewność, że ci ludzie są ideologicznie poprawni – inaczej w ogóle nie dostaliby szansy. A jeśli wszystko pozostaje sterowane ręcznie... Widzimy, jak funkcjonuje państwo rosyjskie, a jak chińskie.

To zapytam prowokacyjnie – skoro w Chinach inteligentny autorytaryzm z elementami merytokracji, a nawet pluralizmu na niższych szczeblach, tak dobrze działa, to może wybory na szczeblu krajowym są nam wszystkim w ogóle niepotrzebne?
– Zaproponuję inny wniosek – że reżimy autorytarne będą znacznie bardziej konkurencyjne wobec demokracji niż nam się dotychczas wydawało. W niektórych obszarach nawet te demokracje przeskoczą. Mówiąc inaczej, ich słabości, jak brak wolności obywatelskich, nie są wcale tak wyraźne i problematyczne z punktu widzenia gospodarki, nauki, sektora wiedzy.

Co jednak nie znaczy, że Chiny znalazły uniwersalną receptę na innowację. W demokracji jest nawet więcej elementów strukturalnych, które na nią pozwalają, niż w modelu chińskim.

Ale i tak najważniejsze jest to, że my w zachodnich społeczeństwach mamy inne wyobrażenie o samorządności – chcemy być rządzeni w inny sposób. Jesteśmy wolni, wierzymy w wolność jednostki. Amerykańska konstytucja zaczyna się od wolności i prawa do szczęścia, te słowa padają dużo szybciej niż cokolwiek na temat gospodarki, zysku, wzrostu. Oczywiście, że musimy rozmawiać o modelu ekonomicznym, o przemyśle, o zarządzaniu gospodarką – ale jednak w fundamentalnych debatach o stanie naszego świata i naszych państw wolność pojawia się w pierwszej kolejności. Dlatego jestem przekonana, że akurat w naszych społeczeństwach model inteligentnego autorytaryzmu nie jest możliwy. Nie jesteśmy gotowi naśladować krajów, które poświęcają wolność w imię sukcesu.

Czyli nie wierzy pani, że nadejdzie taki fukuyamowski „koniec historii", tylko tym razem z autorytaryzmem w roli głównej? W którym nie będzie już niczego, tylko autokracja z częściowym uwolnieniem systemu jako najbardziej pożądany model na świecie?
– Taka książka w Chinach by się na pewno fantastycznie sprzedawała.

Tak jak „Koniec Historii" był bardzo popularny na Zachodzie.
– A może my nie do końca wiemy, w jakim systemie żyjemy? Daron Acemoglu i James Robinson dostali Nobla z ekonomii za udowodnienie, że w demokracjach mamy strasznie dużo tak zwanych „instytucji ekstraktywnych", które tak naprawdę ograniczają partycypację w demokracji. To nie muszą być ograniczenia prawne, wystarczą praktyczne – taka czy inna ordynacja wyborcza, ograniczenie lub poszerzenie możliwości oddania głosu jakimś grupom, gerrymandering, czyli manipulowanie okręgami wyborczymi. Nie mówiąc o tym, że w demokracjach cała masa ludzi dostaje pracę po znajomości, a nie na podstawie zdolności – co akurat niewiele różni się od autorytaryzmów.

Choćby z tego powodu prosta dychotomia między krajami demokratycznymi a niedemokratycznymi niewiele nam mówi o świecie. Zresztą dychotomia sztuczna, bo mnóstwo ustrojów jest mniej lub bardziej hybrydowych. Lepiej koncentrować się na konkretnych strategiach, politykach i rozwiązaniach, które wprowadzają poszczególne rządy.

A dychotomia Chiny-USA i ich strefy wpływów też jest fałszywa? W „Foreign Affairs" napisała pani niedawno, że „wielobiegunowość to iluzja".
– Trudno w ogóle mówić o biegunach, bo nasz świat wygląda zupełnie inaczej niż świat zimnowojenny. Wtedy istniały dwa mocarstwa, które miały strefy wpływów, bezpośrednio się nie ścierały, ale też nie było współpracy. Teraz USA i Chiny z jednej strony ze sobą rywalizują, ale z drugiej ściśle współpracują. Handlowo, intelektualnie, technologicznie – powiązania pomiędzy Pekinem a Waszyngtonem są wszędzie. Dlatego takich klasycznych stref wpływów nie będzie. Bo żeby powstały, sojusznicy USA musieliby chcieć zwalczać chińskie interesy razem z Ameryką – a jakoś nie widzę, żeby kraje Azji Południowo-Wschodniej czy Europy się do tego paliły.

Stać nas wszystkich na konfrontację USA i Chin?
– A było nas stać na zimną wojnę? To nie jest pytanie natury gospodarczej, tylko politycznej. Chiny i USA to supermocarstwa, więc zachowują się jak supermocarstwa, muszą chronić swoje interesy. W dodatku funkcjonują w świecie anarchicznym, gdzie siła zaczyna odgrywać coraz większą rolę.

Ale mimo wszystko jestem optymistką. Z czasem będziemy obserwować coraz większą zachowawczość po stronie rządów obu państw – i bardzo dobrze. Alternatywą jest eskalacja, która może prowadzić do wojny. A to byłaby wojna niszcząca cywilizacje, że posłużę się sformułowaniem z języka Donalda Trumpa. ●

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

50 ODCIENI ZIELENI

FOT. GETTY IMAGES

Archipelag Azorów to surowe, dzikie piękno, które albo pokochasz, albo tuż po pierwszym deszczu będziesz chciał wracać do cywilizacji.

Anna Maria Szostek*

Azory nie są dla każdego, ale z pewnością pokochają go miłośnicy natury. Nie ma tu luksusowych kurortów, parków rozrywki czy plaż z białym piaskiem.

Są za to mgły spływające o poranku po wulkanicznych zboczach, zapierające dech w piersiach wodospady, fale rozbijające się o czarne klify i paleta zieleni, od soczystych pastwisk przez tajemnicze jeziora aż po mroczne lasy, w których mech pochłania wszystko, co opuszczone.

Ta różnorodność wynika z unikalnej geografii miejsca. Azory leżą na środku Atlantyku i należą do regionu Makaronezji. Tworzy je dziewięć zamieszkanych wysp, podzielonych na trzy grupy.

Na wschodzie to São Miguel i Santa Maria, w części centralnej Faial, Pico, São Jorge, Graciosa i Terceira, a na zachodzie Flores i Corvo.

Położenie, łagodny klimat i wulkaniczne pochodzenie sprawiają, że przyroda rozwija się tu w wyjątkowy sposób. Dawne formy wulkaniczne przeplatane są jeziorami i wodospadami, co sprawia, że jest jedna z najbardziej zróżnicowanych przestrzeni w tej części świata.

Azory – rozrzucone po Atlantyku, jak zielone okruchy – należą do Portugalii, ale mają własny rząd regionalny i sporą autonomię, dzięki czemu funkcjonuje trochę jak osobny świat wpisany w strukturę portugalskiego państwa. Od kontynentalnej Europy wyspy dzieli około 1500 kilometrów oceanu, a od wybrzeży Ameryki Północnej – 1900 kilometrów.

Choć dziś samoloty z Europy i Ameryki docierają tu w kilka godzin, przez stulecia życie mieszkańców upływało w rytmie, który dyktował ocean, sztormy odcinały ich od świata, a emigracja była jedyną drogą do lepszego życia. Nie sposób zrozumieć Azorów bez zrozumienia ludzi, którzy tu mieszkają, ukształtowanych przez samotność wysp i surowość natury.

Pięknie to opisał poeta Manuel Medeiros Ferreira w wierszu „Wyspy Mgły”:

„Jeśli w mojej mowie słychać tęsknotę fal,
W moim spojrzeniu jest słodycz jezior.
(...) jestem z wysp mgły,
Gdzie mewy przylatują całować ziemię.
W moich żyłach płynie czarny bazalt,
W sercu mam żar kalder.
Bezmiar oceanu wypełnia moją duszę,
A zieleń, tyle zieleni, wskazuje mi nadzieję”.

Barwy lasu i mchu

Główną bohaterką archipelagu jest natura. Na największej wyspie, **São Miguel** zieleń ma swoją skalę intensywności i niezliczone odcienie – od jasnych pastwisk po głębokie, nasycone barwy lasów i wulkanicznych zboczy.

Czasem wpada w żółć, czasem w chłodny, nieco niebieskawy odcień. Zmienia się wraz ze światłem i poziomem wilgotności powietrza. Rozlewa się po dolinach, wspina na wzgórza i wypełnia przestrzeń tak szczelnie, że trudno znaleźć miejsce, w którym by jej nie było.

Ta wyspa kryje w sobie uprawy, których obecność w tej części świata może zaskakiwać. W północnej części São Miguel znajdują się jedyne przemysłowe plantacje herbaty w Europie – **Chá Gorreana** oraz **Porto Formoso**. Powstały w XIX wieku, kiedy sprowadzono tu krzewy herbaciane z Azji, szukając upraw, które mogłyby przetrwać w tutejszym wilgotnym, łagodnym klimacie. Warunki okazały się sprzyjające i rośliny szybko się zadomowiły. Dziś wzgórza porośnięte intensywnie zielonymi rzędami krzewów herbacianych to integralna część krajobrazu.

Na São Miguel nawet woda jest w kolorze wyspy. Na zachodzie, **z punktu widokowego Vista do Rei,** otwiera się widok na **dwa jeziora Sete Cidades**. Jedno zielone, drugie niebieskie, leżą w ogromnym kraterze wulkanu. Według legendy powstały z łez kochanków – księżniczki i pasterza – których rozdzielono. Ich łzy zabarwiły więc wodę na dwa kolory – kolory oczu nieszczęśliwie zakochanych.

Podczas gdy na São Miguel zieleń oszałamia bujnością, na wyspie **Terceira** krajobraz wydaje się bardziej uporządkowany. **Serra do Cume** to miejsce, skąd z góry widać pastwiska podzielone kamiennymi murkami i żywopłotami, które tworzą gęstą siatkę. Każde pole ma inny odcień zieleni, zależnie od trawy, wilgotności powietrza i światła.

Zieleń na Azorach nie kończy się na powierzchni. Na Terceirze prowadzi w głąb ziemi, do miejsca zwanego **Algar do Carvão – wygasłego komina wulkanicznego**, do którego schodzi, stopniowo tracąc światło i poczucie przestrzeni. Na ścianach, w miejscach, gdzie docierają wilgoć i resztki światła, pojawia się zieleń. Bujna, kontrastująca z ciemną skałą. Na dole jest podziemne jezioro, a sklepienie pokrywają stalaktyty z zastygłej lawy.

Miejscem, gdzie zieleń wydaje się walczyć o każdy centymetr pionowej ściany, jest **São Jorge**. To wyspa długa i wąska, przypomina wynurzony z oceanu grzbiet, którego krawędzie urywają się klifami. Na ich szczytach jest surowo i wietrznie, przestrzeń jest odsłonięta na Atlantyk. Dopiero niżej krajobraz się zmienia. Klify opadają gwałtownie, prowadząc do **fajãs,** niewielkich, płaskich fragmentów lądu powstałych z osuwisk lub zastygłej lawy, odciętych od reszty wyspy stromymi ścianami skał.

Każda jest osobnym światem. Zieleń jest tu bardzo intensywna. Niektóre miejsca są wykorzystywane do upraw i wypasu zwierząt, w innych natura przejmuje kontrolę. Fajãs mają w sobie coś nierealnego, jakby czas płynął tu jeszcze wolniej, a jedynymi dźwiękami były ocean i wiatr odbijający się od klifów.

Hipnotyzujący błękit

Latem na **São Miguel** trudno nie zauważyć hortensji. Są wszędzie: wzdłuż dróg, na zboczach wzgórz, przy pastwiskach i między polami. Tworzą długie, gęste pasy koloru, linie kwiatów, które przecinają krajobraz. Najczęściej w odcieniach błękitu i fioletu, czasem wpadają w róż, zawsze intensywne, wyraźne na tle zieleni. Wyglądają tak, jakby rosły tu od zawsze, ale także są gośćmi, którzy się zadomowili. Na wyspy prawdopodobnie w XVIII wieku przywieźli je portugalscy żeglarze ze swoich wypraw. Warunki mają tu idealne: wulkaniczna gleba, wilgotny i łagodny klimat. Z czasem mieszkańcy zaczęli sadzić je jak żywopłoty, które jak naturalne granice oddzielają pola i pastwiska.

Najbardziej spektakularną odsłonę tego koloru zobaczymy na **Faial** nazywanej „Niebieską Wyspą”. Tutaj hortensje otaczają pola, prowadzą wzdłuż dróg i zamykają przestrzeń falującymi liniami. Kilka kilometrów wystarczy, by zrozumieć, skąd wzięła się ta nazwa. Błękit nie jest tu tłem, lecz buduje obraz wyspy.

Świetnie to widać, kiedy się wędruje **szlakiem Caldeira do Faial**. Ścieżka prowadzi wzdłuż krawędzi ogromnego krateru, z jednej strony mamy jego zielone wnętrze, z drugiej – bezkres oceanu. Po drodze pojawiają się pasy hortensji, które miękko wpisują się w krajobraz. To jedno z tych miejsc, gdzie kolor naprawdę organizuje przestrzeń, nadając całości niemal hipnotyzującą harmonię.

Błękit na Azorach widać także w detalach architektury. W miastach i miasteczkach pojawiają się **azulejos**, ceramiczne płytki najczę-

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Azory - dziewięć wysp na środku Atlantyku

Azory należą do regionu biogeograficznego zwanego Makaronezją, który obejmuje także: Maderę, Wyspy Kanaryjskie i Wyspy Zielonego Przylądka. Wszystkie te wyspy są pochodzenia wulkanicznego, mają łagodny, oceaniczny klimat oraz wysoki poziom endemizmu (unikalne gatunki roślin i zwierząt). Łączna powierzchnia Azorów to 2 300 km kw. Mieszka tu 240 tys. ludzi

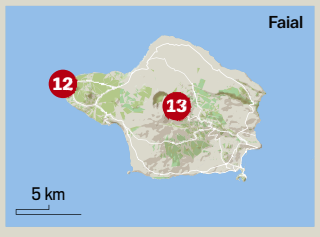

Wyspa São Miguel
1. Kąpielisko **Ponta da Ferraria**
2. Jeziora **Sete Cidades**
3. Stolica **Ponta Delgada**
4. Rezerwat **Caldeira Velha**
5. Uprawy herbat **Chá Gorreana** oraz **Porto Formoso**
6. **Furnas** baseny termalne

Wyspa Pico
7. **Criação Velha** - uprawy winorośli
8. **Wulkan Pico** - najwyższy szczyt w Portugalii 2351 m n.p.m.
9. Pole lawy **Mistério da Prainha**

Wyspa Terceira
10. **Algar do Carvão** - wygasły komin wulkaniczny
11. Punkt widokowy **Serra do Cume**

Wyspa Faial
12. Półwysep **Ponta dos Capelinhos**
13. Krater **Caldeira do Faial**

© GAZETA WYBORCZA, MAPA: JOANNA PATYK

Anna Maria Szostek

• iberystka i kulturoznawczyni z wykształcenia i z zamiłowania. Mieszka w Portugalii od 2011 r. Autorka przewodników turystycznych (wydawnictwo Pascal), prowadzi bloga o Portugalii i życiu na emigracji www.TheLisboner.pl

FOT. ANNA MARIA SZOSTEK (5)

◀ Wulkan Pico w Parku Naturalnym wyspy Pico. Najwyższa góra Portugalii

◀ Hortensje tworzą na wyspie Faial, naturalne błękitne ogrodzenia pól

▶ Geotermia kulinarna na wyspie São Miguel. Garnki z tradycyjnym daniem cozido zakopuje się w ziemi, a potrawa gotuje się dzięki wulkanicznemu ciepłu

◀ Lokalny przysmak lapas (skałoczepy). Mięczaki duszone na patelni z masłem i czosnkiem. Skropine cytryną

▼ Muzeum wina w dawnym klasztorze karmelitów na wyspie Pico. Na polach lawy (lajidos) upawia się tu winorośl. Ten krajobraz winnic wpisano na listę UNESCO

1 RP

ściej w odcieniach niebieskiego i bieli. Pokrywają fasady kościołów, ściany domów, wnętrza budynków. Opowiadają historie i porządkują przestrzeń. Ich kolor nie jest przypadkowy, tak ocean i niebo łączą się z miastem. Dzięki nim w zabudowie także widać to, co na Azorach jest najważniejsze: spójność między naturą a tym, co stworzył człowiek.

Tutejszy krajobraz zmienia się wraz z pogodą. Rano przytłumiony przez mgłę, w południe niemal świeci własnym blaskiem, a po deszczu staje się tak intensywny, jakby wszystko zostało na nowo nasycone kolorem. W ciągu kilku minut znajomy widok może się zupełnie zmienić. W ciągu jednego dnia słońce przeplata się z przelotnym deszczem, po którym wiatr rozgania chmury i mgłę, odsłaniając czyste niebo i często tęczę nad zielonymi wzgórzami.

Czarny kamień

Azory to wyspy wulkaniczne i trudno o tym zapomnieć. Bo skała jest wszędzie: w krajobrazie, w fakturze ziemi i w architekturze. Ciemna, niemal czarna mocno odcina się od zieleni i bielonych ścian. Jasne fasady domów przełamane są liniami czarnego bazaltu wokół okien, drzwi i na narożnikach budynków.

Na wyspie Pico dominuje inny kontrast: surowy wulkaniczny krajobraz przełamują czerwone detale: okiennice domów, dachy i schody wiatraków stojących wśród winnic tworzą wyraźny akcent w przestrzeni zdominowanej przez bazalt i zieleń. W takich detalach widać, jak na Azorach udało się połączyć naturę z obecnością człowieka.

Ta wulkaniczna tożsamość towarzyszy mieszkańcom na każdym kroku, dosłownie. W miastach, zwłaszcza w **Ponta Delgada na São Miguel**, chodniki są ręcznie układane w charakterystyczną mozaikę zwaną **calçada portuguesa**. Drobne kostki czarnego bazaltu i białego wapienia tworzą falujące wzory i linie geometryczne. Ten kontrast czerni i bieli nadaje ulicom niemal graficzny charakter.

Na **wyspie Pico**, jeszcze przed lądowaniem, widać samotny stożek **wulkanu, najwyższy**

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

szczyt Portugalii – 2351 m n. p. m. Wejście na **wulkan Pico** to jedno z najbardziej intensywnych doświadczeń na Azorach.

Szlak jest wymagający, podłoże niestabilne, droga stromo pnie się pod górę, dlatego wymaga dobrej kondycji i przygotowania. Najlepiej wybrać się tam z lokalnym przewodnikiem latem (czerwiec–wrzesień), który zna teren i zmienne warunki pogodowe. Wczesniej trzeba się zarejestrować w centrum dla turystów. Nagrodą jest widok, który trudno porównać z czymkolwiek innym: ocean po horyzont i poczucie, że stoi się na szczycie archipelagu.

Sama wyspa Pico różni się od reszty. Jest bardziej surowa, bardziej powściągliwa. Ziemia wydaje się tu trudniejsza. Najlepiej widać to w okolicach **Criação Velha**, gdzie czarne pola poprzecinane są kamiennymi murkami tworzącymi regularną siatkę. W ich wnętrzu uprawia się winorośl. To krajobraz wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Murki chronią rośliny przed wiatrem i zatrzymują ciepło nagrzanych kamieni, dzięki czemu winorośl rośnie tam, gdzie na pierwszy rzut oka nie powinna mieć żadnych szans.

O ile uprawy na Pico są przykładem niezwykłej adaptacji do trudnych warunków, o tyle w innych zakątkach wysp krajobraz wciąż nosi świeże ślady niszczycielskiej siły ognia.

Na **Faial**, w okolicach **Ponta dos Capelinhos**, przypomina pustynię. To efekt erupcji z lat 1957-58, która rozpoczęła się pod powierzchnią oceanu, tuż przy wybrzeżu. Faial zyskała wtedy około 2,4 km kw nowego lądu, który do dziś wygląda surowo.

Ziemia koloru zastygłej lawy jest sypka, pozbawiona roślinności, a wiatr bez przeszkód tu sobie hula. Latarnia morska, częściowo zasypana przez popiół, to wymowny symbol tamtej erupcji. Miejsce sprawia wrażenie niedokończonego, jakby natura dopiero zaczynała tu swoją pracę.

Z kolei na Pico, w rejonie **Mistério da Prainha**, inaczej zapisała się wulkaniczna historia. Rozległe pola zastygłej lawy tworzą nieregularne formacje, które wyglądają, jakby płynna skała zatrzymała się w ruchu.

„Mistérios" – jak nazywa się takie obszary na Azorach – powstały w wyniku stosunkowo młodych erupcji, a ich powierzchnia jest chropowata, pełna szczelin i ostrych krawędzi.

W niektórych miejscach między skałami pojawia się roślinność, powoli odzyskująca teren, ale większość sprawia wrażenie, jakby erupcja wydarzyła się niedawno. Spacerując po tych polach, czuje się pod stopami ten surowy materiał, z którego powstała wyspa.

Wulkaniczna energia

Energię wulkanicznego żywiołu można poczuć na własnej skórze dzięki wszechobecnym źródłom termalnym.

Na São Miguel są ciepłe i kojące, znajdują się w różnych częściach wyspy. W Furnas działają naturalne baseny, takie jak **Poça da Dona Beija czy Terra Nostra**, gdzie woda ma rdzawy kolor i intensywny siarkowy zapach.

Najbardziej niezwykłe miejsce to **Caldeira Velha**, ukryte w gęstej, wilgotnej roślinności, przypominające las tropikalny. Woda spływa tam po ciemnych skałach, tworząc naturalny wodospad, pod którym można stanąć, a wokół unoszą się opary.

Jest takie miejsce, gdzie energia ognia z wnętrza wyspy spotyka się bezpośrednio z oceanem. Na zachodnim krańcu wyspy **São Jorge w Ponta da Ferraria** powstało naturalne kąpielisko, w którym gorąca woda wulkaniczna miesza się z chłodnymi falami oceanu.

Temperatura zmienia się tu wraz z przypływem i odpływem, dlatego najlepiej trafić na moment, gdy fale są spokojniejsze, a woda przyjemnie ciepła. Kąpiel w takim miejscu ma w sobie coś niezwykłego, z jednej strony otwarty ocean, z drugiej ciepło płynące z wnętrza ziemi. To taka chwila, kiedy naprawdę czuje się, że Azory to miejsce na styku żywiołów.

Woda to nie tylko ocean – to także wodospady. Strumienie spływają ze zboczy, wodospady pojawiają się nagle i znikają w gęstej roślinności lub wpadają wprost do oceanu. Punkty widokowe rozsiane po wyspach pozwalają spojrzeć na ten krajobraz z góry, na kaldery, klify i Atlantyk, który rozciąga się aż po horyzont.

FOT. GETTY IMAGES

• **Wyspa São Miguel. Punkt widokowy Vista do Rei i leżące w kraterze wulkanu Sete Cidades. Dwa jeziora – zielone i niebieskie**

Smaki życia

Ta sama energia, która ogrzewa wody termalne, od wieków służy mieszkańcom w kuchni.

W wielu miejscach można natrafić na **fumarole**, z których nieustannie wydobywają się opary, szczególnie w rejonie Furnas, na São Miguel, gdzie ziemia dosłownie „pracuje" pod powierzchnią. Tam z geotermii korzysta się na co dzień: w gorącej glebie zakopuje się specjalne garnki z tradycyjnym daniem cozido, w którym mięso, warzywa i kiełbasy powoli gotują się dzięki naturalnemu ciepłu ziemi.

Gastronomia wysp jest równie surowa jak ich krajobraz. Króluje tu doskonałej jakości wołowina pochodząca od krów, które – co jest tutejszym fenomenem – pasą się na zielonych wzgórzach przez cały rok.

Ocean dostarcza świeżych ryb oraz lokalnego przysmaku – lapas, czyli skałoczepów. Te mięczaki podawane najczęściej na patelni z masłem, czosnkiem i cytryną do skropienia smakują samą esencją Atlantyku.

Obok wołowiny i owoców morza trzecim filarem azorskiej kuchni są sery. Każda z wysp ma swoją tradycję ich wytwarzania, ale to São Jorge uznaje się za serowe serce archipelagu. Tutejszy Queijo São Jorge powstaje z surowego mleka krowiego i dojrzewa przez wiele miesięcy, nabierając wyjątkowego charakteru. Ma intensywny, nieco pikantny smak z wyraźną, pieprzową nutą, którą długo czujemy na podniebieniu.

Podczas wędrówki przez wyspę warto zajrzeć do jednej z lokalnych mleczarni, wiele otwiera swoje drzwi dla gości i można z bliska przyjrzeć się, jak powstaje ser według takiej tradycyjnej receptury.

Porzucili wielorybnictwo

Symbioza z oceanem trwa od wieków, choć nie zawsze była tak łagodna jak kąpiel w gorących źródłach. Bardzo długo jednym z najważniejszych, a zarazem najbardziej dramatycznych rozdziałów w historii Azorów było wielorybnictwo, które rozwinęło się z potrzeby przetrwania i ubóstwa. W XIX w. i pierwszej połowie XX w. polowania na wieloryby były istotnym źródłem utrzymania, zwłaszcza na takich wyspach jak Pico, gdzie ocean był jednocześnie zasobem i niebezpieczeństwem.

Wielorybnictwo zostało zakazane w Portugalii w 1984 roku. A mieszkańcy musieli się stopniowo przekwalifikować – zaczęli pracować jako przewodnicy i obserwatorzy wielorybów, organizując rejsy dla turystów w poszukiwaniu kaszalotów i delfinów. To jedna z najbardziej symbolicznych przemian, jakie zaszły na tym archipelagu.

Ślady dawnej epoki wciąż jednak można znaleźć w muzeach – dawnych zakładach przetwórstwa – oraz w sztuce scrimshaw. Misterne zdobienia na kościach i zębach wielorybów pozostają świadectwem rzemiosła, które przeminęło. Współcześnie Azory całkowicie zmieniły podejście do oceanu: zamiast polowania i eksploatacji stawiają na ochronę i obserwację. Dominację zastąpił szacunek do zabów oceanu.

Idziemy na pielgrzymkę

Portugalczycy osiedlili się na Azorach w XV wieku. Kolonizacja niezamieszkanego archipelagu zaczęła się po 1439 roku, za panowania księcia Henryka Żeglarza. Azorczycy od początku byli katolikami i wciąż bardzo silny jest tu kult Ducha Świętego, który od wieków kształtuje lokalne tradycje i życie społeczności.

Na Terceirze widoczne jest to w architekturze: kolorowe kapliczki impérios rozproszone są po wyspie i stanowią ważny element tożsamości mieszkańców. Podczas lokalnych świąt trudno przejść obojętnie obok tych niewielkich, kolorowych budynków.

Tutejsza religijność nie zamyka się w murach kościołów. Latem wioski ożywają podczas świąt ku czci Ducha Świętego. Na zewnątrz ustawiane są stoły, ludzie wychodzą na ulice, jedzenie dzielone jest między wszystkich, a granice między mieszkańcami a przyjezdnymi na chwilę się zacierają.

Ważne jest pielgrzymowanie, np. wokół wyspy São Miguel w czasie Wielkiego Postu. Pielgrzymi idą przez wzgórza i doliny w rytmie modlitw powtarzanych od pokoleń. Ta tradycja sięga XVI w. i wciąż jest żywa.

Z dala od reszty świata

Izolacja geograficzna sprawiła, że Azory zachowały swój niepowtarzalny charakter. Są dzikie, zmienne i nieprzewidywalne.

To nie tylko kwestia krajobrazu, ale też codzienności, która wciąż toczy się blisko natury – z krowami przechodzącymi przez drogę i świadomością, że wulkaniczna ziemia nie pozostaje uśpiona.

Dziś dotarcie na wyspy już nie jest wyzwaniem, jednak archipelag nie ulega masowej turystyce, nie próbuje nikogo zatrzymać na siłę. Nie ma tu atrakcji do szybkiego zwiedzania. Jest przestrzeń, która narzuca własne tempo. Pogoda potrafi zmienić się w kilka chwil, deszcz jest częścią codzienności, a drogi bywają wąskie i wymagające. To miejsce dla szukających autentyczności, a nie wygody.

Tu rytm życia wyznaczają ocean i horyzont bez końca. Czas płynie wolniej, jakby dostosowywał się do oddechu natury i samotności archipelagu. Ci, którzy tu docierają, często przejmują ten wyspiarski spokój, bo sprzyja odzyskaniu wewnętrznej równowagi. W świecie, który pędzi coraz szybciej, zielony archipelag na środku oceanu zdaje się przypominać, że najważniejsze rzeczy wciąż dzieją się powoli. ●

Podcast „Poznajmy naszą Europę" o Portugalii

• **Karawele, kafelki i sardynki.** O niezwykłej historii Portugalii **Alicja Dąbrowska rozmawia z profesorem Wojciechem Charchalisem**, tłumaczem, iberystą, wykładowcą akademickim. Oboje zdradzają także listę swoich ulubionych miejsc i zabytków, które warto odwiedzić, zbaczając z najbardziej popularnej trasy Lizbona – Porto.

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

KULTURA OBYCZAJE

Łyk Coca-Coli już nie wystarczy do szczęścia

• Rok 1890
Reklama, na której gwiazda amerykańskiej operetki Hilda Clark zachęca: „Pij Coca-Colę 5 centów”
FOT. BIBLIOTEKA KONGRESU

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

• **Rok 2004**
Łyk coli w przerwie występu plemienia Omo Masalai na festiwalu w Mount Hagen, w Papui-Nowej Gwinei

• **Rok 1955**
Nowa dostawa Coca-coli w Jokohamie w Japonii

Młodsze pokolenia piją inaczej. Mniej słodkich napojów, więcej wody i produktów, które mają być czyste, kontrolowalne, wpisane w jakiś projekt dbania o siebie.

Katarzyna Jaremko

8 maja mija 140 lat od chwili, gdy John Stith Pemberton, aptekarz z Atlanty, z przegranego w wojnie domowej i dalej straumatyzowanego Południa, gdzie życie toczy się między apteką, kościołem i werandą, postanowił coś zmieszać.

Nie wielką ideę czy wizję imperium, tylko syrop z liści koki i orzechów koli z wodą sodową. Sprzedawał to w przyaptecznym barze, dziewięć porcji dziennie za pięć centów każda, jak inne mikstury, które miały poprawić humor albo trawienie.

Trudno o bardziej prowincjonalny początek czegoś, co później stanie się globalnym wzorcem smaku.

Na początku nic się nie kleiło. Sprzedaż rozczarowywała, a sam napój był jednym z wielu wynalazków epoki, w której każdy ambitny farmaceuta coś mieszał i liczył, że trafi. Dopiero kiedy ster przejął Asa Candler, biznesmen z żyłką do ryzyka i instynktem do reklamy, wszystko zaczęło się układać.

Recepturę przejmował etapami od spadkobierców Pembertona za w sumie 2300 dol., co dziś odpowiada mniej więcej 70-80 tys. dol. Niby niemało jak na lokalny interes, ale śmiesznie mało jak na przyszłe imperium.

I wtedy Ameryka zobaczyła klasyczny numer amerykańskiego marzenia: z przeciętnego produktu wydobyła się historia, której chciało się słuchać.

Marka została zarejestrowana, reklama ruszyła pełną parą, a kilkanaście lat później przychody liczono już w dziesiątkach milionów dolarów. Wtedy zaczyna się ten znajomy ruch: z Main Street w stronę Wall Street, od lokalnej ciekawostki do gigantycznego przemysłu i architektury wyobraźni.

Nagle wszystko jest super

Potem historia przyspiesza. Najpierw butelka, jeszcze w XIX wieku, i to właściwie przez nieuwagę: dwóch przedsiębiorców z Tennessee, Benjamin Thomas i Joseph Whitehead, przekonuje Asę Candlera, żeby oddał im prawa do rozlewania napoju do szklanych butelek.

Umowa jest dziś legendą biznesowej krótkowzroczności: za symbolicznego dolara dostają wyłączność na butelkowanie na ogromnym obszarze, przy czym Candler zachowuje kontrolę nad koncentratem. Oni budują sieć rozlewni i biorą na siebie całe ryzyko dystrybucji, on sprzedaje im syrop.

Kilka dekad później dochodzi puszka, już w epoce masowej produkcji i wojennej logistyki. Proliferacja rusza wcześnie, bo już w pierwszych latach XX wieku napój trafia na Kubę i do Panamy – miejsc, które w tamtym czasie znajdują się w bliskiej orbicie wpływów Stanów Zjednoczonych.

Potem podąża dokładnie tam, gdzie pojawia się amerykańska obecność: do portów, baz wojskowych, miast rosnących na styku lokalności i globalnego handlu. Innymi słowy: Coca-Cola wędruje po świecie razem z Ameryką w epoce ekspansji mocarstwowości Waszyngtonu.

Równolegle zmienia się skala i sposób myślenia. Po śmierci Candlera kontrolę przejmuje Ernest Woodruff, bankier z Atlanty, a następnie jego syn Robert Woodruff, który przez ponad pół wieku nadaje całości rytm.

W tym czasie The Coca-Cola Company wymyka się prostemu opisowi produktu. Chodzi już nie tylko o to, co jest w butelce, lecz także o to, co charakterystyczna butelka wraz z orzeźwiającą zawartością dają: chwilę ulgi, kawałek tej eleganckiej i pożądanej Ameryki.

Cukier robi swoje, kofeina dokłada impuls, nastrój podnosi się szybciej, niż zdążysz się zorientować. To, że nagle wszystko jest super, wcale nie musi być prawdą. Wystarczy, że przez moment wszyscy chcą w nią uwierzyć.

Na parkiecie widać dziś coś więcej niż tylko historię jednego napoju.

KO, czyli ticker giełdowy The Coca-Cola Company notowany na New York Stock Exchange, należy do tych spółek, które przez dekady budują wartość bez fajerwerków, za to z uporem. Wykres rośnie nierówno, zdarzają się cofnięcia, ale w długim horyzoncie to konsekwentny marsz w górę wsparty dywidendą i skalą, której trudno szukać gdzie indziej.

Bo to już nie jest jedna receptura i jedna butelka. Pod szyldem The Coca-Cola Company mieści się dziś całe imperium napojów: od klasycznych gazowanych, przez wodę, soki, herbaty i kawę, po napoje sportowe. Setki marek, tysiące wariantów, globalna sieć dystrybucji, która dociera niemal wszędzie.

Kontrola pozostaje formalnie rozproszona jak w większości wielkich amerykańskich korporacji notowanych na giełdzie.

Największym pojedynczym akcjonariuszem jest Warren Buffett przez Berkshire Hathaway, co od lat działa jak pieczęć jakości dla inwestorów.

Butelka spada z nieba

To wszystko nie działałoby tak skutecznie, gdyby nie jeszcze jedna warstwa, może ważniejsza niż dystrybucja i giełdowe wykresy. The Coca-Cola Company od dawna wybrzmiewa w kulturze i popkulturze, co tylko siłę handlu wzmacnia.

Najbardziej sugestywna scena pojawia się na samym końcu serialu „Mad Men". Główny bohater Don Draper siedzi na wzgórzu, oddycha, medytuje, wygląda jak ktoś, kto właśnie uciekł z własnego życia. I wtedy następuje cięcie: zaczyna się reklama „Hilltop", młodzi ludzie z całego świata śpiewają „I'd Like to Buy the World a Coke".

Idea wspólnoty, trochę hipisowskiej, trochę naiwnej, zostaje przełożona na język sprzedaży. Trudno powiedzieć, gdzie kończy się autentyczne pragnienie, a zaczyna marketing. A może to w ogóle nie są dwie różne rzeczy?

A pamiętacie scenę z filmu „Bogowie muszą być szaleni"(1980)? Z nieba spada szklana butelka po Coli, a afrykańskie plemię San, nie znając jej przeznaczenia, bierze ją za boski prezent. Początkowo jest sielanka: przedmiot to genialny multifunkcyjny gadżet: tłuczek do orzechów, instrument i praska w jednym. Jednak dar niebios szybko okazuje się przekleństwem. Pojawiają się zazdrość, kłótnie i walka o własność.

To bodaj najprostsza metafora tego, jak technologia wdziera się w poukładany świat, niosąc ze sobą nie tylko wygodę, ale i toksyczne napięcie.

Trzeba wziąć poprawkę na kontekst. Krytycy często zarzucają filmowi kulturowe uprzedzenia i pokazywanie plemienia San jako szlachetnych dzikusów: naiwnych, dziecinnych i całkowicie odizolowanych od cywilizacji. W rzeczywistości w 1980 r. społeczność ta nie była tak odcięta od świata, jak sugeruje film.

W międzyczasie Andy Warhol bierze butelkę Coli i wnosi ją do galerii. W pracach takich jak „Green Coca-Cola Bottles" z 1962 roku ustawia ją w rzędach, powtarza, multiplikuje, aż przestaje być przedmiotem, a zaczyna wzorem.

To jeden z jego najprostszych i najcelniejszych gestów. Kilka lat później w książce „The Philosophy of Andy Warhol" zapisze myśl, która właściwie streszcza cały projekt: że Cola jest zawsze taka sama.

Prezydent, gwiazda kina i człowiek z ulicy piją dokładnie to samo, a pieniądze nie kupią lepszej wersji tego napoju.

Trudno o bardziej amerykańską ideę. Równość sprowadzona do wspólnego smaku.

Ale Cola to nie tylko ciepłe emocje, ale też obietnica nieśmiertelności.

W „Blade Runnerze" gigantyczne neony z czerwonym logo górują nad mrocznym, rozpadającym się Los Angeles. Świat może się walić, technologia może nas pożreć, ale marka trwa, jakby była jedynym stałym elementem rzeczywistości. Cola staje się elementem estetyki cyberpunka.

Takich kinowych smaczków jest więcej. W „Doktorze Strangelove" strach przed korporacją okazuje się niemal tak wielki jak widmo zagłady nuklearnej, gdy pada ostrzeżenie o „odpowiedzialności przed firmą Coca-Cola". Z kolei w świecie E.T. puszki napoju stają się rekwizytami oswajania obcej istoty z naszą codziennością,

Reklama telewizyjna miewa swoje momenty wielkiego kina. Weźmy rok 1979: potężny, ledwo żywy po meczu Mean Joe Greene przyj-

FOT. TORSTEN BLACKWOOD/AFP/EAST NEWS, KEYSTONE VIEW COMPANY/FPG/GETTY IMAGES, STR. 29 FOT. ISTOCK/GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

muje od małego chłopca butelkę coli. Pije, a potem – w geście, który przeszedł do legendy – rzuca mu swoją meczową koszulkę. Ten prosty ruch sprawił, że niedostępny gwiazdor sportu nagle zyskał ludzką twarz.

Mamy też już zakodowane, że ośnieżone ciężarówki sunące przez ekrany telewizorów ogłaszają grudzień i nadchodzące Boże Narodzenie skuteczniej niż jakikolwiek kalendarz. To już nie są tylko produkty, ale interpunkcja naszej popkultury.

Dźwięk otwieranej puszki

Wszystko to nie są występy gościnne powstałego 14 dekad temu w Atlancie napoju. Raczej konsekwentne budowanie obecności w miejscach, co ma pomóc, a może zmusić ludzi do układania sobie świata w głowie.

Dzięki temu butelka przestaje być tylko przedmiotem – staje się skrótem do emocji, które już gdzieś widzieliśmy i które chcemy powtórzyć.

Po przeglądzie symbolicznych scen, neonów i świątecznych ciężarówek warto zrobić krok w stronę nauki i badaczy i zapytać, co właściwie oglądaliśmy.

Dobrym przewodnikiem jest Daniel J. Boorstin, wielki historyk, późniejszy bibliotekarz Kongresu, który ideologicznie przeszedł drogę od komunistycznej młodzieżówki do Nixonowskiego skrzydła Republikanów. Zamiast bitew opisywał codzienność Amerykanów.

W książce „The Image: A Guide to Pseudo-Events in America" (1961, „Obraz. Przewodnik po świecie zmyślonych wydarzeń", dotąd niewydany w Polsce) uchwycił moment, w którym rzeczywistość zaczyna ustępować miejsca jej wyreżyserowanej wersji.

Jego kluczowe pojęcie to pseudowydarzenie, czyli sytuacja przygotowana tak, żeby dobrze wyglądała, łatwo się opowiadała i dawała się powtarzać. Nie musi być fałszem. Wystarczy, że jest zrobiona odrobinę zbyt starannie.

Coca-Cola od dawna działa właśnie w tej przestrzeni. Jej siłą jest nie tylko smak, lecz także zdolność do produkowania obrazów, które wydają się znajome, jeszcze zanim się wydarzą. Chwila odpoczynku, uśmiechnięta grupa przy stole, święta zaczynające się wraz z pierwszą ciężarówką w czerwonych barwach. To nie tyle zapis życia, ile jego gotowy scenariusz.

Otwierasz puszkę i dostajesz nie tylko napój, lecz także sytuację, która powinna wyglądać w określony sposób. Najpierw pojawia się wyobrażenie, potem rzeczywistość próbuje mu dorównać.

W tym sensie marka gwarantuje już nie jakość, tylko powtarzalność. Ten sam smak w Atlancie, Warszawie, Wuhanie czy w Kapsztadzie. Ten sam dźwięk otwieranej puszki, ten sam krótki impuls cukru i kofeiny, to samo poczucie, że wszystko jest na swoim miejscu. Komfort staje się częścią produktu.

Jeśli Boorstin pokazuje, jak powstaje obraz, to Thomas J. Schlereth – zmarły trzy lata temu profesor z Uniwersytetu Notre Dame i pionier badań nad kulturą materialną – tłumaczy, gdzie ten obraz zaczyna żyć.

Donald Trump ma przycisk do Diet Coke

Schlereth to badacz, który zamiast studiować przykurzone idee, woli oglądać sklepy, witryny, bary, opakowania i plany miast. Jego metoda polega na czytaniu przedmiotów jak tekstów; interesuje go to, jak kapitalizm układa nasze codzienne doświadczenie, zanim człowiek zdąży je w ogóle nazwać.

U Schleretha kluczowa jest przestrzeń handlu rozumiana znacznie szerzej niż zwykły sklep. To osobne środowisko życia, które wyrosło obok domu i pracy: stacje benzynowe, automaty, przydrożne bary, chłodziarki z logo i szyldy widoczne z autostrady.

To właśnie w tych miejscach – jak dowodzi naukowiec w swoich pracach o historii kulturowej rzeczy, choćby w niewydanej w Polsce serii 15 esejów „Cultural History and Material Culture: Everyday Life, Landscapes, Museums" – uczysz się, co jest normalne, co pożądane i jak wygląda „zwykłe" życie. W tym świecie Coca-Cola przestaje być produktem – staje się elementem scenografii.

Dlatego działa jako punkt orientacyjny. Charakterystyczny czerwony znak mówi: tu wszystko jest znajome. XX wiek w ujęciu Schleretha przyniósł nam powtarzalność przestrzeni, a Coca-Cola została jednym z jej najwyraźniejszych symboli. Daje poczucie bycia „u siebie", nawet gdy jesteś tysiące kilometrów od domu.

Równocześnie marka wprowadza w nasze życie rytm. Kupujesz, otwierasz, pijesz.

Proste gesty, powtarzane miliony razy, z czasem przestają być świadomą decyzją i stają się nawykiem. Przerwa w pracy, podróż, spotkanie – Cola wchodzi w te mikroscenariusze tak gładko, że nie trzeba o niej myśleć.

Organizuje też fizycznie przestrzeń: szyldy, neony i automaty tworzą punkty zaczepienia, wyznaczają kierunki na mapie codzienności, którą nie tylko opisują, ale wręcz współtworzą. Za jedną butelką stoi globalna sieć, ale w ręku trzymasz coś znajomego i chłodnego.

Smak Zachodu

Jeśli u Boorstina obraz zaczyna zastępować doświadczenie, a u Schleretha wnika w przestrzeń i nawyk, to Arjun Appadurai, hindusko-amerykański antropolog z The New School i NYU, każe spojrzeć na wszystko w ruchu. Interesuje go nie tyle to, gdzie coś stoi, ile dokąd się przemieszcza i co dzieje się po drodze.

Jego intuicja jest prosta: globalizacja nie polega na tym, że jedno centrum wysyła symbole, a reszta świata je biernie przyjmuje. To raczej sieć przepływów, które zmieniają znaczenie rzeczy. W tym sensie Coca-Cola przestaje być czystym znakiem Ameryki. W każdym miejscu zaczyna znaczyć trochę co innego.

Niesie ze sobą określony obraz: lekkość, młodość, prostą przyjemność. Ale nie dociera do świata w stanie nienaruszonym. W Polsce lat 90. bywała smakiem Zachodu, czymś niemal obiecanym. Gdzie indziej jest codziennością albo czymś zbyt oczywistym, żeby zwracać uwagę. Ta sama butelka, inne znaczenia.

Z jednej strony wszędzie widać ten sam kolor, kształt i smak. Z drugiej doświadczenie nie jest już wspólne. Globalna marka nie unieważnia lokalności, tylko wchodzi z nią w ciągłe negocjacje.

• Rok 1899 Pierwsza butelka, bo uzyskano prawo do sprzedaży na wynos i masowej dystrybucji

• Rok 1900 Pojawia się tzw. crown cap (metalowy kapsel) i logo w szkle – ochrona marki przed podróbką

• Rok 1915 Contour Bottle, inspirowna owocem kakaowca, którą da się rozpoznać po ciemku

• Rok 1957 Biały nadruk logo zamiast tłoczenia w szkle i nowoczesny „lżejszy wizualne kształt

Najciekawsze, że w pewnym momencie ta obecność staje się przezroczysta. Im mocniej Coca-Cola wnika w tkankę dnia, tym mniej ją zauważasz. Przestaje być wyborem – staje się tłem. Na tym polega jej siła: nie narzuca się, tylko dyskretnie układa świat tak, by pewien sposób życia wydawał się oczywisty.

Zresztą ten mechanizm widać nawet tam, gdzie najmniej by się go szukało. Donald Trump nie tyle pije Colę, ile funkcjonuje na Diet Coke. Według relacji potrafi wypijać jej kilkanaście puszek dziennie, a w Gabinecie Owalnym ma przycisk, którym zamawia kolejną.

To już nie jest wybór ani przyjemność, lecz porządek dnia. Mały, powtarzalny rytuał, który organizuje czas i daje natychmiastowy efekt. Dokładnie to, o czym pisał Schlereth: rzecz tak zwyczajna, że przestaje być widoczna, a zaczyna pilnować tego, jak wygląda rzeczywistość.

I tu wraca rysa, o której pisał Boorstin. Im bardziej dopracowany obraz i im doskonalej zorganizowana przestrzeń, tym częściej zaczynają przypominać dekorację.

Jeśli wspólnotę da się zamknąć w butelce, ktoś w końcu zapyta, czy naprawdę o nią chodzi.

Razem Boorstin i Schlereth pozwalają zobaczyć, jak z napoju powstaje coś znacznie większego: język i infrastruktura naszego wspólnego doświadczenia.

Ten sam łyk może być znakiem nie tylko aspiracji, przynależności do świata, ale też konformizmu albo banalności.

W pewnym momencie przestaje być jasne, kto kontroluje tę opowieść. Symbole krążą, wracają zmienione, bywają wzmacniane, ośmieszane albo oswajane. Coca-Cola zaczyna żyć życiem, którego nie da się w pełni zaprojektować.

I właśnie tu widać grunt pod dzisiejszą zmianę. Jeśli znaczenia są w ruchu, to nie ma gwarancji, że pozostaną takie same. To, co przez dekady było skrótem do szczęścia i normalności, może zacząć oznaczać przesyt, banalność albo po prostu tło. W świecie przepływów nawet najbardziej rozpoznawalny symbol traci swoją niewzruszoność.

Ten ruch prowadzi do kolejnego etapu. Kiedy znaczenia zaczynają się mnożyć i ścierać, pojawia się pytanie, kto właściwie nad nimi panuje. Tu wchodzi krytyczka kapitalizmu Naomi Klein i jej opis świata, w którym marka przestaje być dodatkiem do produktu – staje się jego istotą.

W jej „No Logo" Coca-Cola wygląda jak modelowy przypadek tej zmiany. Produkt pozostaje stabilny, ale ciężar przenosi się gdzie indziej: na opowieść, emocję, obietnicę stylu życia.

Reklama nie mówi już: to smakuje dobrze. Mówi raczej: tak wygląda szczęście. Z czasem ta opowieść wychodzi poza reklamę. Muzyka, sport, wydarzenia, przestrzeń publiczna. Marka nie chce być tylko komunikatem. Chce stać się czymś naturalnym, obecnym bez wysiłku, jak tło.

Jednocześnie znika to, co mniej wygodne. Produkcja, łańcuchy dostaw, praca. Wszystko zostaje gdzieś na zapleczu, poza kadrem. Na pierwszym planie pozostaje lekka historia o wspólnocie i radości. I tu pojawia się napięcie, które dziś jest już wyraźne.

Jeśli marka mówi językiem wartości, zaczyna być z tych wartości rozliczana. Jeśli każda reklama obiecuje coś więcej niż produkt, w pewnym momencie trudno w to wierzyć. Opowieści robi się za dużo, a odbiorca uczy się je od siebie oddzielać. W tym sensie Coca-Cola jest dobrym przykładem momentu, w którym cały mechanizm zaczyna się przegrzewać. Bo kiedy wszystko staje się historią o szczęściu, sama historia traci siłę.

Młodsze pokolenia piją inaczej

I tu rocznicowa opowieść przestaje być tylko ładną historią o marce. Bo Coca-Cola wchodzi w swoje 140. urodziny w świecie, który wciąż ją rozpoznaje, ale coraz rzadziej wierzy w jej dawny język.

Zmiana zaczyna się nie od reklamy, tylko od nawyku. Młodsze pokolenia piją inaczej. Mniej słodkich napojów, więcej wody i produktów, które mają być czyste, kontrolowalne, wpisane w jakiś projekt dbania o siebie.

Cukier przestaje być niewinną przyjemnością, zaczyna być problemem, a czasem wręcz moralnym wyborem.

To już nie jest moda ani nawet doraźny bunt, raczej coś głębszego: przesunięcie w stronę życia, które ma być przewidywalne i pod kontrolą.

Coca-Cola oczywiście to widzi. Wprowadza kolejne warianty bez cukru, nowe smaki, nowe opakowania, zmienia język komunikacji. Coraz mniej w nim spontanicznej radości, coraz więcej świadomego stylu życia. Tyle że to wygląda jak ruch obronny, a nie nowa opowieść. Problem nie sprowadza się do kalorii. Słabnie wiara, że konsumpcja sama w sobie wystarczy, żeby poczuć się lepiej.

Do tego dochodzi coś jeszcze. W świecie, który coraz bardziej interesuje się tym, skąd rzeczy pochodzą i co po sobie zostawiają, globalna marka nie może już udawać, że jest tylko obrazem. Pojawia się temat plastiku, zużycia wody, śladu środowiskowego, pracy poniżej standardów, łańcuchów dostaw, czyli tego wszystkiego, co przez lata pozostawało poza kadrem.

O tym pisała Naomi Klein: Jeśli marka chce mówić językiem wartości, zaczyna być z nich rozliczana.

W efekcie reklama zmienia się w coś na kształt deklaracji. Produkt ma być jednocześnie ekologiczny, inkluzywny, odpowiedzialny za konsumenta i wciąż sprzedawać się w miliardach litrów na całym świecie. Kampanie społeczne zaczynają przypominać reklamy, reklamy coraz częściej brzmią jak stanowiska. Granica się rozmywa.

A odbiorca staje się ostrożniejszy. Nauczył się rozpoznawać te mechanizmy. Widzi, kiedy opowieść jest zbyt gładka, kompletna, zbyt dobrze dopasowana. Nie odrzuca jej wprost, ale też nie przyjmuje bez zastrzeżeń. Pije Colę, ale niekoniecznie wierzy już w to, co kiedyś miała oznaczać.

To nie jest upadek, prędzej zmiana skali i tonu. Coca-Cola pozostaje jedną z najbardziej rozpoznawalnych marek na świecie, obecna niemal wszędzie, wpisana w codzienność milionów ludzi. Ale jej dawny język, ten o prostym szczęściu i wspólnocie, przestaje być oczywisty.

I może właśnie to jest najciekawsze w tej rocznicy. Nie to, że coś trwa tak długo, ale to, że nawet tak trwały symbol musi się na nowo tłumaczyć. Bo świat, w którym wszystko można było sprowadzić do jednego, chłodnego łyku, powoli się kończy. ●

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

CZEKAJĄC NA Q DAY

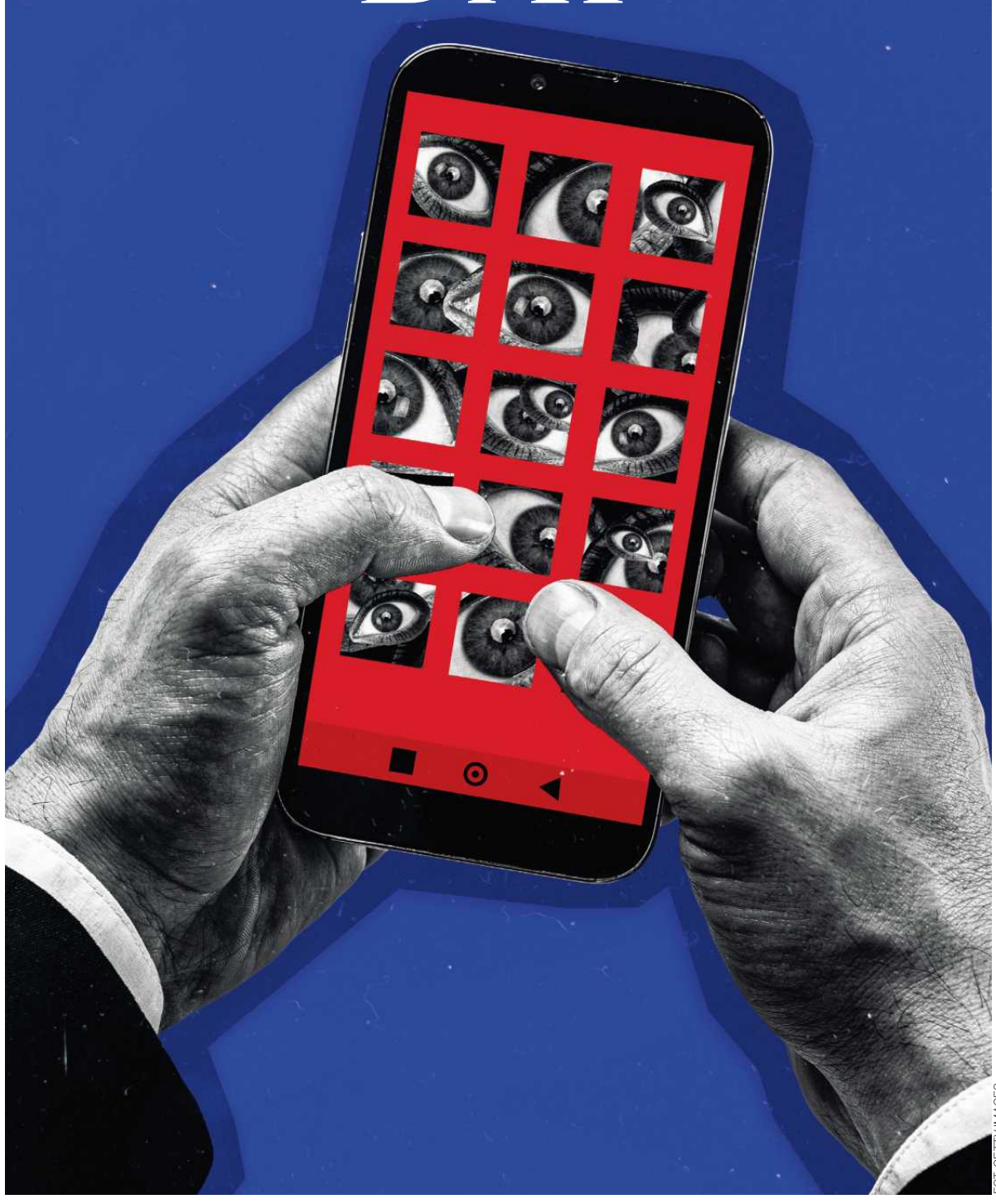

FOT. GETTY IMAGES

To, co zwykłemu komputerowi zajęłoby miliony lat, kwantowy zrobi... w dobę. Czy jesteśmy na to gotowi? Bo hakerzy już zacierają ręce.

Z **TOMASZEM PIETRZYKIEM** DYREKTOREM TECHNICZNYM W REGIONIE EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ W PALO ALTO NETWORKS ROZMAWIA **FRANCISZEK BADZIAK**

Zacznijmy od zera. Czym dokładnie zajmuje się Palo Alto Networks?
– Jesteśmy międzynarodową firmą zajmującą się cyberbezpieczeństwem z siedzibą w Stanach Zjednoczonych.

Najczęściej kojarzymy się z firewallami, czyli zaporami sieciowymi, ale robimy znacznie więcej; zajmujemy się ochroną sieci i urządzeń w firmach, ochroną tożsamości cyfrowej, wdrażamy rozwiązania oparte na sztucznej inteligencji. Obsługujemy firmy i instytucje publiczne ze wszystkich branż, dlatego np. naszego antywirusa nie można znaleźć na sklepowej półce i zainstalować na prywatnym laptopie.

W Polsce jesteśmy od kilkunastu lat, a globalnie zatrudniamy około 20 tysięcy pracowników i oczekujemy, że w roku fiskalnym 2026 osiągniemy ponad 11 mld dol. łącznych przychodów.

A jak działa taka zapora sieciowa?
– Szyfrowanie jest dziś wszędzie: w połączeniach komórkowych, transakcjach finansowych czy tunelach VPN, które pozwalają na połączenia internetowe bez udostępniania jakichkolwiek danych komputera. Aż 99 proc. komunikacji internetowej jest szyfrowane.

Opiera się to głównie na dwóch mechanizmach. Pierwszym jest bardzo wydajne szyfrowanie symetryczne, idealne do zabezpieczania i przesyłania dużych wolumenów danych. Wymaga jednak, aby nadawca i odbiorca znali ten sam klucz. Problem pojawia się przy bezpiecznym przekazaniu klucza. Dlatego wymyślono drugi mechanizm, algorytm RSA [Rivesta-Shamira-Adlemana, od pierwszych liter nazwisk twórców] – infrastrukturę klucza prywatnego i publicznego. Służy do bezpiecznego przesyłania krótkich informacji, takich jak wspomniany klucz symetryczny. RSA opiera się na mnożeniu bardzo dużych liczb pierwszych. Dla klasycznych komputerów rozłożenie tego wyniku na czynniki pierwsze (faktoryzacja) zajęłoby miliony lat.

I tutaj pojawiają się komputery kwantowe, czyli...
–...maszyny, które całkowicie zmieniają zasady gry. W przeciwieństwie do tradycyjnych komputerów, które operują na bitach (zero albo jeden), komputery kwantowe wykorzystują kubity. Dzięki zjawisku superpozycji kubit może być zerem i jedynką jednocześnie. W praktyce oznacza to potężną moc obliczeniową: tam, gdzie zwykły superkomputer musi sprawdzać każdą ścieżkę po kolei, komputer kwantowy widzi je wszystkie naraz.

Dziś ich możliwości pozwalają już na przeprowadzanie niesamowicie złożonych symulacji chemicznych czy optymalizację logistyki, ale ich jokerem w talii jest algorytm Shora. To opracowany w 1994 roku matematyczny przepis, który udowadnia, że komputer kwantowy potrafi błyskawicznie rozkładać ogromne liczby na czynniki pierwsze. To o tyle istotne, że to na tempie wykonania tego zadania opiera się niemal całe dzisiejsze szyfrowanie w sieci. Jeśli użyjemy algorytmu Shora na odpowiednio potężnym komputerze kwantowym, klucz RSA nie będzie opierał się milionami lat, ale padnie w ciągu zaledwie 24 godzin.

Komputery kwantowe będą więc służyć hakerom do łamania tych algorytmów?
– Tak, dokładnie. Choć dziś budowa takiej maszyny kosztuje miliardy i stać na to tylko najbogatsze państwa albo wielkie korporacje, to w rękach służb wywiadowczych czy zaawansowanych grup hakerskich stanie się cyfrowym wytrychem. Stoimy przed ogromnym wyzwaniem: musimy wymienić zamki w całym internecie na takie, których nawet kwantowy algorytm nie będzie w stanie otworzyć, zanim ta technologia w pełni dojrzeje.

Zdaniem Europolu komputery, które będą do tego zdolne, powstaną za jakieś 10-15 lat. Tymczasem Palo Alto Networks podaje termin 3 do 7 lat. Skąd ta rozbieżność?
– Europol mówi o momencie stworzenia uniwersalnego komputera kryptologicznego, czyli właśnie takiego, który hakerom posłuży do rozgryzania szyfrów. Uważamy, że firmy powinny się przygotowywać na to już teraz, ponieważ w perspektywie 3-7 lat łamanie szyfrowania z wykorzystaniem komputerów kwantowych może stać się możliwe.

Nasze podejście jest zgodne z ocenami firm analitycznych. Firma musi sprawdzić, z jakich algorytmów korzystają jej przeglądarki, z jakich korzystają aplikacje finansowe autoryzujące transakcje, a nawet – na jakich protokołach opiera się system ewidencji pracowników i ich fizyczne karty dostępowe do budynków. Szyfrowanie jest często głęboko zaszyte w same aplikacje i nie da się go łatwo podmienić.

Dlatego stosujemy agile cryptography, elastyczną kryptografię, która umożliwia projektowanie nowych systemów tak, aby w razie potrzeby dało się w nich szybko i bezboleśnie wymienić algorytm szyfrujący na nowszy.

Poza tym jest jeszcze coś, co nazywamy „harvest now, decrypt later" (zbierz teraz, odszyfruj później). Ktoś może skopiować zaszy-

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

frowany ruch w sieci, wykraść dane i zebrane informacje odłożyć na później na dyski. Za te kilka lat, gdy już będzie miał do dyspozycji komputer kwantowy, z łatwością to odszyfruje. Dlatego, jeśli twoje dane są ważne dłużej niż rok czy dwa, musisz chronić je już dziś.

I jak działają te kwantowe systemy szyfrowania?
– Możemy podejść do tego na dwa sposoby. W Palo Alto Networks skupiamy się na kryptografii postkwantowej. Brzmi to skomplikowanie, ale w gruncie rzeczy chodzi o aktualizację matematyczną. Skoro wiemy, że nadchodzą komputery kwantowe, musimy wymienić nasze obecne szyfry na nowe, znacznie trudniejsze łamigłówki matematyczne, których nawet kwantowy procesor nie rozwiąże. To tutaj kluczową rolę odgrywają standardy NIST – to amerykański instytut, który pełni funkcję światowego arbitra w dziedzinie bezpieczeństwa. To oni testują i wybierają najsilniejsze algorytmy, które stają się nowym, globalnym wzorcem ochrony danych.

Powołaliśmy już zespół zajmujący się tymi technologiami i wypuściliśmy pierwsze produkty dla klientów. Oferujemy też narzędzia na poziomie firewalla, które działają jak skaner: sprawdzają całą sieć firmy i wskazują, które ze starych zabezpieczeń wymagają natychmiastowej wymiany. Współpracujemy przy tym ściśle z instytucjami rządowymi w USA, gdzie wprowadzono już konkretne terminy wdrażania nowych standardów.

Są jeszcze rozwiązania oparte na fizyce.
– To właśnie ta druga ścieżka: zamiast na matematyce opieramy się na prawach natury. To Quantum Key Distribution (QKD). Polega na przesyłaniu kluczy szyfrujących za pomocą pojedynczych cząstek światła przez światłowody. Jeśli ktoś spróbuje podejrzeć taki klucz w trakcie przesyłania, zgodnie z mechaniką kwantową zmieni on swój stan i natychmiast wykryjemy próbę ataku. Ogromne zasługi ma na tym polu polski fizyk, profesor Artur Ekert. Być może też dlatego Polska ma na tym polu spore osiągnięcia. Wykorzystujemy do tego infrastrukturę Pionier, czyli naszą narodową, superszybką sieć światłowodową łączącą największe polskie ośrodki naukowe.

To właśnie na tej cyfrowej autostradzie stworzyliśmy drugą co do wielkości na świecie (po Chinach) uczelnianą sieć wymiany kluczy kwantowych. Niedawno zestawiono pierwsze takie połączenie między Akademią Wojskową a Ministerstwem Cyfryzacji. W rozwój tych technologii, które mają podwójne zastosowanie – cywilne i wojskowe – angażują się też polskie firmy, jak Creotech.

Ten temat przestał być już czysto akademicki. Rządy państw, służby specjalne i wojsko traktują to śmiertelnie poważnie. W takie technologie inwestują aktualnie praktycznie wszyscy – mniejsze i większe firmy i organizacje pozarządowe. Do 2025 roku globalne nakłady na technologie kwantowe osiągnęły blisko 57 mld dol. rocznie. Najwięcej według ocen analityków wydają Chiny, w drugiej kolejności USA. Spory udział ma też Unia Europejska. Polska również inwestuje spore kwoty w technologie kwantowe. Ale nie tylko rządy i świat akademicki przodują w rozwoju komputerowych technologii kwantowych – w zeszłym roku Microsoft ogłosił wypuszczenie procesorów kwantowych.

Czyli znów mamy wyścig między hakerami a systemami zabezpieczeń?
– Dyskusja o Q-Day pokazuje raczej, jak poważnie branża podchodzi dziś do bezpieczeństwa. To hipotetyczny moment, w którym komputery kwantowe mogłyby zagrozić obecnym metodom szyfrowania i przełamać współczesną kryptografię klucza publicznego. Warto jednak podkreślić, że to scenariusz, na który sektor technologiczny już się przygotowuje. Trwają prace nad kryptografią odporną na ataki kwantowe, a nowe standardy są stopniowo wdrażane. Zamiast mówić o utracie zaufania do internetu, mówimy więc o jego ewolucji i wzmocnieniu – tak, aby był bezpieczny także w erze komputerów kwantowych.

Musimy wymienić zamki w całym internecie na takie, których nawet kwantowy algorytm nie otworzy

TOMASZ PIETRZYK

Ponoć Q-Day jest nie do uniknięcia, a ma nadejść już w tym dziesięcioleciu...
– Nie ma jednej wyznaczonej daty, ale wielu ekspertów zakłada, że może to nastąpić w perspektywie najbliższych 3-10 lat. Wymagałoby to powstania wyspecjalizowanego komputera kwantowego zdolnego uruchamiać algorytmy takie jak algorytm Shora, które mogłyby zagrozić obecnym standardom, m.in. RSA i kryptografii opartej na krzywych eliptycznych.

Jednocześnie tempo rozwoju zależy od kilku trudnych wyzwań technicznych, takich jak skalowanie liczby kubitów, korekcja błędów czy utrzymanie stabilności układów kwantowych. Już dziś jednak organizacje mierzą się z ryzykiem wspomnianej procedury „harvest now, decrypt later". W odpowiedzi rozwijana jest kryptografia postkwantowa (PQC), która ma zabezpieczyć systemy przed tym scenariuszem. To oznacza nie tyle jednorazową zmianę, ile szeroką migrację całych systemów kryptograficznych – od zarządzania certyfikatami po dostosowanie infrastruktury.

Komputery kwantowe to niejedyne zagrożenie. W swoich raportach podkreślacie, że w taktyce hakerów coraz większą rolę odgrywają szpiegostwo AI i cyfrowa obecność pracowników – w social mediach, na komunikatorach etc.
– W firmach pojawiają się agenci AI i zautomatyzowane aplikacje, które komunikują się ze sobą bez udziału człowieka. Ta cyfrowa tożsamość daje w systemie ogromne uprawnienia – często większe niż ma zwykły użytkownik. Zabezpieczenia muszą się opierać na zasadzie najmniejszych uprawnień: aplikacja ma mieć dostęp tylko do tego, co niezbędne. Próba sięgnięcia po inne dane powinna od razu wzbudzać alarm.

Inny problem to ataki z użyciem fałszywych tożsamości fizycznych. Zdarzały się już udokumentowane kampanie cyberprzestępców z Korei Północnej, którzy aplikowali do znanych firm tylko po to, by uzyskać wewnętrzne dostępy. W Palo Alto Networks mamy bardzo rygorystyczne procedury zatrudniania, w tym szczegółowe sprawdzanie dotychczasowej kariery (background check), którym zajmują się zewnętrzne firmy, stawiamy też wymóg fizycznego pojawienia się na rozmowie, ale rynek pracy zdalnej ułatwia takie ataki.

Bywa jednak, że wszystkie systemy bezpieczeństwa zawiodą. Dowodem niedawny wyciek danych z Salesforce, czołowego producenta oprogramowania dla przedsiębiorstw, z którym współpracujecie. Jak to możliwe, że nawet wy, firma zajmująca się bezpieczeństwem, nie zawsze potraficie się uchronić?
– W cyberbezpieczeństwie nie ma czegoś takiego jak pełna odporność, są tylko lepsze i gorsze mechanizmy zarządzania ryzykiem. To nie był atak na infrastrukturę Palo Alto Networks, dotyczył partnera firmy Salesforce, z której korzystamy jako z platformy CRM (do zarządzania relacjami z klientami). Wyciek nie dotknął kodu źródłowego naszych produktów ani wewnętrznych systemów firmowych. Ta sytuacja idealnie pokazuje jednak ryzyko związane z łańcuchem dostaw. Zdecydowaliśmy o zakończeniu współpracy z firmą, z której usług korzystaliśmy, mimo że wdrożyła u siebie program naprawczy.

To doskonała lekcja dla wszystkich. Partnerów trzeba weryfikować niesamowicie szczegółowo: oceniać, kiedy i jakie dane będą przekazywane, w jakim celu, jaka jest ich ważność i czy mamy procedury ich awaryjnego usunięcia. Wyciągnęliśmy też własne wnioski: jeszcze mocniej rotujemy klucze uwierzytelniające i drastycznie skróciliśmy czas dostępu do danych dla podmiotów zewnętrznych. W praktyce to właśnie takie decyzje – szybkie, konkretne i czasem kosztowne – są miarą dojrzałości organizacji w obszarze bezpieczeństwa.

Q-Day jeszcze nie nadszedł, a ryzyko już jest ogromne.
– Tak, z powodu podatności samej architektury sieci. Operatorzy telekomunikacyjni używają specjalnego protokołu do kierowania ruchem. Zdarzały się już sytuacje, gdzie przez błędy w konfiguracji lub celowe działania ruch wędrujący między dwoma punktami w USA był nagle przekierowywany przez Chiny, a ruch z Europy trafiał na serwery na Białorusi. Wystarczą dwie godziny takiej anomalii, żeby ktoś zrzucił na dyski terabajty państwowych czy firmowych danych.

Dlatego instytucje nie czekają. Wielka Brytania chce być w pełni gotowa na erę postquantum do 2035 roku. My w Palo Alto Networks również mamy osobny zespół zajmujący się tymi technologiami, wypuszczamy produkty wspierające nowe algorytmy i pomagamy klientom inwentaryzować ich sieci. Świat postkwantowy dzieje się wokół nas tu i teraz. ●

REKLAMA
Kraj/34423354

Ostatni „list w butelce" Zygmunta Baumana dociera do nas w samą porę. Jest lekcją i przestrogą na dziś.
ARTUR DOMOSŁAWSKI

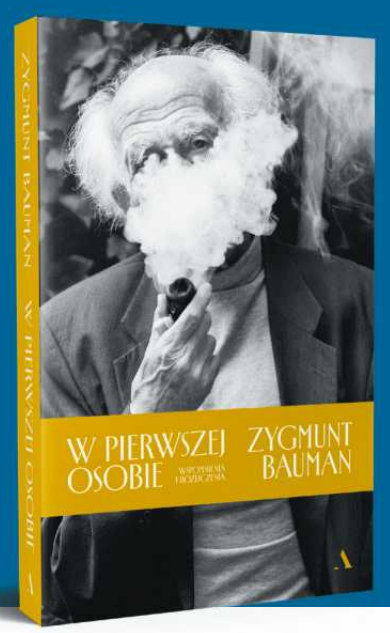

NIGDY WCZEŚNIEJ NIEPUBLIKOWANA
AUTOBIOGRAFIA ZYGMUNTA BAUMANA
SZCZERA I OSOBISTA OPOWIEŚĆ JEDNEGO Z NAJWYBITNIEJSZYCH UMYSŁÓW HUMANISTYKI, W KTÓREJ ŻYCIE OSOBISTE SPLATA SIĘ Z HISTORIĄ XX WIEKU.
PREMIERA 20 MAJA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

„TA GÓRA ZABIJA LUDZI”

• W bazie pod Mount Everestem, 2006 rok
FOT. WOJCIECH TRZCIONKA

Od początku mojego pobytu w Himalajach o tym, że ktoś umarł na Evereście i Lhotse, dowiaduję się średnio co kilka dni.

Martyna Wojciechowska
fragment książki „Przesunąć horyzont. 20 lat później”, rozdział 21. „Czas ruszać”

Jutro mamy wyruszyć z Bazy na atak szczytowy, a powodzenie wyprawy wisi na włosku. Mingma i Dorjee, nasi przewodnicy, się pobili. Trudno dojść, o co im chodzi, bo są pijani. Prawdopodobnie poszło o to, że Mingma nie nosił ładunków do czwórki, bo miał chore oko, które wyzdrowiało, gdy tylko się przespał, więc trudno było traktować to poważnie. Potem zszedł do Bazy i podobno pobiegł do wioski Lobuche, żeby się upić i uprawiać hazard. No cóż, nawet jeśli tak było, to Dorjee nie powinien uderzyć pięścią w twarz dwa razy mniejszego Mingmy. Pojawiam się w momencie, kiedy Dorjee klnie, krzyczy i rzuca się, przytrzymywany przez Pasanga, a Mingma płacze i pakuje plecak z zamiarem zejścia do Namche Bazaar. – Trzeba ich rozdzielić – mówię spokojnie. – Dyskusje z pijanymi są bez sensu.

Inaczej wyobrażałam sobie ten wieczór. Nie czuję się gotowa. Pakuję tylko najważniejsze rzeczy – maskę tlenową z reduktorem, różaniec z pierwszej komunii, który dostałam od mamy z przestrogą, że ma do niej wrócić, i polską flagę – prezent od polskich motocyklistów na mecie Rajdu Dakar w 2002 roku. Potem towarzyszyła mi na wszystkich kolejnych szczytach zaliczanych do Korony Ziemi i mam ją do dziś.

• Przyrzeknij, że zawrócisz, jak będzie trzeba. Masz do kogo wracać! Cała banda na Ciebie czeka. Jezu, ale się denerwuję... Wierzę w Twój rozsądek i bardzo Cię kocham. Śpij dobrze – jutro Wielki Dzień! WIADOMOŚĆ OD MARTY GRAJETY, 12 MAJA 2006, 19.10

Wielki Dzień, czyli 13 maja 2006, zaczyna się od nieprzespanej nocy. Nie mogłam spać, bo w Bazie było zamieszanie. Chłopcy wychodzą wcześniej, ja i Darek ku mojej uldze zostajemy sami. W zasadzie nie mogę sobie przypomnieć, po co na tej wyprawie jest tyle osób. Naiwnie sądziłam, że to podnosi bezpieczeństwo, że jest raźniej. Tymczasem to czynnik ludzki okazuje się najbardziej zawodny. Gdybym organizowała wyjazd raz jeszcze, pojechałabym tylko we dwójkę z Darkiem. Zresztą od wyprawy na Everest wspinam się tylko w małych zespołach albo wyjeżdżam sama.

Podczas nerwowych i pośpiesznych przygotowań pakuję się i... padam jak długa, uderzam głową w kamień leżący na ścieżce. Darek i Pasang myślą, że już nie żyję. Mam rozcięty łuk brwiowy, nabitego guza i uznaję, że limit pecha na trzynastego już wyczerpałam. Ale nie! Pasang przychodzi z informacją, że Dorjee się obraził, bo faworyzujemy Mingmę, więc on czuje się już niepotrzebny. Odbywam więc pouczającą, uspokajającą rozmowę z Dorjee. Mówię, jak bardzo na niego liczę, że sama nie dam sobie rady, że będę czekać na Przełęczy Południowej. Wtedy dochodzę do wniosku, że muszę jeszcze umyć głowę. Koniecznie! Mimo że pada śnieg i jest cholernie zimno. Zamykam się w mesie, włączam piecyk i przez pół godziny suszę włosy, popijając kawę. Tak, nie lubię się śpieszyć przed wyjściem. Chyba podświadomie robię wszystko, żeby jednak nie wyjść na ten atak szczytowy.

Martin Minarík, który wciąż opłakuje śmierć swojego partnera wspinaczkowego Pavla, podchodzi do mnie, kuśtykając. Na stopach ma puchowe botki, bo tak go boli, że na odmrożone stopy nie może założyć normalnych butów. Przytula mnie z całej siły. – Ta góra zabija ludzi, uważaj na siebie. Proszę – mówi, łkając.Jeszcze nie wiem, że widzimy się po raz ostatni.

Kiedy w południe Szerpowie widzą mnie na Icefallu idącą do góry, najpierw się dziwią, potem pukają się w czoło. To prawda, lodospad jest nieprzewidywalny, a w środku dnia, kiedy temperatura wzrasta, a lód pracuje najmocniej, ryzyko wypadku gwałtownie rośnie. To wtedy seraki pękają najczęściej i giną ludzie.

W połowie Icefallu jestem już mocno zmęczona. Pada śnieg, zawiewa, idzie się naprawdę ciężko. Poręczówki są zasypane, miejscami trudno je znaleźć, poruszam się jak dziecko we mgle, wypatruję jakichś śladów. Zdaję sobie sprawę, jak łatwo się tu zgubić. Na szczęście dogania mnie Darek. W pewnej chwili słyszę potworny trzask i huk. Podnoszę głowę i widzę, jak kilka metrów ode mnie potężny serak łamie się u podstawy i zaczyna się osuwać. Przez sekundę wierzę, że utrzyma mnie poręczówka. Bzdura! Oczywiście, że mnie nie utrzyma!

Krzyczę, przeklinam, próbuję zagłuszyć przerażenie. Łomot jest taki, że ziemia się trzęsie. Jestem pewna, że drugi z seraków, ten nade mną, także się osunie. Padam na kolana, kulę się w sobie, chowam głowę w ramionach, czekam. Chce mi się wymiotować z nerwów i ze strachu. Pierwszy raz spadł obok mnie blok lodowy wielkości domu jednorodzinnego. Przez chwilę mam ochotę uciekać, zejść do Bazy, jechać do domu, cokolwiek. Adrenalina sprawia jednak, że przyspieszam, chcąc jak najszybciej mieć Icefall za sobą.

Od tego momentu na każdy z seraków patrzę podejrzliwie. Wiem, że przegięłam z tak późnym wyjściem z Bazy i niepotrzebnie się narażamy. Jednak teraz już nic nie mogę z tym zrobić, pozostaje mi przeć do góry i wierzyć, że los będzie łaskawy. Z jednej strony instynkt samozachowawczy podpowiada mi, żeby przebiegać pod lodowymi nawisami jak najsprawniej, z drugiej – brak tlenu nie pozwala poru-

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

szać się szybciej niż kilka kroków jeden po drugim, do przerwy na oddychanie. Koniec Icefallu przyjmuję z ulgą. – Mam nadzieję, że to ostatni raz, kiedy musiałam go przejść. Przynajmniej do góry – podsumowuję, spoglądając na Darka.

• Po stronie minusów wyprawy lista jest krótsza, a w zasadzie dopatrujemy się tylko jednego – nonszalanckie przechodzenie przez Icefall w środku dnia. Martynie zdarzyło się to zrobić aż trzy razy. Przejeżdżała Icefall na czerwonym świetle. Raz seraki poleciały tuż obok niej – skończyło się na strachu, miała po prostu szczęście. KOMENTARZ EKSPERTÓW, WSPINANIE.PL

Zagrożenie było dla mnie oczywiste już wtedy, ale dopiero później zorientowałam się, jak oceniano to z zewnątrz. Czy nie powinnam była tak późno przechodzić przez Icefall? Pewnie, że nie. Często inni wspinacze podejmują równie ryzykowne wybory, ale ich decyzje nie stają się obiektem publicznej dyskusji. W moim przypadku każda decyzja, także błędna, staje się częścią szerszej opowieści o odpowiedzialności i granicy ryzyka. Te same zachowania innych bywają oceniane łagodniej.

Radość nie trwa długo. Następny odcinek stanowi śnieżne wypłaszczenie, które jest naprawdę śnieżne. Darek podejmuje się torowania, idę za nim krok w krok, niczym kurczak za kwoką. Obóz I osiągamy i tak w przyzwoitym czasie, po niecałych sześciu godzinach. Zupa ogórkowa z proszku, herbata, jednak sen nie nadchodzi. W naszym namiocie wytopił się lód pod podłogą, i to w tak niefortunny sposób, że połowa namiotu jest niczym lej po wybuchu bomby, a druga połowa się wypiętrzyła – różnica poziomów to około 50 centymetrów. Darek układa się w kuszetce na pierwszym piętrze, ja wybieram lodową rynnę. Ech, ten trzynasty. Jeszcze nie czuję, że to atak szczytowy. Jeszcze nie uświadamiam sobie, że to już... Z jednej strony – długo czekałam na ten sprawdzian. Z drugiej – cieszę się, że to ostatnie dni, że finał jest tak blisko.

Dzień następny. 49. od początku wyprawy. Nawet nie chce mi się otworzyć oczu. Leżę, czekając na słońce i energię, która na mnie spłynie. Zmuszam się w końcu, wstaję i sprzątam namiot, szykuję go do zwinięcia. „Pewnie już tu nie wrócę" – myślę.

Niemal całe przejście do dwójki poświęcamy z Darkiem na filmowanie. Mingma nie może zrozumieć, dlaczego idę, a potem wracam i jeszcze raz przechodzę tą samą drogą. Najbardziej zdumieni są jednak wspinacze z Korei, którzy z zainteresowaniem obserwują, jak przez wyjątkowo chybotliwą drabinę przechodzę siedem razy. – *Filming* – wyjaśniam, wskazując na kamerę.

Do Obozu II docieramy późnym popołudniem. Nawet się cieszę, że poręczowanie z Przełęczy Południowej do szczytu przeciąga się po ostatnich opadach śniegu. Oznacza to, że atak przekładamy na 18 maja i możemy odpocząć w Obozie II jeszcze jeden dzień. Co za ulga!

Kolejnego dnia chłopaki ruszają wraz ze wschodem słońca do Obozu III, ja i Darek zostajemy. Szczerze mówiąc, nie widzę sensu siedzenia i czekania wyżej – to męczące dla organizmu, no i atak może się przesunąć o kolejny dzień. Nie zamierzam jednak pouczać Jury, w końcu to mastier sporta... Będzie trochę spokoju.

Dzień jest upalny, w namiocie około 40 stopni Celsjusza; różnice temperatur między dniem i nocą w górach są abstrakcyjne. Szczególnie odczuwa się je wewnątrz namiotu – w ciągu doby temperatura może zmienić się nawet o 60–70 stopni Celsjusza. Teraz leżę w samej bieliźnie na podłodze namiotu, tuż przy wyjściu, i okładam się blokami lodowymi naszykowanymi do gotowania. Jeden na klatce piersiowej, jeden pod karkiem i solidny kawał lodu na czole – patent nawet się sprawdza, ale wciąż jest mi tak gorąco, że mój umysł niemal przestaje funkcjonować.

Mogę tylko analizować statystykę wejść od północy. Ponoć od 14 maja szczyt zdobyło 60 osób, a tylko dziś przewidywana liczba wejść to kolejne 50. Jedna komórka w moim mózgu rozważa jeszcze treść wiadomości, którą właśnie odczytałam na telefonie satelitarnym. Mój ówczesny partner snuje jakieś wizje erotyczne, co mnie tylko rozdrażnia i wywołuje refleksje o wspinaczce i seksualności. Dla miejscowych ta góra jest święta, a seks na jej zboczach stanowi temat tabu. Wierzą, że przynosi nieszczęście. Obowiązuje więc niepisana zasada: żadnej bliskości, cielesności, to miejsce ma należeć do bogów. I nagle ten SMS. Brzmi zupełnie nie na miejscu.

Nachodzi mnie myśl o własnej nieatrakcyjności w tej sytuacji. Mimo że przyjmuję witaminy, włosy wychodzą mi garściami. Kąpię się od czasu do czasu w misce wody, ale od dwóch miesięcy nie wzięłam prysznica, mam brud za paznokciami. Skóra na opuszkach palców pęka i krwawi, nie chce się goić, więc zalewam ją klejem Super Glue, bo tylko to działa. Odganiam od siebie myśli o intymności. Mam cel do zrealizowania i teraz to jest najważniejsze. Nie mam czasu na głupoty.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE MARTYNY WOJCIECHOWSKIEJ

• **Testowanie sprzętu w warunkach zimowych we własnym ogródku, 2006 rok**

We wtorek 16 maja chcemy wyjść w górę wcześnie rano. Ale tak się dobrze spało, że wyruszamy dopiero o 10. Pod ścianę Lhotse idę półtorej godziny i ze zdumieniem mijam ludzi mozolnie zmierzających do Obozu III. Wpinam się w poręczówkę i metodycznie, przesuwając jumar po linie, przemieszczam się do góry. Od razu czuję, że mam dużo lepsze tempo niż ostatnio.

Za pierwszą ścianką mijam Szerpę z ładunkiem. – Z jakiej jesteś wyprawy? – Team Mongolia. – O! A ilu was jest? – Dwóch wspinaczy i tylko trzech Szerpów.Nie mam serca powiedzieć mu, że u nas trzech Szerpów przypada na siedem osób.– Jesteśmy dopiero w 14. dniu od przyjazdu do Bazy. No, to mnie naprawdę zdumiewa, my aklimatyzujemy się miesiąc, nie licząc Island Peak. – Dziś już raz byłem w trójce. Zszedłem do Obozu II po nowy ładunek i znów podchodzę.

Jest mi go naprawdę żal. Nasz Szerpa Dorjee jest tak często pijany albo na kacu, że przestałam go już o cokolwiek prosić. – No to, stary, nie masz łatwego życia. Przykro mi. Wymijam go, jednak Darek jest poza moim zasięgiem. W pięć godzin docieram do Obozu III i muszę przyznać, że po raz pierwszy mam spory zapas energii. Jeśli jutrzejszy dzień będzie podobny, jeśli dobrze rozłożę siły, naprawdę wejdę na Przełęcz Południową. A to już jest przecież coś.

• Czasem z Polski docierają strzępki komentarzy na temat mojej wyprawy. Że na górę to mnie pewnie wnoszą, że ktoś widział mnie w Zakopanem na Krupówkach, więc w Himalajach to ja na pewno nie jestem. Chyba nikt, kto nie był choć przez pięć minut osobą publiczną, nie zrozumie, jaka to presja. Jak ciężko mierzyć się równocześnie z Everestem, z własnym strachem, ze słabością i z opiniami ludzi. Może nie powinnam się tym przejmować? Ale nie potrafię. Te słowa podkopują pewność siebie wtedy, gdy i tak balansuję na granicy wytrzymałości. Najgorsze jest to, że zaczynam się tłumaczyć w myślach przed ludźmi, którzy nigdy tu nie byli i nigdy nie poniosą kosztu tej drogi. Mieszają się we mnie uczucie euforii, że to JUŻ, z autentycznym lękiem, że nie dam rady. DZIENNIK Z WYPRAWY

Od początku mojego dorosłego życia pracuję w mediach, na tak zwanym widelcu, pod ostrzałem dziennikarzy i pismaków. Wciąż jednak nie jestem impregnowana na bezinteresownie złośliwe komentarze, które mają na celu podkopanie mojego poczucia własnej wartości i poprawienie samopoczucia komentujących. Pod wpływem emocji zaczynam myśleć chaotycznie. Na atak szczytowy trzeba będzie ruszyć w nocy. Dlaczego? Bo wtedy temperatura jest niższa, śnieg twardy i zamarznięty, warunki są bardziej bezpieczne i stabilne. Najlepiej być na wierzchołku o świcie, bo to daje potem dużo czasu na zejście. Nie bez powodu statystycznie to właśnie w drodze powrotnej zdarza się więcej wypadków. Ludzie schodzą albo pijani sukcesem, albo zdruzgotani porażką. Energia po wielu godzinach akcji górskiej się wyczerpuje, więc łatwiej o błędy i potknięcia. W razie dramatycznej sytuacji można też liczyć na to, że ktoś podejmie akcję ratunkową za dnia, bo w nocy, po ciemku szanse na to zdecydowanie spadają.

Cholera, co z tym tlenem? – myślę dalej, nerwowo. Nie wiem, jak ustawić przepływ. Piszę do Piotra Pustelnika, który odpowiada krótko i zwięźle:

• Śpisz na jednym litrze, z Obozu III do IV od wysokości około 7500 metrów idziesz na dwóch litrach, a potem – trzy do trzech i pół. Cztery litry to już ilość fizjologiczna, więc szkoda gazu, tylko go zmarnujesz. Aha, i wcześniej nie odkręcaj zbyt dużo, bo czerwone ciałka umierają. Pij dużo, tlen bardzo wysusza. Ale to pewnie wiesz. WIADOMOŚĆ OD PIOTRA PUSTELNIKA

Kolejnego dnia nie ruszamy o świcie, tak jak planowaliśmy, bo wychodzenie z namiotu w zimnie, gdy nie ma słońca, jest po prostu ponad moje siły. Mimo to czuję się naprawdę dobrze. Trudno mi to wytłumaczyć, ale podejście do Obozu IV, choć tak bardzo się go bałam, jest dla mnie dużą przyjemnością. Słońce pali niesamowicie, co powoduje spory dyskomfort, ale w szybkim tempie podchodzę do góry. Wyprzedzam Dorjee i Mingmę, który mówi mi, że „tam leży ciało tego Czecha", wskazując na najbliższy serak wyrastający tuż przy szlaku. Serce podchodzi mi do gardła.

Od początku mojego pobytu w Himalajach o tym, że ktoś umarł na Evereście i Lhotse, dowiaduję się średnio co kilka dni. Informacje o kolejnych wypadkach krążą po Bazie jak podmuch zimnego wiatru. Pierwszego Szerpę w tym sezonie wykończył obrzęk płuc, kolejnych trzech zabił wspomniany wcześniej serak na Icefallu. Następny był Pavel, a kilka dni po nim wspinacz z Indii, który spadł na stromym odcinku grani. David Sharp, Brytyjczyk, zmarł z wycieńczenia. Dziś rano usłyszałam o kolejnym wypadku. Szwed Tomas Olsson, chłopak dwa lata młodszy ode mnie, zabił się po północnej stronie góry podczas zjazdu na nartach.

Nie wiem jeszcze, że w ciągu najbliższych dni umrą kolejni. Trzydziestodwuletni Francuz Jacques-Hugues Letrange z wycieńczenia, 100 metrów od wierzchołka, po udanym przejściu północną ścianą razem z żoną Caroline, a także Brazylijczyk Vitor Negrete, który zdobył szczyt bez użycia dodatkowego tlenu jako pierwszy ze swojego kraju. Pochód śmierci w sezonie 2006, który został nazwany jednym z najbardziej śmiertelnych, zamknie słabowidzący wspinacz z Niemiec Thomas Weber. Umrze 25 maja w pobliżu wierzchołka.

Ciało Pavla leży w cieniu, w lekkim zagłębieniu stoku, owinięte żółtym workiem. Jego głowa jest przysypana śniegiem. Siadam obok. Wraca do mnie wspomnienie wypadku na Islandii. Widzę Pavla i Rafała jednocześnie.– Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków – szepczę słowa modlitwy.

Przypomina mi się to, co kiedyś powiedział Kukuczka: „Widziałem w górach ludzi, którzy nigdy nie chodzą do kościoła. A tam się modlili".

A więc tyle jest warte ludzkie życie? Marzenia, plany, studia medyczne, żona, dzieci, ukochane góry – wszystko to leży bezwładnie tuż przy ścieżce, na przejściu z Obozu III do IV. Ludzie mijają Pavla, krocząc gęsiego w kierunku szczytu. Niektórzy zatrzymują się, żeby zrobić pamiątkowe zdjęcie. Odnoszę wrażenie, że nie jest to dla nich ani przestroga, ani nawet powód do chwilowej zadumy. Raczej szczególna atrakcja turystyczna, coś wpisanego w naturę gór, w klimat tego miejsca. Coś tak oczywistego, że nikt się już temu nie dziwi. Nie jestem w stanie wytłumaczyć nikomu siedzącemu teraz na nizinach, dlaczego stosunek do śmierci w górach jest tak naturalny.

Pochówek zmarłych, którzy zginęli w górach, nie jest prosty, bo kolejne osoby transportujące ciało na dół mogą stracić życie. Czasem rodzina na to nalega, ale to rzadkość. Zwykle po prostu opuszcza się zwłoki do szczeliny, odmawiając krótką modlitwę. Bywa, że nawet tego nie da się zrobić, i zdarza się, że wspinacze przechodzą, stawiając krok ponad zwłokami, i idą dalej, w nieustającym pochodzie w kierunku szczytu.

Zamyślam się nad śmiercią Pavla, Rafała i innych osób, które spotkałam w swoim życiu. Powoli ruszam swoim tempem do góry. Chwilę później mijam się z ekipą kilku wspinaczy idących na dół z czwórki. Jeśli schodzą z Przełęczy Południowej, to oznacza, że atakowali szczyt Everestu.– *Summit*?! Szczyt? – pytam radośnie. Domyślam się, że są z ekipy Koblera. Mężczyzna odwraca do mnie zapłakaną twarz i mówi: – Za dużo śniegu. Nie daliśmy rady i trzeba było zawrócić z 8400 metrów. Tak blisko szczytu – powtarza jakby do siebie.Przykre. Ale nie skupiam się na ich porażce. Za bardzo teraz potrzebuję energii. Muszę skoncentrować się na celu. ●

• Martyna Wojciechowska **„Przesunąć horyzont. 20 lat później"** (Wydawnictwo Agora). Książka do kupienia w kulturalnysklep oraz Publio.pl.

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

POKOCHAJCIE ARCHIWISTĘ

Obywatel obsługający e-Pacjenta i ChataGPT nie równa się obywatel świadomy, krytyczny i odporny na fejki.

• **Polskie państwo konsekwentnie, choć bez entuzjazmu, finansuje digitalizację i udostępnianie danych dotyczących polskiej historii, kultury, sztuki, itd., Przykładem jest Polski Słownik Biograficzny (PSB). Na zdj. obraz Jana Matejki „Kazanie Piotra Skargi" z 1864 roku zdigitalizowany w wysokiej jakości właśnie w PSB.** FOT. ZE ZBIORÓW ZAMKU KRÓLEWSKIEGO/POLSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

Maciej Górny, Michał Przymusiński

Internet nie jest ani dobry, ani zły. Entuzjazm towarzyszący upowszechnieniu sieci, kiedy powszechnie wierzono, że demokratyzacja dostępu do informacji uczyni nas szczęśliwszymi i wolniejszymi, okazał się przesadzony, podobnie jak obecne obawy związane z zagrożeniami dla demokracji.

To oczywiste, że treści proste i populistyczne niosą się w sieci najlepiej. Ale nie inaczej było z prasą drukowaną i z telewizją. To nie medium odpowiada za informacje, tylko ich nadawca i w pewnym sensie także odbiorca.

Nie wydaje nam się możliwe, aby zmienić logikę biznesu, przemówić do sumień miliarderów, którzy czerpią z niego korzyści, czy w końcu wpłynąć na ludzką psychologię użytkowników sieci. Można natomiast uczyć ludzi obchodzić się z tym medium i, jak głosi jeden z dokumentów Ministerstwa Cyfryzacji, podnosić kompetencje cyfrowe tak, aby „przyczynić się do budowy inkluzywnego, otwartego i nowoczesnego społeczeństwa, co w wymiarze indywidualnym będzie się przekładać na lepszą jakość życia".

Na pierwszy rzut oka te dobre intencje władzy znajdują wyraz w konkretach. Rządowy Program Rozwoju Kompetencji Cyfrowych zakłada, że do 2030 roku 80 proc. obywateli będzie swobodnie posługiwać się narzędziami cyfrowymi, a połowa z nich osiągnie w tym biegłość. Co to oznacza w praktyce, nie jest łatwo precyzyjnie określić, bo nie znamy ani punktu wyjścia, ani sensu użytych terminów.

Ostatni Indeks Cyfrowej Gospodarki i Społeczeństwa Cyfrowego (DESI), europejski dokument, na który często powołuje się rząd, lokuje nas na 24 miejscu z 27 badanych krajów Unii. Dane opublikowano jednak w 2022 roku, czyli w skali przemian cyfrowych bardzo dawno. Indeks używa poza tym specyficznego języka. Tzw. kapitał ludzki mierzy się liczbą osób mających certyfikaty szkoleń, które w Polsce są mniej popularne niż np. w Niemczech. Z kolei poziom kompetencji cyfrowych małych i średnich przedsiębiorców wyznacza, jak bardzo korzystają z rozwiązań w chmurze.

Tymczasem w rzeczywistości czasami może to świadczyć o niższych kompetencjach niż użycie dedykowanych rozwiązań własnych.

To wszystko nie znaczy, że rządowe cele należy wyrzucić do kosza. Dążąc do ich wypełnienia, warto się jednak zastanowić nad istotą i celem procesu cyfryzacji oraz jasno określić, z jakich elementów ma się ten proces składać.

Pytanie, które chcemy postawić, brzmi: jaki poziom kompetencji cyfrowych chcemy i możemy osiągnąć. Czy swobodne operowanie rządowymi aplikacjami, takimi jak e-pacjent, to już to? Czy powszechna umiejętność wyszukania potrzebnych treści, od adresu sklepu po definicję na Wikipedii, będzie równoznaczna z budową otwartego społeczeństwa? Jak sprawić, żeby kompetentni cyfrowo obywatele, potrafiący posługiwać się zaawansowaną technologią, nie brali na wiarę dezinformacji i bzdur, od których w sieci i na portalach społecznościowych się roi?

Jednym zdaniem: chodzi nam o to, czy polskie państwo ma narzędzia pozwalające nie tylko rozwijać umiejętność korzystania z zasobów sieci, ale także rozróżniać treści zweryfikowane i zasługujące na zaufanie od niezweryfikowanych i niewiarygodnych. I czy potrafi ułatwić obywatelom dostęp do sprawdzonej wiedzy.

Łatwo dojść do wniosku, że państwo stoi tu na przegranej pozycji. Nie tylko zresztą Polska. Żaden kraj nie jest stworzony do tego, by stanowić konkurencję dla internetowych kanałów dystrybucji informacji. Większości brak na to kapitału, a przede wszystkim kompetencji. W grze o uwagę odbiorcy państwo ma bardzo ograniczone możliwości, choćby dlatego, że w zasadzie stawia na wiarygodność, a nie atrakcyjność przekazu.

Zwykle przyjmuje się, że to, co państwo może osiągnąć, to najwyżej cenzura internetu, odcięcie części usług albo wymuszenie dostosowania treści do wymogów prawa czy linii politycznej. Przykładów dostarczają Chiny, Rosja i Iran. Abstrahując od kwestii, na ile skutecznie kontrolują dostęp do sieci, nie są to wzorce, które powinno naśladować państwo demokratyczne, mające aspiracje do budowania innowacyjnej gospodarki opartej na wiedzy.

•

A może, zamiast koncentrować się na ochronie obywateli przed niebezpiecznymi treściami, zastanowić się nad dostarczeniem im wiadomości zweryfikowanych i godnych zaufania? Żeby to osiągnąć, nie trzeba wcale tworzyć zespołów kontrolerów, czy cenzurować sieć.

Lepiej zacząć skutecznie udostępniać i upowszechniać sprawdzoną wiedzę, skupiając się na tym, by dotarła do jak największej liczby użytkowników.

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Jasne, ostatecznie bez względu na to, ile kampanii społecznych zorganizujemy i jak szeroko będą o tym opowiadali uczniom nauczyciele, prawdziwa, zweryfikowana wiedza zawsze przegra w konkursie popularności z memami i zdjęciami kotków. Ale już konkurencja z pop-wiedzą i dezinformacją z sieci jest jak najbardziej w naszym zasięgu.

O jakie treści chodzi? Od lat polskie państwo konsekwentnie, choć bez entuzjazmu, finansuje digitalizację i udostępnianie danych dotyczących polskiej historii, kultury, sztuki, geografii, biologii i tak dalej. Producentami i depozytariuszami większej części tych zasobów są instytuty PAN. Zajmują się nimi zatrudnieni w tych instytutach dokumentaliści.

O tych ostatnich słyszymy przy dwóch okazjach. W czasie ewaluacji jednostek naukowych (akurat trwa) koleżanki i koledzy zatrudnieni na uniwersytetach zwyczajowo skarżą się na niesprawiedliwość wynikającą z ich obciążeń dydaktycznych, których pracownicy PAN nie mają. W odpowiedzi PAN przypomina właśnie o pracach dokumentacyjnych, które są porównywalnym obciążeniem. Druga okazja, kiedy do wiadomości publicznej trafiają informacje o pracach dokumentacyjnych PAN, to groźba ich zerwania ze względu na systematyczne niedofinansowanie.

W ostatnich latach najgłośniej było o Polskim Słowniku Biograficznym, obchodzącym niedawno 90. urodziny. Listy otwarte w jego obronie ukazują się z przygnębiającą regularnością a słowa poparcia dla zespołu PSB padały m.in. z trybuny Sejmu obecnej kadencji. Od jednego stanu przedzawałowego do następnego, Słownik zachowuje ciągłość pracy, którą dotąd przerwali tylko Hitler i Stalin.

PSB to jednak tylko jeden z wielu przykładów. W PAN-owskich instytutach gromadzi się, opracowuje i digitalizuje olbrzymi zasób danych dotyczących najróżniejszych spraw.

Przykłady: Instytut Historii zdigitalizował historyczne mapy Rzeczypospolitej i krajów ościennych, łącząc je z aktualnymi lokalizacjami obiektów geograficznych; Instytut Sztuki udostępnia Katalog Zabytków Sztuki w Polsce; Instytut Historii Nauki przygotował internetowy przewodnik po wszystkich manuskryptach średniowiecznych w kraju; Instytut Języka Polskiego udostępnia między innymi Internetowy Słownik Języka Polskiego XVII i XVIII wieku; Instytut Historii PAN kończy właśnie digitalizować największą bazę biograficzną zesłańców syberyjskich, zawierającą kilkadziesiąt tysięcy szczegółowych rekordów.

Takich i podobnych przedsięwzięć jest naprawdę mnóstwo. Część przechowuje się w formie baz danych na instytutowych serwerach, niedostępnych dla szerszej publiczności, część udostępnia użytkownikom za pośrednictwem aplikacji, finansowanych z grantów.

W praktyce oznacza to, że rozproszone zasoby pozostają w ukryciu na serwerach instytutów albo w rzadko odwiedzanych zaułkach internetu. W każdym wypadku mamy do czynienia z gigantycznym zasobem ufundowanym ze środków publicznych – i niewykorzystanym. Wykonano gigantyczną pracę, ale produkt nie dotarł do klienta, którym powinno być społeczeństwo.

Są i pozytywne przykłady, czyli zasoby, które naprawdę trafiły pod strzechy dzięki Narodowemu Archiwum Cyfrowemu albo serwisowi Polona Biblioteki Narodowej. Oczywiście materiały wizualne w naturalny sposób są bardziej popularne, łatwiejsze do włączenia w strumień kultury masowej. To jednak nie znaczy, że tego samego efektu nie da się osiągnąć także w przypadku bardziej skomplikowanych treści.

●

Właściwie czemu tak się dzieje? Dlaczego państwo wydaje pieniądze na produkcję zweryfikowanych naukowo informacji, skoro ich nie używa? Wydaje nam się, że przyczyniają się do tego dwa powiązane czynniki.

Sfera budżetowa, do której PAN należy, stanowi system lenn, hołdujących zawsze tylko jednemu ministrowi. Nauka podlega Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego, ale już na przykład działający na polu historii i dobrze sytuowany Instytut Pileckiego – Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Z kolei internet to domena Ministerstwa Cyfryzacji. Cyfrowe projekty instytutów naukowych finansuje się ze środków MNiSW albo z grantów europejskich; Ministerstwo Cyfryzacji nie przejawia nimi zainteresowania.

Z silosowością finansowania budżetówki wiążą pewne urzędnicze nawyki, o których zwłaszcza humaniści są w stanie opowiadać długo i barwnie. Otóż utarło się, że pewne przedsięwzięcia, na przykład informatyczne, muszą i powinny kosztować, a inne już niekoniecznie. Ministerstwo nauki, dysponując ograniczonymi środkami, skupia się na finansowaniu naukowców, żeby nie pomarli. Efekty ich działań cyfryzacyjnych niespecjalnie kogokolwiek w „ich" ministerstwie obchodzą.

PSB to dobry przykład. Chociaż od lat toczy się walka o stałe finansowanie tego fundamentalnego dla polskiej kultury przedsięwzięcia, nie rozwinęła się publiczna dyskusja nad jego treścią i formą. A przecież, skoro to takie cenne dziedzictwo, można oczekiwać nieco więcej zainteresowania. Wygląda to tak, jakby czcigodny przodek był już od dawna martwy, a do rozstrzygnięcia pozostawało tylko, czy zwłoki dalej balsamować, czy jednak pogrzebać.

Skutki lobbingu na rzecz PSB także potwierdzają wrażenie, że decydenci nie traktują go jak żywe dziedzictwo. Słownik otrzymuje wsparcie od czasu do czasu, na rok, dwa lub trzy. To w pewnym sensie stulatek na umowie śmieciowej. Rządzi tu logika jałmużny, a nie inwestycji. Podtrzymywania życia, a nie rozwoju.

Mamy zatem niedofinansowane instytuty będące depozytariuszami wiedzy, która wąskimi strużkami, w sposób nieskoordynowany przecieka do internetu, gdzie trwa bez większego pożytku dla społeczeństwa, brakuje bowiem pieniędzy i pomysłu na jej popularyzację.

Z drugiej strony mamy realny problem groźnej głupoty, która wylewa się z sieci i zatruwa nasze życie publiczne, karmiąc obywateli w najlepszym razie papką informacyjną, w najgorszym – dezinformacją. Może pora uświadomić sobie, że trudno wiarygodnie podnosić kompetencje cyfrowe obywateli, jednocześnie manifestując lekceważenie wobec wiedzy, zgromadzonej przez polskich naukowców?

●

To, co proponujemy, to zerwanie z niemądrą tradycją i połączenie rozproszonych zasobów wiedzy w jedną sieć, która stanie się prymarnym źródłem zweryfikowanych informacji o Polsce i krajach ościennych. Taka sieć, zapewniająca prosty dostęp do danych wyprodukowanych przez uczonych, może być wykorzystywana w edukacji, nauce i popularyzacji wiedzy ze świadomością, że za zawartymi w niej informacjami stoją naukowcy, a nie anonimowi kompilatorzy treści.

Kluczową sprawą jest kontekst. Jak wiadomo, Wikipedia to jedno z najczęściej cytowanych przez sztuczną inteligencję źródeł, ale ruch ludzki do tego serwisu spada. Również wyszukiwarka Google powoli traci użytkowników, którzy wybierają rozwiązania takie jak ChatGPT, Google Gemini, Perplexity czy Claude. To zmiana paradygmatu dostępu do informacji. Dzięki AI staje się łatwiejszy i dopasowany do zapytania. Nie wymaga interpretacji, bo robi to za nas sztuczna inteligencja. Ale są i skutki uboczne. Stopniowo obniża się zarówno ranga poszczególnych źródeł, z których model językowy kompiluje odpowiedzi, jak i możliwość jednoznacznej identyfikacji każdego z nich. Nawet najmądrzejsza sztuczna inteligencja podpowie nam głupstwa, jeśli nakarmi się ją byle czym.

Jeżeli pozwolimy dalej korporacjom tworzyć „produkt wiedzopodobny", jakim jest czat sztucznej inteligencji, bez zadbania o dostępność rzetelnej wiedzy w przestrzeni informacyjnej, to pogodzimy się z przenikaniem błędnych lub zmanipulowanych treści do powszechnej świadomości. A tam, opakowane w dobrze wyglądające analizy, dzięki nowym funkcjom AI atrakcyjnie wizualizowane, łączone z innymi wiarygodnymi fejkami, tłumaczonymi automatycznie w ułamku sekundy na wszystkie języki świata, ukształtują nie tylko świadomość Polaków o otaczającym ich kraju, ale powszechną wiedzę o Polsce, Polakach, naszej historii i teraźniejszości.

Warto się zastanowić, czy szkoląc obywateli z wykorzystania wyszukiwarki i czatów ze sztuczną inteligencją, nie uczymy ich przypadkiem bezrefleksyjnego powielania stereotypów, wygenerowanych na podstawie popularnego zasobu sieci. Czy nie dotarliśmy do momentu, gdy podnoszenie kompetencji technicznych może paradoksalnie sprzyjać ogłupianiu społeczeństwa?

Instytut Historii PAN zdigitalizował historyczne mapy Rzeczypospolitej, Instytut Historii Nauki przygotował internetowy przewodnik po wszystkich manuskryptach średniowiecznych. Podobnych inicjatyw jest mnóstwo. Ale pozostają rozproszone i w ukryciu na serwerach instytutów

Aby uniknąć tej pułapki, trzeba zapewnić dostęp do wiedzy o najwyższej jakości. To wymaga przede wszystkim budowy systemu stałego wsparcia polskich naukowców, czyli dostarczenia im odpowiednich narzędzi. Nie można ich pozostawić bez wsparcia w cyfryzacji nauki nie dlatego, że sobie z tym nie poradzą, ale dlatego, że nie za to im się płaci. Stan obecny przypomina sytuację, w której co prawda cenimy ich książki, ale jednocześnie oczekujemy, że zajmą się także budową i utrzymaniem drukarni. Jeżeli chcemy, aby naukowcy aktywnie włączyli się w projektowanie cyfrowych rozwiązań, korzystali z nich i dzielili się tą wiedzą, musimy im zapewnić odpowiednie środki i mechanizmy wsparcia.

Postęp w informatyce jest dziś tak szybki, że wymaga specjalistów od aplikowania nowych możliwości do badań naukowych. Uczeni, którzy poza swoją dyscypliną dorywczo zajmują się „również cyfryzacją", już nie wystarczą. Wydaje się, że jedyny racjonalny model to budowa centrów kompetencyjnych, długofalowo wspierających wiele projektów naukowych jednocześnie. Mechanizmy grantowe mogą posłużyć ich budowie, ale potem trzeba im zapewnić stałe finansowanie. Mówiąc najprościej, ktoś musi zadbać, żeby w serwerowni nie zabrakło prądu albo dysk się nie zestarzał. Dlatego tak ważne jest, aby to cyfrowe zaplecze było łączone właśnie w centra kompetencji utrzymywane stale i optymalizujące koszty wielu projektów. Tak postępują zresztą światowi giganci oprogramowania: tworzą wielkie centra obliczeniowe, żeby optymalizować koszty i maksymalizować efekt.

Drugim aspektem takiej sieci naukowej musi być możliwość wzajemnego wykorzystania danych przez naukowców i odbiorców. Tutaj recepta jest prosta i nazywa się API (interfejs programowania aplikacji – *application programming interface*). Po prostu systemy muszą mieć taką „wtyczkę", aby mogły się ze sobą łączyć i automatycznie wymieniać wiedzą. Oczywiście poszczególne typy czy zakresy danych mogą mieć różne uprawnienia, być publiczne lub do użytku wewnętrznego itd. itp. Liczy się istota rzeczy – możliwość automatycznego przetwarzania danych przez systemy. I efektywnego łączenia danych, poukrywanych na serwerach jednostek naukowych.

●

I co to zmieni? A wszystko! Wiedza stanie się w czasie rzeczywistym dostępna dla wszystkich naukowców i odbiorców. Polskie projekty z obszaru sztucznej inteligencji uzyskają ustrukturyzowaną wiedzę potrzebną do treningów, eksperymentów, projektowania aplikacji. Światowe systemy sztucznej inteligencji również będą mogły z tej wiedzy korzystać, na zasadach, które ustali polskie państwo.

A weryfikacja dezinformacji, halucynacji AI czy bezmyślnego powielania stereotypów lub nieprawdziwych informacji? Cóż, im więcej rzetelnej wiedzy zostanie cyfrowo udostępnione w sposób zorganizowany, tym trudniej będzie rozsiewać pozbawione jakichkolwiek racjonalnych podstaw informacje, nawet w społeczeństwie, którego nie nauczono krytycznego myślenia.

Ta ostatnia sprawa jest mniej ważna niż podnoszenie kompetencji cyfrowych. Wbrew temu, co się może wydawać podczas bezmyślnego surfowania po sieci, treści w niej zawarte nie biorą się znikąd. Świadomość, skąd pochodzą i kto jest ich autorem to nie tylko kwestia uwierzytelnienia informacji, ale także społecznej edukacji. Społeczeństwo powinno zdawać sobie sprawę, co robią ci naukowcy, o których nigdy nie było wiadomo, czym się właściwie zajmują i po co to komu.

Zacieranie granicy pomiędzy nauką i obywatelami to coś więcej niż podnoszenie kompetencji czy edukacja publiczna. Dzięki niemu działania na rzecz kultury narodowej zainicjowane przez „niepokornych" inteligentów takich jak Władysław Konopczyński, założyciel ukazującego się od 1935 roku PSB, osiągną wreszcie swój cel. Pomogą rozpowszechnić inteligencki etos odpowiedzialności za kraj i za społeczeństwo.

Społeczeństwo otwarte, o którym piszą urzędnicy Ministerstwa Cyfryzacji, potrzebuje nie tylko dostępu do inteligentnej sieci. Aby sprostać wyzwaniom, które stawia przed nim bezdenna studnia informacji na każdy możliwy i niemożliwy temat, całe społeczeństwo powinno stać się elementem sieci nie tylko inteligentnej, ale także inteligenckiej, w której dostęp do wiedzy sprzyja kształtowaniu świadomego obywatelstwa. (A poza tym trzeba się szczepić!). ●

Maciej Górny

• historyk, pracuje w Instytucie Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN, popularyzator historii, autor m.in. książek „Polska bez cudów. Historia dla dorosłych", „Historia głupich idei albo duch narodu w świątyni nauki" i – z prof. Włodzimierzem Borodziejem – dwutomowej „Nasza wojna. Europa Środkowo-Wschodnia. Imperia / Narody". Laureat nagrody Klio za książkę „Matka wynalazków. Jak Wielka Wojna urządza nam życie".

Michał Przymusiński

• menedżer i konsultant projektów IT, zajmuje się m.in. doświadczeniami użytkownika (UX) oraz sztuczną inteligencją. Pracował m.in. nad rozwojem platform GOV.PL, HBO.PL. Wykładowca akademicki.

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

ADAM MICHNIK POLECA

Politruk uczy filozofa wolności

Spotkanie ambasadora PRL Dobrosielskiego i emigranta Kołakowskiego w Oksfordzie pokazuje zderzenie dwóch języków. Języka totalitarnej propagandy i języka nauki.

Krzysztof Murawski*

FOT. IPN / FORUM

W 1970 roku w Oksfordzie spotkali się w publicznej debacie o wolności nauki w Polsce dwaj dawni koledzy – Marian Dobrosielski (1923-2022) i Leszek Kołakowski (1927-2009). W latach 50. obaj byli asystentami Adama Schaffa na Uniwersytecie Warszawskim, a po 1956 roku obaj pracowali w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Kołakowski w zakładzie historii filozofii, a Dobrosielski w zakładzie logiki.

Dobrosielski miał mówić wtedy: „Dopóki żyję, będę bronić wolności akademickiej. To jedna z najwyższych wartości w naszym społeczeństwie”.

Jego zakłamanie wywołało oburzenie i protesty studentów znających jego rolę w tłumieniu protestów na UW w 1968 roku, gdzie Dobrosielski był prodziekanem Wydziału Nauk Społecznych.

W czasie debaty pytano go, czy to prawda, że osobiście bił studentów podczas manifestacji. Dobrosielski po namyśle miał oświadczyć, że niewykluczone, że „w odwecie za cios otrzymany od jednego z demonstrantów, udzielił mu fizycznej riposty. Całkiem możliwe, że mu oddałem”.

•

Gdy spotkali się w roku 1970, Dobrosielski był reżimowym ambasadorem PRL w Londynie, a Kołakowski — wyrzuconym z UW profesorem, emigrantem, od miesiąca stypendystą oksfordzkiego uniwersytetu. Dwóch niebywale uzdolnionych naukowców.

Dobrosielski to uczestnik francuskiej kampanii 1940 roku, internowany następnie z całą 2 Dywizją Strzelców Pieszych w Szwajcarii. Tam w czasie wojny pracował i jednocześnie studiował, pisząc w Zurychu doktorat na temat epistemologicznych podstaw neopozytywizmu. W 1948 roku, jeszcze przed powrotem do Polski, rozpoczął pracę w PRL-owskiej ambasadzie w Bernie.

Rząd londyński dysponował taką charakterystyką Dobrosielskiego z 1948 roku, przekazaną przez radcę Mieczysława Zaleskiego z Berna do kierującego w rządzie londyńskim sprawami zagranicznymi Tadeusza Gwiazdoskiego:

„Dr Marian Dobrosielski, doktor filozofii, były internowany żołnierz Drugiej Dywizji piechoty, ma około 26 lat, pochodzi z Rumunii, gdzie jego ojciec był prawnikiem i właścicielem ziemskim. D[obrosielski] był członkiem partii socjalistycznej z komunistami, politycznym idealistą bez praktycznego doświadczenia, pracował dla związkowego [tj. szwajcarskiego] towarzystwa ubezpieczeniowego w Winterthur do września 1948 roku.

Został przyjęty do pracy w konsulacie [PRL] przez Kalinę i Minkowskiego i pod opieką Brandela po odbyciu praktyki został przeznaczony na stanowisko attaché kulturalnego w ambasadzie albo zarządcę muzeum w Rapperswilu.

Od lipca do sierpnia 1948 roku Dobrosielski odbył 6-tygodniowe szkolenie dla propagandystów w Podkowie Leśnej pod Warszawą. Kandydaci na ten kurs byli selekcjonowani przez ambasady spośród bardziej biegłych i zaufanych Polaków, tzn. tych, którzy ufali reżymowi [w Warszawie]”.

Dobrosielski trafił do dyplomacji, ale też na UW do katedry Adama Schaffa, głównego wówczas zarządcy marksistowskiej filozofii w Polsce. W 1956 roku do pracy w Polskiej Akademii Nauk przyjął go Kazimierz Ajdukiewicz, zauważając, że jako marksista Dobrosielski pomoże stworzyć podstawy marksistowskiej logiki. Była to ironia, ponieważ już od co najmniej pięciu lat marksiści uznali, że logika nie jest dyscypliną ideologiczną – podobnie jak językoznawstwo lub matematyka, choć nadal preferowali w miarę możliwości marksistowskich logików.

Dobrosielski pełnił wiele urzędowych i partyjnych funkcji w nauce, w tym między innymi brał osobisty udział w tłamszeniu studenckich protestów w 1968 roku, jednak jego wkład w logikę nie okazał się wielki. W 1957 roku wydał książkę „Logika a retoryka”. Pisywał raczej o sprawach międzynarodowych i niekiedy wydawał aforyzmy.

Partyjna postawa pełnego zaangażowania po stronie komunistycznej władzy pozwoliła mu na zrobienie kariery w dyplomacji – był wiceministrem spraw zagranicznych, delegatem w ONZ i KBWE, radcą ambasady polskiej w USA, dyrektorem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, a w latach 1969-72, zaraz po wydarzeniach marcowych - być może w nagrodę za bezwzględność w tłumieniu protestów – ambasadorem w Londynie.

Nie wydaje się, żeby awantura z Kołakowskim, do jakiej doszło w Oksfordzie, pomogła mu w karierze, raczej wywołała międzynarodowy skandal.

•

Nieco młodszy od Dobrosielskiego Leszek Kołakowski rozpoczął studia jako początkujący partyjny działacz w 1945 roku na świeżo powstającym uniwersytecie w Łodzi. Był wybitnie zdolny i jeszcze przed ich ukończeniem został asystentem Adama Schaffa, który w 1950 roku przyjął go na studia doktoranckie w nowej partyjnej szkole - Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR. Kołakowski przeszedł szybką ewolucję od młodego pryszczatego działacza do samodzielnie myślącego filozofia, który przeciwstawił się komunistycznej propagandzie, odsłaniając jej zakłamanie.

„Nie brak wiedzy [o systemie komunistycznym] hodował nasze złudzenia - tłumaczył Kołakowski w roku 1956 w eseju „Śmierć bogów”, później latami krążącym w maszynowych kopiach wyłapywanych gorliwie przez SB. – Hodował je system umysłowej i moralnej organizacji tej wiedzy, w którym każdy fakt niewygodny znajdował łatwe wytłumaczenie w zespole mitów ideologicznych – mitów służących do dobrowolnego samooślepienia się na rzeczywistość. Kryzys świadomości komunistycznej nie powstaje w wyniku nowej wiedzy o świecie, ale z upadku mitologii, która tej wiedzy nadaje kształt”.

Esej ten ukazał się w Polsce dopiero po upadku PRL.

•

Dobrosielski i Kołakowski poruszali się innymi torami. Kołakowski został wyrzucony z partii w 1966 roku, w 1968 zwolniony z Uniwersytetu wyjechał za granicę. Regularnie przedłużał bezpłatny urlop w Polskiej Akademii Nauk i starał się znaleźć dla siebie stałe

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

• Marzec'68. ZOMO i ORMO pacyfikują wiec studencki na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego

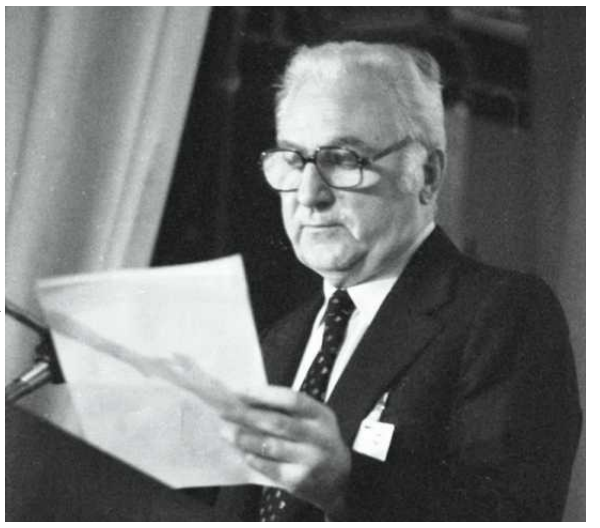

FOT. BARCHACZ WŁODZIMIERZ/NAC

Dobrosielski czerwieniał, krzyczał, tupał, aż w końcu przeszedł na polski. Kołakowski też mu odpowiadał po polsku i słuchacze nie mogli przez pewien czas zrozumieć, o czym mowa

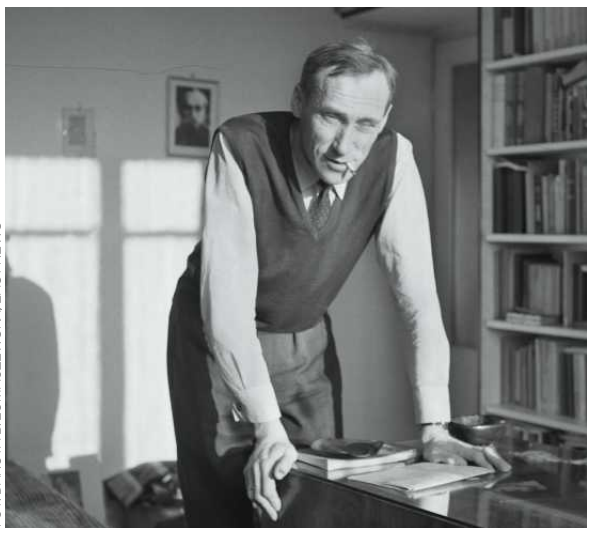

FOT. DANUTA B.ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

miejsce pobytu, co paradoksalnie nie okazało się proste właśnie ze względu na jego krytyczny stosunek do marksizmu, wówczas popularnego na uniwersytetach szczególnie w Europie.

Dzięki wsparciu między innymi Zbigniewa Brzezińskiego najpierw trafił do Montrealu w Kanadzie, gdzie na McGill University wykładał historię marksizmu i religioznawstwo, pracując równolegle nad przemyconym z Polski maszynopisem swojego najważniejszego dzieła, trzytomowych „Głównych nurtów marksizmu".

W 1969 roku Kołakowscy [Leszek, jego żona Tamara i córka Agnieszka] trafili do USA i zamieszkali tymczasowo w Berkeley w Kalifornii, podróżując po Europie i Stanach, aż w październiku 1970 roku osiedli w Wielkiej Brytanii w Oksfordzie, gdzie All Souls College zaofiarował Leszkowi stypendium badawcze. Z czasem stypendium przerodziło się w stałą profesurę.

•

Publiczne starcie Kołakowskiego i Dobrosielskiego w Oksfordzie w 1970 roku było więc wynikiem przypadku. Dobrosielski, powtórzmy, był w tym samym czasie ambasadorem w Wielkiej Brytanii. Gorliwie upowszechniał komunistyczną propagandę na temat wolności naukowej w Polsce. Żywym jej zaprzeczeniem był mieszkający w Oksfordzie Leszek Kołakowski.

Spotkanie dwóch pracowników nauki – pomarcowego emigranta Kołakowskiego i ambasadora PRL Dobrosielskiego – w Oksfordzie w 1970 roku pokazuje zderzenie dwóch postaw i dwóch języków – języka totalitarnej propagandy i języka nauki.

Do takich konfrontacji nie dochodzi często – język propagandy działa w otoczeniu kontrolowanym i poddanym jego władzy. Tu został użyty w otwartej debacie, przez co odsłonił ów dysonans poznawczy, któremu są poddani pracownicy nauki w komunistycznym kraju. Z jednej strony poszukujący wiedzy, a z drugiej - zmuszani do przytakiwania kłamstwu.

Akceptacja tego dysonansu czy też zakłamania tworzy strefę pozornego komfortu. Wyjście poza nią oznacza narażenie się na represje, których zakres oczywiście może być różny.

•

Marian Dobrosielski znalazł się 22 października 1970 roku na spotkaniu zorganizowanym przez The Oxford Union Society, poświęconym sprawom kultury w krajach komunistycznych. W ogóle nie powinien był się tam pojawiać, ponieważ nie była to impreza polityczna. Być może chcąc się wykazać wobec swoich krajowych mocodawców, być może przeceniając swoje retoryczne umiejętności zdecydował się w debacie wystąpić. Był w tym element naiwności, nierozwagi, ale też agresywnej pewności siebie. Spotkanie wypadło dla niego fatalnie.

Sama obecność jednoznacznie kojarzonego z komunistyczną dyktaturą Dobrosielskiego, a tym bardziej fałszywy obraz rzeczywistości, jaki przedstawiał, stwierdzenia, że w Polsce panuje wolność słowa i badań naukowych i nie ma żadnych prześladowań, a władze mają pełną legitymizację, wywołały oburzenie uczestników. Również naświetlenie wydarzeń marcowych jako słusznie stłumionego stalinowskiego spisku nie przekonało publiczności.

Sporą rolę w budowaniu opozycji wobec Dobrosielskiego odegrał polski student, Adam Drewnowski.

Był to syn Jana Drewnowskiego, ekonomisty i niegdyś działacza PPS, od kilku lat mieszkającego za granicą. Adam, później znany amerykański epidemiolog, wezwał do minuty ciszy w proteście przeciw obecności Dobrosielskiego, zarzucając mu, że dwa lata wcześniej doprowadził do zwolnienia z Uniwersytetu Warszawskiego Leszka Kołakowskiego, osobiście bił studentów protestujących w marcu 1968 roku, a teraz przedstawia idyllicznie fałszywą wizję nauki w komunistycznej Polsce.

O sprawie zrobiło się na tyle głośno, że notatkę zamieścił „The Times", a niedługo potem – jak wspomina Adam Drewnowski – „Trybuna Ludu" podała, że „do »Timesa« trafili Drewnowscy".

„Wasze informacje są albo fałszywe, albo ogromnie przesadzone – bronił się przed atakami Dobrosielski. – Aresztowanych zostało tylko kilka osób, a nie kilkaset... i nie bronili oni wolności akademickich, ale łamali obowiązujące prawo".

O sprawie pisała brytyjska prasa, donosiły polskie serwisy BBC i Radia Wolna Europa. Dobrosielski ratował się w dyskusji, twierdząc, że mieszkający od niedawana w Oksfordzie Leszek Kołakowski potwierdzi tezy, których sam jest żywym przykładem – że w Polsce nie ma cenzury, że jest wolność badań naukowych i swoboda wypowiedzi. Ten sam Kołakowski, którego Dobrosielski cztery lata wcześniej pomagał usunąć z partii, a później z UW.

W wyniku tych protestów i narastających kontrowersji Dobrosielski został zaproszony na drugą debatę, 4 listopada 1970 roku, poświęconą już ściśle sprawom polskiej kultury i nauki.

Studencka gazeta „Cherwell" wychodząca w Oksfordzie zapowiadała listopadową debatę, podkreślając

• ***Krzysztof Murawski** socjolog i filozof. Napisał m.in.: „Państwo i społeczeństwo obywatelskie" (1999); „Filozofia polityki. Wybrane zagadnienia prakseologiczne" (1993).

• Tekst to rozszerzony fragment przygotowywanej do druku książki na temat powstania Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.

• Tytuł – „Wyborcza

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

sprzeczności w argumentacji ambasadora, skompromitowanego udziałem w tłumieniu protestów w 1968 roku. Gazeta przypominała „Trybunę Ludu" z marca 1968 roku, szykującą grunt pod zwolnienie profesorów ekonomii i filozofii – Bronisława Baczki, Zygmunta Baumana, Marii Hirszowicz (Bielińskiej), Włodzimierza Brusa, Leszka Kołakowskiego i Stefana Morawskiego:

„Nie można tolerować opozycji wobec linii Partii na tak ważnych wydziałach jak filozofia czy ekonomia. Niedopuszczalne jest skrajne formułowanie poglądów przez studentów, ani też przyzwalanie na to, by kadra akademicka popierała studenckie ruchy głoszące takie poglądy. Członkowie kadry, którzy nie przestrzegali tych elementarnych zasad, powinni zostać pozbawieni możliwości nauczania młodzieży".

Autorzy, Cristina Maestro i Bruce Howick, pytali, jak deklarujący partyjne posłuszeństwo, którego dowiódł czynem w 1968 roku, Dobrosielski wytłumaczy swoje deklaracje o wolności badań i wypowiedzi w Polsce. Jak wytłumaczy swoje wystąpienia w polskiej telewizji, gdzie domagał się zdecydowanego ukarania własnych kolegów z uczelni za udział w protestach. Teraz, twierdzili, przyjeżdża na uczelnię jako gość i będzie starał się podstępnie wykorzystać prestiż uniwersytetu oksfordzkiego dla swoich własnych propagandowych celów.

Zadufany we własne siły Dobrosielski sam sprowadził na siebie kłopoty i próbował z nich wybrnąć w niezbyt ciekawy sposób, przy okazji starając się wyciszyć i pozbawić wiarygodności niewygodnego dla władz Kołakowskiego - z miernym skutkiem.

●

Na dzień drugiej debaty, 4 listopada, Kołakowski został wezwany do konsulatu PRL w Londynie po odbiór przedłużonych na dwa lata paszportów dla siebie i rodziny. Dobrosielski nie mógł nie wiedzieć, że paszporty dla Kołakowskiego i rodziny czekały już w konsulacie od czerwca, i tak ustalił datę ich odbioru, aby móc wywrzeć nacisk na filozofa.

Kołakowski nigdy nie zrezygnował z polskiego obywatelstwa i zawsze posługiwał się polskim paszportem, co w mniemaniu partyjnych polityków stwarzało okazję do wpływania na niego. Paszporty konsularne, czyli wydawane Polakom na stale mieszkającym za granicą, ważne były zazwyczaj wiele lat. Kołakowski musiał odnawiać ważność paszportu corocznie lub co dwa lata. Było to oczywistą represją i formą politycznego nacisku na filozofia.

Kołakowski był już wówczas szeroko znany na świecie, często cytowany i jego głos w sprawach polskich wyjątkowo irytował komunistów. Miał też ogromny wpływ na postawy opozycyjne w Polsce i na kształtowanie się tej opozycji. Regularnie latami przedłużał też bezpłatny urlop w Polskiej Akademii Nauk.

Odbiór paszportów stał się okazją do prymitywnej intrygi. Konsul Tadeusz Piwiński przeprowadził z filozofem dłuższą, przygotowaną wcześniej rozmowę, nawiązując do mającej się odbyć po południu debaty. Z relacji konsula wynika, że Kołakowski poczuł się wezwany przez Dobrosielskiego do udziału w debacie.

Piwiński przebieg tej rozmowy zrelacjonował Dobrosielskiemu i opisał w urzędowym sprawozdaniu. Stwierdził, że miał zachęcać Kołakowskiego do „neutralności", czyli, jak ujął to w sprawozdaniu, do „prostowania ewentualnych nieporozumień" - czyli do niesprzeciwiania się Dobrosielskiemu.

Kołakowski paszporty odebrał, ale uciszyć się nie dał. Być może dopiero ta próba spacyfikowania pomogła mu przełamać opory i pokazała, że w debacie powinien wystąpić. Nie miał na to większej ochoty, nie chcąc wikłać się w publiczne spory na samym początku swojej pracy w Oksfordzie. Nie władał też wówczas tak biegle angielskim jak zaprawiony w dyplomacji Dobrosielski. Uznał jednak, że nie powinien milczeć.

W napisanym kilka dni później okólnym liście do przyjaciół w kraju donosił:

„Nie miałem zgoła ochoty wdawać się w publiczną dysputę z Dobrosielskim", ale „uważałem, że nie mogę tego dziwnego zaproszenia nie przyjąć, aby Dobros[ielski], prócz zwykłych kłamstw, nie miał jeszcze okazji do przemówienia w rodzaju: »proszę, pan Kołakowski nie przyszedł, boi się dyskusji« itd.".

Wedle opisu Kołakowskiego Dobrosielski miał najpierw wygłosić przemówienie, opowiadając o wojennych zniszczeniach i powojennej odbudowie, przedstawiając ją jako dzieło partii komunistycznej. Taka narracja powraca nawet dziś w opisie tamtego okresu, przy czym ignoruje się oczywisty fakt, że nie tylko kraje bloku sowieckiego odbudowały się po wojnie i że w warunkach wolności politycznej ta odbudowa była daleko szybsza i pełniejsza.

Dobrosielski jako ambasador gorliwie upowszechniał komunistyczną propagandę na temat wolności naukowej w Polsce. Żywym jej zaprzeczeniem był mieszkający w Oksfordzie Kołakowski

Dobrosielski opowiadał dalej o stalinizmie i październikowej odnowie, aż doszedł do wydarzeń marcowych 1968 roku, wyjaśniając, że to dawni stalinowcy, którzy – jak opisywał słowa Dobrosielskiego Kołakowski – „znęcali się nad narodem polskim i wsadzali patriotów do więzienia, usiłowali wrócić do władzy, że więc partia i naród nie mogli do tego dopuścić. Powtórzył, że w Polsce jest pełna wolność słowa (...), co wywołało wybuch śmiechu na sali".

Kołakowski pisał też w liście:

„Zabrałem głos i wyjaśniłem, co oznacza wyrażenie »wolność akademicka« i na czym to polega, że jej w Polsce nie ma. (...) Wspomniałem, oczywiście, o marcu, o hecy antysemickiej, o generalnym pogromie kultury narodowej w Polsce (...).

Zakończyłem powiedzeniem, że istotnie ludzie, których usunięto lub aresztowano, byli represjonowani z powodów politycznych, gdyż byłoby rzeczą śmieszną wyobrażać sobie, że intelektualiści mogą się cieszyć wolnością w warunkach, kiedy wszelka wolność została odebrana klasie robotniczej i całemu społeczeństwu".

●

Trudno odgadnąć, na co liczył Dobrosielski. Czy na to, że zdoła wyciszyć Kołakowskiego przy okazji przedłużenia ważności paszportów, czy na to, że ten zrozumie jego trudną sytuację, gdy zaprzecza oczywistym faktom w imię racji stanu komunistycznego rządu? Czy może liczył, że Kołakowski wyciszy krytykę, skoro jako marksista niegdyś sam popierał ustrój, który teraz zwalcza?

Wyprowadzony z równowagi po ostrej wypowiedzi Kołakowskiego, sięgnął po argumenty ad personam. Później, odpowiadając na pytania, „albo odpowiadał nie na temat, udając, że nie wie o co chodzi, albo krzyczał, że jest poniżej jego godności odpowiadać na oszczerstwa (...), albo zwyczajnie kłamał".

Przedstawiciel totalnej instytucji nie uzurpuje swoim racjom statusu prawdziwości, ponieważ wie, że osłaniają rzeczywistość, która jest odmienna. Cele deklarowane i cele realne są rozbieżne i nadzorcy o tym wiedzą. Ta rozbieżność legitymizuje system, a przeciwnik ma zostać ośmieszony i poniżony, wówczas jego głos nie zabrzmi mocno.

Sprzeciw Kołakowskiego, jego obecność została odnotowana szeroko, ale prawo do mówienia nieprawdy jest wynikiem siły dysponentów totalnej instytucji, co starał się ukazać Erving Goffman, opisując organizacyjną dynamikę „instytucji totalnych".

Nadzorcy instytucji totalnej posługują się językiem użytkowym, retoryką obliczoną na nakłonienie do posłuszeństwa bardziej niż na przedstawienie rzeczywistości.

To prawo do mówienia nieprawdy, które legitymizowało oparty na sile system władzy w PRL, obejmowało również naukę. Dlatego inni profesorowie stronili wówczas od spraw publicznych – Stefan Swieżawski zajął się studiowaniem myśli ojców Kościoła i filozofii renesansu, socjolog Stefan Nowak filozofią średniowieczną, a problemy współczesne ubierano w kostium historyczny – np. gdy Stanisław Ossowski pisał „O osobliwościach nauk społecznych" i „Strukturze klasowej w społecznej świadomości" w sposób zawoalowany, zaprzeczając obowiązkowym marksistowskim konwencjom.

Nauka zawsze jest ugruntowana w jakimś dyskursie, odnosi się do konkretnych doświadczeń, jej język jest uwikłany w tę rzeczywistość. Jednak w systemie totalitarnym język, jakim posługują się badacze, jest skrępowany w szczególnie dużym stopniu.

Amerykański filozof Harry Frankfurt w cennej książce na temat języka fałszu i propagandy pod trudnym do przetłumaczenia tytułem „On bullshit" ujął to najzwięźlej: kłamca twierdzi coś, co sam uważa za fałszywe. Celowo fałszuje fakty, żeby osiągnąć jakąś korzyść. Z drugiej strony, użytkowa sofistyka jest obojętna na prawdę, więcej – traci zdolność czy wrażliwość odróżniania prawdy od nieprawdy. Jej celem jest kształtowanie przekonań i postaw słuchaczy w konkretnym celu.

Problem znany jest co najmniej od czasów Platona, który przedstawiał swojego nauczyciela i mistrza Sokratesa w opozycji do sofistów. Celem sofistów była retoryka użytkowa – takie przemawianie, aby przekonać słuchaczy, nie bacząc na to, gdzie leży prawda. Sokrates przeciwstawiał się sofistom i użytkowej retoryce, co jak wiadomo, nie skończyło się dla niego dobrze: ściągnął na siebie publiczny gniew i wyrok śmierci.

Wracając do Kołakowskiego w Oksfordzie, to dążył on do przedstawienia prawdziwego opisu totalitarnego systemu. Podjął wieloletni wysiłek opisania intelektualnych podstaw tego systemu i jego bankructwa – w trzech tomach „Głównych nurtów marksizmu", czym walnie przyczynił się do jego upadku.

Nie można więcej wymagać od filozofa. Dążenie do rozumienia świata i uwolnienie się od wąskich powziętych z góry założeń jest jego udziałem. Punkt dojścia niekoniecznie musi nas satysfakcjonować i niekoniecznie musimy się z konkluzjami zgadzać, ale prawdziwą wartość niesie ten wysiłek wyjścia poza własne ograniczenia i dążenie do pokazania prawdy takim językiem, jaki się ma do dyspozycji.

W tamtym czasie język Kołakowskiego przemawiał silnie, pomagając uwolnić się od złudnego obrazu świata, jaki kształtowała propaganda, i szukać własnej drogi.

Filozof rzadko stoi na wygranej pozycji wobec satrapy i propagandzisty, ponieważ ten panuje nad swobodą wypowiedzi. Gdy brakuje wolnej debaty, usta i oczy zamyka obawa i lęk.

Słusznie pytał komentator Radia Wolna Europa: jaki morał z tej niebywałej historii wynika?

Dobrosielski czerwieniał, krzyczał, tupał, aż w końcu przeszedł na polski, Kołakowski mu odpowiadał także po polsku i uczestnicy nie mogli przez czas pewien zrozumieć, o czym mowa.

„Obserwując z uczuciem pewnego szoku rozsierdzone oblicze jego ekscelencji, przysłuchujący się jego słowom angielscy uczestnicy zebrania ujrzeli maleńki, ale nader wymowny skrawek rzeczywistości istniejącego dziś w Polsce systemu władzy", mówił lektor RWE.

Cała debata i towarzyszące jej wydarzenia były szeroko komentowane w polskiej sekcji radia BBC i w Radiu Wolna Europa. SB gromadziła zapisy komentarzy Wolnej Europy - spisując z odsłuchu słowo w słowo całe audycje. Możemy to dziś potwierdzić, porównując archiwalne skrypty RWE z odsłuchami dokładnie spisanymi dla SB.

Bezpieka przechwytywała również krajową korespondencję Kołakowskiego, nasyłała na niego agentów, odnotowywała wszystkie jego publiczne wypowiedzi i wzmianki na jego temat, ponieważ cały czas ośmieszał komunistyczną propagandę, uderzając zawsze w czułe miejsca i podważając wartość marksizmu jako ideologii.

Była to zaplanowana i systematyczna działalność wymierzona w filozofa. W archiwach IPN-u zachowały się dokładne plany różnych systematycznych działań służących podkopywaniu Kołakowskiego, wielostronicowe szczegółowe kalendaria jego działalności i korespondencji, listy przyjaciół i znajomych.

Artykułowi w „Cherwell" z listopada 1970 roku towarzyszy zdjęcie Dobrosielskiego. Ten niegdyś przystojny mężczyzna ma tu nalaną, agresywną twarz komunistycznego aparatczyka, który jakby zatracił do siebie szacunek.

Gazeta cytuje jego słowa - tak niepasujące do tego obrazu i nieprzekonujące: „Bronię i będę zawsze, póki żyję, bronił akademickiej wolności". Nie obronił jej nawet przed samym sobą. ●

1 RP

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Olga Ozarenkowa*

Pożegnanie

Niedługo mnie nie będzie,
Pokój pusty zostanie,
Złoty promień zaświeci
W starej okiennej ramie.
Wiatr gwizdnie wniebogłosy,
Sad zachłyśnie się w nocy.
Niedługo mnie nie będzie,
Tylko ty pozostaniesz.

grudzień 2023
przeł. Zbigniew Dmitroca

***Olga Ozarenkowa** - obywatelka Litwy, ma korzenie polsko-rosyjsko-estońsko-żydowskie. Z wykształcenia antropolożka (absolwentka UW), z konieczności właścicielka restauracji w centrum Warszawy, z powołania poetka. Wiersz pochodzi z jej dwujęzycznego tomiku **„Niespełnione sny"** / „Sny o niesbywszemsa", przeł. Zbigniew Dmitroca, Igor Biełow, Pewne Wydawnictwo, Kielce 2025.

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Piszę, żebyście wiedzieli, jak było

Muszę powiedzieć, że zniżanie się do karczemnego poziomu tego faceta było mi nieprzyjemne.

Leszek Kolakowski

List Leszka Kołakowskiego do Janiny Zakrzewskiej powstały po 4 listopada 1970 roku to list okólny do znajomych, obok Zakrzewskiej m.in. do Ryszarda Herczyńskiego. Napisany był prawdopodobnie na cienkiej bibule przez kalkę, a następnie rozsyłany bez nagłówka. Tutaj został przepisany z niewyraźnego skanu zachowanego w archiwum IPN-u.

Nie wiemy, czy dotarł do adresatów. Zachowały się listy od Ireny Krońskiej, która była w tym czasie w Austrii i również otrzymała „okólnik". Obiecała Kołakowskiemu przewieźć go do kraju, co prawdopodobnie uczyniła, więc tak czy owak wiadomości przeciekały. Również mieszkający we Francji Bronisław Baczko odniósł się do sprawy – także otrzymał okólnik i wyrażał wątpliwość, czy przesyłki krajowe z okólnikiem dotarły.

W tym czasie do Francji przyjechała też Barbara Skarga, która też dostała od Kołakowskiego jego okólny maszynopis. Pisała o Dobrosielskim, którego też znała: „jestem wściekła na tego durnia, któremu chyba się dobrze dostało i który pokazał całą swoją malutką podłą duszyczkę. Cieszę się, że właśnie mogłeś wystąpić i parę słów mu powiedzieć".

Baczko pisał do Kołakowskich: „Dotarły do mnie wieści z Warszawy, że rzecz została opisana w »BS« [„Biuletyn Specjalny" PAP] – ponoć w tonacji dosyć łagodnej i minimalizującej sprawę. Trudno oczywiście przewidzieć nieobliczalne reakcje władzy, jedno jest pewne, ambasadora nie odwołają, choć należałoby".

Sprawa oxfordzka była głośna i w Polsce, i za granicą – pisał o niej np. „Der Spiegel", donosiła Wolna Europa. **Krzysztof Murawski**

Wysyłam ten list do kilku przyjaciół w kraju, w nadziei, że któryś egzemplarz dojdzie.

Wydarzenie, o którym mowa, nie jest specjalnie ważne, ale może być w Polsce relacjonowane fałszywie. Otóż w październiku było w Oxfordzie zebranie Oxford Union, na którym z jakichś powodów był [Marian] Dobrosielski.

Jacyś studenci polskiego pochodzenia zgłosili tam rezolucję z protestem przeciw prześladowaniom studentów i intelektualistów w Polsce. Do głosowania [rezolucji] nie doszło pod formalnymi pretekstami, ale poprzednio już „Times" podał wiadomość o zebraniu, wymieniając moje nazwisko jako jednego z usuniętych profesorów.

Z kolei po zebraniu „Oxford Times" zdał sprawę z przebiegu obrad i doniósł, że pan Dobrosielski w odpowiedzi na zgłoszoną rezolucję wyjaśnił, iż w Polsce jest pełna wolność akademicka, że on sam, Dobrosielski, jest wielkim zwolennikiem swobód akademickich i że wszyscy, którzy zostali w Polsce usunięci lub aresztowani po marcu '68, nie ucierpieli bynajmniej z tej racji, że walczyli o swobody akademickie, lecz dlatego, że łamali prawo itd.

Dodał też, że jest gotów przedyskutować te kwestie publicznie z panem Kołakowskim podczas następnej swej wizyty w Oxfordzie 4 listopada, kiedy to będzie wystawa polskich książek i inna dyskusja w tejże organizacji.

Nie miałem zgoła ochoty wdawać się w publiczną dysputę z Dobrosielskim, skoro jednak nazwisko moje dwukrotnie było wymienione w prasie w tym kontekście (bez mego udziału), uważałem, że nie mogę tego dziwnego zaproszenia nie przyjąć, aby Dobros[ielski], prócz zwykłych kłamstw, nie miał jeszcze okazji do przemówienia w rodzaju: „proszę, pan Kołakowski nie przyszedł, bo się boi dyskusji" itd. Poszedłem więc na zebranie.

Dobros[ielski] wygłosił przemówienie, w którym mówił najpierw ogólnie o wojnie, odbudowie, po czym o stalinizmie i październiku, a wreszcie wyjaśnił, że w marcu '68 dawni stalinowcy, którzy znęcali się nad narodem polskim i wsadzali patriotów do więzienia, usiłowali wrócić do władzy, że więc partia i naród nie mogli do tego dopuścić. Powtórzył, że w Polsce jest pełna wolność słowa (ipsissima verba) [(jego własne słowa)], co wywołało wybuch śmiechu na sali, że są wszystkie swobody akademickie, a osoby usunięte z uczelni lub aresztowane to dawni stalinowcy, którzy chcieli wrócić na swoje pozycje, lub przestępcy łamiący prawo.

Przed zebraniem studencka grupa trockistowska (zdaje się) rozdawała ulotki przeciw obecnemu reżimowi w Polsce, oskarżając go o współdziałanie z imperialistami, zgniecenie wszystkich swobód politycznych, zgnojenie klasy robotniczej i inteligencji, antysemityzm itd. Byli też maoiści, którzy nieśli portret Stalina i Mao z napisem mniej więcej „precz z kliką rewizjonistycznych renegatów rządzącą w Polsce". Ale ci ostatni byli nieaktywni, trockiści natomiast Dobr[osielskiego] atakowali.

Zabrałem głos i wyjaśniłem, co oznacza wyrażenie „wolność akademicka" i na czym to polega, że jej w Polsce nie ma, operując głównie faktami dotyczącymi struktury prawnej uczelni i opisując mechanizm polityczny, który pozbawia zarówno uczelnie, jak uczonych i studentów wszelkiej autonomii i wszelkiego prawa decyzji we wszystkich bez wyjątku sprawach życia akademickiego i intelektualnego.

Wspomniałem, oczywiście, o marcu, o hecy antysemickiej, o generalnym pogromie kultury narodowej w Polsce, słowem, powiedziałem parę rzeczy, które każde dziecko zna.

Zakończyłem powiedzeniem, że istotnie, ludzie, których usunięto lub aresztowano, byli represjonowani z powodów politycznych, gdyż byłoby rzeczą śmieszną wyobrażać sobie, że intelektualiści mogą się cieszyć wolnością w warunkach, kiedy wszelka wolność została odebrana klasie robotniczej i całemu społeczeństwu, stąd ci, którzy walczyli o wolność akademicką, walczyli o wolność dla wszystkich i o prawa obywatelskie dla wszystkich, nie dla wyróżnionej grupy akademickiej, i że z tej racji sprawa wolności akademickiej jest sprawą polityczną.

O osobie pana Dobr[osielskiego] nie wspominałem ani słowem, ani o jego działalności. Przeczytałem też list, który mi dała Marysia Bielińska; list ten był odpowiedzią na sprawozdanie prasowe z poprzedniego zebrania; wyjaśniał krótko rolę Dobros[ielskiego] w marcu [1968] i kończył się zaleceniem, aby w obecnej swojej funkcji raczej milczał na te tematy.

Jak było do przewidzenia, Dobros[ielski] natychmiast dostosował dyskusję do poziomu własnego chamstwa i zamiast cokolwiek powiedzieć na temat właściwy, zaczął wołać, że może by pan Kołakowski powiedział, co on robił przed '56 rokiem, dodając, że on, Dobrosielski, walczył mężnie o swobody w październiku i przedtem, powiedział nawet, że walczył o to, aby takie dyskusje, jak ta dzisiejsza, mogły się odbywać w Polsce w 1968 roku.

FOT. PIOTR WOJCIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dobrosielski oświadczył, że w Polsce jest pełna wolność słowa, co wywołało wybuch śmiechu na sali

Ponieważ przemówienie to było pełne insynuacji, musiałem zapytać go, co mianowicie robiłem takiego przed '56 rokiem, prócz tego, że pisywałem artykuły popierające ideologię partyjną do '54 czy '55 roku. Dobros[ielski] natychmiast wymyślił, że przypomina sobie, jak przerwałem wykład Kotarbińskiego, wołając, że to jest burżuazyjna nauka. Powiedziałem, że kłamie, chociaż muszę powiedzieć, że zniżanie się do karczemnego poziomu tego faceta było mi nieprzyjemne.

Prosiłem go, aby dalej ciągnął swoją opowieść, ale nic więcej nie mógł wymyśleć. Zapytał tylko, czy to on mnie usunął z uczelni (jak sugerował „Times"). Odpowiedziałem „oczywiście nie, na to byłeś za nisko w hierarchii partyjnej".

Studenci zadawali mu jeszcze różne pytania, na które, zgodnie z obyczajem prawdziwego działacza, reagował trojako: albo odpowiadał nie na temat, udając, że nie wie, o co chodzi, albo krzyczał, że jest poniżej jego godności odpowiadać na oszczerstwa (np. na pytanie, czy to prawda, że osobiście bił studentki 8 marca, odrzekł, że po pierwsze nie będzie odpowiadał na oszczerstwa, a po drugie, to właśnie jego pobili), albo zwyczajnie kłamał w sprawach najoczywistszych, licząc (b. przesadnie) na brak rozeznania publiczności.

Wynik tego wszystkiego był bolesny dla Dobros[ielskiego], gdyż sala wyśmiewała go i rzecz się skończyła żałosną porażką ambasadora. Nie umiał zresztą powstrzymać się od nawyków polskich i powiedział, aby udowodnić liberalizm rządu, że właśnie „myśmy pięknie przedłużyli paszport Kołakowskiemu" (było to bodaj jedyne prawdziwe zdanie, jakie wypowiedział w czasie debaty; argument śmieszny dla Anglików i tak też został zrozumiany).

Rzecz cala była, oczywiście, niesmaczna. Ale reakcja studentów była najbardziej jednoznaczna, kłamstwa były zbyt niezdarne (w czasie dyskusji tylko jeden dyskutant, chyba komunista angielski, oświadczył, że w czasie braterskiej naszej pomocy dla Czechosłowacji był w Polsce i sam widział, że ludzie, którzy w tej sprawie byli przeciwnego zdania niż rząd, nie tylko mieli pełną swobodę wypowiedzi, ale w wypadku, który sam widział, dostali urlop z pracy na dwa dni, aby mogli się przygotować do dyskusji i przedstawić swoje stanowisko!).

Dobrosielskiemu cała ta sprawa w Anglii specjalnie nie zaszkodzi, gdyż jest i tak człowiekiem doszczętnie ośmieszonym w tym kraju, co zresztą chyba tylko przyczynia się do jego dobrej pozycji w Polsce, jako że jest dzięki temu pewnym człowiekiem.

Być może zresztą prześle raport, z którego wynikać będzie, że mimo licznych prowokacji wywiadu amerykańskiego, izraelskiego i ekwadorskiego, zwycięsko dał odpór wrogim siłom ku powszechnemu aplauzowi zgromadzonych.

Powtarzam, że sprawa nie jest istotna, ale wydaje się mi, że należało o niej napisać, by przeciwdziałać kłamstwom, które w takich wypadkach normalnie są rozsiewane.

wyborcza

REDAKCJA
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Telefon: 22 555 66 00
(czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik

PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
KOLPORTAŻ: Michał Szałański
Problemy z dostępnością „Wyborczej" lub z właściwą mutacją lokalną: kolportaz@wyborcza.pl
Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455
Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, bsky.app/profile/wyborcza.pl, instagram.com/gazeta_wyborcza
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl

WYDAWCA
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
PREZESKA ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Bartosz Wysocki
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DRUK: Polska Press
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

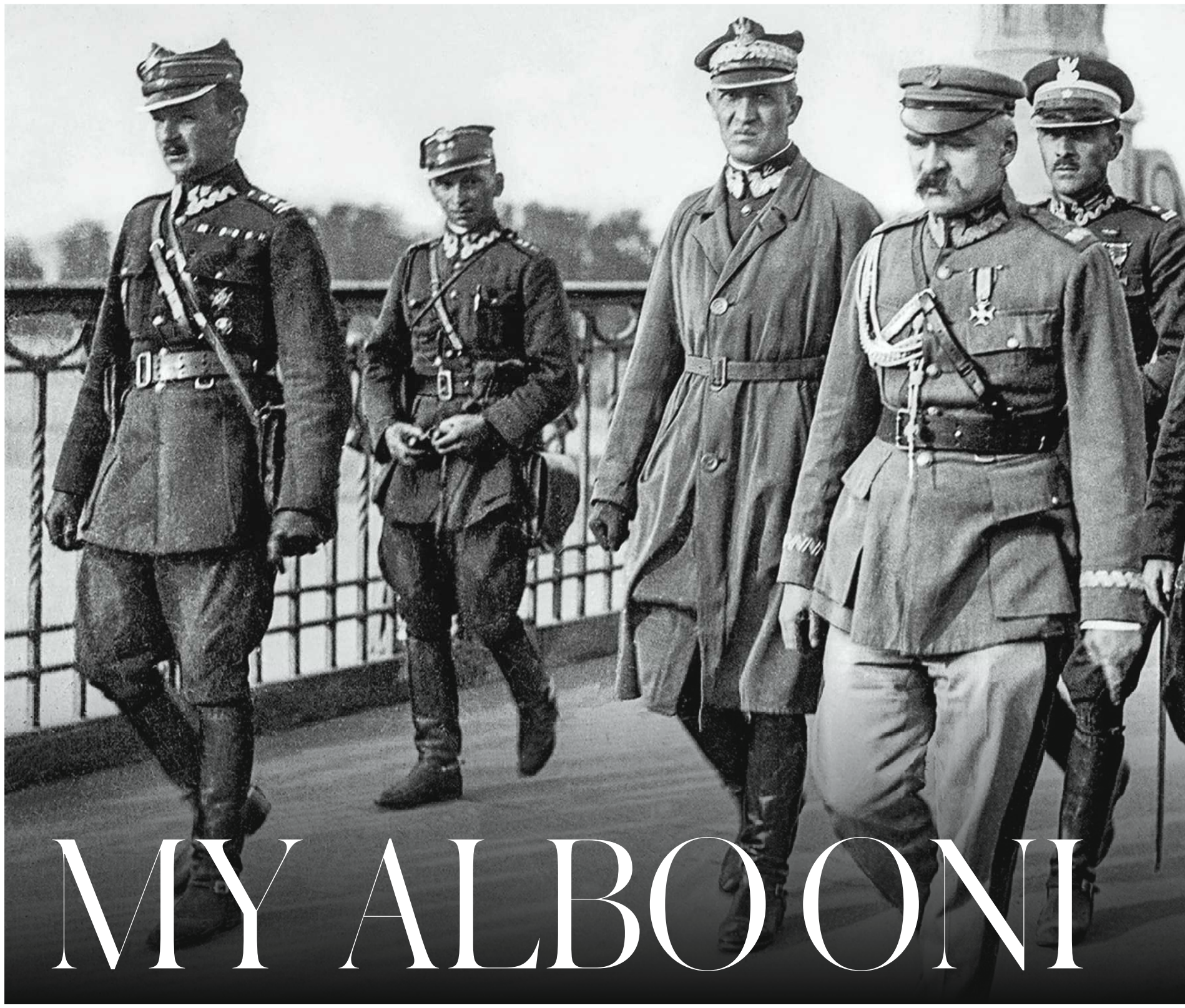

MY ALBO ONI

Kluczowa dla przeprowadzonego sto lat temu zamachu majowego była totalna niechęć do kompromisu po obu stronach. Rozmowa Piłsudskiego z prezydentem Wojciechowskim na Moście Poniatowskiego trwała trzy minuty. Żaden nie ustąpił.

Z **PROF. ANDRZEJEM CHWALBĄ**
ROZMAWIA PIOTR GŁUCHOWSKI

PIOTR GŁUCHOWSKI: Pisze pan, że istniejący w 1926 roku podział na dwie Polski jest „porównywalny z obecnym".
PROF. ANDRZEJ CHWALBA, AUTOR KSIĄŻKI „MAJ 1926. ZAMACH, KTÓREGO MIAŁO NIE BYĆ": Sto lat temu kraj był politycznie pęknięty niemal równo na pół. Za Józefem Piłsudskim opowiadała się centrolewica z Polską Partią Socjalistyczną na czele. Piłsudczycy chcieli państwa obywatelskiego, wielonarodowego; takiego, w którym Białorusini, Żydzi, Ukraińcy są traktowani identycznie, tak jak polska większość. Po przeciwnej stronie stała centroprawica na czele z Narodową Demokracją Romana Dmowskiego. Ci chcieli Polski jednego dominującego narodu, bez dzielenia się władzą z mniejszościami.

Uważa pan, że genezy konfliktu piłsudczyków z oponentami trzeba szukać w latach pierwszej wojny światowej i w historii Legionów.

– To wątek uchodzący dotąd uwadze badaczy. A przecież spory między legionistami były praprzyczyną zamachu majowego. Pozornie legioniści stali jak jeden mąż za Piłsudskim. Gdy się jednak przyjrzymy wyborom poszczególnych aktorów wypadków majowych, to generałowie – Stanisław Szeptycki, komendant Legionów, Marian Kukiel, adiutant II Brygady, czy Włodzimierz Zagórski, legionowy szef sztabu komendy – stanęli w 1926 roku przeciwko „Dziadkowi". Ich wzajemna niechęć, czy nawet pogarda, bo przecież lubiący soczysty język Marszałek nazywał komendę Legionów „mendą", datuje się od sporu o stosunek do monarchii austro-węgierskiej.

Skupieni w komendzie zwolennicy rozwiązania zwanego trialistycznym chcieli pozostać lojalni wobec Wiednia i widzieli po wojnie zwycięskie cesarstwo austriacko-węgiersko-polskie. Piłsudski chciał tymczasem, by Legiony stały się samodzielną polską armią, jedynie sojuszniczą względem Austrii i Niemiec. W trakcie sporów jedni pisali na drugich donosy do Wiednia. Ta niechęć wybuchła na nowo w latach gorących politycznych sporów po roku 1923. Bez niej się nie zrozumie zamachu majowego.

Kolejny klocek w układance to zastrzelenie w 1922 roku prezydenta Gabriela Narutowicza. Cytuje pan skamandrytę Kazimierza Wierzyńskiego: „Od tego czasu zaczyna się w Piłsudskim proces, w którym gniew i nienawiść biorą górę".
– Zwrócili na to uwagę bliscy, poczynając od żony i przyjaciół. Po zamachu w Zachęcie „Dziadek" się zmienił, nawet postarzał fizycznie. Nie mógł sobie wyobrazić, jak można zabić demokratycznie wybranego prezydenta. Jak to możliwe, że do tej zbrodni przyczynili się głośno piętnujący Narutowicza zasłużeni legioniści, wśród nich generał Józef Haller, były komendant II Brygady Legionów?

Narutowicz był kuzynem Marszałka. Przed prezydenturą – świetnym ministrem spraw zagranicznych, człowiekiem znanym i poważanym w Europie, politykiem wielkiego formatu. Piłsudski nigdy nie darował polskiej prawicy dokonanej na Narutowiczu zbrodni. Bronił go zaciekle jeszcze przed strzałami w Zachęcie, kiedy endecja głosiła, że to prezydent niepolski, bo nie dość, że wybrany głosami żydowskimi, to jeszcze ma na imię Gabriel. Piłsudski tłumaczył tymczasem, że Narutowiczowie są szlachtą od wielu pokoleń...

Co zresztą było prawdą. Ojciec zastrzelonego prezydenta miał wieś Brewiki na Żmudzi. Po zamachu w Zachęcie nową głową państwa został wspierany początkowo przez „Dziadka" Stanisław Wojciechowski, towarzysz broni z PPS.
– Natomiast utworzony w 1923 roku rząd Wincentego Witosa bardzo się Marszałkowi nie podobał. Stworzyła go koalicja Chjeno-Piasta złożona z konserwatywnych ludowców z PSL „Piast" i endeków z Chrześcijańskiego

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

• **Józef Piłsudski na moście Poniatowskiego w Warszawie podczas zamachu majowego, 12 maja 1926 roku. Wraz z Marszałkiem od lewej: ppłk Kazimierz Stamirowski, por. Marian Żebrowski, gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, mjr Włodzimierz Jaroszewicz i por. Michał Galiński**
FOT. ZBIORY NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

ANDRZEJ CHWALBA
MAJ 1926
ZAMACH, KTÓREGO MIAŁO NIE BYĆ

Maj 1926. Zamach, którego miało nie być
Andrzej Chwalba
Wydawnictwo Czarne

Związku Jedności Narodowej zwanego ironicznie Chjeną.

Sytuacja polityczna była już niedobra. Szalała hiperinflacja. Produkcja pieniądza kosztowała więcej niż jego nominał. Bezrobocie, strajki, a jesienią zamieszki w Krakowie pod sztandarami PPS. Robotnicy przejęli broń z arsenałów i kiedy zaatakowała ich kawaleria – odpowiedzieli ogniem. Piłsudczycy uznali, że proletariat miał prawo strzelać w obronie godności i pracy. Centroprawica była przeciwnego zdania: to kawaleria broniła demokracji. Te narracje będą się zderzać przez kolejne lata. Piłsudski będzie mówił o „krwawym Witosie”. Narośnie przekonanie, że „centropraw” nie może dalej rządzić.

A jednak rządził. Chadecy i endecy utrzymali potrzebne sejmowe poparcie również dla drugiego rządu Witosa. Wycofując się z polityki, na słynnym spotkaniu w Sali Malinowej Hotelu Bristol w lipcu 1923 roku Marszałek stwierdził: „Nie mogłem służyć przy rządzie, w którym niektórych panów podejrzewałem o udział w zabójstwie prezydenta będącego mym przyjacielem (...). Zostawiłem to świństwo, niech się własnym smrodem uduszą”.
– To słowa pod adresem „centroprawu”, który właśnie szykował niemiłą Piłsudskiemu Ustawę o najwyższych władzach wojskowych. Tu się winniśmy cofnąć. Po wojnie 1920 roku Naczelnik Państwa wiedział, że jego dyktatura musi się kiedyś skończyć. Bo będzie konstytucja, Sejm, rząd i prezydent.

Dekret Piłsudskiego ze stycznia 1921 rozstrzygnął na kilka miesięcy, kto ma rządzić armią i dlaczego on. Bo rządy się zmieniają, cywile wojska nie znają, a Polska jest zagrożona. Tymczasem rodzi się sojusz sowiecko-niemiecki...

• **Prof. dr hab. Andrzej Chwalba** – historyk związany z Uniwersytetem Jagiellońskim, specjalizuje się w historii XIX i XX w., dziejach Krakowa. Napisał kilkadziesiąt książek, m.in. „Samobójstwo Europy”, „Historia Polski 1795-1918”, „Wielka Wojna 1914-1918”, „Legiony Polskie 1914-1918”, „Przegrane zwycięstwo. Wojna polsko-bolszewicka 1918-1920”, „Okupacyjny Kraków”, „Festung Krakau”.
FOT. PAP/MARCIN OBARA

Przypieczętowany rok później układem z Rapallo.
– ...dlatego musimy mieć siły zbrojne pod komendą Marszałka, który chciał oczywiście, by jego dowództwo było suwerenne. Niezależne od Sejmu i rządu. Czyli czwórpodział władzy na ustawodawczą, wykonawczą, sądowniczą i zbrojną.

Konstytucja marcowa przyjęta w roku 1921 zmieniła sytuację: odtąd wojskiem władał prezydent, który w wypadku wojny mianuje za zgodą rządu naczelnego wodza. Tyle ogólnie. Szczegółowe rozwiązania co do umocowania sztabu, rady wojennej i tak dalej... miała przynieść wspomniana ustawa. „Centropraw” przygotował projekt odsuwający „Dziadka” na emeryturę. Obawiano się bowiem, że mając władzę wojskową niezależną od rządu, Marszałek będzie chciał robić własną politykę.

Tymczasem Piłsudski nie pchał się do gospodarki, finansów, szkolnictwa czy służby zdrowia. Interesowało go wyłącznie wojsko, bo „wojsko to niepodległość”. A skoro projekt ustawy o władzach wojskowych nie przewiduje dlań miejsca – to on się wycofuje. Urządza pożegnalne spotkanie w Bristolu, gdzie przypomina, co mu Polska zawdzięcza, i zapowiada, że Polacy zawsze mogą nań liczyć. A zatem opisuje dni chwały, krytykuje „centropraw” i wzywa: „pozostańcie ze mną”.

Część przyjaciół jest załamana: Naczelnik za wcześnie odchodzi...

Gen. Zagórski, dawny wróg Piłsudskiego w Legionach, dostał zgodę na bombardowanie stolicy. Uzbrojono w bomby m.in. samoloty cywilne LOT. To był akt bestialstwa. Bombardowanie kompletnie pogrążyło rząd i prezydenta w opinii Warszawiaków

Faktycznie on nie ustępuje, tylko się przyczaja. Konsekwentnie buduje społeczne poparcie. Imieniny Marszałka we dworze w Sulejówku stały się – jak pan pisze – społecznym fenomenem. Przybywały całe oddziały wojskowych i grona urzędników. Nauczyciele przyprowadzali klasy...
– Formalnie „Dziadek” był wówczas jednym z 30 milionów mieszkańców. Zrezygnował ze wszystkich funkcji, nawet z zasiadania w kapitule Orderu Virtuti Militari. Zarazem ruszył w Polskę. Otwierał wystawy okolicznościowe i nowe instytucje związane z czynem niepodległościowym, witał się z piłkarzami i oglądał ich mecze, wręczał nagrody zwycięzcom w konkursach hippicznych, wizytował jednostki wojskowe, przyjmował godności uniwersyteckie i honorowe odznaczenia przyznane przez miasta. Uczestniczył w uroczystościach w szkołach noszących jego imię. Miał poparcie elit. Tuwim, Hemar, Słonimski czy Lechoń sławili jego imię. Pod wielkim wrażeniem „Dziadka” pozostawały kobiety, mistrzynie pióra, jak Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska i oczywiście Kazimiera Iłłakowiczówna [pisze o tym obok prof. Tomasz Nałęcz].

Kiedy Piłsudski jechał gdzieś pociągiem, ludzie wychodzili na dworce kolejowe, rzucali mu kwiaty, płakali. Zaczęto na niego patrzeć niby na Mesjasza. „Centrolew” i środowiska żydowskie poczęły się orientować na jego osobę.

Legenda Naczelnika – największy atut – zyskiwała na popularności. Tymczasem kolejne rządy mimo reformy walutowej Władysława Grabskiego nie radziły sobie ani gospodarczo, ani politycznie. Bezrobocie, wojna celna z Niemcami, w dodatku w traktatach lokarneńskich weimarska Rzesza zagwarantowała granice tylko sąsiadom zachodnim. Polsce – już nie.

By ugruntować legendę, Marszałek opublikował książkę „Rok 1920”.
– To był element walki o ocenę wojny z bolszewikami. Kto ją wówczas wygrał? Haller czy Piłsudski? Chcąc wrócić na czoło sił zbrojnych, „Dziadek” musiał dowieść, że Haller, Szeptycki, czy też bohater Bitwy Warszawskiej Tadeusz Rozwadowski... że oni się nie nadają, a w ogóle już wcześniej byli beznadziejni. To on, Naczelnik, wygrał tamtą wojnę. A jego obecni adwersarze popełniali błędy.

Przed majem 1926 roku mieliśmy tak zwany mityng sulejowski. 15 listopada 1925 roku w dworku Milusin przemówił Gustaw Orlicz-Dreszer, jeden z najmłodszych polskich generałów i wielki admirator Marszałka: „Niesiemy ci, prócz wdzięcznych serc, także pewne i w zwycięstwach zaprawione szable”. Pisze pan, że „był to już bunt przeciw władzy państwowej. Znaczył, że obok wojska Rzeczypospolitej mamy prywatną armię Piłsudskiego”.
– W dodatku ten Piłsudski zaczął się rwać do czynu. W wykładzie „Naczelny Wódz w teorii i praktyce” wygłoszonym w Kinie Colosseum w Warszawie 21 marca 1926 roku porównał upadek Rzeczypospolitej w końcu XVIII wieku z bieżącą sytuacją polityczną. W subiektywnym odczuciu Naczelnika kraj był na krawędzi zapaści. Porozumienia sowiecko-niemieckie zostały zacieśnione, Niemcy testowali nowe czołgi i samoloty na poligonach Związku Sowieckiego, o czym donosił wywiad. Tymczasem w Polsce trwała karuzela rządowa. Z początkiem maja 1926 roku prezydent Wojciechowski znów szukał kandydata na premiera. Odmawiali mu kolejni politycy. W końcu powstał drugi rząd centroprawicy. Nowy-stary premier Witos opublikował w „Nowym Kurierze Polskim” mocno prowokujący Piłsudskiego wywiad. Zachęcał: wyjdź z nory sulejowskiej, pokaż, co możesz zrobić dla kraju...

Marszałek Sejmu Maciej Rataj z „Piasta” był bardzo niezadowolony z takiej prowokacji. Tym bardziej że natychmiast wybuchły manifestacje lewicy „przeciw faszystowskiemu, klerykalno-obszarniczemu rządowi”. Lewa strona Sejmu zażądała dymisji Witosa. Sam Wojciechowski nie był już wówczas jego entuzjastą, lecz inni mu odmówili, a jakiś rząd musiał powstać...

Piłsudski przygotował własny wywiad odpowiedź na publikację premiera. Komisaryczne władze Warszawy zarekwirowały większą część nakładu „Kuriera Porannego”, gdzie tekst wydrukowano. To wywołało oburzenie. A jeszcze większe – rzekomy napad na willę w Sulejówku.
– Ktoś z piłsudczyków przygotował ulotkę z informacją o ataku na Milusin. Nigdy nikt się nie przyznał do jej wydrukowania. Skutek był zgodny z oczekiwaniami: opinia publiczna stanęła gremialnie po stronie Piłsudskiego. Jak ktoś mógł podnieść rękę na Marszałka i jego rodzinę?

Czy w tym momencie przewrót był już przesądzony?
– Nie. Wydarzenia zaczęły eskalować później, przy czym głównym motorem prowadzącym do dramatycznego finału była totalna niechęć do kompromisu po obu stronach sporu. Dominowała strategia pełnego zwycięstwa – my albo oni.

Na razie, po konfiskacie wywiadu, „Dziadek” podjął decyzję: jadę do prezydenta Wojciechowskiego. Żeby zdymisjonował Witosa i spróbował powołać rząd centrolewicowy. Wojciechowski tymczasem był w Spale. Zaczęła się wielka improwizacja.

Za samochodem, którym Piłsudski jechał 12 maja do Belwederu, kłusowali ułani z Lublina.
– Asystencja zbrojna miała zrobić na Wojciechowskim wrażenie i ułatwić decyzję o dymisji Witosa. Prezydenta jednak nie było i plan Marszałka wziął w łeb. A wypadki toczyły się coraz szybciej. Już rankiem 12 maja Orlicz-Dreszer wysyłał do zaprzyjaźnionych piłsudczykowskich pułków depesze, a częściej kurierów, z wezwaniem do stolicy. Piłsudski z Belwederu udał się na Pragę, gdzie na Dworcu Wileńskim rozładowywały się pierwsze, gotowe go poprzeć, oddziały.

Prezydent wrócił tymczasem ze Spały do siedziby rządu w pałacu na Krakowskim Przedmieściu. Tam uzgodnił z Witosem, że spotka się z Piłsudskim i przekona go, aby ustąpił.

Wysłano kurierów i zgodnie z wolą prezydenta do spotkania doszło „w terenie neutralnym”, czyli na Moście Poniatowskiego.

Bo w tym momencie, około godziny 17, piłsudczycy stali na Pradze, a lewobrzeżna Warszawa była w rękach rządowych.
– Rozmowa trwała trzy minuty. Żadna ze stron nie ustąpiła. Piłsudski stwierdził na pożegnanie, że droga legalna się kończy. Ponieważ Most Poniatowskiego był obstawiony wojskami wiernymi władzom, siły Marszałka przeszły Wisłę Mostem Kierbedzia naprzeciw Zamku Królewskiego. Pierwszą salwę oddały do nich około 18 oddziały pod dowództwem generała Rozwadowskiego. Szefem sztabu rządowego był Władysław Anders.

Z drugiej strony dowodzili generał Orlicz-Dreszer i szef sztabu Józef Beck. Wierni Piłsudskiemu żołnierze szybko przejęli kontrolę nad dworcami i centralami

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

łączności, w tym gmachem Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej. Przerwali łączność międzymiastową, wprowadzili podsłuchy, uważnie słuchali rozmów wzdłuż szlaków kolejowych z Krakowa, Poznania i Torunia, skąd awizowano transporty wojsk rządowych.

Walkom w mieście przyglądali się gapie. Podobno krzyczeli na wiernych władzom: „Witosowe parobki!”.
– „Ludek warszawski”, który jeszcze trzy lata temu wspierał centroprawicę, teraz pomagał piłsudczykom w przetaczaniu dział, kopał rowy, budował barykady i jeszcze zachęcał żołnierzy wojsk rządowych, by dezerterowali. Przejście jednego z batalionów 71. Pułku Piechoty na stronę Piłsudskiego było następstwem agitacji cywilów. 13 maja PPS wspomógł Marszałka strajkiem kolejarzy, który utrudnił wojskom wiernym legalnej władzy – przybywającym głównie z dawnego zaboru pruskiego – drogę do Warszawy. Ale to nie kolejarze przesądzili o dalszym biegu wypadków, tylko żołnierze „Dziadka”, którzy zajmowali kolejne obszary miasta. Wojciechowski jednak nie zamierzał się cofnąć. Bo rząd jest legalny, prezydent legalny, nie możemy ustąpić przed zamachem, którym kieruje osoba prywatna, a wojsko się jej słucha.

Starcia pochłonęły setki ofiar cywilnych i mundurowych. Zginęło nieporównanie więcej osób niż choćby w czasie stanu wojennego 1981-83.
– Łącznie zamach pochłonął 379 istnień. Rannych zostało co najmniej 606 wojskowych i 314 cywili. Straty po stronie wojsk rządowych i Piłsudskiego były do siebie zbliżone.

Gdzie padło najwięcej poległych?
– Wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, pod Ministerstwem Spraw Wojskowych na obecnej ulicy Nowowiejskiej oraz pod Belwederem, gdzie się najdłużej broniły siły wierne rządowi.

Doszło do bombardowania części Mokotowa i bliskiej Woli. Cytuje pan w książce wierszyk z epoki: „A na samolocie Zagórski generał/ na bezbronną ludność bombami nacierał. Obrzucił bombami Mokotów i Wolę/ zabił troje dzieci w mokotowskiej szkole”.
– Zagórski, dawny wróg Piłsudskiego w Legionach, dostał zgodę na bombardowanie od innego nieprzyjaciela Marszałka – generała Rozwadowskiego. Uzbrojono w bomby między innymi samoloty cywilne LOT. To był akt bestialstwa. Bombardowanie kompletnie pogrążyło rząd i prezydenta w opinii Warszawiaków. Moralnie Piłsudski już wygrał.

Kiedy Belweder upadł, a prezydent uszedł w towarzystwie Andersa w kierunku Wilanowa, na ulice – cytuję – „wyszły tysięczne rzesze, wznosząc okrzyki na cześć zwycięzcy”.
– Trzeciego dnia walk Wojciechowski z Witosem przegrali ostatecznie: prezydent złożył w ręce marszałka Sejmu Macieja Rataja dymisję swoją i gabinetu. „Wobec wytworzonej sytuacji, uniemożliwiającej mi sprawowanie urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej w zgodzie ze złożoną przeze mnie przysięgą, zrzekam się tego urzędu i zgodnie z artykułem 40 Konstytucji przekazuję Panu Marszałkowi uprawnienia Prezydenta Rzeczypospolitej. Jednocześnie załączam prośbę o dymisję dotychczasowego rządu. Wilanów, 14 maja 1926”.

Piłsudski władzy, o dziwo, nie przejął.
– Mówił o tym jasno: odwetu ani dyktatury nie będzie. Parlament, w którym prawie nie było piłsudczyków, wybrał nowego, miłego sercu Marszałka prezydenta – profesora chemii Ignacego Mościckiego. Rząd stworzył inny naukowiec: matematyk i liberał Kazimierz Bartel, którego ciepło przyjęły mniejszości narodowe. To był rząd fachowców; dobrze pomyślany. Zyskał akceptację Europy Zachodniej, która się ucieszyła, że nie ma rewolucji i nie będzie wojny domowej. Piłsudski nakazał: żołnierze wojsk rządowych mają być dalej traktowani tak samo jak ci, którzy zamach wsparli.

Nie wprowadził stanu wyjątkowego. Partie opozycyjne mogły funkcjonować. Nie zawiesił opozycyjnych tytułów, przeciwników nie pozamykał w więzieniach – poza czterema generałami, w tym Rozwadowskim i Zagórskim.

„Dziadek” nie musiał być dyktatorem de iure, gdyż stał się nim de facto.
– Po zamachu nie było już konkurencyjnego ośrodka władzy. Siła polityczna przeniosła się z Sejmu do Belwederu, w którym autor przewrotu ponownie zamieszkał.

Politycznym następstwem przewrotu było uchwalenie trzy miesiące później tak zwanej noweli sierpniowej. Sejm usankcjonował przewagę władzy wykonawczej kosztem ustawodawczej, zmniejszył kontrolę parlamentu nad rządem, zezwolił prezydentowi rozwiązywać Sejmy. Epoka rządów parlamentarno-gabinetowych dobiegła końca. Zaczęły się rządy sanacji, czyli moralnej odnowy. ●

▼ **Stanowisko karabinów maszynowych nad Wisłą w pobliżu Mostu Kierbedzia. W walkach podczas zamachu majowego zginęło 379 osób** FOT. MARIAN FUKS / ZBIORY BIBLIOTEKI NARODOWEJ

Historia krzepi

Starły się dwa narody

Aż trudno dziś uwierzyć, że sto lat temu ludzie o demokratycznych poglądach, przyjęli zamach majowy z entuzjazmem.

Nałęcz

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

Przeprowadzony sto lat temu zamach majowy oceniamy przez pryzmat znanych nam, późniejszych faktów. Zbrojne sięgnięcie po władzę przez Józefa Piłsudskiego rozpoczęło okres demontowania demokracji i ustanawiania systemu autorytarnego. Do 1929 roku marszałek rządził w aksamitnych rękawiczkach, ale w 1930, zagrożony ofensywą opozycji, wykorzystującej wielki kryzys gospodarczy, ustanowił brutalną dyktaturę. Fałszowała ona wybory, prześladowała przeciwników, zawłaszczała państwo traktowane jak prywatny folwark. Mając to wszystko w pamięci, a zarazem ceniąc sobie wolność, demokrację, tolerancję i prawa człowieka, patrzymy na majowy zamach stanu bardzo krytycznie.

Aż trudno uwierzyć, że przed stu laty ludzie podzielający bliskie nam poglądy przyjęli zbrojną akcję marszałka z ogromnym entuzjazmem. „Stała się w Warszawie – notowała na gorąco w dzienniku 17 maja 1926 pisarka Maria Dąbrowska – rzecz przeraźliwa i wspaniała zarazem, jakby rozdział z historii greckiej. Rewolucja wojskowa o ideał moralny. Dokonał jej Piłsudski, za którym stanęło całe wojsko, cała ulica, cały dół społeczeństwa. Wojciechowski i rząd Witosa zostały zmiecione. Starły się w Polsce dwa narody moralne. Jeden naród twórczości i doskonalenia się, docierający do istoty zagadnień i drugi naród, naród kłamstwa i konwenansu. Zostały stworzone warunki dla nowego życia”.

Zachwyt dyktowała wiara, że Piłsudski sięga po władzę po to, by tak jak w 1918 r., kiedy został naczelnikiem państwa i głównym architektem niepodległości, oprzeć Polskę na fundamencie wolności, demokracji i niezbywalnych praw każdego obywatela. Dominowało bowiem przekonanie, że takiemu ustrojowi, potwierdzonemu przepisami konstytucji z 17 marca 1921, zagraża forsowane przez Narodową Demokrację państwo spojone nacjonalizmem i należące tylko do etnicznych Polaków. Jednostkę nacjonaliści spychali na dalszy plan, ograniczając jej rolę do wzmacniania substancji narodowej.

Tymczasem alternatywny dla nacjonalistycznej prawicy obóz demokratyczno-lewicowy chciał Polski szanującej podmiotowość każdej osoby. Obywatel miał korzystać z takich samych praw, niezależnie od tego, jakim mówi językiem, jaką religię wyznaje, jakiej jest płci i jakie ma przekonania. Było to ważne także dlatego, że Drugą Rzeczpospolitą zamieszkiwało wiele narodów. Ukraińcy, Białorusini, Żydzi, Niemcy i mniejsi obcoplemieńcy stanowili 1/3 społeczeństwa, endecy uważali ich za gorszych od etnicznych Polaków.

Kłopot polegał na tym, że demokracja i parlamentaryzm działały na korzyść nacjonalistycznej prawicy. Ona to, zjednoczona przez endecję, wygrała wybory w listopadzie 1922, zdobywając 38 proc. posłów. Lewica miała ich 22 proc., mniejszości narodowe – 20 proc., a lokujący się w centrum PSL „Piast” – 16 proc.

Kierowany przez Wincentego Witosa PSL „Piast” stawiał na koalicję z endecją – silniejszą, bliższą mu programowo i wspieraną przez poważane na wsi duchowieństwo. W zawartym w maju 1923 pakcie lanckorońskim ludowcy, w zamian za korzystną dla chłopów reformę rolną, zgodzili się na forsowane przez endecję państwo spojone nacjonalizmem. Pierwsza próba wspólnego rządu, zdominowanego przez endeków, choć na czele z Witosem, podjęta w 1923, okazała się nieudana, ale pomysł powrócił wiosną 1926.

Tym razem był jeszcze groźniejszy, bo alians wzmocniły mniejsze partie centrowe. Koalicjanci uzgodnili zmianę konstytucji i ordynacji wyborczej, ułatwiając sobie wygranie następnych wyborów, w 1927 roku. Realne stało się uchwalanie ustaw sankcjonujących endeckie państwo przesiąknięte nacjonalizmem. Przeprowadzenie tego drogą parlamentarną stwarzało pozory zachowania demokracji. Tak naprawdę traciła ona rację bytu, bo państwo dzielące obywateli na lepszych i gorszych, z demokracją niewiele miało wspólnego.

Porażka w parlamencie skłoniła Piłsudskiego i wspierający go obóz demokratyczno-lewicowy do przeniesienia konfrontacji na ulice. Kiedy 10 maja 1926 powstał kolejny rząd Witosa, 12 maja marszałek ruszył zbrojnie na stolicę, a demokraci i lewica stanęli u jego boku.

Dziś powiedzielibyśmy, że w obronie demokracji jej zwolennicy sięgnęli po wariant „B”. Czas pokazał, że lekarstwo okazało się równie groźne jak choroba. Demokracji nie da się bowiem bronić niedemokratycznymi metodami, o czym zawsze warto pamiętać. ●

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

MIESIĄC NIE WIDZISZ NIC ZIELONEGO

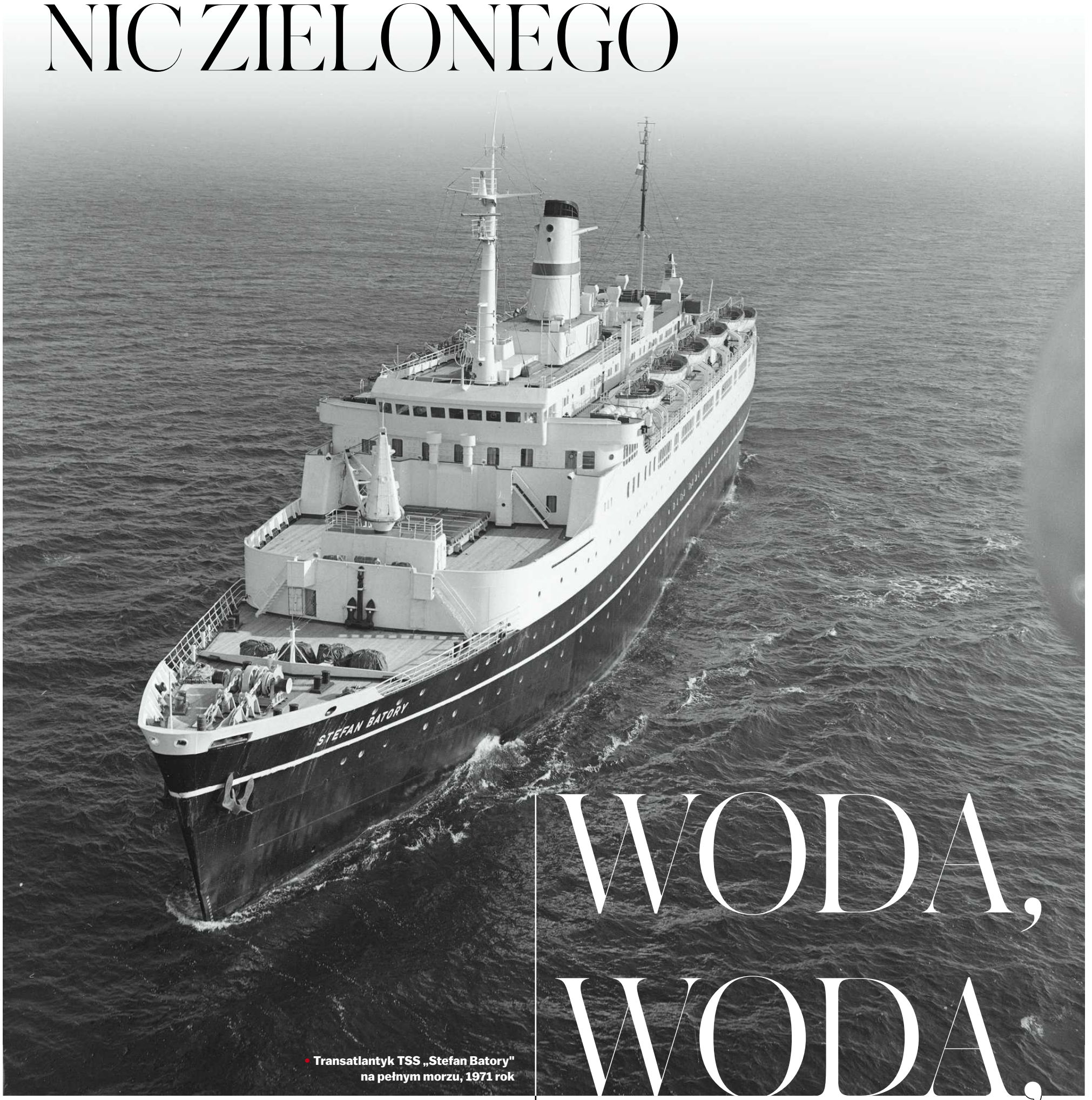

Transatlantyk TSS „Stefan Batory" na pełnym morzu, 1971 rok

FOT. LECH ZIELASKOWSKI, ZBIORY NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

WODA, WODA, WODA

„Pasażerów zawsze goliłam brzytwą, a zakład fryzjerski był czynny nawet podczas sztormów”. Jak się pracowało na „Batorym”.

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

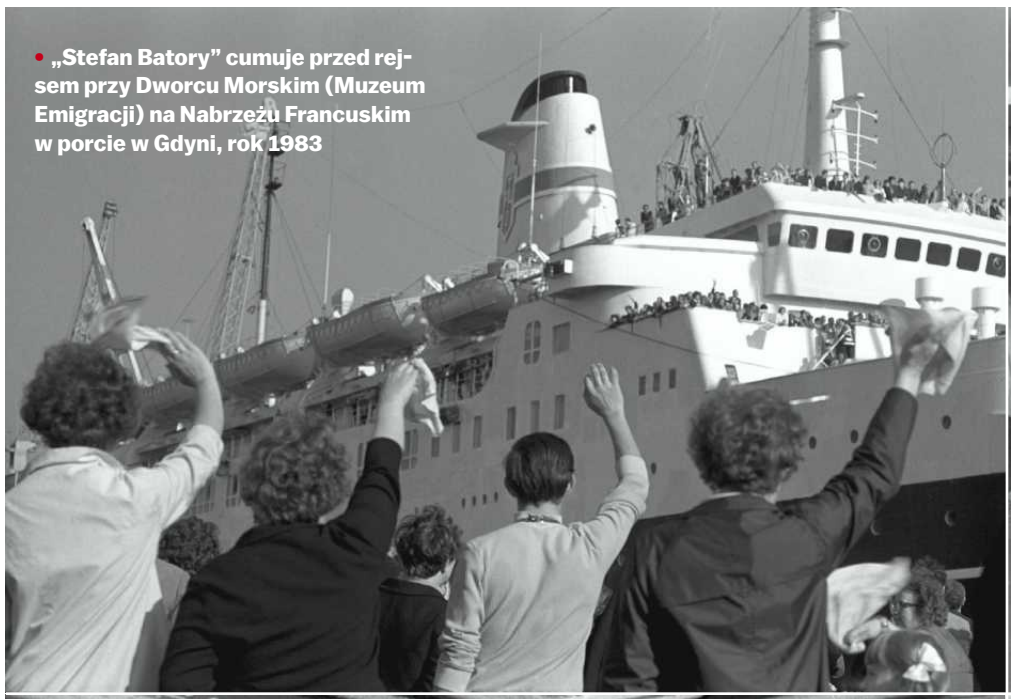

• „Stefan Batory" cumuje przed rejsem przy Dworcu Morskim (Muzeum Emigracji) na Nabrzeżu Francuskim w porcie w Gdyni, rok 1983

• Bankiet w restauracji na pokładzie „Stefana Batorego"

• Pierwszy od lewej Jerzy Pszenny, kapitan żeglugi wielkiej, który dowodził oboma transatlantykami: przed wojną – MS „Batorym", a w 1968 roku stanął na mostku statku TSS „Stefan Batory"

• Telegrafista podczas służby, rok 1968

FOT. PAP/EUGENIUSZ HANNEMANN; PAP/KFP/ZBIGNIEW KOSYCARZ (2); PAP/JANUSZ UKLEJEWSKI

Aleksandra Karkowska

Kapitan oraz cała załoga statku »Stefan Batory« witają serdecznie pasażerów i życzą im przyjemnej podróży. Dewizą kierownictwa i załogi statku jest uprzejmość i szczególna troska o każdego pasażera" – zapewniał wchodzących na pokład „Informator ogólny dla pasażerów".

Rejs przez Atlantyk trwał dziesięć dni. W tym czasie trzysta trzydzieści osób załogi miało jeden cel: zrobić wszystko, by umilić czas 770 pasażerom. TSS „Stefan Batory" był jak pływające miasto: cukiernia, piekarnia, rzeźnia i masarnia, pralnia, fryzjernia damsko-męska, drukarnia, bary, restauracja, biblioteka, basen, gra w bingo, dancingi.

Ostatni transatlantyk pod polską banderą służbę rozpoczął w 1969 roku. Podróż do Kanady czy USA trwała dłużej niż samolotem, jednak wydawała się bezpieczniejsza. Statek miał dziesięć pokładów i 153 metry długości. Pasażerowie, których było na to stać, wybierali rejs luksusowym wycieczkowcem.

TRZYSTA LITRÓW KAWY

Stanisław Kolberg zaczynał dzień na statku o piątej rano. W kuchni był pierwszy. Parzył kawę, herbatę, szykował mleko do płatków, potem robił tosty. Posiłki były wydawane w dwóch turach, zwanych przez załogę seattingami, bo wszyscy pasażerowie naraz nie mieścili się w sali restauracyjnej. Na śniadaniu pierwszy seatting był o ósmej, drugi o dziewiątej. Chwila przerwy. Po dwunastej znów kawa i herbata, tym razem do obiadu. Każdego dnia rejsu Stanisław parzył 300 litrów kawy z ośmiu kilogramów ziaren.

Na „Batorym" zaczynał jako cukiernik w 1980 roku. Był po technikum gastronomicznym, miał doświadczenie z cukierni w Jastrzębiej Górze.

– To był dla mnie szok. Prawdziwe masło, kakao, wanilia. Z tego przygotowywaliśmy ciasta i desery. Luksus! W Polsce nie było nic z tych rzeczy, trzeba było kombinować – opowiada.

Codziennie podczas rejsu piekł ciasta i przygotowywał lody: podawane były z owocami lub pieczone pod pierzynką z bezy. Płonące podawano tylko na balu kapitańskim. Pasażer, który podczas rejsu miał urodziny, dostawał od załogi tort. Podawano go po obiedzie do stolika, orkiestra grała „Sto lat".

– Czasem trzeba było upiec kilkanaście tortów jednego dnia, tylu było jubilatów – wylicza Stanisław.

Po trzech latach awansował na kawiarza. Lubił tę pracę, miał większy kontakt z pasażerami. Był skrupulatny, więc zlecano mu dodatkowe obowiązki: wypisywał karty pracy dla kuchni, przepisywał menu. Szef kuchni pisał ręcznie jadłospis na kolejny dzień, Stanisław wystukiwał listę dań na maszynie i zanosił do drukarni pokładowej. Tam powielano ją w 800 egzemplarzach. Każdy z pasażerów codziennie dostawał do stolika elegancką kartę dań.

– Co było najtrudniejsze? – pytam.

– To, że przez miesiąc nie widzisz nic zielonego. Woda, woda, woda. Po jej kolorze poznajesz, w jakim akwenie jesteś. I ta tęsknota. Poczucie, że sprzedajesz się za kilka dolarów, a żona i córka same w domu. Ale jak się trochę zarobiło, to przechodziło człowiekowi.

– Myślał pan o tym, żeby zejść za granicą ze statku?

– Prawie na każdym rejsie. Widziałem, że w Kanadzie mają inne życie. Ale żona nie chciała zostawić matki, a ja nie chciałem zostawić żony.

SERWETKI

Tadeusz najładniej ze wszystkich stewardów składał serwetki.

– Nauczył się tego na „Batorym". – Maria patrzy z miłością na męża. – Chce pani zobaczyć?

Z kredensu wyjmuje kilka lnianych serwetek, dobrze wykrochmalonych i wymaglowanych. Żółta – gładka, różowa – w delikatny deseń, zielonkawa ma wzór „PLO", znak firmy Polskie Linie Oceaniczne, do której należał TSS „Stefan Batory".

Na „Stefanie" – tak o statku mówi załoga – pływało kilkudziesięciu stewardów. Dwójka z nich to Maria i Tadeusz Królowie. Poznali się na pokładzie. On był wdowcem, ona w trakcie rozwodu.

Maria skończyła 90 lat, ale jej niebieskie oczy są pełne energii, choć już słabo widzi. Postawna, konkretna, całe życie nie znosiła nudy.

Tadeusz w milczeniu, ale z drygiem w rękach składa serwetki: żółtą w stożek, zielonkawą w harmonijkę, różową w tulipanka.

Maria tłumaczy: – Tak musiały być złożone serwetki na „Batorym". Zawsze elegancko. Na stole był obrus, porządnie nakryte, talerze, sztućce i przy każdym nakryciu fikuśnie złożona serwetka. Lniana, a nie papierowa jednorazówka. Tadeusz słynął z tego, że składał je najładniej.

Już jako młody chłopak trafił na trzy lata do Marynarki Wojennej, pływał między innymi na „Błyskawicy". Miał doświadczenie na wodzie, więc bez problemu zamustrował na transatlantyk. Zaczynał jeszcze na „starym Batorym". Bo statki o tej samej nazwie były dwa.

Pierwszy, M/S „Batory", pływał od 1936 roku. Razem z bliźniaczym M/S „Piłsudski" był wizytówką II RP na Atlantyku. Wystrojem ich wnętrz zajęła się specjalnie utworzona komisja artystyczna. Po trzydziestu trzech latach wykonał ostatni rejs. W 1969 roku jego następcą został TSS „Stefan Batory".

W Gdyni na statek wsiadali Polacy, którzy płynęli do Ameryki „za chlebem", artyści marzący o karierze po drugiej stronie oceanu, dziennikarze i pisarze, którym udało się zdobyć dolary i zgodę na wyjazd. W podróż w drugą stronę wybierała się przedwojenna Polonia.

Tadeusz przeszedł z „Batorego" na „Stefana Batorego" z prawie całą załogą. Na „Stefanie" był wine stewardem. Serwował wino do posiłków, podawał kawę i drinki na zamówienie pasażerów w barach na pokładzie.

Pięć lat starszy od Marii, jeszcze niedawno żwawo opowiadał historie z pokładów transatlantyków. Teraz została mu tylko pamięć w dłoniach. Żółty stożek, zieloną harmonijkę i różowy tulipan ustawił równiutko na stole tak, jak przed laty w salonie restauracyjnym.

ADAMASZEK

Pościel na statku była z adamaszku. Na rejsach tropikalnych poszwy zmieniało się co dwa-trzy dni. Na linii do Kanady – na życzenie. Każdego dnia do pralni trafiało od 200 do 500 lnianych obrusów i ponad trzy tysiące serwetek, których składaniem zajmowali się stewardzi, wśród nich Tadeusz Król.

Maria Król weszła na pokład „Batorego" w 1983 roku, to była jej pierwsza stała praca.

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Jako osiemnastolatka wyszła za mąż, przez ponad 20 lat zajmowała się domem. Po rozwodzie potrzebowała pieniędzy, miała trójkę dzieci na utrzymaniu. Na wodzie można było lepiej zarobić niż na lądzie. Angaż pomogli jej zdobyć znajomi. Zaczynała jako praczka.

Pralnia podczas rejsu pracowała dzień w dzień. Olbrzymie pralki obsługiwało trzech mężczyzn.

– To ciężka robota była, dlatego chłopy tym się zajmowali – wspomina Maria. – Kobiety maglowały i prasowały, sześć nas było. Na szeroki magiel nakładałyśmy od rana poszwy, poszewki, prześcieradła, obrusy, serwetki, polerki – płachty z lnu do polerowania pater i mundury stewardów.

Uniformy musiały być czyste i nienaganne odprasowane, bo stewardzi mieli bezpośredni kontakt z pasażerami. Prasowaniem koszul stewardów i oficerów zajmowały się dwie prasowaczki. Żelazko było zwyczajne, jak w każdym domu. Na życzenie prasowały również ubrania pasażerów.

„Informator ogólny dla pasażerów”, hasło „PRALNIA”: „Bieliznę do prania przyjmuje się w ograniczonych ilościach, przyjmowanie bielizny do prania, jak i pobieranie należności za te usługi odbywa się przez stewardesę”.

FRYZJERNIA DAMSKO-MĘSKA

Fryzjerkę Czesławę Niesiołowską-Jaroszewską odwiedziłam w Gdańsku. Wysoki, 10-piętrowy blok, kilka klatek.

– To nasze mieszkanko na zimę – podpowiada mąż. – Niewielkie, bo całe lato mieszkamy na Kaszubach.

Czesława ma 82 lata, czasem plączą jej się wspomnienia, ale jest bardzo konkretna. Na „Batorego” trafiła z Rococo – najlepszego salonu fryzjerskiego w Gdyni. Zaczynała tam pracę w latach 60. XX wieku. Salon z przedwojenną tradycją, strzygli się w nim ci, którzy mieli pieniądze: dygnitarze, marynarze, goście z zagranicy i kupcy z hali targowej. Na czesanie umawiały się żony kapitanów, dyplomatów, lotników.

W Rococo strzygł się kierownik zatrudnienia z PLO, przystojny, ale nazwiska Czesława nie może sobie przypomnieć.

– Nie chciałaby pani pływać na „Batorym”? – zagaił.

– Chciałabym – odpowiedziała bez zastanowienia. Nie miała żadnego doświadczenia na morzu, ale o zarobkach na transatlantyku krążyły legendy.

– Wysyłają mnie na placówkę do Montrealu. Gdzie ja tam będę szukał fryzjerki? A gdyby pani była na „Batorym”, wpadałbym do portu na strzyżenie.

Czesława musiała zdać egzamin z pływania na basenie i angielski. Pływać umiała, z angielskim było gorzej. Na jej szczęście egzaminator, sięgając po słownik z półki, runął na ziemię razem z książką. Zawstydził się, szybko zakończył egzamin, wpisał wynik pozytywny.

Po miesiącu była zaokrętowana na „Batorym”.

– Dużo było chętnych? – pytam.

– Dużo. Czasem były kolejki przed otwarciem salonu. Już szczególnie przed balem kapitańskim, wtedy były zapisy. Mieliśmy specjalny zeszyt.

„Informator ogólny dla pasażerów”: „Gabinety fryzjerskie (damski i męski) znajdują się w Holu Głównym i czynne są w godzinach 8:00-12:00 i 15:00-17:00”.

We fryzjerni pracowali w trójkę, Czesława jako fryzjerka męska, fryzjer damski i kosmetyczka. Czesława myła i strzygła, a także goliła pasażerów.

– Brzytwą, a jak inaczej? – dziwi się mojemu pytaniu pani Czesia.

– Jak kiwało też?

– Też. Wtedy stawałam w szerszym rozkroku. Jak był sztorm, to zakład też był otwarty. Tylko klientów nie było, bo pasażerowie chorowali. Czasami, jak mocniej kiwało, nas też chwytał strach.

Za usługi fryzjerskie na pokładzie „Batorego” pasażerowie płacili dodatkowo, dolarami. Załoga miała do wykorzystania bony. Kolegów Czesława strzygła po zamknięciu salonu. Schodziła trzy piętra w dół statku, do mesy załogowej. Chętnych było sporo.

– Nie mogłeś ostrzyć się na lądzie? – pytała.

– Kiedy ja wolę u ciebie – odpowiadali.

BIM, BAM, BOM!

Urszula Zalewska pracę na „Batorym” zaczęła w 1979 roku od dna piekła. Tak nazywa mesę załogową.

Po szkole ekonomicznej zatrudniła się jako sekretarka dyrektora w przedsiębiorstwie, które dostarczało sprzęt przeciwpożarowy na statki, również na „Batorego”. Miała 24 lata. Śliczna, młoda, ambitna, marzyła, by poznać świat, wyrwać się z szarej Polski i zobaczyć Zachód na własne oczy. Pracując na statku, można było wyjechać na podstawie książeczki żeglarskiej, nie czekając na zgodę i paszport, który leżał w szufladzie urzędnika państwowego. Pomyślała, że praca na transatlantyku to by było coś!

– Mieszkałam w Gdyni obok biura PLO. Postanowiłam, że wejdę i zapytam, czy potrzebują kogoś do pracy – opowiada. – Zdurnieli, że ktoś wszedł tak z ulicy. Trzeba było mieć „plecy”, żeby tam pracę dostać. Ja nie miałam. Kazali złożyć papiery i powiedzieli, że się odezwą. Nie wierzyłam, że tak będzie.

Odezwali się. Tak trafiła do mesy.

– W życiu tak ciężko nie pracowałam jak wtedy – wspomina pierwsze dni. – Cztery posiłki, ponad trzysta osób załogi do obsłużenia. W trójkę zmywaliśmy naczynia. Ręcznie, bo w kuchni załogowej nie było zmywarki. Wielki zlew, a pod blatem kubeł na resztki. Ponad tysiąc talerzy po każdym posiłku do mycia.

Po dwóch miesiącach wydostała się z dna piekła. Zastąpiła stewardesę muzyczną, która zeszła na ląd. Warunek – musiała sobie załatwić mundur. Biała bluzka, niebieska spódnica i marynarka. Owalna plakietka z logotypem PLO naszyta na klapie.

– Miałam dwa dni podczas postoju w Gdyni, żeby go zdobyć. Zaniosłam torbę z towarem z Baltony, kawa, czekoladki i takie tam rarytasy, żeby mi ten mundur krawcowa w sklepie mundurowym dopasowała na drugi dzień. Udało się. W tamtych czasach torba z Baltony czyniła cuda.

Urszula dzień zaczynała od grania krótkiej melodii na dzwonkach na pobudkę. Przystawiała do instrumentu mikrofon radiowy, w drugiej ręce trzymała pałeczkę, którą wystukiwała melodyjkę. Potem dzwoniła na śniadanie, na obiad i kolację, pierwszy seatting, i drugi. Melodię pamięta do dziś. Nuci „bim, bam, bom”, a rytm wystukuje palcami na blacie kawiarnianego stolika podczas naszej rozmowy.

– Przy wyokrętowaniu czytałam anonse przez mikrofon radiowy. Miałam spisane je po polsku i po angielsku. „Bim, bam, bom. Szanowni Pasażerowie, uprzejmie informujemy, że przed opuszczeniem statku klucze od kabiny należy przekazać stewardesom” – wspomina.

Do obowiązków stewardesy muzycznej należała również obsługa biblioteki czynnej od 10 do 12. To była wbudowana duża szafa z książkami w salonie kawiarnianym. Na półkach cała klasyka polskiej literatury, pasażerowie najchętniej wypożyczali „Trylogię”. Na kartach wypisywała nazwisko i numer kabiny.

– Zagraniczni pasażerowie często zostawiali prywatne książki, które przeczytali w trakcie rejsu, dzięki temu były kryminały i harlequiny, których w Polsce jeszcze nie mieliśmy.

Urszula pomagała też w kancelarii, w biurze starszego ochmistrza. Dostawała prostsze i powtarzalne zadania, bo od ważniejszych był asystent starszego ochmistrza, absolwent Szkoły Morskiej.

– Na początku rejsu musiałam wypisać maszynowo imiona i nazwiska ponad 700 pasażerów na imiennych zaproszeniach na koktajl z kapitanem. Maszyna była tępa, przeskakiwały klawisze. Statkiem bujało i maszyną też. Palce mnie bolały. Ale każdy pasażer czuł się wyróżniony, to było ważne – mówi. – Personalne zaproszenia były dostarczane do kabin.

Przy pierwszej okazji Urszula przeszła na stanowisko stewardesy kabinowej: sprzątała kajuty pasażerów. Na tym stanowisku mogła liczyć na „tipy” od gości na koniec podróży. Była więc pensja, dodatek dewizowy i napiwki.

Codziennie rano w białym fartuszku wycierała kurze, myła podłogę, trzepała dywaniki, wymieniała brudne ręczniki, myła szklanki. Około 11 była inspekcja. Kapitan, intendent, starszy ochmistrz i ochmistrz kabinowy w pełnym umundurowaniu sprawdzali porządek.

– Losowo wybierali kabinę, robili „test białej rękawiczki”, sprawdzali kurze na framugach. Irytowało nas to strasznie, bo chcieliśmy jak najszybciej uwinąć się z tym sprzątaniem, by móc zejść na ląd podczas postoju.

Po południu przebierała się w niebieski kostium i szła na dyżur do pentry. To mały kantorek na pokładzie koło kabin pasażerów. Tam spełniała ich specjalne życzenia.

– Zwykle prosili o dodatkowy ręcznik czy dodatkową poduszkę, o gorącą wodę, czasem pytali, gdzie mogą na statku kupić alkohol, albo czy mogą sobie z nami zrobić zdjęcie – uśmiecha się Urszula.

Pracę kończyła wieczorem, gotowała wodę do termosów pasażerów.

– Na tym stanowisku była bezpieczna powtarzalność – wspomina.

MISJA, NIE PRACA

Załoga TSS „Stefan Batory” liczyła 331 osób. Pracowali w trzech działach: maszynowym, pokładowym i hotelowym. Najwięcej – ponad 250 osób – w tym ostatnim, m.in. oficer rozrywkowy, ochmistrzowie, stewardzi restauracyjni, barmani, kucharze, cukiernicy, kawiarze, rzeźnicy, praczki, stewardzi kabinowi, stolarz, drukarz, krawcowa, stewardzi muzyczni, stewardzi bagażowi, muzycy, fotograf, fryzjerzy, sklepowe. Nawet matki okrętowe, czyli nianie.

– Stawaliśmy na głowie, by pasażerom ptasiego mleka nie brakowało – wspominał Ireneusz Chomentowski, ochmistrz restauracyjny. – Statek miał za zadanie zarabiać cenne dewizy dla PRL, więc o klienta trzeba było dbać.

Chomentowski, absolwent Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni, zaczynał w 1975 roku od najgorszych prac podczas studenckiej praktyki na pokładzie. Studenci Wydziału Administracji przechodzili przez wszystkie działy hotelowe, w kuchni myli gary, obierali warzywa, wyrzucali resztki, pomagali też w pralni, przy sprzątaniu pokładów czy kabin.

Dziś pracę na „Batorym” uważa za misję: – Byliśmy ambasadorem Polski na morzu. Wystarczyło, że ktoś wytrzymał trzy miesiące – i to zrozumiał. Wtedy zostawał. Szybko chłonął twarde zasady obowiązujące na statku.

O zarobkach na „Batorym” krążyły legendy. Pensja zasadnicza w PLO była jednakowa dla członków załogi wszystkich statków, zależała od stanowiska. W „Układzie zbiorowym pracy dla marynarzy” ze stycznia 1975 roku czytamy, że kapitan zarabiał 4500 złotych, oficerowie, lekarz 4000, steward, pielęgniarka 2300, a praczka 2200 złotych. Średnia pensja w tym czasie w Polsce wynosiła 3913 złotych, więc teoretycznie pensje na statkach nie były specjalnie wysokie. Sekret tkwił w dodatkach do pensji: okrętowy, funkcyjny, za znajomość języków obcych, za pracę w godzinach nocnych czy warunkach niebezpiecznych oraz dodatek dewizowy. W zależności od strefy, w jakiej pływał statek, oraz od stanowiska, marynarzom przysługiwała kwota w dolarach amerykańskich. W strefie II „północno-amerykańskiej”, w której stałe rejsy miał „Batory”, kapitan, pierwszy mechanik i pierwszy oficer otrzymywali dziennie 1,65 dolara, oficerowie, ochmistrz, płatnik, lekarz – 1,37 dolara, a pozostała załoga, czyli stewardzi, stewardesy, matka okrętowa, muzycy, praczki – 1,15 dolara.

– Jako praktykant miałem pensję 1950 złotych i trzydzieści kilka centów dodatku. Pamiętam, że za mój pierwszy rejs dostałem prawie 10 dolarów! Ależ byłem szczęśliwy! To była niewiarygodna kwota – wspomina Ireneusz. – Był 1974 rok. W tym czasie dolar amerykański na czarnym rynku był wart 150 złotych. Kilogram pomarańczy kosztował 40, cytryn – 30, bananów – 15. Tylko tego towaru nie było w sklepach. Kostka masła kosztowała 16 złotych. Wtedy każdy cent, każdy dolar się dla nas liczył.

Zatrudnieni na stanowiskach związanych z obsługą pasażerską mogli liczyć na napiwki od pasażerów. Stewardesy i stewardzi kabinowi oraz restauracyjni otrzymywali koperty z „tipami” w podziękowaniu za rejs podczas balu kapitańskiego. Czasem to było kilka dolarów, a czasem kilkadziesiąt.

TO BYŁO INNE ŻYCIE

– Praca na „Batorym”? Spokój ekonomiczny przypłacony tęsknotą – podsumowuje Urszula Zalewska, która budziła pasażerów grą na cymbałkach. Pływała na statku 10 lat, do końca „Batorego” w 1988 roku. Wtedy statek wycofano ze służby i sprzedano greckiemu przedsiębiorstwu. Służył przez jakiś czas jako hotel dla uchodźców w Szwecji, ostatecznie został pocięty na złom w 2000 roku.

– Często było trudno, ale wszyscy na lądzie nam zazdrościli. Na „Batorym” była praca marzeń.

Miała określony cykl: 28 dni na morzu i 2 dni w domu, i tak co miesiąc. Gdynia – Montreal, Montreal – Gdynia. 24 godziny w „zakładzie pracy”, codziennie. Bez możliwości ucieczki.

– Bez względu na to, jak mocno buja, musisz wykonać swoją pracę, z uśmiechem – podsumowuje Urszula.

Rozłąka z rodziną była trudna, dodatek dewizowy miał być naszą rekompensatą. Tak to sobie wtedy tłumaczyliśmy. Ja pływałem w sumie 22 lata. O ile to mniej wrażeń, wspólnych wspomnień, wspólnych spacerów czy posiłków z rodziną. Czy warto było? Gdybym nie pracował na morzu, to nie poznałbym swojej żony, więc dla mnie warto – uśmiecha się Ireneusz.

Stanisław Kolberg, cukiernik i kawiarz, pływał osiem lat. Zszedł na ląd w 1988 roku.

– Synek zmarł, żona zachorowała, świat mi się zawalił. Nie potrafiłem odnaleźć się na lądzie. Próbowałem wrócić na morze, ale mi się nie udało. Brata wkręciłem. Pływał na „Heweliuszu”. Zginął w swoje 33. urodziny – Stanisław milknie na dłuższą chwilę.

Maria Król, która codziennie prała adamaszkową pościel, do dziś jest dumna z pracy na „Batorym”.

– Bo to była nie praca, ale służba – podsumowuje.

Czesława Niesiołowska-Jaroszewska, fryzjerka, zeszła po sześciu latach pływania, w 1975 roku.

– Chciałam w końcu posiedzieć na lądzie. Była tęsknota za domem, za dzieckiem, za codziennością. Ale pieniądze się przydawały. W Rococo tyle bym nie zarobiła. Jak szłam na „Batorego”, miałam męża i czteroletniego synka. Moja mama zajęła się synkiem, mąż mnie puścił na morze, ale znalazł sobie babę, rozeszliśmy się.

– Gdyby cofnąć czas, poszłaby pani na „Batorego”? – pytam.

Czesława nie zastanawia się ani chwili: – Poszłabym. To było inne życie. ●

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

JAK OPOWIADAĆ O WOJNIE

Maskowany zachwyt wojną stoi u podstaw wielu gier komputerowych i rekonstrukcji historycznych.

Sebastian Pawlina

Zabicie człowieka w tych okolicznościach nie robi takiego wrażenia, jak sobie wyobrażacie. Zabiłem go, ale to było jak pstryknięcie palcami. Fraszka". Tak o swoim udziale w akcjach bojowych opowiadał Stanisław Likiernik „Staszek". We wrześniu 1939 roku miał zaledwie 16 lat, w czasie wojny był żołnierzem Kedywu Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej, walczył w powstaniu warszawskim. Gdy większość konspiratorów, oczekując na rozpoczęcie walki, wykonywała mało ekscytujące zadania, on wysadzał pociągi, wykonywał wyroki, strzelał do wroga.

Jednocześnie przez zrządzenie losu, którym była znajomość z Romanem Bratnym, stał się pierwowzorem Stanisława Skiernika, „Kolumba". A w zasadzie jego połową, bo drugą był Krzysztof Sobieszczański, „Kolumb".

Bohater „Kolumbów. Rocznik 20" nadał nazwę całemu pokoleniu, które balansowało między walkami a pragnieniem normalnego życia.

Likiernik nie uważał się za bohatera. Kiedyś napisał mi, że nie lubi, kiedy ktoś tak o nim mówi. Bohaterstwem dla niego było uratować obcego człowieka, który się topi. To, co robił w podziemiu, uważał za naturalną walką o przeżycie i szacunek do samego siebie. Wielokrotnie powtarzał, że chodziło o zachowanie godności, o to, aby nie być zwierzyną łowną dla okupanta.

DWA RODZAJE BOHATERSTWA

Według Tzvetana Todorova, bułgarsko-francuskiego filozofa i historyka, istnieją dwa rodzaje bohaterstwa. Pierwsze, obecne w kulturze od zarania, jest bohaterstwem heroicznym. Nie jest jednolite. Może się opierać na czystej sile, odwadze i gotowości do ryzykownych czynów. W tym wydaniu symbolizuje je Achilles. Ale może się też opierać na poświęceniu dla innych, obronie wartości – to przypadek innego z uczestników wojny trojańskiej, Hektora.

Do takiego bohaterstwa gotowy jest ledwie ułamek społeczeństwa. O wiele powszechniejsze jest, twierdzi Todorov, bohaterstwo zwyczajne, które składa się z umiejętności zachowania godności oraz troski o drugiego człowieka. Oba mogą funkcjonować w warunkach granicznych (jak wojna) i codziennych, pokojowych. Człowiek ma jednak skłonność do zapamiętywania jedynie bohaterstwa heroicznego. O nim czytamy w gazetach, książkach, słyszymy w radiu. Tylko ono zasługuje na opowieść, na pomnik, świętowanie rocznicy. Prędzej przeczytamy artykuł o kimś, kto obezwładnił nożownika, niż o lekarzu, który uratował ofiarę wypadku. A przecież obaj ocalili komuś życie.

31 lipca 2024 roku, podczas rocznicowego spotkania w Muzeum Powstania Warszawskiego, ówczesny prezydent Andrzej Duda powiedział, że powstańcy stanęli do walki po to, żeby odzyskać wolność, „po to, żeby dać świadectwo tego, że są, że żyją, że trwają i że Polska – choć zniknęła z mapy – to Polacy nie zniknęli i Polska nie zniknęła z serc. Że przywrócenie ojczyzny (...) i przepędzenie okupanta są absolutnym celem, dla którego naród polski – a w szczególności jego młode pokolenie – gotowy jest poświęcić wszystko".

Tego samego dnia na Placu Krasińskich prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski również przekonywał, że bez powstania nie byłoby wolnej Polski.

Pomijając różnice interpretacji, takie frazy w kontekście bitwy nie dziwią. Mają uzasadnić poniesioną ofiarę i stworzyć poczucie, że gotowość do poświęcenia i walki jest pożądana. Podobne zdania słyszymy 1 września, 11 listopada czy 15 sierpnia. Różnią je konteksty. Niewiele jest w polskim kalendarzu dat, które są obchodzone w sposób bardziej spektakularny i z równie dużym zainteresowaniem mediów. Niewiele jest też opowieści, które przyciągałyby równie poważne zainteresowanie opinii publicznej. W efekcie o powstaniach wielu ma jakieś zdanie. O tajnym nauczaniu albo strategiach przetrwania podczas wojny – nieliczni.

TEST NA „PRAWDZIWEGO MĘŻCZYZNĘ"

Wojna w wydaniu heroicznym i martyrologicznym dominuje w polskim myśleniu o historii, w czym dużą rolę odgrywa kultura. Zdarzają się filmy takie jak „Wołyń" Wojciecha Smarzowskiego czy „Katyń" Andrzeja Wajdy, które przedstawiają koszmar konfliktów zbrojnych i dramaty cywilów, ale nie po to, żeby wzmacniać martyrologię narodu, ale by pokazać, z czym mierzą się ludzie w takich sytuacjach. Z drugiej strony popularne są produkcje, w których wojna to przygoda, jak w emitowanych przez TVP „Czasie honoru" albo „Zatoce szpiegów". Pierwszy z nich w każdym z siedmiu swoich sezonów przyciągał przed ekrany telewizorów między 2,4 a 2,86 mln widzów.

Przez lata niesłabnącym zainteresowaniem cieszyły się hollywoodzkie produkcje, takie jak „Szeregowiec Ryan", „Wróg u bram", „Kompania braci" czy „Furia". Kreowany w nich z rozmachem obraz wojny jest brudny i przerażający, ale jednocześnie bohaterski, niemalże przygodowy. Polskim przykładem takiego jej postrzegania jest scena otwierająca „Czerwone maki" Krzysztofa Łukaszewicza, w której główny bohater niczym Indiana Jones ucieka ulicami bliskowschodniego miasta.

Maskowany zachwyt wojną stoi u podstaw wielu gier komputerowych i rekonstrukcji historycznych wpływających na umysły odbiorców. Tworzą one obraz wojny jako zjawiska czysto wojskowego, gdzie odwaga i honor są największymi wartościami. W jednym z warszawskich parków w sierpniu 2024 roku podczas pikniku historycznego uczestnicy mogli posłuchać o bitwie warszawskiej, o Armii Krajowej, obejrzeć historyczne pojazdy, mundury, broń, a także pojeździć na koniach i poskakać na dmuchanym zamku. Te ostatnie atrakcje przeznaczone były dla dzieci pewnie nie starszych niż 10 lat. Wojna uczy, wojna bawi.

Niektórzy to krytykują, ale takie zachowania nie powinny dziwić. Badacze od lat przekonują, że konflikty zbrojne – niezależnie od ich skali – są formą sprawdzianu, testem na odwagę. Według Barbary Ehrenreich, amerykańskiej dziennikarki, autorki znakomitych „Rytuałów krwi", wojna często służy „definiowaniu męskości jako takiej". Zauważa, że „w czasach historycznych jednym z deklarowanych celów wojny było często zrobienie »mężczyzny« z mężczyzny, to znaczy dostarczenie dorosłemu mężczyźnie jakiegoś wyjątkowo »męskiego« zajęcia".

Ale czasy historyczne nie dobiegły końca. Cały czas pobyt w wojsku uważany jest przez wielu za istotny element w procesie zostawania mężczyzną. Jest jak w tekście popularnej piosenki: „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani,/ Że za tobą idą, że za tobą idą/ Chłopcy malowani?".

MAŁO KTO ROZUMIE, CZYM JEST WOJNA

Nie tylko emocje i ludzka natura wpływają na takie postrzeganie wojny. Swoją rolę odgrywają również jej badacze, którzy najczęściej sięgają po tematy czysto militarne, polityczne, biografie wodzów. Rzadko przedmiotem zainteresowań stają się codzienność żołnierzy i cywilów oraz emocje, które pozwoliłyby zrozumieć lepiej sposób myślenia oraz decyzje podejmowane podczas wojny przez zwyczajnych ludzi.

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Widać to doskonale na przykładzie stanu polskiej historiografii dotyczącej niemieckiej okupacji Polski podczas ostatniej wojny. Jak mówi prof. Robert Traba, historyk, „badań na temat wojny i okupacji w Polsce powstało w Niemczech znacznie więcej niż w samej Polsce w ostatnich 30 latach. Po 1990 roku polska historiografia przesunęła wysiłek w stronę tematów wcześniej zakazanych: przede wszystkim okupacji sowieckiej i sowieckich zbrodni. W naturalny sposób wyparto z pola badań kwestie niemieckiej okupacji, mimo znakomitego dorobku wcześniejszych pokoleń badaczy: Czesława Madajczyka, Mariana Wojciechowskiego, Tomasza Szaroty, Czesława Łuczaka czy Włodzimierza Borodzieja, a obecnie zespołu Barbary Engelking. Ich dzieło nie doczekało się kontynuacji”.

Jednocześnie, czego dowiodła awantura o pokazywaną w Muzeum Gdańska wystawę „Nasi chłopcy”, polska pamięć II wojny światowej jest pamięcią Polski centralnej, a w zasadzie – Warszawy, gdzie zjawisko zapisywania się na Volkslistę czy wstępowania do Wehrmachtu miało zupełnie inny wymiar niż na Pomorzu czy Śląsku. I tak jak badania nad tym zjawiskiem mają problem z dotarciem do opinii publicznej, tak samo badania nad sowiecką okupacją nie przebijają się do świadomości Polaków. Jedyne dwa zjawiska z nią związane funkcjonują w powszechnym obiegu: zbrodnia katyńska oraz wywózki na wschód w 1940 i 1941 roku. Choć pamięć o tej drugiej opowieści silna wydaje się jedynie na wschodzie kraju.

W efekcie historia drugiej wojny światowej, najważniejszego konfliktu zbrojnego kształtującego wyobrażenie Polaków o postawach ludzkich w trakcie wojny, jest przeważnie czarno-biała. Odcienie szarości niemal nie występują, nie mówiąc o innych barwach. A skrajnościami, wywołującymi większe emocje, łatwiej manipulować.

W „Człowieku zbuntowanym” Albert Camus stworzył termin moralności gangu. Odnosi się on do takiego sposobu działania w polityce, który zakłada nieustanne poszukiwanie wroga. To on daje napęd do kolejnych kroków, to on legitymizuje władzę i podejmowane przez nią działania. Binyavanga Wainaina, kenijski pisarz i dziennikarz, idąc tym tropem, pisał w swoich wspomnieniach, że: „przekleństwo przeszłości polega na tym, że ona zawsze zaczyna się akurat teraz. Perspektywa czasu nagnie fakty do aktualnych potrzeb – to aparat ortodontyczny, który każdemu naprostuje szczękę i wolę. Perspektywa czasu, jeśli się pragnie dość mocno, znosi niepewność. Wyselekcjonowana przeszłość staje się argumentem za działaniem”.

Dzisiaj, 12 lat od rozpoczęcia rosyjskiej agresji wobec Ukrainy i ponad cztery od początku pełnoskalowej wojny, w internecie nietrudno znaleźć dowody na to, że wiele osób nie rozumie, czym jest wojna i jak ludzie mogą się na niej zachowywać. W efekcie wysyłają Ukraińców mieszkających w Polsce na front, żądają odebrania im świadczeń socjalnych, kwestionują koszmar wojny. No bo skoro w ukraińskich miastach działają restauracje, kina, kluby muzyczne, to oznacza, że nie może być tak źle. W końcu kto to widział, żeby ludzie myśleli o normalnym życiu w takiej sytuacji?

MIĘDZY OBŁĘDEM A NORMALNOŚCIĄ

W połowie 1942 roku Delegatura Rządu RP na Kraj przygotowała dla władz polskich w Londynie raport dotyczący postaw warszawiaków. Zgodnie z nim 5 procent mieszkańców reprezentowało „Warszawę haniebną”, która zarabiała na wojnie, współpracowała z Niemcami. Około 25 procent składało się na „Warszawę heroiczną”, która w ten czy inny sposób była związana z podziemiem. Pozostałe 70 procent to była „Warszawa państwa Kowalskich”. Tych, którzy chcieli przeżyć. Bo wojna to przede wszystkim czekanie i nadzieja na to, że się nie zginie.

Wojna demoluje nie tylko miasta, ale również umysły, „wnętrze i zewnętrze”, jak pisze bośniacko-amerykański pisarz Aleksandar Hemon. Jerzy Andrzejewski w napisanym podczas wojny opowiadaniu „Apel” odtwarza psychikę człowieka, który przez długi czas zarzekał się w rozmowach z przyjaciółmi, że nawet w trakcie największego cierpienia można ocalić godność. Ale rzeczywistość udowodniła mu, że nie jest to oczywiste. „Czuł, jak kruszy się w nim i łamie ta wolność wewnętrzna, której uporczywie i w skupieniu bronił od pierwszego dnia uwięzienia, wolność nie służąca niczemu prócz ratowania własnej godności. Oswoił się już z cierpieniem i z poniżeniem. Widział je co dzień. Także śmierć. Lecz ze złem, z pogardą i z okrucieństwem, które dokoła szalały, oswoić się nie mógł i nie umiał”.

Żeby się przed tym złem i spustoszeniem uratować, trzeba szukać śladów dawnego życia. „I ściska lęk: gdy przejdzie się przez wojnę/ Czy serce nadal ludzkie pozostanie?”, pytał w wierszu „Lasy płonące” Kazimierz Wiwatowski, żołnierz 2. Korpusu Polskiego. Jego brat Tadeusz, który wojnę spędził w Warszawie, gdzie m.in. dowodził oddziałem dywersyjnym Armii Krajowej, starał się najczęściej, jak to było możliwe, wracać do tego, czym zajmował się do sierpnia 1939 roku – do pracy naukowej, był historykiem literatury polskiej.

Z kolei Tadeusz Klimaszewski, siłą wcielony przez Niemców podczas powstania warszawskiego do Verbrennungskommando Warschau, oddziału, którego zadaniem było palenie zwłok ofiar masowych egzekucji, przyznawał, że „mimo wszystko musiało się myśleć o jedzeniu, o spaniu, rozmawiać, a nawet żartować. Gdybyśmy nie czynili tego, czekał nas obłęd i śmierć. Długoletnia tajemnica przetrwania, tłumacząca ludzi, którzy wytrzymali piekło obozów koncentracyjnych, długoletnich więzień, frontów, bombardowań, wojny”.

To, co zwyczajne, podczas wojny nabiera głębokiego sensu. Pozwala mieć kontakt z tym, co znaliśmy, zanim świat się zawalił. Przedłuża wiarę w to, że bomby i panowanie śmierci nie są na zawsze. Jest też elementem walki o to, aby po wojnie poradzić sobie z jej brakiem. Badania nad postawami Polaków po 1945 roku wyraźnie dowodzą tego, że człowiekowi, który przez kilka lat funkcjonował w warunkach załamania wszelkich zasad, trudno jest wrócić do ich przestrzegania.

Ratowanie własnego człowieczeństwa w tych zwyczajnych, codziennych aktywnościach i przyjemnościach ma jeszcze jeden sens. Pomaga jednostce utrzymać kontakt z grupą. Konflikty zbrojne doprowadzają do rozpadów społeczeństw. Wspólne spędzanie czasu nie tylko pomaga utrzymać zdrowie psychiczne na poziomie potrzebnym do funkcjonowania. Daje również okazję na powiększenie sieci kontaktów, co w warunkach wojennych niedoborów często zwiększa szanse na zdobycie różnych produktów czy załatwienie spraw, które inaczej mogłyby być trudne do zrealizowania. W okupowanej Polsce w restauracjach, stołówkach czy barach dobijano targów, podpisywano umowy, spotykano długo niewidzianych znajomych. Dla wielu były to często jedyne łączniki ze światem, pozwalające się wyrwać z samotności i bezradności.

Podczas drugiej wojny światowej szukanie wspólnoty stało u podstaw wielu decyzji o związaniu się z konspiracją. Niektórzy szli do podziemia, bo chcieli kontynuować w ten sposób rozpoczętą 1 września 1939 roku walkę o wolność, inni z zemsty za doznane krzywdy, ale dla części wiązało się to właśnie z chęcią przynależności do określonej grupy. Zarówno dla zbudowania poczucia bezpieczeństwa, jak i z chęci przeżycia przygody.

NARRACJA, TAK. ALE JAKA?

Zainteresowanie Polaków historią jest widoczne przy wielu okazjach. Jest również zrozumiałe. Doświadczenie dwóch totalitaryzmów, nigdy właściwie nie przepracowane, nieustannie dezorganizuje naszą przestrzeń, sprawiając, że spełniają się słowa Wainainy – „przekleństwo przeszłości polega na tym, że ona zawsze zaczyna się akurat teraz”. Historia nie służy nam rozumieniu, uwrażliwieniu, nie ma mocy budowania wspólnoty wokół czegoś. Zamiast tego jest narzędziem do tworzenia grup przeciwko czemuś albo komuś. Duży w tym udział wojennych opowieści, które służą nie edukacji, ale rozrywce i polityce.

Według George’a Mosse’a, niemiecko-amerykańskiego historyka kultury, wojna przybrała kształt obywatelskiej religii. Ma swoje rytuały, kapłanów, wiernych. Barbara Ehrenreich zauważa, że żadna poważna uroczystość państwowa nie może się odbyć bez udziału wojska. Nieważne, czy jest to zaprzysiężenie prezydenta, koronacja, pogrzeb czy obchody święta narodowego, niekoniecznie związanego z walką zbrojną – są na nich obecni żołnierze. Wojna posiada też własne miejsca święte, jak cmentarze i pomniki. Szczególnym przykładem tych ostatnich są groby nieznanego żołnierza pełniące funkcję ołtarzy z relikwiami świętych. A ze świętymi wiadomo, jak jest – mało kogo interesuje to, kim był, zanim został świętym, albo czy został nim z własnej woli.

To religijne podejście do wojny, przybierające niekiedy charakter fanatyzmu religijnego, widać przy wielu dyskusjach. Spory o Jedwabne czy obecność Polaków w Wehrmachcie nie mają nic wspólnego ze sporami historycznymi. Bliżej im do wojen religijnych. Nawet związana z nimi zasada „cuius regio, eius religio” (pol. czyja władza, tego religia) zdaje się być żywa. Wymaga tylko jednej poprawki – czyja władza, tego historia.

Od fascynacji wojną nie uciekniemy. Jak dowodzi w swojej pracy Ehrenreich, jest ona wpisana w naszą ewolucję od czasów prehistorycznych. Skoro więc musimy i chcemy o niej mówić, nauczmy się to robić tak, żeby sobie nie szkodzić. Nauczmy się ją rozumieć.

„Ta myśl może się wydać śmieszna, ale jedyny sposób walki z dżumą to uczciwość”, pisał w „Dżumie” Albert Camus. Tą uczciwością jest pokazywanie zjawisk takich jak wojna w całości. Nie tylko tego, co heroiczne, nie tylko martyrologii, która rzadko jest troską o pamięć o pomordowanych, a częściej elementem polityki, ale również tego, co trudne dla nas czy mało interesujące.

W obliczu wojny w Ukrainie, która dotyka nas już bezpośrednio, tylko taka postawa pozwoli nam obronić się przed dezinformacją i przed nastawianiem ludzi przeciwko sobie. Bo dzisiaj uczciwa opowieść o wojnie nie jest już jedynie kwestią naukowej rzetelności. Jej stawką coraz wyraźniej staje się ludzkie życie.

Hel, 24 sierpnia 2019 roku. Rekonstrukcja historyczna desantu wojsk alianckich na plaży Utah w Normandii podczas II wojny światowej
FOT. MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Maciej Zakościelny w roli żołnierza Armii Krajowej Bronka Woyciechowskiego na planie serialu „Czas honoru”
FOT. TVP/PAP/IRENEUSZ SOBIESZCZUK

Podczas okupacji około 25 procent mieszkańców składało się na „Warszawę heroiczną”, która była związana z podziemiem

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

weekend ówka

TRZYNASTEGO

Praca opiekuna na obozie letnim to nie są przelewki. Wystarczy wspomnieć niejakiego Gerarda Lestouffe'a, 17-letniego drużynowego „Sokolego Oka", który z zaszczytnej funkcji chciał zrezygnować już pierwszego dnia, zaraz po tym, jak po wyczerpującej podróży pociągiem dotarł wraz z młodymi podopiecznymi na kolonie „Niebieski Obóz" („Wakacje Mikołajka", Sempé i Goscinny).

Jeszcze bardziej pod górkę mieli Annie, Marcie, Brenda, Alice, Ned, Bill i Jack, czyli grupa nastolatków zatrudniona przez niejakiego Steve'a Christy'ego do pomocy przy ponownym otwarciu wakacyjnego obozu Camp Crystal Lake. Nie jest łatwo, nie tylko dlatego, że miejsce od ponad 20 lat nie było użytkowane. A to za sprawą powodu zamknięcia tego przybytku – w 1958 roku ktoś zamordował tu parę opiekunów.

Nasi bohaterowie też nie będą mieli szczęścia. Jeden po drugim padają ofiarą zabójcy, który wydaje się nie do powstrzymania i pozbawia ich życia na różne sposoby.

Perypetie nastolatków nad jeziorem Crystal są fabułą filmu „Piątek, trzynastego", który wyreżyserował i wyprodukował Sean S. Cunningham. Obraz, który początkowo został zjechany przez krytyków – że nudny, głupawy, że zrzynka z wcześniejszego o dwa lata „Halloween" Johna Carpentera, a jeden z recenzentów, by odwieść widzów od wizyty w kinie, spojlerował nawet zakończenie w recenzjach – okazał się kinowym przebojem.

Produkcja kosztowała jakieś pół miliona dolarów, a na całym świecie zarobiła blisko 60 milionów (prawie 40 milionów w samych Stanach Zjednoczonych). Grozę budziły krwawe efekty specjalne autorstwa Toma Saviniego oraz wywołująca dreszcze ścieżka dźwiękowa skomponowana przez Harry'ego Manfrediniego, który inspirował się m.in. Krzysztofem Pendereckim.

Nic dziwnego, że twórcy nie mogli porzucić kury złote jaja znoszącej, i powrócili z tematem już rok później, serwując widzom „Piątek, trzynastego II".

W trzeciej części filmu (1982 r.) oprawca, Jason Voorhees został wyposażony w maskę hokejową, która od tego momentu stanie się nieodłącznym atrybutem zabójcy i jednym z najpopularniejszych gadżetów kina grozy wszech czasów.

Tak się składa, że sławna saga slasherów (powstało w sumie 12 filmów) zapoczątkowana została dokładnie 9 maja 1980 roku, kiedy premierę kinową miała część pierwsza. Z tej okazji zapraszamy do „Weekendówki" o „trzynastkach". Trochę ich się zebrało! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

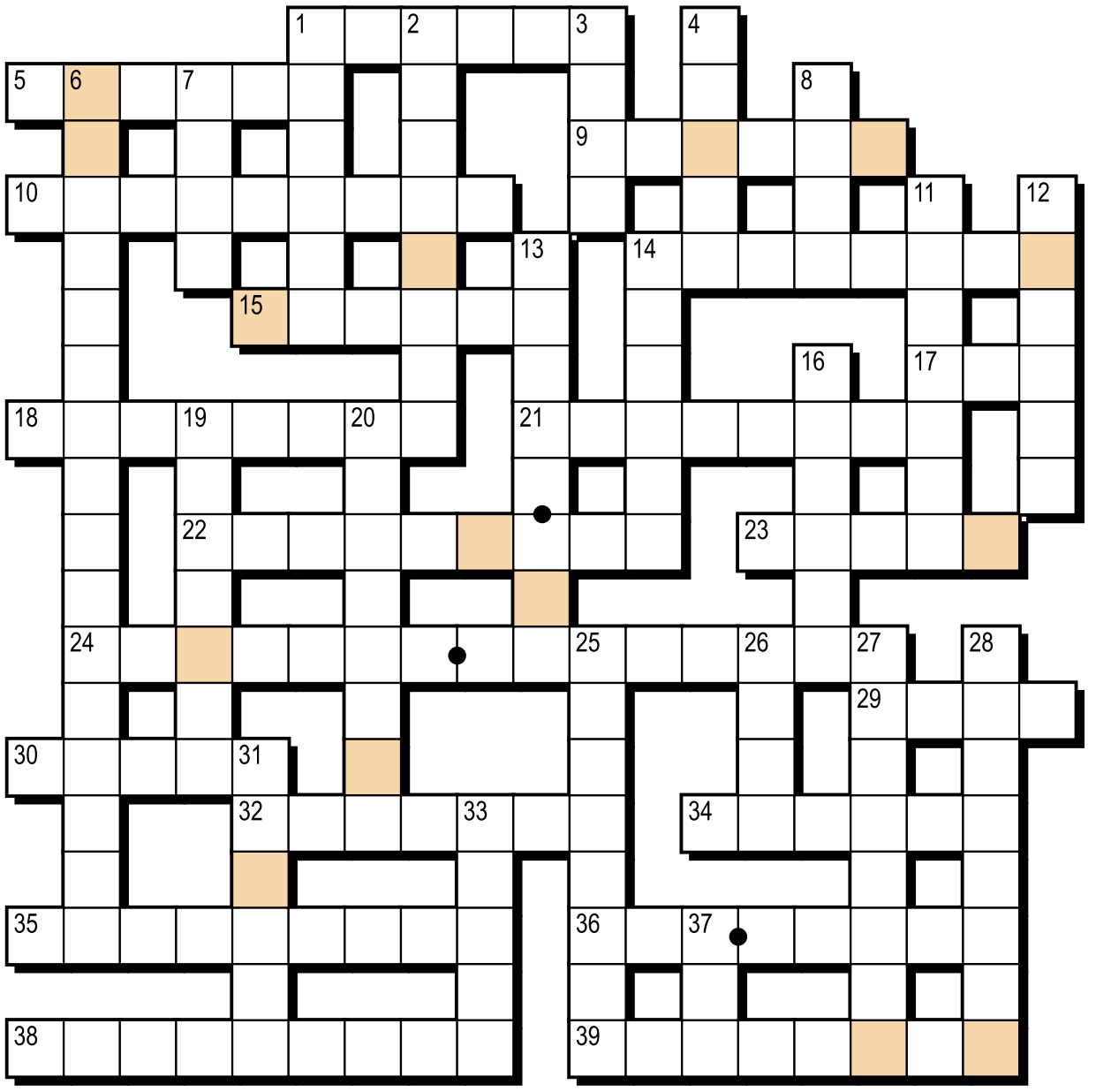

TRZYNASTKI
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.
Poziomo:
1) „Piątek trzynastego"
5) „... S-13", radiowa audycja
9) imię aktora oraz bohatera sitcomu „13 posterunek"
10) „Ostatnia ...", słynne malowidło przedstawiające 13 osób
14) fikcyjna kraina ze zbioru utworów Leszka Kołakowskiego „13 bajek z królestwa ... dla dużych i małych"
15) „13 przykazań" lub „Trzynaście powodów"
17) imię Howarda, reżysera filmów „Piękny umysł", „Kod da Vinci", „Trzynastu"
18) „Trzynastego" Niebiesko-Czarnych i Kasi Sobczyk
21) papież ... XIII, sprawował pontyfikat w XVI w.
22) trzynasta ..., dodatkowe świadczenie z ZUS-u
23) ojczyzna Lwa Tołstoja, ojca 13 dzieci
24) zagrał główną rolę w filmie „Trzynasty wojownik"
29) ... ostrzegawczy A-13 „ruchomy most"
30) ... trzynastoletnia (zakon krzyżacki kontra Korona Królestwa Polskiego)
32) trzynastka przynosi pecha
34) ... XIII, władca z powieści Prusa „Faraon"
35) „Trzynastego ... z głów poważnych zrywa wiatr"
36) w judaizmie: obrzęd przyjęcia chłopca do społeczności religijnej dorosłych w dniu 13 urodzin
38) Lake Placid – ... XIII zimowej olimpiady (1980 r.)
39) w tytule serialu komediowego, którego wiele scen kręcono w domu przy ul. Pokrętnej 13 w Nowej Iwicznej

Pionowo:
1) w niektórych nie udostępnia się gościom pokojów na 13 piętrze
2) trzynasta ... ślubu – koronkowa
3) muzyka zespołów Blur (album „13"), Black Sabbath („13")
4) Nikodem, który został Wielkim Trzynastym
6) chorobliwy lęk przed trzynastką
7) jeden z trzynastu w tytule filmu grozy Steve'a Becka
8) Ludwik XIII zwany Sprawiedliwym
11) imię Sapkowskiego, autora dwóch opowiadań w antologii „Trzynaście kotów"
12) ... Baker, bohaterka sfilmowanej powieści „Trzynaście powodów" (palindromowe imię)
13) z 13 pasami i 50 gwiazdami
14) 13
16) Wojciech, zagrał w serialu „Zmiennicy", w którym ważna jest taksówka o numerze bocznym 1313
19) Dave, autor książki „Trzynaście krzeseł"
20) wie, że pełen kolor (od dwójki do asa) to 13 sztuk; niejeden może też ugrać szlema (13 lew w brydżu)
25) gdy w kasie brakuje np. 13 zł; manko
26) jedna z rzek, nad którymi leży Jasło (numer kierunkowy 13)
27) miasto połączone z Niemcami drogą krajową 13
28) stolica, w której podczas II wojny światowej działała w getcie „Trzynastka" – urząd zwalczający spekulację (ul. Leszno 13)
31) „... 13", film z Tomem Hanksem w kosmosie
33) „Egzamin" Kabaretu Hrabi („Ja bym nie ten, że średniowiecz trzynasty")
37) np. Burbonowie, z których wywodził się Alfons XIII, król Hiszpanii

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 203 z 2.05: Poziomo: 8) Hermiona 10) wiadomości 11) czarodziej 12) dementor 13) teleportacja 14) tort 15) groza 16) dziecko 18) rywale 20) Czara Ognia 24) Malfoy 27) Vernon 28) Lestrange 30) życie 31) powieści 32) smoki 33) kawał 34) eliksir 35) świeczki. **Pionowo:** 1) mecz 2) Lord Voldemort 3) pamiętnik 4) mandragora 5) dormitoria 6) Komnata 7) sierota 9) morderca 10) wyjec 13) Tiara 17) dziennikarka 19) Weasleyowie 21) Zgredek 22) Ravenclaw 23) Ginny 25) Huncwoci 26) minister 29) Syriusz 31) pióro 33) krew. **Hasło:** Sami-Wiecie-Kto.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34426992

1 RP

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

18 / Psychologia
Pochwała nieposłuszeństwa

12 / USA
Oskarżyła Trumpa i wygrała

IKONA

Dama Tracey Emin

– tekst Izabelli Adamczewskiej

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 19 (1390) SOBOTA – CZWARTEK, 9-14 MAJA 2026

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Damą być

PAULINA REITER

Nie ekscytuję się tradycjami związanymi z monarchią, rodzinami królewskimi i tytułami. Na myśl o tym, że ktoś uważa się za arystokratę i tym epatuje, dostaję szyderczych spazmów. Nie podniecają mnie tytuły takie jak „sir" i „dama". A jednak niezmiernie ucieszyło mnie to, że brytyjska artystka Tracey Emin została uhonorowana przez króla Karola III tytułem i orderem Damy Komandor Orderu Imperium Brytyjskiego.

To odznaczenie dla Emin cieszy nie tylko dlatego, że artystka na nie ciężko zapracowała i dobrze widzieć, że jej wkład w kulturę Wielkiej Brytanii został zauważony, po tym, jak przez całe lata była ignorowana przez środowisko artystyczne i wyśmiewana przez prasę. I nie tylko dlatego, że fajnie, jak osobie z klasy robotniczej udaje się przebić w społeczeństwie, w którym dla „niższych sfer" zarezerwowane są inne scenariusze niż ten, by zostać profesorką Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych (jako jedna z dwóch kobiet w historii tej uczelni!). Cieszy mnie to również ze względu na tzw. złą reputację Damy Tracey, która otwarcie mówiła zawsze, że przespała się z każdym mężczyzną w Margate (jej rodzinnej miejscowości), a gdy ich już wszystkich „zaliczyła", pojechała do Londynu. A konkretnie cieszy mnie to, że jest to świadectwem tego, że nie uchodzi już kobiety próbować zawstydzać tym, jak wyglądało jej życie seksualne.

O Emin, najbardziej znanej współczesnej artystce brytyjskiej, pisze w tym numerze Izabella Adamczewska przy okazji jej wystawy „Second Life" w Tate Modern w Londynie. Tytuł wystawy – drugie życie – odnosi się do czasu, który Emin „wygrała" po diagnozie raka pęcherza moczowego w 2020 roku, po której była pewna, że umrze, i po operacji usunięcia pęcherza, macicy, jajowodów, jajników, węzłów chłonnych, części jelita grubego, cewki moczowej oraz części pochwy. Nie ujawniam tu żadnych sekretów – Emin, jak zawsze wcześniej, z doświadczeń swojego ciała i ze swojego cierpienia zrobiła sztukę. Na wystawie jest fotograficzna dokumentacja stomii (artystka nie ukrywa też, że torebkę stomijną z moczem miała przypiętą do nogi podczas ceremonii zostawania damą).

Wszystkie tematy, które podejmuje w swojej sztuce i literaturze (jest też znakomitą pisarką), wcześniej przeżyła – gwałt, podjęcie życia seksualnego w wieku 13 lat, dwukrotną aborcję, chorobę. Kiedyś słyszała, że jest spragniona uwagi, narcystyczna i ciągle mówi o sobie. Dziś rozmawiamy o tych wszystkich sprawach – napaściach seksualnych, prawach reprodukcyjnych, wstydzie.

Pierwszą osobą, która zadzwoniła do niej, gdy została damą, był sir Elton John – wspomina o tym w wywiadzie dla BBC, które wskazało ją jako jedną ze stu najważniejszych kobiet w Wielkiej Brytanii. „Sir Elton, przecież to brzmi jak oksymoron" – żartował. „Dame Tracey – it's just brilliant!" (Dama Tracey, to genialne!) śmiała się Emin.

Dałabym jej nawet koronę. ▲

Paulina Reiter – redaktorka prowadząca

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

■ **NA OKŁADCE: Anne Hathaway:** Dziś jest kimś zupełnie innym • **Katarzyna Zillmann:** Weszłam na nowy poziom ■ **TEMAT NUMERU:** • Zwierzęta. Jak je mądrze kochać ■ **POZA TYM:** • Agata Turkot: Nie jestem typem aktywistki • Premierki Irlandii Północnej • Dorota Sumińska z córką Martą Stachowiak • Lily Collins: Tato, wybaczam ci • Paulina Cudna: SOR dla dzikusów ■ **HERSTORIA:** Ruth Asawa, jedna z najbardziej innowacyjnych artystek XX wieku ■ **PSYCHOLOGIA:** • Prawo matki do życia po swojemu • Koniec miłości: Kiedy nie ma sensu walczyć o relację • Wirtualny seks: Proteza deficytu czy koło ratunkowe? ■ **ROZWÓJ:** Pułapki terapii • Destrukcyjny wpływ dysleksji

www.wysokieobcasy.pl **wysokieobcasy** **wysokieobcasy.pl** **listy@wysokieobcasy.pl**

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Paulina Reiter

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 3, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 19 (1390)
NA OKŁADCE:
TRACEY EMIN
FOT. JEFF SPICER/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

SKECHERS
HANDS FREE
Slip-ins
COZY FIT
NIGDY WIĘCEJ SCHYLANIA
MOŻNA PRAĆ W PRALCE
JOANNA KRUPA
Ciesz się Najmiększymi sneakersami w historii!
Otul swoje stopy niewymuszonym komfortem dzięki modelom Slip-ins™ z technologią Cozy Fit™.
WWW.SKECHERS.PL
TO JAK MAŁA PUCHOWA KURTKA DLA TWOICH STÓP
AMORTYZACJA CONTOUR FOAM™ DOPASOWUJE SIĘ DO KSZTAŁTU TWOJEJ STOPY
MOŻNA PRAĆ W PRALCE I SĄ TAK WYGODNE JAK TWOJE ULUBIONE SKARPETKI
cprasa.pl 9cb4c1b4e6

Drugie życie *Tracey Emin*

Pochowała matkę, pokonała raka, wróciła do Margate i malarstwa. Operację, jak wszystko, co cielesne, przerobiła na sztukę

Tracey Emin na wystawie „Second Life" w Tate Modern w Londynie ze swoją najsłynniejszą instalacją „My Bed" (moje łóżko)

FOT. SONAL BAKRANIA (2); TRACEY EMIN (3); ANTONIA REEVE; YILI LIU

eprasa.pl 9cb4c1b4e

TRACEY EMIN

brytyjska artystka wizualna, pisarka. Jedna z najbardziej znanych przedstawicielek grupy Young British Artists z lat 90. XX wieku. Nominowana do Turner Prize w 1999 r. za instalację „My Bed" (na zdjęciu). W Tate Modern trwa właśnie jej wystawa retrospektywna

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

TEKST **IZABELLA ADAMCZEWSKA**

O

O co ludzie pytają Google'a? Z iloma mężczyznami Emin spała (wrócimy do tego wątku), czy przyjaźni się z Madonną (tak), na co była chora (na raka pęcherza) i czego najbardziej żałuje (w lutym, przed otwarciem wystawy w Tate, mówiła „Guardianowi", że palenia i pakowania się w kłopoty – a dokładnie „taking up a wrong hole", co może oznaczać również seks analny).

ZARDZEWIAŁY DREAMLAND

Półtorej godziny w pociągu z londyńskiej stacji St. Pancras – i jesteśmy w nadmorskim kurorcie. W 1786 r. Margate – wtedy jeszcze rybacką wioskę – po raz pierwszy odwiedził JMW Turner, przyszły „malarz żywiołów". Jedenastolatek zatrzymał się u wuja, który handlował rybami. Tabliczka upamiętnia dziś miejsce, w którym chodził do szkoły. Białe klify musiały zapaść przyszłemu pejzażyście w pamięć – już jako ceniony twórca często przyjeżdżał do Margate po natchnienie. Mawiał, że niebo nad dystryktem Thanet jest najpiękniejsze w Europie.

Dzisiaj to enklawa hipsterów. Można się przejść po molo, pomoczyć w basenach pływowych, zwiedzić Muzeum Krabów i Grotę Muszli. A jeszcze w latach 90. Margate straszyło zardzewiałym parkiem rozrywki Dreamland. Renesans zawdzięcza otwarciu w 2011 r. galerii Turner Contemporary. W zaprojektowanym przez Davida Chipperfielda, zwróconym ku morzu minimalistycznym budynku zorganizowano już 72 wystawy, m.in., dwa lata temu, o pionierkach sztuki abstrakcyjnej. Od 2019 r. to tu wręczana jest słynna Nagroda Turnera.

Tu, w Margate, szumną młodość spędziła Tracey Emin. Tu dzisiaj mieszka i tworzy przestrzeń do działania dla młodych artystów. Kiedy w 2020 r. w Turner Contemporary prezentowano nowy banknot w wizerunkiem Turnera, Emin powiedziała: „Gdybym mogła tu przychodzić jako młoda dziewczyna i kontemplować sztukę, moje nastoletnie życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Może nie odniosłabym takiego sukcesu, ale byłoby zupełnie inaczej".

BRĄZOWY TYŁEK

Emin urodziła się w lipcu 1963 r. w Londynie, jako córka Brytyjki Pam Cashin oraz Turka o cypryjskich korzeniach, Envera Emina. „Mama i tata byli po ślubie, ale nie ze sobą" – napisała w autobiograficznej książce „Strangeland". „Mama miała dwadzieścia jeden lat, kiedy urodziła mojego starszego brata, Alana i zawsze powtarzała, że ból jest niewyobrażalny, a każda kobieta, która mówi inaczej, kłamie. Kiedy zaszła w ciążę z moim ojcem, zapisała się do kliniki aborcyjnej, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Ten dziki Turek, który podbił londyński rynek nieruchomości i oczarował ją, przedstawił ofertę: trzy dni w tygodniu albo nic. Mama zmieniła nazwisko z Cashin na Emin i zadowoliła się trzema dniami w tygodniu, wiedząc, że on nigdy nie rozwiedzie się z żoną. Później, po jego bankructwie i serii finansowych katastrof, została z niczym".

Kiedy Tracey i jej brat bliźniak Paul skończyli sześć lat, rodzina przeniosła się z Londynu do Margate. W latach 70. było tam tłoczno. Ludzie w czapeczkach z napisem „Kiss Me Quick" jedli na plaży węgorze w galarecie. Enver Emin prowadził tu Hotel International – w „Strangeland" Emin opisuje to miejsce jako sześć połączonych ze sobą pensjonatów, zawsze pełnych gości i personelu oraz muzyki (tańczono do szafy grającej): „Byliśmy bogaci i rozpieszczeni, mówiliśmy trzema językami: angielskim, tureckim i oczywiście naszym własnym".

Emin zawsze miała bliskie relacje z ojcem. Odkąd, już po spektakularnej finansowej klapie, wrócił na Cypr, często go odwiedzała; w Tate można obejrzeć film „Emin & Emin" (1996), w którym wspólnie kąpią się w morzu (ojciec z piwnym brzuszkiem i w pokaźnych białych majtkach). Kiedy w 2011 r. Emin miała dużą wystawę w londyńskiej Hayward Gallery, wisiał tam plakat, na którym biegnie nago ulicą, ciągnąc za sobą flagę brytyjską. „Zadzwonił do mnie ktoś z partii UKIP [nieistniejąca już konserwatywna Partia Niepodległości Zjednoczonego Królestwa, odegrała kluczową rolę w wyprowadzeniu Wielkiej Brytanii z UE – red.] i powiedział: »Widzieliśmy twój plakat z flagą, bardzo chcemy się z tobą spotkać«" – opowiadała „Guardianowi". „A ja na to: »Tak, oczywiście nie zauważyłeś, jaki mam brązowy tyłek, prawda?«. I po prostu odłożyłam słuchawkę". W wywiadzie dodała: „Mój tata przyjechał tu w 1948 roku z Cypru i ma bardzo ciemną skórę. Mój pradziadek pochodził z Nubii [współczesny Sudan]. Rodzina mojej matki to Romowie. Więc jeśli o mnie chodzi, jestem najwspanialszą Brytyjką, jaką tylko można sobie wyobrazić".

ZDZIRA, ZDZIRA!

Kiedy miała trzynaście lat, Emin straciła przednie zęby i została zgwałcona. W „Strangeland" wspomina sylwestrową noc spędzoną w dyskotece Top Spot w Margate i samotny powrót przed północą, kiedy zaczepił ją jakiś mężczyzna. „Pociągnął mnie w dół alejki i powalił na ziemię. Kiedy leżałam na plecach, martwiąc się o nowy niebieski płaszcz, wsunął palce między moje nogi – i wbił się we mnie. Płakałam. Leżałam nieruchomo, jak mały trup. Stęknął i wiedziałam, że to koniec. Wstał, a ja leżałam na ziemi, z rajstopami opuszczonymi wokół kostek. Zegar wybijał dwunastą. Odchodząc, odwrócił się i powiedział: »Zawsze chciałem ci to zrobić. Podobają mi się twoje usta«".

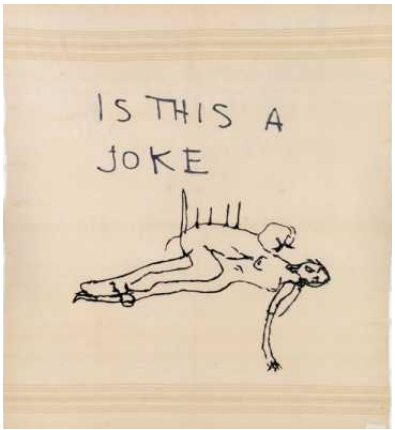

Tracey Emin, „Is This a Joke", 2009

Elvis Presley już nie żył, królowa Elżbieta obchodziła srebrny jubileusz, a Emin pracowała z koleżanką w Garden Café w wesołym miasteczku Dreamland. W Tate można oglądać instalację z 2005 r. przedstawiającą

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Tracey Emin, „I am The Last of my Kind", 2019, na wystawie „Second Life" w Tate Modern

drewnianą kolejkę górską. Emin zatytułowała ją „It's not the way I want to die" („Nie chcę umierać w ten sposób"). W 2007 r. zrobiła neon „I could have loved my innocence" („Mogłam kochać moją niewinność").

Młodość w Margate Emin podsumowała w 1995 r., filmem „Why I never became a dancer" („Dlaczego nie zostałam tancerką"). Opowiada, jak urywała się ze szkoły, przesiadywała w kawiarniach, chodziła na dyskoteki w porze lunchu i piła cydr na plaży. A także uprawiała seks: „na plaży, w alejkach, na skwerach, w parkach. Nawet w hotelach. Nie miało znaczenia, jak bardzo byłam młoda – miałam trzynaście, czternaście lat. Nie miało znaczenia, ile lat mieli oni – dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać ich, co ich we mnie pociąga" – mówi w filmie Emin (tekst przedrukowała w „Strangeland" jako wiersz). „Pamiętam, jak pierwszy raz ktoś poprosił mnie, żebym złapała go za jaja, pamiętam, jaką mi to dawało władzę. Ale nie zawsze tak było. Czasami po prostu dochodzili i zostawiali mnie tam, gdzie byłam – półnagą. Nie było żadnych zasad moralnych, reguł ani osądów. Robiłam, co chciałam. Zanim skończyłam piętnaście lat, miałam ich wszystkich, a Margate stało się dla mnie za małe".

Emin odkryła, jaką przyjemność daje jej taniec. W 1978 r., jako piętnastolatka, wzięła udział w mistrzostwach British Disco Dance. Kiedy była na parkiecie, chłopcy z widowni zaczęli skandować: „Zdzira, zdzira". Z wieloma z nich spała. Wybiegła zapłakana. Film kończy ekstatyczny taniec do dyskotekowego hitu Mighty Real, „You Make Me Feel". „Wayne, Freddy, Tony, Doug, Richard – ten taniec jest dla was" – mówi Emin.

PŁÓD NA UDZIE

Zostawiła pachnące rybą i frytkami Margate za sobą. Wróciła do Londynu. W 1982 r. poznała muzyka i poetę Billy'ego Childisha. „Nasz przyjaciel Arthur urządził przyjęcie" – opowiadała. „Kiedy pojawił się Billy, schowałam się pod stołem. Wyciągnął mnie za nogę i zapytał o imię. Myślał, że powiedziałam Dolli. Odtąd Billy zawsze nazywał mnie Dolli". Romans trwał do momentu, w którym z pamiętnika partnera Emin dowiedziała się, że w międzyczasie ożenił się on z inną dziewczyną – podobno żeby dostać mieszkanie komunalne w Brixton. Nie widzieli się przez czternaście lat. Kiedy wreszcie się spotkali, Emin powiedziała do Childisha: „Och, masz całkiem duże wąsy". A on odparł: „Nie tak duże jak twoje".

Emin już wtedy studiowała. W 1987 r. przeniosła się z Maidstone Collage (tę uczelnię nazwie potem „wylęgarnią aktywizmu politycznego") do Royal Collage of Art. W 1990 r. zaszła w ciążę, którą usunęła. Wspomnienie aborcji to jeden z najdotkliwszych fragmentów jej autobiografii. W „Strangeland" opisuje, jak po pięciu dniach od zabiegu postanowiła w bólach wrócić do szpitala. Przyjaciółka wezwała jej taksówkę. „Kiedy do niej wsiadałam, poczułam, że coś się ze mnie wyślizguje. Złapałam to i przytrzymałam. W londyńskim korku, w letnim upale tuliłam płód – moje martwe dziecko – trzyma-

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

„W drugim życiu zrobiłam przez pięć lat więcej prac, niż przez całe życie wcześniej" - mówi Emin. Na zdjęciu: „The End of Love", 2024

jąc je przy udzie". Ginekolog nie zauważył, że ciąża była bliźniacza. Emin dopisuje do wspomnienia postscriptum: „Pięć lat później – nadal boli. Ale wiem, że postąpiłam słusznie".

W 1992 r. miała kolejny zabieg. Ale wtedy poznała już Sarah Lucas (to ta od „Autoportretu z sadzonymi jajkami") oraz innych artystów z kręgu Goldsmith College. Wszystko miało się zmienić.

COOL BRITANNIA

Młodość w Londynie lat dziewięćdziesiątych – to było coś! Gregor Muir, współpracownik magazynu „Frieze", kurator i przyjaciel młodych brytyjskich artystów, opisuje losy buńczucznych prowokatorów w świetnej książce „Lucky kunst. Rozkwit i upadek Young British Art" (w Polsce wydał ją Karakter w serii Mówi Muzeum). Skończyła się epoka Margaret Thatcher, Jay Jopling (potem został agentem Emin) otworzył galerię White Cube, Wielka Brytania wreszcie była cool. „Całe miasto mówiło o niepościelonym łóżku, Saatchi nabył okazyjnie głowę ulepioną z zamrożonej krwi, a mały metalowy obrazek został wystrzelony w przestrzeń kosmiczną na pokładzie sondy marsjańskiej, gdzie wirował przy akompaniamencie britpopu" – podsumowuje złote lata Muir.

Britpop to oczywiście Blur. Na pokładzie sondy poszybowała w kosmos praca Marca Quinna. Głowę zrobił Damien Hirst. A łóżko?

Najbardziej znane dzieło Emin: barłóg. Skotłowana pościel, na której leżą skręcone w węzeł, najwyraźniej zdjęte w pośpiechu rajstopy. Na granatowym dywaniku popielniczka pełna petów, puste paczki po papierosach, opakowania po tamponach, zużyte chusteczki, butelki po wódce. Przydeptane kapcie, pluszowy piesek, test ciążowy, polaroidowe zdjęcia. Totalny bałagan, życie w depresji. W nagraniu dla BBC Emin skojarzyła swoją pracę z wizerunkami buduarów. Wtedy się z niej śmiano, dziś lepiej rozumiemy tę instalację.

W 1999 r., kiedy dokument czterodniowego załamania nerwowego po raz pierwszy pokazano w Tate (łóżko było nominowane do Nagrody Turnera), chińscy performerzy Cai Yuan i Jian Jun Xi pobili się na nim na poduszki i upili wódki ze stojącej na podłodze butelki. Akcję nazwali „Two Naked Men Jump into Tracey's Bed" – „Dwóch nagich mężczyzn wskakujących na łóżko Tracey" – na wyrost, bo mieli na sobie spodnie. [Znamy takie dziaderskie numery – kiedy Maria Pinińska-Bereś robiła „Pranie II" na plenerze w Osiekach, dzielni chłopcy z grupy Łódź Kaliska dorzucili jej do balii swoje kalesony].

SHE'S A KEBAB

Emin była już wtedy rozpoznawalną artystką. Z Sarah Lucas na londyńskiej Brick Lane (East End) prowadziła galerię „The Shop" – na kaloryferze wisiała ośmiornica z wypchanych czarnych rajstop, stał druciany ołtarzyk ku czci Hockneya (zatytułowany „Nasz David"), wszędzie walały się robione przez Lucas penisy z puszek po piwie. Można było kupić popielniczki, w których pety gasiło się na młodziutkiej twa-

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

rzy Damiena Hirsta, i koszulki z napisami „Have you wanked over me yet?", „She's kebab" albo „Complete arsehole".

Z czasów The Shop (1992-1993) Gregor Muir zapamiętał Emin tak: „Paradowała w białych podkolanówkach oraz krótkiej spódniczce i wydała mi się totalnie zbzikowana. Taniec polegał według niej na podskakiwaniu w miejscu i trzaskaniu obcasami o deski podłogi. Zachęcała entuzjastycznymi okrzykami do przyłączenia się do niej, ale efekt był wprost przeciwny. Emin przypominała mi nieco Sandrę Bernhard, amerykańską aktorkę komediową, gwiazdę filmu Martina Scorsese „Król komedii". Z oddali wydawała się bardzo kobieca i urocza, ale mówiła z rodzajem cockneyowskiego akcentu, który sprawiał, że odbierano ją jako kogoś groźnego, trochę punkowego. Ze szlugiem w ustach robiła wrażenie rozrabiaki, z którym nie ma żartów".

Na słynnym zdjęciu Carla Freedmana (reprodukowanym np. w „Historii sztuki bez mężczyzn" Katy Hessel) Emin i Lucas stoją w drzwiach „Sklepu" – w dżinsowych outfitach, z kapelusikami i w okularach przeciwsłonecznych. Pełen luz.

WSZYSCY, Z KTÓRYMI SPAŁAM

W 1995 r. na wystawie Minky Manky w South London Gallery pokazała równie słynną pracę „Everyone I Have Ever Slept With 1963–1995" („Wszyscy, z którymi spałam"). W nylonowym namiocie wyszyła nazwiska 102 osób, z którymi dzieliła łóżko – niekoniecznie w sensie seksualnym (wspomniała o matce, bliźniaku Paulu i nienarodzonych dzieciach). Pisarka Jeanette Winterson pisała o tej pracy tak: „łączy rozkosze dzieciństwa (wpełzasz i kładziesz się na plecach), biwakowania (wpełzasz i kładziesz się na plecach), stosunku (no dobra, nie musisz leżeć na plecach) i kultury (jeśli nie rozumiesz, po prostu wpełznij i połóż się na plecach). To sporo jak na nylonowe igloo".

Namiot można było oglądać również w prywatnej galerii Tracey Emin Museum, którą artystka prowadziła przez trzy lata przy Waterloo Road. Instalację kupił Charles Saatchi. Poszła z dymem w maju 2004 r. – spłonął magazyn firmy Momart, która przewoziła i konserwowała dzieła sztuki. Muir uznał ten pożar za symboliczny koniec YBA.

DRUGIE ŻYCIE

Obraz jest szkicowy. Na łóżku, w pozie pełnej cierpienia, leży kobieta. To jedyny czerwony akcent, pozostałe elementy płótna są czarno-białe. W prawym rogu stoi namazana czernią postać, jakby duch. Tytuł: „I watched Myself die and come alive" (2023).

W czerwcu 2020 r. Emin odebrała diagnozę: płaskonabłonkowy rak pęcherza moczowego. Na tę chorobę zmarła w 2016 r. jej matka (artystka namaluje obraz, na którym niesie urnę z prochami. Nazwie go „I was too young to be carrying your Ashes"). Operacja trwała ponad siedem godzin. Usunięto: macicę, jajniki, węzły chłonne, cewkę moczową, fragment jelita

OGŁOSZENIE

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Tracey Emin, „Mad Tracey from Margate. Everyone's been there", 1997; Po prawej kadr z wideo „Why I Never Became a Dancer" (1995)

grubego i cały pęcherz. W wywiadach Emin będzie je wymieniała bez emocji, jakby recytowała listę zakupów.

„Krew, gówno, tabletki – to naprawdę może cię wykończyć, bo zupełnie odbiera ci wolność" – opowiadała Emin Charlotte Higgins z „Guardiana". „Nie da się improwizować. Nic nie może być spontaniczne. Kiedy wyjeżdżam, połowa mojej walizki jest pełna leków".

W 2023 r. dziennik „Independent" zamówił u Emin tekst z okazji Dnia Kobiet. W swoim stylu napisała o ciele – własnym: „Zazwyczaj mam około minuty, zanim mocz zacznie wypływać ze stomii. Czasami to tylko mżawka, a innym razem zupełnie wymyka się spod kontroli. To jak rosyjska ruletka – muszę się osuszyć, zanim założę nowy worek. Już się przyzwyczaiłam, ale na początku byłam zapłakana i zdezorientowana – trudno pogodzić się z nową dziurą w ciele. Worki ciągle przeciekały [...]. Wspaniały był moment, w którym torebka wypadła mi z rąk w butiku Chanel na Bond Street: tsunami moczu spływało po moim ciele i rozpryskiwało się na pokrytej dywanem w kolorze szampana podłodze".

Pracownicy sklepu przysłali potem Emin bukiet kwiatów.

Operację, jak wszystko, co cielesne, przerobiła na sztukę. Polaroidowe autoportrety Emin z młodości skonfrontowane są w Tate Modern ze zdjęciami okaleczonego ciała, które zaczęło „drugie życie".

Kiedy w 2024 r. w czarnym garniturze i nobliwym kapeluszu odbierała w Pałacu Buckingham medal Damy, przykleiła worek z moczem do nogi. „Nie chciałam robić sobie zdjęcia z królem, trzymając go w dłoni" – opowie.

Po operacji rzuciła palenie (dochodziła do 50 papierosów dziennie), od sześciu lat nie pije. A z tym różnie bywało. Słynne było zwłaszcza nagranie z ceremonii przyznania Nagrody Turnera Gillian Wearing – na żywo, w Channel 4. Emin, ze złamanym palcem i – jak mówiła potem – pod wpływem tabletek przeciwbólowych, bełkotała i przeklinała. Prasa pisała wtedy złośliwie (był rok 1997), że to największy wkład Emin w brytyjską sztukę.

Po ceremonii przyznania tytułu w 2024 r. BBC zapytało Emin, co myśli o swojej przemianie: od buntowniczej artystki w damę. „Kiedy byłam młodsza, uważano, że przesadzam, ale dzisiaj ludzie rozumieją, że tematy moich prac – problemy kobiet, seks nastolatków, gwałty i nadużycia – były ważne" – powiedziała. A tytuł damy? „Wzmacnia mój głos, żebym mogła robić rzeczy, które uważam za ważne".

EGZORCYZMY

Drugie życie Emin to powrót do malarstwa. Zaczęło się w 2007 r., kiedy reprezentowała Wielką Brytanię na weneckim biennale. Na wystawę „Borrowed Light" w Pawilonie Brytyjskim składały się haft, rysunki, neony, ale też obrazy olejne i akwarele. Głównym impulsem była jednak śmierć matki. „Lata temu malowanie wydawało mi się strasznie trudne. W 2016 r., kiedy umarła moja matka, postanowiłam uczynić je nie tak trudnym.

Emin porzuciła malarstwo w 1990 r. – po doświadczeniu aborcji. Zniszczyła wszystkie płótna, które powstały w trakcie studiów. Wystawę w Tate Modern otwiera ściana pełna małych fotografii, na których uwieczniono unicestwione obrazy. To było – pisze Emin – „emocjonalne samobójstwo": „po pierwszej aborcji [...] uświadomiłam sobie, że moja dotychczasowa sztuka to kupa gówna [...]. Obiecałam sobie, że nie będę tworzyć, dopóki nie będę w mogła uzasadnić tego swoim życiem".

Dalej rysowała i robiła monotypie, ale traktowała je jak wizualny dziennik.

Sześć lat później zamknęła się na trzy i pół tygodnia (od okresu do okresu) w sztokholmskiej galerii Andreasa Bränd-

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

ströma, próbując na powrót ułożyć się z tym medium. Inspirowała się pracami Egona Schielego, Yvesa Kleina, Edvarda Muncha i Pabla Picassa – to nie był przypadkowy wybór; Emin występowała tu w roli artystki, a nie modelki czy muzy (tę podejmie w serii zdjęć „The Life Model Goes Mad"). Zwiedzający mogli oglądać ją – pracującą nago, jak w peep-show – przez szesnaście soczewek, „rybich oczu" zamocowanych w ścianie. Kiedy w 2015 r. wystawiono „Exorcism" na sprzedaż, „Guardian" wyliczał, że na kolekcję składa się 12 dużych obrazów akrylowych na płótnie i 79 prac na papierze, ale też łóżko, na którym artystka spała w trakcie działania, radio, gazety i czasopisma oraz płyty CD: Beach Boys, The Clash, Pulp, Van Morrison i Leftfield.

Po operacji Emin nie mogła malować przez rok. Jej najnowsze prace malarskie pokazują ciało po przejściach.

„Kiedy słyszysz, że zostało ci sześć miesięcy życia, myślisz sobie: O mój Boże, co ja narobiłam? A jeśli padnę trupem i zostanę zapamiętana jako przeciętna przedstawicielka YBA z lat 90.?" – mówiła Susan May, dyrektorce artystycznej White Cube, przed otwarciem wystawy w White Cube Bermondsey.

Często portretuje koty; w Margate mieszka z dwoma, mają na imiona Teacup i Pancake. W dziesiątej sali wystawy „Second Life" wisi „The End of Love" – jedno z najnowszych płócien Emin w kolekcji Tate. I znów, jest na nim łóżko, tak istotne w twórczości artystki. Siedzący na meblu czarny kot spogląda ze współczuciem na zakopaną w pościeli osobę, która zapewne ma złamane serce.

Emin nie byłaby sobą, gdyby nie utrwaliła życia ze stomią. O rytuale wymiany worka opowiada film „Tears of Blood" z 2024 r. Jej rzeźby z brązu – „Ascension" czy „I Followed you to the End" – przypominają złamaną formą prace Aliny Szapocznikow.

Odkąd wróciła do Margate, Emin pomaga młodym artystom. Uruchomiła dla nich cykl rezydencji TEAR (Tracey Emin Artist Residency). Jakby chciała spłacić dług. Jej prace mają w kolekcjach Elton John, Naomi Campbell i Orlando Bloom, przyjaźniła się z Davidem Bowiem i Georgem Michaelem.

ŚLUB Z SAMĄ SOBĄ

Opublikowany w „Independent" tekst „How Does it Feel To Be a Woman?" Emin kończy wizją „małżeństwa z samą sobą". „Kiedy zaprzyjaźniłam się z Vivienne [Westwood – red.], fantazjowała o tym, że wyjdę za mąż za siebie. Mówiła: „Wyobrażam sobie, jak sama idziesz do ołtarza, niczym młoda królowa Elżbieta I". Uszyła mi piękną suknię ślubną. Ostatnio prezentowała ją jej wnuczka, Cora Corre. Mam prawie 60 lat, w ciągu ostatnich trzech lat osiągnęłam więcej niż przez całe moje życie. Jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek, pomimo całego tego piekła i niepełnosprawności. Rak sprawił, że o wiele bardziej lubię siebie i tak – teraz naprawdę chciałabym poślubić kogoś takiego jak ja". ▲

W londyńskim muzeum Tate Modern do końca sierpnia trwa wystawa „Tracey Emin: A Second Life".

OGŁOSZENIE

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Zapytaj E. Jean

Jej relacja z Donaldem Trumpem do pewnego momentu była zabawna. Flirtowała z nim, prowokowała. Ale czy to daje prawo do molestowania?

TEKST **DOMINIKA WANTUCH**

Uszczęśliwianie mężczyzn to zły ruch". „Przestań myśleć tylko o swoim wyglądzie. To, jak wyglądamy, jest ważne, jesteśmy przez to oceniane. Ale nie poświęcaj na to życia". „Wasze życie nie kręci się wokół facetów". „Skacz, biegaj, pływaj, czytaj klasyki literatury, zamiast oglądać telewizję. Kobiety muszą czytać!". „Miej dystans do siebie. Nie traktuj siebie tak poważnie. I nigdy nie traktuj swojego chłopaka poważniej niż siebie". „Chciałabyś to zrobić, ale nie masz odwagi? I tak zrób to. Działaj, idź przed siebie, walcz".

Przez niemal dwie dekady E. Jean Carroll powtarzała kobietom te zdania w swojej rubryce „Ask E. Jean" na łamach magazynu Elle. Kobiety pisały do niej o zdradach, upokorzeniach, swoich wątpliwościach, relacjach, niespełnionych ambicjach, rozczarowaniach i marzeniach. A ona odpowiadała bez sentymentów, czasami ostro, czasami z humorem i ironią, ale zawsze szczerze.

W kulturze amerykańskich poradników przełomu lat 80. i 90. była nową jakością. Nie terapeutką, nie guru, lecz kimś pomiędzy, cyniczną starszą siostrą, a mocno stąpająco po ziemi przyjaciółką. W jednym z odcinków programu stacji NBC, który prowadziła w połowie lat 90., gościła młodą kobietę. Ta opowiadała: „Zajmuję się dziećmi, zawożę je do szkoły, gotuję, sprzątam i tyle. Moje życie jest nudne, pozbawione sensu, chciałabym coś więcej, zrobić coś dla siebie" – żaliła się kobieta. A E. Jean nie pocieszała. Kazała jej iść na studia, przekonując, że wykształcenie daje kobietom niezależność, że ich życie nie może kręcić się wokół męża, domu i dzieci.

Jej bezkompromisowość, odwaga wyrażania poglądów, poczucie humoru i szczerość wzbudzały podziw, a jej ekscentryczność, otwartość i bezpośredniość burzyły mury między nią a kobietami. Udzielała rad, wspierała, motywowała, dodawała siły. W mediach prezentowała się jako silna i nieposkromiona.

Jak to więc możliwe, że taka kobieta padła ofiarą napaści seksualnej? Jak do tego doszło? – pytały amerykańskie media w 2019 roku, gdy 75-letnia wówczas E. Jean Carroll wyznała, że w połowie lat 90. została zgwałcona przez Donalda Trumpa. Dlaczego przez 20 lat milczała? Jak to się stało, że przez całą swoją karierę wspierała kobiety, a przez tyle lat nikt nie pomógł jej?

NIE W MOIM TYPIE

Na te pytania szuka odpowiedzi Ivy Meeropol, reżyserka, wnuczka Ethel i Juliusa Rosenbergów, jedynych Amerykanów skazanych po II wojnie światowej na śmierć za szpiegostwo na rzecz Związku Radzieckiego. Zostali straceni na krześle elektrycznym w 1953 roku, a do skazania małżeństwa, mimo braku jednoznacznych dowodów przemawiających za winą Ethel, przyczynił się przyjaciel i mentor Donalda Trumpa, prawnik Roy Cohn. To on przekazał mu rady, którymi amerykański prezydent kieruje się do dziś: „Atakuj, nigdy się nie przyznawaj, nigdy nie przepraszaj". W 2004 r. Ivy Meeropol nakręciła film o swoich dziadkach „Heir to an Execution" („Dziedziczka egzekucji"), a w 2019 r. wyreżyserowała film o „najgorszym człowieku na świecie", jak mawiano o Royu Cohnie, zatytułowany „Bully. Coward. Victim. The Story of Roy Cohn" („Drań. Tchórz. Ofiara. Historia Roya Cohna"). W 2025 r. nakręciła film „Ask E. Jean". – Nie zdawałam sobie sprawy, że film o E. Jean Carroll domyka pewną trylogię, że stanowi pewne kontinuum od historii moich dziadków, przez Roya Cohna, aż po E. Jean. Ale teraz widzę, że łączy je wspólny temat. To opowieści o władzy i jej niszczącej sile – mówi „Wysokim Obcasom" Ivy Meeropol.

Jej 91-minutowy dokument zaczyna scena, w której E. Jean Carroll wkracza do sądu na proces przeciwko Donaldowi Trumpowi. W 2019 r. na łamach magazynu „New York" dziennikarka po raz pierwszy opowiedziała, że na przełomie 1995 i 1996 r. Donald Trump, wówczas biznesmen i popularny bywalec nowojorskich salonów, zgwałcił ją w przymierzalni ekskluzywnego sklepu odzieżowego Bergdorf Goodman, który mieści się na Manhattanie w Nowym Jorku. Trump poprosił ją wtedy o pomoc w wyborze prezentu dla innej kobiety, a po obejrzeniu kilku przedmiotów zaprowadził ją do przymierzalni. Napaść trwała „mniej niż trzy minuty" – mówiła wtedy Carroll, która opisała szczegóły napaści w wydanej kilka tygodni później książce „What Do We Need Men For?: A Modest Proposal". „Wciąż mając na sobie pełen biznesowy strój: koszulę, krawat, marynarkę, płaszcz, rozchylił płaszcz, rozpiął spodnie i wpychając palce w moje okolice intymne, wepchnął we mnie swojego penisa w połowie albo w całości, nie jestem pewna" – pisała E. Jean w swojej książce.

Po publikacji książki Donald Trump zaczął festiwal zaprzeczeń. Nazwał E. Jean Carroll hochsztaplerką i kłamczuchą, której jedynym celem jest podbicie sprzedaży jej książki, która jego zdaniem „powinna znaleźć się w dziale fikcji", a jej zarzuty nazywał przekrętem. Twierdził też, że nigdy się nie spotkali, mimo że dziennikarze bardzo szybko odnaleźli ich wspólne zdjęcie, które zrobiono około 1987 r. podczas imprezy zorganizowanej przez stację NBC. Przekonywał też, że niemożliwe jest, żeby doszło do opisanej przez nią napaści, bo Carroll „nie jest w jego typie".

– Pamiętam, gdy usłyszałam te słowa. To było dla mnie wstrząsające i przerażające w swojej logice. Bo jeśli ktoś mówi: „Nie zrobiłbym tego, bo to nie mój typ", to tak naprawdę sugeruje coś odwrotnego. Że gdyby była w jego typie, to czułby się upoważniony do tego, że może ją molestować. To by było dla niego naturalne – mówi Meeropol. Gdy spotykamy się na Zoomie, pierwsze co mi pokazuje, to bluza z hasłem „not my type" (nie mój typ), którą ma na sobie.

Ale sama E. Jean Carroll wielokrotnie powtarzała, że nie tylko te słowa przesądziły o tym, że zdecydowała się go pozwać, lecz to, że zarzucił jej kłamstwo. „Całą swo-

FOT. STEPHANIE KEITH/GETTY IMAGES; ALEX KENT/GETTY IMAGES; MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Dziennikarka E. Jean Carroll oskrażyła Donalda Trumpa o gwałt. Sąd skazał go za molestowanie i napaść seksualną

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Protestujący zbierają się przed sądem Thurgood Marshall 6 września 2024 roku w Nowym Jorku. Obie strony pojawiają się dziś w sądzie, gdy prawnicy Trumpa walczą o unieważnienie orzeczenia ławy przysięgłych, że seksualnie wykorzystał E. Jean Carroll

ją karierę zbudowałam na wiarygodności, cała moja reputacja opiera się na szczerości i prawdzie, a on nazwał mnie kłamczuchą. Nie mogłam przejść obok tego obojętnie" – mówi w filmie E. Jean Carroll.

W 2019 r. dziennikarka złożyła przeciwko Trumpowi pozew o zniesławienie, potem dołączyły do tego zarzuty o gwałt i zniesławienie w publicznych komentarzach. W maju 2023 r. ława przysięgłych uznała, że Donald Trump wykorzystał seksualnie E. Jean Carroll w latach 90., a następnie zniesławił ją, nazywając kłamczuchą. W obu procesach sąd zasądził łącznie ponad 88 mln dolarów odszkodowania dla dziennikarki (w jednym procesie 5 mln dolarów, a w drugim 83 mln). Trump złożył apelację, ale przegrał. W 2025 r. już jako prezydent zwrócił się do Sądu Najwyższego o unieważnienie orzeczenia ławy przysięgłych w procesie cywilnym, twierdząc, że „wyrok sądu pierwszej instancji opiera się na serii niemożliwych do obrony, prowokacyjnych i niesprawiedliwych dowodów".

TRUMP JEST DRAPIEŻNIKIEM SEKSUALNYM

E. Jean Carroll urodziła się 12 grudnia 1943 r. w Detroit. Jej ojciec był kierownikiem w sklepie meblowym, a matka republikańską polityczką w hrabstwie Allen w stanie Indiana. W młodości E. Jean była cheerleaderką i Miss Uniwersytetu Indiana. Jako Miss Cheerleaderek po raz pierwszy pojawiła się w telewizji w 1964 r. w programie „To Tell the Truth". Po studiach wyjechała do Nowego Jorku, podróżowała do Afryki, wyszła za mąż, na chwilę osiedliła się w Montanie, potem w Chicago.

Ivy Meeropol, reżyserka filmu dokumentalnego „Ask E.Jean"

Pierwszą pracę jako dziennikarka dostała w magazynie „Esquire", potem przeprowadziła wywiad z Fran Lebowitz dla „Outside". W latach 80. pisała scenariusze do Saturday Night Live. Pisała dla „Rolling Stone", była pierwszą kobietą redaktorką w „Playboyu". W połowie lat 90. prowadziła własny program „Ask E. Jean" w NBC. Wcześniej dostała własną kolumnę „Ask E. Jean" w „Elle". – To było spełnienie marzeń – mówi w dokumencie, wspominając złote czasy magazynów, gdy nie było internetu i telefonów komórkowych, ludzie gonili za newsami i sensacją, a żeby zdobyć materiał, dziennikarz musiał wyjść w teren, do ludzi, być blisko nich.

Meeropol, meandrując między archiwalnymi fragmentami programów telewizyjnych, w których występowała Carroll, nagłówkami jej głośnych felietonów z lat 80. i 90., wspomnieniami o codzienności i sile gazet oraz magazynów w tamtych czasach, snuje opowieść o rzeczywistości społecznej i politycznej końcówki XX w., w której E. Jean Carroll doświadczyła napaści seksualnej, oraz o pełnej sprzeczności skomplikowanej naturze E. Jean.

– Trafiłam na E. Jean, czytając jej wyznanie w „New York Magazine". Znałam ruch #metoo, interesowałam się historiami kobiet, które były ofiarami przemocy, ale nie planowałam robić o tym filmu. Ale kiedy czytałam wyznanie E. Jean, uderzyło mnie, w jaki sposób opowiadała o gwałcie. Potrafiła być jednocześnie lekka, dowcipna i absolutnie wstrząsająca. Miałam poczucie, że mówi o swoich przeżyciach w sposób, w jaki nikt nigdy wcześniej o tym nie opowiadał, a ja zobaczyłam, że kobiety często nie mieszczą się w akceptowalnej narracji ofiary. Historia przemocy często nie wygląda tak, jak chcielibyśmy ją widzieć. To nie są tylko sytuacje, w których kobieta idzie ciemną ulicą i ktoś ją napada – mówi reżyserka.

W filmie E. Jean wyznaje, że jej relacja z Trumpem do pewnego momentu była zabawna. Nie kryje, że z nim flirtowała, że go prowokowała, była uwodzicielska. Tylko czy to daje prawo do molestowania i napaści seksualnej? Przyznaje, że przez długi czas nie była do końca świadoma, co się wydarzyło, jaką traumę zgotował jej Trump. Odpowiedź Meeropol jest jednoznaczna: – Donald Trump jest drapieżnikiem seksualnym.

W jednej ze scen E. Jean siedzi ze swoją przyjaciółką Lisą Birnbach na lunchu. Birnbach była jedną z dwóch kobiet, do których Carroll zadzwoniła po ataku. Wspomina, jak mówiła do przyjaciółki: „Jeśli opowiem ci, co się stało, będziesz się śmiać". Ale Birnbach się nie śmiała. Była przerażona, namawiała Carroll do zgłoszenia się na policję. E. Jean nakazała wtedy Lisie, by nikomu nie mówiła o jej doświadczeniach i żeby nigdy już do tej historii nie wracały.

– Jak wiele ofiar napaści seksualnej, gdy powinnam mówić najwięcej, mówiłam najmniej – mówi wprost E. Jean i tłumaczy, że Trump miał wpływy, pieniądze, władzę, znajomości. A ona miała tylko swoje słowo przeciwko niemu, ryzyko utraty pracy, reputacji, pieniędzy.

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

PORADY VS. PRAWDZIWE ŻYCIE

Wstyd i poczucie winy. To one budowały E. Jean Carroll od czasu gwałtu. „Bycie ofiarą napaści to jest fundamentalny stan mojego życia" – mówi w filmie, przyznając, że mimo starań nie może pozbyć się myśli, że „mogła być mądrzejsza", że „mogła zachować się inaczej". Tak, jak nie zapomnieć narracji budowanej przez Trumpa o tym, że molestowanie łączy się z wyglądem, wiekiem, atrakcyjnością kobiety i w przypadku atrakcyjnej kobiety mogłoby być w jakiś sposób uzasadnione i dopuszczalne, a molestowanie nieatrakcyjnej kobiety może być, wg retoryki Trumpa obrazą dla mężczyzny.

Podczas przygotowania do procesu Carroll E. Jean pyta wprost: „Kto z ławy przysięgłych uwierzy, że 80-letnia kobieta nadawała się na seks? Nikt". I choć to pytanie wydaje się absurdalne, prawnicy Carroll i ona sama wiedzą, że będą musieli się z tym zmierzyć. Tak, jak kobiety – ofiary przestępstw seksualnych, mimo upływu lat i rosnącej świadomości społecznej wciąż muszą mierzyć się z pytaniami o ich zachowanie wobec sprawcy, wypity alkohol czy krótką spódniczkę. W przypadku Carroll, choć proces odbywa się ponad 20 lat po ataku, ona i zespół jej prawników na czas procesu zatrudniają stylistów fryzur i makijażystów, z którymi dziennikarka pracowała w latach 90., by jak najbardziej przywrócić jej wygląd sprzed lat.

– Tak wygląda nasza rzeczywistość, rzeczywistość ofiar – mówi Ivy Meeropol, przyznając, że E. Jean Carroll długo nie chciała zgodzić się, by robić o niej film. Powtarzała: „Nikogo nie zainteresuje moja historia", bo przecież przez dziesiątki lat nikt ofiar nie słuchał (zgodziła się pracować z Ivy po obejrzeniu jej filmu o Royu Cohnie).

A czy ona, udzielając jednoznacznych rad, mówiąc „nie oglądaj się za siebie", „przyj do przodu", „zawsze wnoś oskarżenie", „stawaj naprzeciw swojego oprawcy i agresora", czy ona wtedy rzeczywiście słuchała ofiar? E. Jean Carroll wyznaje, że ruch #metoo dał jej odwagę, ale sprawił też, że zaczęła weryfikować swoje rady udzielane kobietom. Wyznaje gorzko, że 20 lat wcześniej w jednym z programów informacyjnych krytycznie wypowiadała się o Anicie Hill, która w 1991 r. zeznała, że w przeszłości była molestowana seksualnie przez swojego przełożonego, sędziego Clarence'a Thomasa (nominowanego przez prezydenta Georga Busha na stanowisko sędziego Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych) oraz o Pauli Jones, która w 1994 r. oskarżyła o molestowanie Billa Clintona. Obie ofiary nie zgłosiły molestowania od razu, a E. Jean Carroll przekonywała wówczas, że obie były „mięczakami", bo trzeba radzić sobie ze swoim agresorem. „Zawsze wnoś oskarżenie" – mówiła Carroll, przekonując kobiety, że muszą pozbyć się poczucia winy za gwałt i przemoc seksualną.

Ponad 20 lat później dziennikarka wyznaje, że dopiero, gdy sama doświadczyła napaści, zrozumiała, co to znaczy być ofiarą. Co czuje ofiara, co myśli, w co wierzy. Meeropol nie przedstawia jednak E. Jean jak oszustki, która sama nie stosowała się do swoich rad, lecz pokazuje złożoność rzeczywistości, z którą borykają się ofiary. Ofiary przemocy seksualnej, ale też systemu, w którym kobietom przez dekady odbierano podmiotowość, głos, sprawczość i godność. ▲

Film „ASK E.JEAN" będzie można zobaczyć na festiwalu Millennium Docs Against Gravity. Program na: mdag.pl

OGŁOSZENIE

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

FOT. SVETLANA REPNITSKAYA/GETTY IMAGES

Golenie *głów*

Nasz system ochrony zdrowia mówi Polkom: „Ciesz się, że żyjesz, a nie płaczesz o włosy”

TEKST **NATALIA WALOCH**

Ciesz się, że masz włosy po ojcu” – mawiała do mnie moja piękna matka, której jedynym urodowym mankamentem były rzeczywiście wyjątkowo lichutkie włosy. Kiedy okazało się, że ma w głowie guz, który wcześniej niż później ją zabije (nieuleczalny glejak postaciowy IV stopnia), nosiła akurat swoją ulubioną fryzurę, czyli krótkiego, sięgającego tuż za ucho boba.

Przypomniałam sobie to wszystko, gdy – jak znakomita część Polaków – śledziłam finał zbiórki Łatwoganga na rzecz dzieci z chorobami nowotworowymi. Częścią show było golenie głów w geście solidarności z chorymi onkologicznie. Zdecydowały się na to m.in. wokalistka Katarzyna Nosowska, influencerki Katarzyna „Kasix” Paciorek i Maffashion, żona i menedżerka aktora Cezarego Pazury Edyta Pazura czy autorka książek soft porn Blanka Lipińska. Przyłączyło się też kilku mężczyzn, m.in. wokalista Vito Bambino, twórca filmów na YouTubie Sylwester Wardęga czy prezenter Maciej Kurzajewski. Ja jednak będę skupiała się na kobietach, bo łysa głowa u mężczyzny jest czymś zupełnie innymi niż łysa głowa kobieca.

Tu nie ma co specjalnie mędrkować – dla większości kobiet włosy są istotną częścią wizerunku. Nie chodzi już nawet o kulturowy skrypt o tym, że to właśnie one stanowią o urodzie czy seksapilu; po prostu to, co ma się (lub nie ma) wokół twarzy, jest istotne niemal w równym stopniu jak sama twarz.

Zapytałam podczas finału akcji o kwestię włosów na swoim profilu na Instagramie. Chciałam dowiedzieć się, czym dla chorych onkologicznie kobiet był ten gest celebrytek. Głosy były podzielone. Jedne kobiety pisały, że bardzo go doceniają, bo łysa z powodu chemioterapii głowa była dla nich doświadczeniem trudnym i wstydliwym. Jeśli więc inne kobiety też publicznie występują łyse, jest łatwiej, jest raźniej, jest mniej wstydu. Były głosy, że taki gest ma rację bytu tylko, gdy wykonują go najbliżsi: partner goli głowę, by wesprzeć ukochaną, albo cała rodzina się goli, żeby pokazać choremu dziecku, że są jednym, silnym plemieniem i będą walczyć razem. Wreszcie były głosy pełne dystansu, jak ten Małgorzaty Sajan znanej na Instagramie jako @paskudnaa.

Ale zostawmy gesty znanych osób i opinie o nich, bo to jest duży i pełen niuansów temat. Ja chciałabym się dziś zająć tym, co jest proste i oczywiste. A oczywiste jest, że dla większości kobiet utrata włosów nie jest komfortowa. Jasne, są takie fighterki, które chcą po prostu żyć i cała reszta się nie liczy. Jednak dla wielu pacjentek fakt, że nie dość, że mierzą się z chorobą, bólem i strachem, to jeszcze wyglądają w sposób dla siebie nieakceptowalny, jest źródłem dodatkowego cierpienia. Stąd chciałabym dziś zaapelować do ludzi, którzy nami rządzą, którzy dostają pensje z naszych podatków i którym płacimy za to, by jak najlepiej kierowali usługami publicznymi. Skończcie ze zbędnym cierpieniem i upokorzeniem kobiet (oraz mężczyzn i dzieci, których po części zapewne temat też dotyczy – nie zapominam o nich).

Kiedy moja matka straciła większość włosów po radioterapii, wiedziałam, że muszę znaleźć jej perukę. Nie miałam pieniędzy na naturalną, na szczęście mama zaakceptowała tę syntetyczną. Szczerze? Wiem, że zrobiła

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

to tylko w wyniku ograniczeń poznawczych, które spowodował glejak. Peruka była okropna: włosy były sztywne, dziwnie lśniące, niedające się ułożyć, a puszczone luźno wyglądały nienaturalnie. Nic dziwnego, do produkcji takich peruk używa się PCV, PET (to to, z czego robi się też plastikowe butelki) i odmian akrylu. No nic dobrego nawet na pierwszy rzut oka. Jednak to właśnie na takie peruki skazujemy wiele Polek. NFZ dopłaca do zakupu zaledwie 350 zł, a za taką cenę naprawdę nie sposób kupić niczego sensownego. Nawet przeciętne peruki syntetyczne kosztują po 500-700 zł. Dobrej jakości peruka z naturalnych włosów to koszt od 5 do 8 tys. zł, a za wysoką jakość trzeba zapłacić nawet do 12 tys. zł. Przeciętnej Polki po prostu na to nie stać. Znakomitą robotę od lat robi Fundacja Rak'n'Roll, która pomaga pacjentkom zdobyć porządne peruki oraz zachęca zdrowe osoby do oddawania swoich włosów w partnerskich salonach fryzjerskich (dwa lata temu zrobił to mój syn).

Metodą na uratowanie włosów są czepki chłodzące. Nie działają zawsze, ale mają naprawdę niezłą skuteczność. Działanie chemioterapii na nowotwory polega na tym, że jest ona zabójcza dla komórek, które szybko się dzielą, tak jak właśnie komórki nowotworowe. Sęk w tym, że szybko dzielą się też komórki mieszków włosowych, które również obrywają przy wlewach. Czepek obniża temperaturę głowy do koło 22 stopni Celsjusza, co automatycznie zwęża naczynia krwionośne na głowie, dzięki czemu mniej chemioterapeutyku dociera do mieszków włosowych, a tym samym mniej włosów wypada. Liczby mówią, że 50-70 proc. pacjentów jest w stanie zachować znaczną część włosów, bez użycia czepka odsetek spada do mniej więcej 16 proc. Wspaniała wiadomość, prawda?

Tylko że NFZ użycia czepka chłodzącego nie refunduje. Pacjent czy pacjentka ma kilka opcji. Po pierwsze może użyć czepka szpitalnego (jeśli jest), co oznacza 300-500 zł za sesję, a to z kolei oznacza, że za cały cykl chemioterapii trzeba zapłacić około 4 tys. zł, niekiedy i więcej. Można też kupić własny czepek, tu ceny zaczynają się już od 200 zł (wersja najtańsza, lepsze modele kosztują nawet po kilka tysięcy), ale należy się liczyć z tym, że jego skuteczność jest niższa niż systemów szpitalnych. Wreszcie można sprzęt wypożyczyć, co z kolei może kosztować nawet kilkanaście tysięcy złotych za cały cykl podawania leku.

Chciałabym, żebyśmy jako kraj zaczęli myśleć o dobrostanie pacjentów w sposób szerszy, niż przywykliśmy. Można by zacząć od tego, że w obliczu zmian klimatu w szpitalach powinna być klimatyzacja. Można by wziąć na tapet estetykę wielu lecznic, bo trudno jest zrozumieć maniakalne wybieranie sraczkowatej (tak nazywają ten kolor dzieci i jest to najbardziej adekwatne) farby do lamperii. Wreszcie system mógłby przestać mówić kobietom: „Ciesz się, że żyjesz, a nie ryczysz o włosy". Polska ma zaniżony na tle Europy odsetek rekonstrukcji piersi po mastektomii, bo wielu pacjentkom nie przedstawia się opcji takiej operacji. Stoi za tym filozofia „najważniejsze, że przeżyłaś". Podobnie jest z kwestią włosów: to taki szczegół, babska fiksacja, kobieca próżność. Gdzie kłaki, a gdzie rak, ludzie!

Otóż nie. To kwestia dobrostanu, a pacjentka w lepszej kondycji psychicznej zdrowieje lepiej. To też kwestia godności, bo decydowanie o swoim ciele, wyglądzie, jest niezbywalnym prawem człowieka, które daje mu poczucie sprawczości i kontroli. Państwo – przypomnijmy: 20. gospodarka świata – powinno pacjentów w tym wspierać. ▲

OGŁOSZENIE

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Pochwała *nieposłuszeństwa*

Przetrwanie naszego gatunku zależało w dużej mierze od posłuszeństwa. Podporządkowanie się liderowi zwiększało szanse całej grupy na przeżycie. Nieposłuszeństwo jest dla nas bardziej kosztowne, także emocjonalnie

Z PROF. DR. HAB. **DARIUSZEM DOLIŃSKIM**, PSYCHOLOGIEM SPOŁECZNYM, ROZMAWIA **EWA PĄGOWSKA**
RYSUNEK **MACIEK SIEŃCZYK**

Moim ulubionym przykładem nieposłuszeństwa jest historia Frances Kelsey z Agencji Żywności i Leków, która mimo nacisków wielokrotnie odmawiała dopuszczenia na rynek amerykański talidomidu. Domagała się wyników badań, które potwierdzałyby jego bezpieczeństwo. Potem okazało się, że lek wywołuje wady płodu. Kelsey ocaliła wiele dzieci. A jaki jest pana ulubiony przykład?

– Mój pochodzi z książki „Intelligent Disobedience" („Inteligentne nieposłuszeństwo".) Jej autor – Ira Chaleff – pisze, że kiedy podczas prowadzenia warsztatów biznesowych miał kłopot z wyjaśnieniem terminu „inteligentne nieposłuszeństwo", jedna z kursantek powiedziała: „Ja mam dobry przykład – siedzi pod stołem". Jej praca polegała na szkoleniu psów-przewodników dla osób ociemniałych i niewidomych. Jednego z nich zabrała na zajęcia. Tłumaczyła, że bardzo łatwo nauczyć psa posłuszeństwa – tego, żeby reagował na komendy „w lewo", „w prawo", „stój". Zdecydowanie trudniej wyszkolić go, żeby w określonych sytuacjach, np. gdy osoba niewidoma stoi przed przejściem dla pieszych i mówi „idź" w momencie, gdy nadjeżdża samochód, pies odmówił wykonania polecenia. To byłoby właśnie inteligentne nieposłuszeństwo. Gdyby ludzie częściej zachowywali się jak taki pies, na świecie byłoby zdecydowanie lepiej.

Jak rozpoznać sytuację, w której lepiej być nieposłusznym?

– Jedynym wyjściem jest refleksyjność. Warto rozważyć potencjalne konsekwencje swojego posłuszeństwa i nieposłuszeństwa. Czasem pierwszym krokiem powinna być grzeczna prośba o wyjaśnienie, jaki jest sens danego polecania, co za nim stoi. Dzięki temu możemy sprawić, że ten, kto wydał dyspozycję, zreflektuje się, że jest ona bezsensowna, albo dowiedzieć się czegoś, co czyni wykonanie polecenia zasadnym. Poza tym jeśli ktoś taki przyzwyczai się, że my wprawdzie nie mówimy od razu „nie", ale zadajemy pytania, to będzie unikać wydawania nam dyspozycji, które sensu nie mają.

Nie zawsze jest czas na taką rozmowę.

– Oczywiście możemy sobie wyobrazić sytuację skrajną, kiedy trzeba reagować w ciągu sekundy, a inercja decyzyjna może kosztować życie, ale liczy się nawet refleksja post factum. Jest bardzo ciekawa historia związana z atakiem na World Trade Center. Kiedy samolot uderzył w wieżę północną, pracownicy z wieży południowej usłyszeli, że mają zachować spokój i pozostać przy biurkach. Rick Rescorla – jeden z szefów bezpieczeństwa w firmie Morgan Stanley, która zajmowała dużą część WTC – nie dostosował się do tego polecenia. Wcześniej wizytował te budynki i stwierdził, że w razie czego trudno będzie przeprowadzić ewakuację, dlatego nalegał na zmianę siedziby. Mimo że nie posłuchano jego ostrzeżeń, pozostał szefem ochrony, ale wprowadził comiesięczne treningi ewakuacji i kiedy 11 września 2001 rozpoczął się atak terrorystyczny, nie posłuchał poleceń, od razu zaczął wyprowadzać ludzi na zewnątrz. W ten sposób ocalił ponad 3 tysiące osób. Niestety sam zginął, kiedy wbiegł na górę, by sprawdzić, czy wszyscy zdążyli wyjść.

Refleksja post factum i analiza własnych błędów jest dość bolesna.

– Dlatego właśnie stwierdzamy: „Nie ma co wracać do przeszłości", „Jeśli już tak głęboko wdepnąłem w to bagno, nie ma sensu kombinować. Trzeba dalej brnąć". Człowiek jest nie tyle istotą racjonalną, co racjonalizującą. Chodzi o to, że większość ludzi czuje silną chęć podtrzymania pozytywnego obrazu swojej osoby we własnych oczach. Dlatego, kiedy zrobi coś głupiego, często zaczyna przekonywać siebie, że to wcale nie było głupie. Przez racjonalizację możemy postępować niezgodnie ze swoimi wartościami i normami moralnymi, i w dodatku nieźle sobie z tym radzić. Ten mechanizm powoduje, że nawet jeśli mamy wyrzuty sumienia, to przez chwilę. Jeśli natomiast będziemy żałować, że byliśmy posłuszni lub nieposłuszni – bo oczywiście i to, i to może okazać się błędem – przeanalizujemy swój błąd, to uwrażliwimy się na podobne sytuacje i dzięki temu następnym razem być może zachowamy się inaczej.

> Człowiek jest nie tyle istotą racjonalną, *co racjonalizującą*

Czy łatwiej nam przychodzi posłuszeństwo czy nieposłuszeństwo?

– Posłuszeństwo. Nauczyliśmy się go, bo od niego w dużej mierze zależało przetrwanie naszego gatunku. Podporządkowanie się liderowi grupy zwiększało szanse całej grupy na przeżycie. Oczywiście zmiany cywilizacyjne zawdzięczaliśmy temu, że była jakaś osoba albo malutka grupa osób, które głosiły poglądy zupełnie inne niż większość. Psycholog społeczny Serge Moscovici dowiódł jednak, że mniejszość może mieć ogromny wpływ na większość, wtedy gdy owa mniejszość mówi jednym głosem i jest w tym konsekwentna.

Nieposłuszeństwo jest dla nas bardziej kosztowne, także emocjonalnie. Wymaga pokonania własnych wątpliwości, wykazania się pewną śmiałością i umiejętnością przeciwstawienia się komuś.

Asertywności.

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

– Rzeczywiście asertywność w tym przypadku pomaga. Nie mam na myśli asertywnej postawy życiowej – odmawiania wtedy, gdy nam się nie chce, kiedy coś jest dla nas niewygodne, bo np. zepsuje nam plany na weekend, tylko umiejętność powiedzenia „nie" wtedy, gdy jest to konieczne. Dziś inteligentne nieposłuszeństwo staje się coraz ważniejszą kompetencją. Nawet armia nie jest już miejscem, gdzie zawsze obowiązuje posłuszeństwo. Za wykonywanie rozkazów niezgodnych z prawem wojennym, np. za strzelanie do cywilów, można stanąć przed sądem. Takie tragedie jak masakra w wietnamskiej wiosce My Lai tylko wzmocniły stosowanie tej zasady. Z kolei po analizie czarnych skrzynek i komunikacji prowadzonej przez załogi tuż przed różnymi katastrofami lotniczymi Amerykanie zaczęli uczyć sprzeciwiania się kapitanowi w określonych sytuacjach. Zauważyli bowiem, że gdy on popełnia błąd, członkowie załogi najpierw zdecydowanie protestują, ale jeśli kapitan upiera się przy swoim, stopniowo się wycofują. A powinno być odwrotnie – najpierw delikatne zwrócenie uwagi, a potem coraz silniejsze obstawanie przy swoim zdaniu.

PROF. DR HAB. DARIUSZ DOLIŃSKI

– psycholog społeczny, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, wykładowca Uniwersytetu SWPS. Zajmuje się psychologią zachowań społecznych, psychologią emocji i motywacji. Jest współautorem książki „Posłuszni do bólu". Prof. Doliński będzie prelegentem jednej z 14 ścieżek tematycznych Kongresu i Festiwalu Psychologicznego Re_Mind („Manipulacja i wpływ społeczny"), który odbędzie się w dniach 22-24 czerwca 2026 r. we Wrocławiu w Hali Stulecia. Inicjatorem i organizatorem wydarzenia jest Uniwersytet SWPS, a współorganizatorami są Miasto Wrocław i Telewizja Polska.
Więcej: www.re-mind.pl.

Prawdziwym wyzwaniem jest nauczyć inteligentnego nieposłuszeństwa dzieci. Kiedy byłam mała, babcia wysłała mnie po list do skrzynki. Wracając, spotkałam jej sąsiada, który zaprosił mnie do siebie, żeby przekazać mi coś dla babci. Moja mama była na mnie wściekła, bo przecież uczyła mnie, żeby nie wchodzić do mieszkań obcych osób, ale uczyła mnie też, żeby słuchać dorosłych.
– Jeśli to był sąsiad, którego pani nie znała, to rzeczywiście nie powinna pani wchodzić do jego mieszkania, ale jeśli byłby to znajomy? Sprawa też nie byłaby prosta. Jak bardzo człowiek ma być znajomy, żeby móc go bezpiecznie odwiedzić? Uczenie dziecka całkowitej nieufności wobec świata też nie jest dobre. Tak samo jak nauka całkowitego posłuszeństwa. W 2004 roku w jednym z amerykańskich McDonaldów doszło to głośnej sytuacji, która pokazała, jak fatalne to może być w skutkach. Do restauracji zadzwonił mężczyzna, który przedstawił się jako oficer Scott z policji i powiedział, że zgłosił się do nich klient, którego okradła pracująca tam nastolatka. Opis pasował do Louise Ogborn. Scott kazał ją natychmiast zamknąć w osobnym pokoju. Kierownictwo restauracji zrobiło to. Potem Scott polecił rozebrać dziewczynę do nagа. To także wykonano. Każdy kolejny telefon to był nowy pomysł na upokorzenie dziewczyny. Koszmar się skończył dopiero, gdy zainterweniował jeden z jej współpracowników. Kiedy potem dziennikarze pytali ją, dlaczego nie protestowała, mówiła, że rodzice nauczyli ją: „Jeśli dorosły każe ci coś zrobić, rób to i nie dyskutuj".

Przez lata to głównie dziewczynki były uczone posłuszeństwa.
– To się jednak zmienia. Pokazują to badania konformizmu przeprowadzane według schematu zaproponowanego przez Solomona Ascha. Uczestnikowi eksperymentu przedstawia się dwie plansze. Na jednej jest wzorcowy odcinek, a na drugiej trzy odcinki różnej długości. Zadanie polega na określeniu, który z nich ma długość najbliższą długości odcinka wzorcowego. Jeśli badany rozwiązuje zadanie sam, zwykle podaje prawidłowe rozwiązanie. Jeśli towarzyszą mu inni badani – a w rzeczywistości są to współpracownicy eksperymentatora, którzy mają podpowiadać błędną odpowiedź – jest skłonny pójść w ich ślady. W latach 50., kiedy ten eksperyment wykonywano po raz pierwszy, okazało się, że kobiety częściej ulegały presji grupy. Z każdą dekadą ta różnica między płciami się zmniejsza. Sądzę, że za 10-20 lat w kulturze zachodniej nie będzie już żadnych różnic, jeśli chodzi o konformizm kobiet i mężczyzn. Następuje coraz większa unifikacja wychowania. Dziewczynkom pozwala się na większą niezależność, a od chłopców oczekuje się większego podporządkowania się normom społecznym.

Jak możemy sobie ułatwić bycie nieposłuszną w trudnej sytuacji?
– Jeśli spodziewamy się sytuacji, w której będziemy musieli sprzeciwić się innym, by być w zgodzie z ważnymi wartościami, dobrze jest wcześniej przekonać do swoich racji przynajmniej jedną osobę. Z badań wynika, że jeden sojusznik znacznie zmniejsza naszą skłonność do konformizmu. Łatwiej jest też odmówić wykonania polecania mailowo lub przez telefon niż w cztery oczy.

Czasem hamuje nas lęk przed utratą aprobaty. Są osoby, które potrzebują jej bardziej niż inne.
– One mogą zadać sobie pytanie: „Nawet jeśli ten facet lub ta kobieta polubi mnie za to, że wykonam polecenie, to czy polubi mnie za to ktoś, na kim mi bardziej zależy? Czy może raczej będzie mnie szanował za odmowę?". Tego typu ćwiczenie ułatwia przeciwstawienie się autorytetowi. Nawet osoby z większą potrzebą bycia lubianymi mogą sobie poprzestawiać klocki w głowie w taki sposób, żeby stwierdzić, że nawet z perspektywy aprobaty społecznej opłaca im się powiedzieć „nie". Natomiast nie warto wybierać pasywnego nieposłuszeństwa, chociaż ono jest łatwiejsze.

Czym ono jest?
– Przywołam znany eksperyment Milgrama, którego uczestnicy mieli razić innych prądem, w ramach badania naukowego. Część osób, kiedy w końcu zdecydowała się wycofać, tłumaczyła, że nie jest w stanie kontynuować, bo przeżywa straszny stres. Mówiła: „Może pan sam dalej będzie włączał te przyciski". To niby jest nieposłuszeństwo, ale pasywne – człowiek wycofuje się z eksperymentu, ale nie zapobiega złu. Jeśli więc na koniec naszej rozmowy miałbym do czegoś zachęcić, powiedziałbym: jeśli jesteś pewna czy pewien swoich racji, jeśli uważasz, że dzieje się zło i należy powiedzieć „nie", to jeśli tylko masz taką możliwość, wybieraj aktywne nieposłuszeństwo. ▲

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Publiczny *Sekret*

Poszłam z rysunkami Mai Berezowskiej do szefowej domu publicznego Gogo, w Atenach. Obejrzała, powiedziała: „Orea", co po grecku znaczy „piękne"

PAULINA OŁOWSKA

polska malarka, fotografka, autorka kolaży, działająca na pograniczu performance'u, wideo, akcji społecznej i sztuki użytkowej. Polem jej artystycznych poszukiwań są modernistyczne utopie oraz badania nad twórczością artystów XX wieku, które łączy z własnymi działaniami twórczymi

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Z **PAULINĄ OŁOWSKĄ**
ROZMAWIA
MAŁGORZATA CZYŃSKA

Mówisz o Zofii Stryjeńskiej Zosia, o Mai Berezowskiej Maja, o Alinie Szapocznikow – Alina. Od lat angażujesz się w przywracanie im głosu. Jesteś w dialogu ze starszymi, często zapomnianymi, artystkami. Czerpiesz od nich i przypominasz o nich.
Nazwałabym to podkreśleniem, uniesieniem wibracji. To dla mnie sensualny sposób mówienia o sztuce, który próbuję wdrożyć w uniwersalny świat. Zjawisko to zapoczątkowały amerykańskie artystki Sherrie Levine i Cindy Sherman, które przedstawiały styl w sztuce nazwany Appropriation Art, co na polski tak niezgrabnie tłumaczy się jako „sztuka zawłaszczenia". Prywatnie stosuję nazwę „sztuka à propos". Levine adaptowała fotografie innego twórcy i przez jej akt zaangażowania, wyboru kadru i czasami zmiany skali lub medium sama adaptacja stawała się jej dziełem. Zawłaszczając, zmieniała kontekst na kobiecy.

Historię zdominowali mężczyźni, kobiety wciąż dobijają się o swoje miejsce.
Kiedy rozmawiałam z zaprzyjaźnionymi artystkami, Mariolą Przyjemską czy Ewą Partum, to zawsze podkreślały, że jako artystki nigdy nie miały siły przebicia porównywalnej z mężczyznami. Do czasu studiów nad sztuką feministyczną w Art Institute of Chicago nie miałam kobiecych wzorów i uważałam, że po prostu kobiet w sztuce nie było.

Mężczyźni stawiali na gest, tworzyli obrazy – ikony. A kobieca sztuka współczesna zaczęła prowadzić dialogi z rzeczami, które nie są oczywiste, dialogi z duchami, z rytuałami, z materiałami, jak metka towaru u Przyjemskiej, symbole kosmosu u Kraupe-Świderskiej albo odciśnięte fragmenty ciała u Szapocznikow.

Jak szukałaś wzorów dla siebie?
Stawiałam sobie pytanie: skoro chcę tworzyć malarstwo, to kto jest moją bohaterką?

Z kolorowych magazynów i różnych katalogów wycinałam to, co mnie ciekawiło, tworzyłam plansze skojarzeń związanych np. ze sztuką Zofii Stryjeńskiej, Pauline Boty, Magdaleny Abakanowicz, Marguerite Acarin (Akarova). Pauline Boty dedykowałam wystawę „Hello to you too", a we współpracy z Bonnie Camplin zrealizowałam film „A jak Akarova".

Natomiast Zofiia Stryjeńska stała się bohaterką mojej realizacji na biennale w Berlinie.

Wprowadzasz w narrację herstorie, które potem zaczynają rezonować.
Moja generacja artystek i ta wcześniejsza zaczęły mówić o tym, co my możemy zrobić inaczej w sztuce. Wprowadziły do sztuki współczesnej humorystyczne emocje i nowe medium, czyli kobietę jako podmiot pracy artystycznej. Zrozumiałam to i byłam silniejsza. Mogłam powiedzieć sama sobie, dlaczego zajmuję się malarstwem, i wprowadzałam elementy performance. Dobrym przykładem może być praca „Niegrzeczne Nimfy" czy wystawa „Amoreski. Kobiecy koktajl erotyczny" gdzie spojrzałam na erotykę w kobiecy, artystyczno-feministyczny sposób.

To cię łączy też z malarką i rysowniczką Mają Berezowską. Mówicie o seksualności językiem kobiety, kobiet.
Zaczęłam myśleć o tym, w jaki sposób kobieta przedstawia kobiece ciało, czy kobieta heteroseksualna może przedstawić kobietę erotyczne.

Mam taką teorię, że za jakiś czas tylko kobiety będą mogły malować kobiety, w ramach rekompensaty nadużywania tematu przez mężczyzn przez tyle stuleci.

Rysunki Mai Berezowskiej były dla mnie przełomowym odkryciem. Po pierwsze wprowadzała humor w erotykę; po drugie doprowadziła do tego, że ilustracja stała się sztuką totalną – objęła wszystko, o czym Berezowska chciała powiedzieć; po trzecie jej biografia jest pełna skrajności i bycia ponad prozą życia.

Wspólnie z Mają dołożyłyście głos do czarnych protestów.
W czasie czarnych protestów w Fundacji Galerii Foksal w Warszawie otworzyłam szkołę erotyczną. Odbywały się tam wykłady o sztuce i seksualności w otoczeniu ceramicznych obiektów interpretujących ilustracje Mai Berezowskiej oraz kolekcji magazynów soft porno dla kobiet „Viva, The International Magazine for Women".

Kobiece zawłaszczenie to sposób na połączenie, na pamiętanie o sobie nawzajem. Żeby być bliżej swoich heroin, eksperymentujesz. W 2018 roku zainicjowałaś seans z jasnowidzką, zostałaś samozwańczym medium, przez które przemówiła Alina Szapocznikow.
Herstory jest tworzona z wątłych wątków. Ciekawi mnie kontynuacja opowieści z przeszłości. Seans spirytualny miał miejsce w Zachęcie – wywołanie ducha Aliny przez wiedźmę magii anielskiej. Do Mai podchodziłam kilka razy, na wystawie „Czar Warszawy" w Zachęcie w 2014 roku, która odnosiła się do sztuki, popkultury i do feministycznego świata kobiecej szczęśliwości, i dwa lata temu na wystawie „Wizualna perswazja" w fundacji Sandretto Rebaundengo w Turynie, gdzie Maja była pokazana razem z czarno-białymi fotografiami Cindy Sherman.

Kobiety wyciągają kobiety.
Sztuka jest często niezrozumiała w czasach, kiedy powstaje, a może być też na odwrót, np. twórczość Balthusa jest teraz mocno zawieszona, jego obrazy są zdejmowane z ekspozycji w wielu muzeów. Uważam, że artystki i artyści powinni rozwalać systemy, zadawać pytania. Postacie, które wybieram są zapomniane, są w cieniu.

Znowu wróciłaś do Mai. Na fasadzie domu publicznego w Atenach zrobiłaś mural, kolaż postaci z rysunków Berezowskiej.
Od trzech lat mam pracownię w Atenach w dzielnicy Metaxourgeio. To dzielnica bezdomnych i prostytutek, ale też galerii sztuki jak Breeder Gallery czy Rebacca Camhi. Portretuję zakonnice, pracownice socjalistyczne i inne osobowości tej dzielnicy.

Wieczorami przewija się tłum mężczyzn. Obok mojej pracowni jest kawiarnia Kirii Vuli, na ścianach wiszą fotosy filmów erotycznych z lat siedemdziesiątych. Obok kawiarni jest galeria sztuki, więc często przemykają ulicą kolekcjonerzy i artyści. Wspólnie z moim przyjacielem i kuratorem Milovanem Ferrnato wybraliśmy tytuł wystawy inspirowany tą ulicą: „Public Secret". Bardzo chciałam stworzyć mural. Z balkonu pracowni obserwowałam wchodzących i wychodzących klientów domu publicznego Gogo.

Przygotowałam portfolio z rysunkami Mai Berezowskiej i poszłam z nimi do szefowej Gogo. Obejrzała, powiedziała: „Orea", co po grecku znaczy „piękne".

Uzyskałam podstawowe informacje, że tam nie dzieją się straszne rzeczy, galeria potwierdziła, że struktura działalności jest legalna. W ramach wystawy odno-

FOT. VASSO PARASCHI

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Mural „After Maja Berezowska" mieści się na ulicy Iasonos 45 w dzielnicy Metaxhourigo w Atenach

wiliśmy fasadę budynku i wspólnie z Michałem Szuwarem z grupy Swada, Pauliną Włostowską i Dorotą Kidziak namalowałyśmy metodą przepróchy kolaż z rysunków Mai. Wybrałam te fragmenty kolażu, które mi przypominały lekkość zawodu sexworkerki: kobieta leży i pali papierosa, inna ceruje pończochę, jeszcze inne beztrosko plotkują. Jest też erotyczny kwiat Mai, i na to wszystko patrzą dwa amorki. Nazwałam ten mural „After Maja Berezowska". Otworzyliśmy mural na wernisażu wystawy „Publiczne sekrety".

Jak zareagowali miejscowi?
Zauważyłam, że Gogo niczym dyrektorka muzeum zaczęła nosić nowe czarno-białe garsonki.
Chciałam stworzyć coś, co nas łączy, a łączy nas ta ulica oraz zrozumienie i respekt dla tego, co robimy. To miało wpłynąć też na estetykę ulicy. Nie chciałam sięgać po greckie boginie i dokonywać zawłaszczeń kulturowych.

Podobno Ateny to nowy Berlin.
Kiedy w 2018 roku byłam dyrektorką artystyczną Vogue Art Issue, to jednym z moich zadań było wybrać miasto przyszłości dla sztuki. Wskazałam Ateny.

> Lubię myśleć o sobie jako o muzie, która *zabiera artyście pędzel i przejmuje obraz*

Pojęcie domu-wystawy jest dla ciebie ogromnie ważne.
Pojęcie domu jest ciekawym aspektem w myśleniu o wystawiennictwie, to jeden z moich ulubionych tematów. Jesteśmy nauczeni, że sztuka powinna być wystawiana w white cube albo w muzeach. A i ja, i artystki, z którymi pracowałam, jak Julita Wójcik czy Lucy Mckenzie, chciałyśmy stworzyć dom, mieszkanie. W projekcie „Marzenie prowincjonalnej dziewczyny" podjęłyśmy próbę stworzenia z prywatnego mieszkania miejsca do pokazywania sztuki. Odkąd mieszkam koło Rabki, zainteresowałam się opuszczonymi budynkami sanatoryjnymi. Myślę, że muzeum powinno być schroniskiem miejskim, miejscem, gdzie można się skryć i od deszczu, i od rzeczywistości.

Gdzie teraz jest twój dom, w Atenach czy w Rabce-Zdroju?
Ateny są miejscem rezydencyjnym. Utożsamiam się z Fundacją Dom Twórczy Kadenówka, jako miejscem i tematem nadchodzących wystaw, które są związane z folklorem, ezoteryką i badaniem współczesnych związków sztuki z nieznanym i innym.

Czy w sztuce płeć jeszcze ma znaczenie?
Moim ulubionym powiedzeniem jest wypowiedź z 1967 roku radykalnej feministki Valery Solanas „A 'male artist' is a contradition in terms" („Artysta-mężczyzna" to sprzeczność sama w sobie). To brzmi drastycznie, ale przekłada lustro na drugą stronę. Często mówiłam, że lubię o sobie myśleć jako o tej inspirującej muzie, która leży u artysty w pracowni i która wstaje, zabiera mu pędzel, i mówi, żeby poszedł na zakupy. W ten sposób muza przejmuje ikonę, czyli stworzenie obrazu. Ona zna obie strony płótna. ▲

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

„MARLEE MATLIN, NIE JESTEŚ SAMA”, reż. Shosannah Stern. Film można obejrzeć na festiwalu Millennium Docs Against Gravity

FOT. MATERIAŁY PRASOWE; ORANGE WARSAW FESTIVAL; HBO MAX

FILM

W mojej głowie nie ma ciszy

Zagubiona w swoim własnym, cichym świecie” – Marlee Matlin, amerykańska aktorka, cytuje jedną z recenzji filmu „Dzieci lepszego Boga”, za który w 1987 r. została nagrodzona Oscarem, i dodaje: „Ktokolwiek to napisał, najwyraźniej nie znał naszej kultury ani języka. Jestem bardzo głośna. A wewnątrz mnie, w mojej głowie, nigdy nie ma ciszy. Nigdy”.

To fragment filmu „Marlee Matlin, nie jesteś sama” w reżyserii Shoshannah Stern, który opowiada o tym, jak Matlin, wówczas niespełna 22-letnia, niemal z dnia na dzień stała się rzeczniczką osób głuchych. To też opowieść o reprezentacji i widzialności, o tym, że pokazywanie na ekranie osób nietypowych – z niepełnosprawnościami, należących do mniejszości, po prostu różnych – nie jest „lewackim wymysłem” czy szerzeniem „ideologii woke”, tylko prawem i obowiązkiem twórców. I wreszcie o samej Matlin, jej burzliwym, przemocowym związku z Williamem Hurtem, który partnerował jej w „Dzieciach gorszego Boga”, dorastaniu w domu, w którym była jedyną głuchą osobą, i której rodzice obwiniali się o jej głuchotę, o doświadczeniu molestowania seksualnego, narkotykach oraz o presji i samotności, z jakimi musiała się mierzyć, przecierając szlaki, którymi nikt przed nią nie szedł.

W październiku tego roku upłynie dokładnie 40 lat od premiery „Dzieci gorszego Boga” w reżyserii Randy Haines. To oparty na sztuce Marka Medoffa o tym samym tytule przenikliwy portret kobiety, która odmawia dopasowania się do świata zdominowanego przez słyszących i walczy o prawo do autonomii, własnego sposobu komunikowania i ekspresji. O granicach i potrzebie bycia wysłuchaną, nawet jeśli nie używa się do tego głosu. „Ich miłość miała swój własny język” – przekonywał narrator w zapowiedzi filmu.

Film okazał się przełomowy nie tylko dla debiutującej w nim Marlee Matlin, ale i dla społeczności ludzi głuchych, którzy zgodnie przyznają, że po raz pierwszy zobaczyli w mainstreamowym filmie kogoś takiego jak oni. Matlin dostała oscarową nominację i szybko stała się faworytką do nagrody. Pod koniec lat 80. na porządku dziennym były skierowane do niej pytania o to, czy sądzi, że przychylność krytyków zawdzięcza okolicznościom. Dziennikarze komentowali, że widzowie podziwiają jej odwagę, ale w ich pytaniach kryło się drugie dno – sugestia, że ludzie się nad nią litują. A już wprost pisano, że jeśli nie znajdzie sposobu na „obejście” swojej niepełnosprawności, będzie gwiazdą tylko jednej produkcji.

Matlin zdobyła za „Dzieci gorszego Boga” Oscara. Została nie tylko najmłodszą kobietą nagrodzoną tą nagrodą za rolę pierwszoplanową, ale na 35 lat także jedyną głuchą osobą wyróżnioną statuetką Amerykańskiej Akademii Filmowej w kategorii aktorskiej. Kolejną był dopiero Troy Kotsur uhonorowany za rolę drugoplanową w „CODA”, w którym zagrał zresztą męża bohaterki kreowanej przez Matlin.

W filmie Stern Marlee Matlin przyznaje, że aktywizm na rzecz głuchych sprawiał jej przyjemność, ale wspomina też gorzko moment, kiedy społeczność się od niej chwilowo odwróciła. Miano jej za złe, że rok po zdobyciu Oscara na kolejnej gali nazwiska nominowanych wyczytała, a nie wymigała. Nie zraziło jej to jednak i dalej robiła swoje. To ona wywalczyła choćby umieszczanie w filmach czy serialach tzw. closed caption (CC) – napisów, które oprócz dialogów zawierają też informacje o innych dźwiękach, które słychać z ekranu, jak np. szum ruchu ulicznego, śpiew ptaków, pisk hamującego pociągu.

„Marlee Matlin, nie jesteś sama” to prosty dokument, który nie boi się ciszy – nie tylko tej dosłownej, wynikającej z używania przez bohaterów języka migowego, ale i tej metaforycznej, która powoduje, że wciąż na palcach jednej ręki możemy policzyć filmy, w których pojawiają się głusi. ▲

(Joanna Wróżyńska)

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

MUZYKA

Muzyczny tygiel w stolicy

Dla wielu osób Olivia Dean to odkrycie ubiegłego roku. Ale brytyjska artystka, tworząca gdzieś na styku neosoulu, popu i jazzu, latami pracowała na rozpoznawalność. Wydała kilka epek, debiutancki album „Messy" z 2023 r., sporo koncertowała. Dopiero płyta „The Art of Loving" zrobiła z niej globalny fenomen, przyniosła nagrodę Grammy dla najlepszego nowego artysty i cztery statuetki Brit Awards. Dean po raz pierwszy wystąpi w Polsce – będzie gwiazdą drugiego dnia Orange Warsaw Festivalu. Dołączyła do grona wielu ciekawych artystów, wśród których są m.in. powracający po przerwie Lewis Capaldi, znany z „Euforii" Dominic Fike, wszechstronna FKA twigs, brytyjski raper Loyle Carner czy Kasia Lins, która na ostatniej płycie reinterpretuje twórczość Grzegorza Ciechowskiego.
▲ (Justyna Grochal)
ORANGE WARSAW FESTIVAL, 29-30 maja, Tor Wyścigów Konnych Służewiec, Warszawa

SERIAL

To nie Mary jest dziwna

Oglądając słynną serialową adaptację „Dumy i uprzedzenia" z 1995 r., skupiałyśmy się na mokrej koszuli Colina Firtha jako Darcy'ego i wymianie przeciągłych spojrzeń z Jennifer Ehle. Czy ktoś wtedy zwrócił uwagę, jak rodzina bezlitośnie i bezustannie naśmiewa się ze znajdującej się dokładnie pośrodku piątki „brzydkiej Mary"? W tamtej adaptacji grająca ją Lucy Briars jest celowo ubrzydzona tłustymi włosami i burymi sukienkami, pokazana jako poważniacka aż do przesady i pozbawiona poczucia humoru – tak, abyśmy byli przekonani, że nic w tym dziwnego, że nikt jej nie lubi.
Cierpienia i niesprawiedliwości wobec Mary nie umknęły uwadze Janice Hadlow, pisarki, ale też wieloletniej dyrektorki programowej BBC, które serial z Firthem i Ehle wyprodukowało. W 2020 r. Hadlow wydała powieść „Ta inna siostra Bennet", w której na swoją protagonistkę wybrała Lizzy Bennet – najbystrzejszą i najdowcipniejszą z pięciu sióstr, które brak posagu stawia na skraju przepaści pod tytułem deklasacja i staropanieństwo. Hadlow mówi „sprawdzam" i proponuje popularny obecnie tzw. retelling klasycznej już historii. Co, jeśli damy „brzydkiej siostrze" szansę i otrząśniemy się z zaczadzenia panem Darcym i dyktatem urody? W genialnym posunięciu twórcy serialu „Ta inna siostra Bennet" obsadzili 30 lat starszą Lucy Briars – Mary z 1995 roku – jako służącą Bennetów, pannę Hill, która na co dzień obserwuje, jak bystra, wrażliwa i inteligentna Mary jest bezustannie prześladowana przez członków własnej rodziny, i dyskretnie stara się namówić Mary na wyjście do świata i ludzi. Rodzice, w tym ojciec (grany przez jak zwykle cudownego Richarda E. Granta), traktują jednak Mary okropnie. Matka dosłownie siłą wypycha Mary z pokoju, kiedy mają się w nim pojawić potencjalni konkurenci do rąk sióstr, żeby nie psuła krajobrazu.

Ella Brucolleri gra Mary bardzo współcześnie, jako nieśmiałą dziewczynę, która przymaszerowała do świata Austen prosto z serialu „Girls" Leny Dunham. Mary zna swoją wartość i ma ciekawe zainteresowania. Co z tego, jeśli wszyscy dookoła niej bezustannie to podważają i sugerują jej, że jest bezwartościowa? Owszem, jest dziwna i nigdy nie wie, jak się zachować. Nie ma poczucia humoru i jest lekko sztywna. Zarazem jednak jest dobra, nie jest snobką, jak reszta jej rodziny i jest jedyną osobą w domu, która traktuje służbę z szacunkiem. Największym dokonaniem serialu który sprawia, że jest tak odświeżający, jest odwrócenie sytuacji. To nie Mary jest „dziwna" i niedopasowana; to jej rodzice i siostry są wobec niej bezwzględnie dyscyplinujący. Kiedy tylko Mary ma okazję wyrwać się ze wsi do Londynu, gdzie zostaje guwernantką, i zaczyna wchodzić w interakcje z kimś spoza rodziny, okazuje się, że świetnie sobie radzi. Te same cechy, które w zamkniętym, klaustrofobicznym świecie rodzinnym czyniły z niej outsiderkę, w mieście stają się atutami. Może więc, jak zdają się sugerować twórcy, to nie Mary jest „dziwna", może to spychający nas w konwencję świat jest opresyjny i niszczy oryginalność. **▲ (Agata Pyzik)**
„TA INNA SIOSTRA BENNET"
Serial dostępny jest na platformie HBO Max.

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Wiosna zawiedzionych

Tak czekaliśmy ciebie w tym roku, zimna wiosno,
sucha, wietrzna wiosno!
A gorzkie ziele tylko wrześniowe mogiły zarosło
I skowrończa piosenka nie dźwięczała jak sama radość,
Nawet drzewa nie kwitną – wymarzły po rozłogach,
po miedzach,
po sadach.
Nawet ziemia zakrzepła w sobie. Umierają rośliny na spiece.
I czymże się ma sycić, czym poić, puste
źródło – smutne serce człowiecze?

KRYSTYNA KRAHELSKA była poetką, harcerką i pielęgniarką

MARTA FREJ RYSUJE

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

Wanna w *szafie*

Stanęłam przed publicznością i wyświetliła mi się w głowie myśl: „Kto na tę imprezę wpuścił małą dziewczynę z ukulele”? Sparaliżowało mnie to

Z **RANKO UKULELE**
ROZMAWIA **PRZEMYSŁAW GULDA**

Dlaczego ukulele? Co sprawia, że wszyscy kochają ten instrument?
– Myślę, że chodzi przede wszystkim o brzmienie. Ukulele generuje dźwięki znacznie wyższe niż gitara, co sprawia, że brzmi radośnie. Ktoś powiedział nawet kiedyś, że nie da się zagrać smutnej piosenki na ukulele. Nie do końca się z tym zgadzam, udało mi się nagrać kilka smutnych utworów. Dla mnie ważny jest też aspekt praktyczny – ukulele jest małe, można je wszędzie ze sobą zabrać, łatwo z nim podróżować.

A skąd wzięło się twoje ukulele?
Z Google’a. Naprawdę. Kiedyś zapytałam po prostu, na jakim instrumencie jest się najłatwiej nauczyć grać. Google odpowiedział, że ukulele. Wyłączyłam laptopa, poszłam do sklepu muzycznego i oglądałam te instrumenty. Następnego dnia dostałam jeden z nich w prezencie.

Warto dodać, że rzecz działa się w... Kambodży. Jak to się stało, że tam trafiłaś?
To proste: jestem tłumaczką języka khmerskiego.

To właśnie zupełnie nie jest proste! Ile osób w Polsce mówi tym językiem?
Studia ze mną zaczynało dziesięć osób, skończyły dwie. Więc chyba rzeczywiście nie ma nas za dużo.

Jak to się stało, że trafiłaś na takie studia?
Wybrałam etnolingwistykę na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pierwszego dnia studiów trzeba było zadeklarować zainteresowanie dostępnymi na lektoratach językami. Trzema. Wybrałam oczywiście japoński, na którym bardzo mi zależało. Ale zobaczyłam też rubrykę „khmerski”. Nie myślałam jeszcze wtedy, że moje dalsze życie zwiąże się właśnie z tym językiem, ale zakreśliłam ten punkt. Potem okazało się, że zrobiło to bardzo mało osób, więc wszyscy dostali się na zajęcia.

Pożałowałaś, że zakreśliłaś?
Ani trochę. Okazało się, że nauczycielka tego języka jest jedną z najbardziej radosnych osób, jakie spotkałam w życiu. Co nie było oczywiste, jeśli wziąć pod uwagę, że miała za sobą tragiczne doświadczenia związane z reżimem Czerwonych Khmerów. Tak pięknie opowiadała o swojej ojczyźnie, że zaraziła nas wszystkich fascynacją tym krajem.

Nic dziwnego, że tam pojechałaś...
Pierwszy raz jeszcze na studiach. Byłam na wolontariacie, trafiłam do najpiękniejszej części kraju, na wybrzeże. To był wspaniały czas. Potem wróciłam tam już po studiach i to było trochę trudniejsze doświadczenie. Okazało się, że stolica, Phnom Penh, nie jest tak ładna jak miasta nad morzem,

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

znacznie bardziej zanieczyszczona i trudniejsza do życia. No ale tam było znacznie łatwiej o ciekawą pracę.

Co robiłaś?
Najpierw miałam dużo propozycji, żeby pracować w szkole i uczyć angielskiego, ale chciałam mieć większy kontakt z językiem khmerskim, więc szukałam czegoś innego. Udało mi się znaleźć zajęcie w charakterze tłumaczki – przekładałam przede wszystkim dokumenty firmowe i filmy dokumentalne.

Czy to trudny język?
Nie bardzo, choć rozumiem, że to oczywiście bardzo relatywna kwestia. Gramatyka jest podobna do chińskiej i przypomina puzzle: kiedy chce się użyć czasu przeszłego, dokłada się specjalne słowo do zdania w czasie teraźniejszym. Alfabet jest bardzo podobny do tajskiego, wymowa – do wietnamskiej. Istnieje w tym języku iloczas, czyli słowo zmienia znaczenie w zależności od tego, czy pewne głoski wymówi się krócej czy dłużej, ale nie ma za to zróżnicowania słów ze względu na tony. A to jest prawdziwą zmorą dla osób uczących się języków azjatyckich. Dzięki temu khmerski jest od nich nieco łatwiejszy do opanowania.

Miałaś czas, pracując jako tłumaczka, skoro zaczęłaś nagrywać piosenki?
Od kiedy wyjechałam z Polski, brakowało mi muzyki. Grałam wcześniej w zespole Bakłażan i bardzo to lubiłam. W Kambodży szukałam jakiejś namiastki – stąd pojawiło się ukulele. Zaczęłam nagrywać piosenki i publikować je w internecie.

A co sprawiło, że wróciłaś do Polski?
Migdałki. Musiałam je wyciąć. W Polsce było to łatwiejsze, więc przyjechałam załatwić sprawy medyczne. I wtedy wybuchła pandemia, która sprawiła, że nie miałam już jak wrócić. Mijały miesiące, lata, nie wyglądało na to, że będę mogła znów tam pojechać. Wtedy zaczęłam publikować coraz więcej piosenek. A one zaczęły cieszyć się coraz większym powodzeniem. Dostawałam mnóstwo sygnałów, że podobają się ludziom.

Dziś można śmiało powiedzieć, że to prawdziwy fenomen. Jak myślisz, co go spowodowało?
Chyba to, że to nie są górnolotne utwory o bardzo poważnych problemach. To raczej proste piosenki o sprawach bardzo codziennych, a jednocześnie takich, o których z reguły się nie mówi, bo uważa się je za niepoważne, a może nawet trochę wstydliwe. A okazuje się, że ludzie mają potrzebę posłuchania, że jest się leniem albo nie chce się myć włosów. Okazuje się, że mają czasem dokładnie takie same myśli i wrażenia, ale o nich nie mówią. Czasem mam jakąś myśl i czuję, że wiele osób się w niej odnajdzie, ale czasem sama jestem zaskoczona. Tak było z piosenką o tym, że mam wannę w szafie. Wydawało mi się, że to bardzo nietypowa sytuacja, ale szybko okazało się, że wiele osób ma tego typu problemy mieszkaniowe i piosenka szybko zdobyła sporą popularność.

Wpisujesz się w nurt, który w polskiej kulturze zapoczątkował zespół Domowe Melodie. Czujesz się jego częścią?
Nie ukrywam, że zawsze bardzo lubiłam piosenki tej grupy, i bardzo mi schlebia, kiedy ktoś porównuje do nich moje utwory. Ważną inspiracją była dla mnie też zawsze twórczość nowozelandzkiego duetu Flight Of The Conchords. Podoba mi się niezręczne poczucie humoru, na którym się ona opiera. W moim rodzinnym domu zawsze obecne były piosenki kabaretowe – mama śpiewała je przy gotowaniu. Myślę, że to miało bardzo duży wpływ na mój gust. Tata przy śniadaniu opowiadał śmieszne wierszyki, to też gdzieś we mnie zostało.

Zaczęło się od postów w internecie, dziś jest o tobie bardzo głośno, jak to się stało?
Muszę przyznać, że weszłam do branży muzycznej kompletnie nieprzygotowana. Nie miałam zielonego pojęcia, jak to w ogóle działa. Na szczęście szybko znalazłam przewodnika – kiedy skończyły się pandemiczne obostrzenia i powoli zaczęło wracać życie koncertowe, odezwał się do mnie Zenek Grabowski, który właśnie wyruszał na trasę. Zaproponował, żebyśmy pojechali wspólnie. To było dla mnie przełomowe wydarzenie. Dowiedziałam się od niego bardzo wielu rzeczy o tym, jak się poruszać w tej branży. Powiedział mi np.: „Jeśli chodzi o festiwale, zgłaszaj się tylko na Pol'and'Rock. Jeśli chodzi o inne – rób swoje, jak będziesz dobra, one cię zauważą i zaproszą". Trzymam się tej zasady bardzo konsekwentnie i to rzeczywiście działa.

RANKO UKULELE

Marta „Ranko" Grenda, tlumaczka khmerskiego, piosenkarka, która zdobyła popularność na YouTubie dzięki autorskim piosenkom śpiewanym z ukulele

Pamiętasz swój pierwszy koncert na tej trasie?
Pamiętam, jaki miałam stres! To było straszne: hiperwentylacja, poczucie, że na pewno się pomylę. Zenek powiedział mi wtedy: „Nauczyłem swoją publiczność, żeby nie miała zbyt wielkich oczekiwań wobec mnie, wtedy się nie zawiedzie". Spodobała mi się ta myśl i bardzo mi pomogła. Zrozumiałam wtedy, że nie muszę być na scenie perfekcyjna, może się zdarzyć, że coś zabrzmi inaczej niż na nagraniu. A z drugiej strony – od samego początku dostałam ogromne wsparcie ze strony publiczności, która zawsze daje mi do zrozumienia, że wybaczy mi potknięcia. A czasem nawet pomaga.

Dosłownie pomaga?
Tak. Kilka razy zdarzyło się, że kiedy nie pamiętałam tekstu, ktoś wchodził na scenę ze śpiewnikiem, który wydałam i trzymał, żebym mogła dobrze zaśpiewać kolejne zwrotki. Zdarzało się nawet, że ludzie z pierwszego rzędu odtwarzali moje piosenki na telefonie, żebym je sobie przypomniała. Drugi wielki stres sceniczny miałam na festiwalu Zew Się Budzi, imprezie rockowej, gdzie na scenie pojawiają się przede wszystkim wielcy faceci, grający mocne gitarowe dźwięki. Stanęłam przed publicznością i od razu wyświetliła mi się w głowie myśl: „Kto na tę imprezę wpuścił małą dziewczynę z ukulele"? Sparaliżowało mnie to. I wtedy wydarzyło się coś niezwykłego: na scenę wbiegła dziewczyna – do dziś nie wiem, jak udało jej się przebić przez ochronę i barierki – przytuliła się do mnie, powiedziała, że kocha moje piosenki i nie może się ich doczekać. Poczułam, że jestem potrzebna na tej imprezie. I koncert poszedł wspaniale.

Jakie masz dziś muzyczne marzenia?
Cały czas to samo: zagrać na Pol'and'Rock Festivalu. ▲

FOT. ELIZA SIKORSKA; PISEY LUN

eprasa.pl 9cb4c1b4eb

W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

TEMAT NUMERU:
ZWIERZĘTA, JAK JE KOCHAĆ MĄDRZE

Katarzyna Zillmann: Taniec zmienił moje życie

Psychologia: Nadmiar terapii szkodzi

Matki i córki - da się je pogodzić

Kuchnia: Przepisy na dania bogate w kolagen

Numer dostępny z prezentem:
szampon lub serum
do włosów ARTISHOQ

eprasa.pl 9cb4c1b4eb